

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/159-2/160 1961



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

- P. HOSTOWIEC : **DOKOŁA NAGRODY LITERACKIEJ**
J. MIEROSZEWSKI : **AMERYKA I ŚWIAT**
B. OSADCZUK : **KONFLIKT CHINY-ROSJA**
G. P. FIEDOTOW : **LOSY IMPERIUM**

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Ameryka i świat</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	13
Czesław Dobek	<i>Wincenty i Aniol</i>	26

WIERSZE

Czesław Miłosz:	<i>Album snów</i>	62
Marian Czuchnowski:	<i>Czuwajmy</i>	67
Bolesław Taborski:	<i>Czekamy</i>	68
	<i>Liście</i>	69
Jan Kierełło:	<i>Poszukiwanie</i>	70

Z NASZEGO ROZPROSZENIA

Aleksander Grobicki:	<i>Ślady na „Czarnym piasku”</i>	71
Roman Królikowski:	<i>Afrykańskie wywczasy</i>	90

SĄSIEDZI

Redakcja:	<i>Dialog polsko-rosyjski</i>	107
G.P. Fiedotow:	<i>Losy imperium</i>	109
G.P. Fiedotow:	<i>Polska i my</i>	118

ARCHIWUM POLITYCZNE

Bohdan Osadczyk:	<i>Konflikt Chiny-Rosja</i>	123
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	134

SPRAWY I TROSKI

Wincenty Cygan:	<i>Pod falę</i>	141
-----------------	-----------------------	-----

KRAJ

Jerzy Plot:	<i>Skrąpek Ojczyzny</i>	153
—	<i>Zmiany w „Polityce”</i>	159

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Józef Zajac:	<i>Nasze przygotowania do wojny</i> ..	161
--------------	--	-----

KRONIKA KULTURALNA

K. A. J.:	<i>Wystawy paryskie</i>	189
Michał Sambor:	<i>W obronie (neo)puryzmu</i>	193
—	<i>Kronika</i>	195

KSIAŻKI

Paweł Hostowiec:	<i>„Pierścień z Herkulanum”</i>	197
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Nuda</i>	200
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Lekcja Czechowa</i>	206
Stanisław Leonard Andrzejewski:	<i>Armia i Społeczeństwo</i>	210
Wiktor Sukiennicki:	<i>Dziecięca choroba uprzemysłowienia</i>	212
Benedykt Heydenkorn:	<i>Błok sowiecki</i>	214
M.K. Dziewanowski:	<i>„Polityka” o „Historii KPP”</i> ..	218
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	221
J. Axel, St. Korboński, J.A. Teslar, W. Turek, K. Zelenko:	<i>Listy do Redakcji</i>	224

—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1960</i>	229
---	--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty – Janvier-Février 1961

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Stojan SUBOTIN, ur. w r. 1921 we wsi Jakovo, koło Belgradu. Po ukończeniu gimnazjum zapisuje się w r. 1940 na Wydział Sławistyczny Uniwersytetu Belgradzkiego. W r. 1941 studia przerywa wojna, w czasie, której początkowo mieszka z rodzicami na wsi, następnie — uciekając przed terrorem ustaszów — przenosi się do Belgradu, gdzie bierze udział w konspiracji. Latem 1944 dołącza do oddziału partyzanckiego, w którym pozostaje do końca wojny.

Studia kontynuuje po wojnie. W r. 1948 zdaje egzamin dyplomowy i od r. 1949 pracuje jako asystent na Wydz. Filozoficznym Uniwersytetu Belgradzkiego. W r. 1957 obronił pracę doktorską pt.: „Powieści południowo-słowiańskie T.T. Jeża”. Od roku 1959 jest docentem literatury i języka polskiego na Uniw. w Belgradzie. Obecnie wykłada literaturę polską po r. 1863.

W latach szkolnych 1947-8 i 1957-8 przebywał w Krakowie, jako stypendysta rządu polskiego.

Stojan Subotin jest tłumaczem Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Bruno Schulza i Morcinka, Dąbrowskiej, Jastruna, Szaniawskiego, Gojawczyńskiej, Mrożka i innych. Przekładał poezję Mickiewicza. Ponadto pisał o Kochanowskim, Zeromskim, Słowackim, Reymoncie i inych.

(Artykuł S. Subotina o T.T. Jeżu zamieściliśmy w nrze 11/157).

SPROSTOWANIE

Do artykułu Stojana Subotina, którego notę biograficzną zamieszczamy powyżej, zamieszczonego w nrze 11/157 „Kultury” pt. „Jugosłowiańskie powieści T.T. Jeża”, wkradły się dwie pomyłki, mianowicie na str. 133 wiersze 14 i 15 winny brzmieć: „Podkreślał jednocześnie, że literatura *nie może nie być* tendencyjna”, zaś na str. 134 wiersze 17 i 18 winny brzmieć: „podstawowe źródła serbskie znalazł z oryginałów, a obce z przekładów serbskich”.

WPLĄTY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Helena Bobotek, Chicago, Ill. (USA) po raz drugi	27,50 NF
Dr Zdzisław Marek, Edgecliff, NSW (Australia)	11,00 „
Bogusław Wądołkowski, Lyndhurst, N.J. (USA)	25,00 „
Janina Grofimiuk, Monachium, (Niemcy)	2,90 „
Irena Piechowicz, Los Angeles, Cal. (USA)	25,00 „
Anonimowo	100,00 „



DZIEKUJEMY

R. 9786 Chm. Arch.

Bieżący zeszyt „Kultury” jest jak zwykle numerem podwójnym za miesiące styczeń-luty 1961. Zeszyt następny ukaże się 1 marca rh.

Ameryka i świat

O komunizmie napisano setki tomów. My wszyscy nic właściwie innego nie robimy tylko piszemy o komunizmie. Demokracja nie ma tak wspaniałej literatury. Od czasów Alexis de Tocqueville, który umarł sto lat temu — polityczna teoria demokracji przestała nas interesować.

Ciężar zainteresowań przesunął się niemal w całości w kierunku ekonomii. „Affluent society”, powszechny dobrobyt, pełne zatrudnienie, bogactwo materialne — to są zagadnienia, którymi się dziś interesujemy.

Konflikt Wschód-Zachód rozpatrujemy również pod kątem widzenia walki ekonomicznej dwóch systemów. Celem Sowietów jest prześcignięcie Ameryki w ofensywie produkcyjnej. Problematykę byłych krajów kolonialnych zważamy również do perspektywy ściśle ekonomicznej w przekonaniu, że nasz system gospodarczy poparty pomocą zapewni krajom o zapóźnionym rozwoju lepszy start i szybsze osiągnięcie wysokiej stopy życiowej.

Funkcję zastępczą teorii demokracji spełnia antykomunizm. Stawiamy znak równania pomiędzy antykomunizmem i demokracją. Dzięki tej operacji Czang Kaj-Szek jest demokratą, gen. Franco i cała falanga dyktatorów w Azji, w Afryce i w Ameryce łańskiejskiej również.

Gdybyśmy się znajdowali w przededniu wojny — gdyby jedynym celem Ameryki była budowa jak najpotężniejszej koalicji wojennej — antykomunizm stanowiłby dostateczną podstawę sojuszu. Ale celem przywódczej polityki amerykańskiej winien być nie tylko sojusz obronny, lecz również nowy ład międzynarodynarodowy.

Temu zadaniu antykomunizm nie sprostą. Antykomunizm — tak jak ten termin pojmowany jest dziś na Zachodzie — określa negatywny stosunek do komunizmu. W sensie pozytywnym termin ten nie określa niczego. Antykomunizm nie jest

w stanie zastąpić podstawowej hierarchii wartości ponieważ wyczerpuje się w negatywnej definicji. Można być antykomunistą i równocześnie wrogiem wolności. Można być antykomunistą i równocześnie przeciwnikiem demokracji.

W sumie należy stwierdzić, że antykomunizm nie jest antytezą komunizmu. Antytezą komunizmu jest tylko demokracja. Ponieważ tzw. wolny świat nie składa się z samych demokracji — przyjęliśmy za platformę porozumienia negatywny termin, w gruncie rzeczy pozbawiony jakiegokolwiek treści.

Sceptycznie usposobiony czytelnik zauważy w tym miejscu, że gdybyśmy do antykomunistycznego klubu dopuszczali tylko prawdziwych demokratów — uszczupliliibyśmy koalicję zachodnią nie zyskując niczego wzamian. Wielu tak myśli, ale to jest pogląd całkowicie fałszywy.

W czasie ostatniej sesji ONZ — obok Chruszczowa siedzieli przywódcy państw satelickich. Wśród nich Kadar, Gomułka i wielu innych. Ale trzeba obiektywnie stwierdzić, że i wśród delegatów krajów należących do tzw. wolnego świata nie brakło przedstawicieli, których reprezentatywność pozostawia bardzo wiele do życzenia.

W blokach wschodnim i zachodnim istnieją różne normy reprezentatywności. W obozie państw komunistycznych przywilej reprezentowania narodu i państwa przysługuje wyłącznie partiom komunistycznym. I w tym sensie nie ma różnicy pomiędzy Kadarem i Gomułką. Obaj są szefami partii i obaj odpowiadają normom obowiązującym w bloku państw komunistycznych.

W ramach wolnego świata sprawy układają się zupełnie inaczej. Demokracja, prawa obywateli, wolność osobista, cenzura, a nawet obozy koncentracyjne są sprawą wewnętrzną każdego państwa. Dany rząd może nie być ani demokratyczny ani liberalny, jeżeli jednak jest antykomunistyczny i sprawuje faktyczną władzę przez dłuższy okres czasu — ma pełną szansę zdobycia międzynarodowego uznania swojej pozycji. Innymi słowy, demokracja w ramach naszego świata nie stanowi powszechnie obowiązującej normy.

Wszystko to datuje się z zamierzchłej epoki suwerenności państw, kiedy zasada nie mieszania się w sprawy wewnętrzne innych — stanowiła niewzruszony kanon zachodnio-europejskiego systemu.

Od „suwerennych” czasów odbiegliśmy niezmiernie daleko. Wiemy z własnego doświadczenia, że jak Ameryka kichnie to Anglia dostaje grypy. Gospodarcza współzależność przypiętowana została współzależnością wojskową i polityczną. Wybór nowego prezydenta w Stanach Zjednoczonych obserwowany był z napięciem w całej Europie i nikt w Paryżu, w Londynie czy w Bonn nie miał wątpliwości, że Amerykanie dokonują wyboru przywódcy całego wolnego świata. Ludzie w Madrycie, w Brukseli czy w Amsterdamie śpią spokojnie, bo w głębinach oceanu krąży atomowy okręt podwodny „George Washington”

uzbrojony w szesnaście pocisków „Polaris”, których łączna siła ognia równa się wszystkim bombom zrzuconym w czasie drugiej wojny światowej.

Innymi słowy system zachodni opiera się na współzależnościach w dziedzinach gospodarki, technologii i obrony — z wyłączeniem spraw ustrojowych. I dzięki temu wolność o której tyle mówimy i piszemy — nie ma charakteru obowiązującej normy. „George Washington”, patrolujący w głębinach Atlantyku strzeże przed sowiecką agresją zarówno tych co czytają wolną prasę jak i tych co czytają ocenianą prasę — zarówno dyktatorów jak i bojowników o wolności demokratyczne siedzisk w więzieniach. Wolność i demokracja w tzw. wolnym świecie nie są powszechnie przyjętą normą, nie są prawem, lecz tylko wewnętrzną sprawą indywidualnych państw.

Komunizm jest w zasadzie jeden — demokracje natomiast wykazują bardzo znaczne różnice. Nie ma ani potrzeby ani konieczności ujednolicania systemów demokratycznych, których różnorodność odzwierciedla bogactwo tradycji zachodnio-europejskiej. Ale mimo tych różnic byłoby rzeczą niezmiernie wagi podstawowej normie demokracji nadać w wolnym świecie charakter powszechny i obowiązujący.

Wolność nie zwietrzała. Wolność jest jeszcze ciągle dynamitem, którym można by rozsądzić kolonialne imperium sowieckie. Ruch wolnościowy, który objął Afrykę i Azję można by z czasem przeciwstawić sowieckiemu imperium kolonialnemu — ale tylko wówczas, gdyby powszechną normą praktycznie obowiązującą w wolnym świecie była wolność i demokracja, a nie slogany antykomunistyczne.

Po stronie zachodniej w ONZ nie mamy wprowadzić Kadarów — ale nie brak delegatów, którzy reprezentują rządy tłumnie wolność i demokracje. Mamy w zachodnim obozie przedstawicieli rządów, które są znacznie mniej popularne niż rządy Gomułki. O co walczyliśmy — czy o wolność, demokrację i prawo samostanowienia — czy o system antykomunistyczny obojętne w jakiej postaci? O co walczyliśmy — czy o wolność i demokrację tylko dla bogatych i potężnych narodów zachodnich — czy o wolność i demokrację dla wszystkich?

W tzw. wolnym świecie mamy miliony robotników źle płatnych i wyzyskiwanych przez dyktatorów. Ale dyktator jest antykomunistą i sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Udzielając gościny bazom amerykańskim dyktator czynnie współdziała w obronie Stanów Zjednoczonych, a więc broni amerykańskiej demokracji i wolności obywatelskich, z których Amerykanie słusznie są dumni. Równocześnie na wewnątrz pozycja dyktatora w stosunku do wyzyskiwanych robotników ulega wzmocnieniu, bo tam gdzie są bazy w interesie amerykańskim leży utrzymanie status quo.

Sytuacja robotników jest wręcz paradoksalna. Swoją pracą wzmocniają pozycję dyktatora i reakcyjnego reżymu we włas-

nym kraju, a równocześnie przyczyniają się do obrony Ameryki, która głosi hasła wolności i demokracji.

Nie możemy piętnować obłudy u innych dopóki obłudę tolerujemy u siebie. Antykomunizm nie jest namiastką ani wolności ani demokracji. Przeciwnie, często bywa sztyldem, za którym chroni się antydemokratyczna reakcja.

Jeżeli antykomunizm ma stanowić ideę i koncepcję przywódczej polityki amerykańskiej — nie może ograniczać się do negacji. Musi mieć konkretną pozytywną treść. Innymi słowy musi oznaczać wolność i demokrację dla wszystkich.

Tu nie chodzi o jeszcze jeden slogan. Chodzi natomiast o budowę międzynarodowego systemu, który można by zwycięsko przeciwstawić komunizmowi. Tak jak Rosja buduje jednolity system międzynarodowy potencjalnie przeznaczony dla całego świata — tak i Ameryka podjąć musi organizowanie międzynarodowego systemu o perspektywach światowych.

Co to oznacza w praktyce? W praktyce musiałoby to oznaczać zerwanie z tradycyjną zasadą, że sprawy ustrojowe są ściśle wewnętrznym problemem suwerennych państw. Podstawowe zasady demokracji i podstawowe wolności obywatelskie musiałyby się stać międzynarodowymi normami systemu obowiązującego w całym w wolnym świecie.

Nie mam na myśli umiędzynarodowienia, tym mniej narzucania całemu wolnemu światu amerykańskiego systemu demokracji. Systemy i konstytucje mogą być bardzo różne — trzeba tylko podstawowym zasadom nadać moc uniwersalną. Ową podstawową zasadę demokracji można ująć w jednym zdaniu: za legalny uznaje się rząd wyłoniony poprzez powszechne wybory i cieszący się poparciem większości. Ale uznanie za legalny to jeszcze mało. Wszelki zamach stanu zmierzający do obalenia ustroju demokratycznego — winien być traktowany nie jako „sprawa wewnętrzna” państwa X, lecz jako przekroczenie obowiązującej powszechnie normy prawa międzynarodowego. Internacjonalizmowi komunistycznemu należy przeciwstawić internacjonalizm demokratyczny. Treścią owej nowej normy byłaby deklaracja, że do zasadniczych wolności obywatelskich i form rządu demokratycznego mają tytuł i prawo wszyscy obywatele wolnego świata, któremu przywodzą Stany Zjednoczone. W ten sposób z upływem czasu ustrój demokratyczny stałby się obowiązującym ustrojem naszego systemu międzynarodowego.

Powyższa koncepcja by nie umrzeć papierową śmiercią — musiałaby stanowić integralny element światowej polityki Stanów Zjednoczonych.

Nie sugeruję żadnej rewolucji ani nie proponuję obalenia wszystkich dyktatur jednego dnia. Twierdzą natomiast, że Stany Zjednoczone posiadają różnorakie możliwości nacisku — politycznego i gospodarczego — poprzez ONZ i instytucje międzynarodowe, by z czasem doprowadzić do powszechnego przyjęcia zasady, że każdy naród ma nie tylko prawo do ustroju demokratycznego, ale ma również prawo do międzynarodowej

pomocy w realizowaniu tych postulatów. Ukoronowaniem tego ewolucyjnego procesu winno być przyjęcie przez Stany Zjednoczone i ich sojuszników zasady, że za legalne uznaje się tylko rządy demokratyczne i w demokratyczny sposób powołane do życia.

Tak pojmowany antykomunizm byłby ideą dynamiczną, groźną dla Związku Sowieckiego.

Światowa polityka amerykańska obejmuje olbrzymi zespół zagadnień. Na czoło wysuwają się problemy Chin, krajów afroazjatyckich, Ameryki łacińskiej, Europy zachodniej i krajów satelickich.

Pewne z wymienionych zagadnień znajdują się w pozycji „martwego punktu”. Żadne z proponowanych rozwiązań kwestii chińskiej np. nie jest możliwe do przyjęcia z punktu widzenia Waszyngtonu. Dlatego w moim zrozumieniu inicjatywa amerykańska winna skupić się na innych zagadnieniach. Być może rozwiązanie sprawy Niemiec leży w Afryce. Jedno jest pewne: by przełamać martwy punkt chiński i niemiecki trzeba odnieść poważne sukcesy na innych polach światowej szachownicy. Innymi słowy trzeba wydatnie przechrzylić szalę wpływów amerykańskich w skali globalnej.

Wpływy amerykańskie od wielu lat topnieją wszędzie. Z dokumentów ogłoszonych przez „New York Times” (29.10. i 2. 11. 1960) wynika, że w krajach Europy zachodniej większość ludzi uważa, że Związek Sowiecki wyprzedził Amerykę zarówno w wyścigu zbrojeniowym jak i w wyścigu kosmicznym.

Jeżeli tak myślą ludzie na Zachodzie — to co myślą ludzie w Europie wschodniej? Chcąc odpowiedzieć w jednym zdaniu na to pytanie należałoby stwierdzić: pro-amerykańskie sympatie trwają nadal ale z wiary nie pozostało nic. Dosłownie nic. Dziś w Polsce nikt nie liczy na Amerykę ani na mocarstwa zachodnie. Powtarzam — sympatia jest powszechna, ale nikt nie wierzy by Ameryka zdynamizowała swoją politykę i podjęła próbę wyparcia Sowietów z Europy czy skądkolwiek indziej.

Ale nie można się dziwić wschodnim Europejczykom. „Amerykanie zachowują się jak pobity naród” — to są gorzkie słowa, które wypowiedział jeden z moich przyjaciół krajowych w czasie niedawnego pobytu w Londynie. Rosja stu milionom Europejczyków odmawia elementarnych praw demokratycznych i równocześnie występuje jako champion polityki „wyzwolenia” w Afryce, w Azji a nawet w Ameryce łacińskiej. To jest sytuacja absurda i dla kogoś spoza areny konfliktu — jak mój znajomy z Polski — jest oczywiste, że z sytuacją absurda godzi się tylko ten, kto musi — to znaczy partner, który przegrywa.

Problem jest niezmiernej wagi. Chruszczow w czasie swego ostatniego pobytu w Nowym Jorku usiłował przemienić ONZ w platformę starcia kapitalizmu z „socjalizmem”. Należy się tym tendencjom przeciwstawić, ponieważ istotą konfliktu jest walka demokracji z totalizmem, a nie systemu kapitalistycznego z systemem „socjalistycznym”.

Tylko w interesie sowieckim leży rozgrywanie bitwy o narody niezaangażowane wyłącznie w płaszczyźnie ekonomicznej. W ręce Chruszczowa grają ci zachodni politycy i publicyści, którzy twierdzą, że na demokrację jest zbyt wcześnie w krajach afro-azjatyckich. Bo jeżeli my twierdzimy, że w Afryce jest zbyt wcześnie na demokrację nie wynika z tego bynajmniej, że Chruszczow oceni, że i na komunizm jest za wcześnie.

Blok sowiecki może zaferować państwom afro-azjatyckim to samo co Zachód: kredyty, maszyny, ekipy specjalistów plus szybką komunistyczną metodę akumulacji kapitału. Innymi słowy blok sowiecki może tym państwom zaferować wszystko z wyjątkiem wolności i demokracji. Demokrację zaferować może tym krajom tylko Ameryka i nikt poza nią. Jeżeli Ameryka zrezygnuje z tego jedyne, ale olbrzymiego swego atutu — bitwę o narody niezaangażowane z całą pewnością przegra.

Pokojowo-koegzystencyjna polityka Chruszczowa sprowadza się do kalkulacji, że blok wschodni z czasem wygra batalię o narody afro-azjatyckie. Wówczas w światowym „balance of power” dokonałyby się olbrzymie przesunięcia. Wtedy nadszedłby czas na rozwiązanie sprawy niemieckiej, Berlina, Formozy i innych „kwestii”, które dziś korzystają z przywileju „martwego punktu”. Ale martwy punkt trwa tylko tak długo jak długo „balance of power” jest wyrównany.

Polityka amerykańska musi wypływać z światowych perspektyw. Jej celem winno być wydatne przesunięcie równowagi sił na korzyść Ameryki. Przez zwycięstwo, jeżeli wyłączyć wojnę (co nie oznacza, niestety, że wojna jest wykluczona) należy rozumieć całkowitą izolację bloku sowieckiego. Jeżeli wolność i demokracja mają zwyciężyć, to przede wszystkim muszą odnieść całkowite zwycięstwo w tzw. wolnym świecie. Przez „wolny świat” rozumiem wszystkie kontynenty i kraje, które w chwili obecnej nie znajdują się pod bezpośrednim wpływem Kremla. Gdyby na całym kontynencie afrykańskim, w Azji (z wyjątkiem Chin), w Indiach zachodnich, w krajach Ameryki łacińskiej itd. — zrealizowano w pełni wilsonowski postulat samostanowienia i demokratycznych rządów — klęska komunizmu byłaby sprawą przesądzoną. Demokracja byłaby wówczas nie tylko ustrojem w dynamicznym rozwoju, ale i przyszłym ustrojem całego świata. Blok komunistyczny zostałby izolowany, a rosnący napór idei wolnościowych na sowieckie imperium byłby tak potężny, że Rosja musiałaby nie tylko cofać się, ale i przeksztalcać.

By realizować tego typu politykę Stany Zjednoczone muszą — w pewnej mierze — tak propagować ideę demokratyczną jak Sowiety propagują komunizm. Stany Zjednoczone ograniczają się do propagandy, ale Sowiety nie ograniczają się do propagandy. Sowiety nie wahają się interweniować wszędzie tam, gdzie interes komunizmu tego wymaga. W naszym świecie obowiązuje ogólna zasada nieinterwencji — to znaczy interwencji się tylko pod naciskiem wielkiego „businessu” i w interesie wielkiego „businessu”, — nigdy w interesie robotników.

Dlatego nie ma odpowiedzi na zapytanie ludzi z „tamtej strony”: „mówicie o wyzwoleniu robotników za „żelazną kurtyną” — dlaczego nie wyzwolicie pierw z ucisku robotników w Hiszpanii?”.

Jeżeli demokracja nie ma być tylko przywilejem bogatych na ostatnim etapie przed światowym zwycięstwem komunizmu — lecz przeciwnie, jeżeli ma być powszechną ideą mobilizującą rasy i narody do walki z komunizmem — nie może być tylko propagowana, lecz musi być realizowana.

Co to znaczy? Przede wszystkim musiałoby to oznaczać rewizję tzw. antykomunizmu. Nie istnieje ani ustrój antykomunistyczny ani ideologia antykomunistyczna. Przeciwnie, komunizm jest tylko demokracja i w konsekwencji za antykomunistów uważać należy tylko i wyłącznie przekonanych demokratów. Polityka Stanów Zjednoczonych jeżeli ma przeciwstawić się zwycięsko Sowietom — musi opierać się na rzetelnej skali wartości. Antykomunizm, który usiłuje sprowadzić do wspólnego mianownika socjaldemokratów i faszystów nie spełnia i nigdy nie spełni tej funkcji. Skalą wartości polityki Stanów Zjednoczonych może być tylko i wyłącznie idea wolnościowa i demokratyczna.

Stany Zjednoczone winny aktywnie popierać w Europie, w Afryce, w Azji i w Ameryce łacińskiej — rządy demokratyczne, a cofnąć swe poparcie rządowi antydemokratycznemu i dyktatorskiemu. Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych winien wyraźnie stwierdzić, że ostatecznym celem świata zachodniego — któremu przywodzi Ameryka — jest powszechne urzeczywistnienie ideału samostanowienia narodów rządzonych demokratycznie.

Organizacja Narodów Zjednoczonych — jeżeli ma się kiedyś stać prawdziwą ponad-narodową instytucją o atrybutach rządu światowego — musi skupiać reprezentantów delegowanych przez prawowite rządy, tzn. rządy wyłonione demokratycznie. Demokratyzacja systemu międzynarodowego możliwa jest tylko poprzez upowszechnienie podstawowych zasad demokracji i nadanie tym zasadom charakteru norm uniwersalnie obowiązujących.

Nie potrzebujemy nigdzie szukać ideologii ani nie potrzebujemy konstruować sztucznych wizji nowego wspaniałego świata. Trzeba tylko odważnie inkorporować w program polityki światowej te podstawowe wolności obywatelskie i prawa demokratyczne, które w procesie dziejowym uczyniły z Europy zachodniej i ze Stanów Zjednoczonych najwspaniałej cywilizowaną ojczyznę ludzkości. Innymi słowy rewolucji komunistycznej musimy przeciwstawić wielką Rewolucję Francuską, której postanie zostało zrealizowane tylko w ramach świata zachodniego. Dziś nadszedł czas, by dziełem tym i naszym wiekowym doświadczeniem objąć kontynenty Afryki i Azji. Stany Zjednoczone są pierwszym w historii mocarstwem, które dysponuje dostateczną potęgą by wziąć na swe barki powyższe zadanie.

To jest program trudny, ale nie ma przed nami łatwych rozwiązań. Główny wpływ na kształtowanie polityki wywierają ekonomiści, administratorzy i wojskowi. Zagadnieniami w demokratycznej hierarchii wartości podstawowymi — zajmują się instytucje marginalne, dysponujące często poważnymi funduszami, ale i niczym więcej.

Ekonomiści — wychodząc z założenia, że na trzech mieszkańcach naszego globu dwóch głoduje — sądzą, że najważniejszym zagadnieniem jest pomoc materialna. Nie ulega wątpliwości, że kraje afro-azjatyckie potrzebują pomocy. Ale przede wszystkim potrzebują oświaty. W większości wypadków to są kraje potencjalnie bardzo bogate i z chwilą kiedy zdobędą kadry własnej inteligencji technicznej staną doskonale na własnych nogach.

W kraju tak bogatym jak Kongo — liczącym 14 milionów mieszkańców — w chwili ogłoszenia niepodległości tylko 17 tubylców posiadało dyplomy uniwersyteckie. Wśród tych 17 absolwentów nie było ani jednego inżyniera i ani jednego lekarza.

Co to znaczy budować demokrację w takich warunkach? Budować demokrację w takich warunkach oznacza z jednej strony stworzyć potężny fundusz stypendialny umożliwiający Kongolijczykom fachowe studia w Ameryce — z drugiej strony rozbudować sieć technologicznych instytutów w Kongo. To nie jest sprawa prosta ani w sensie finansowym ani w sensie politycznym. Ameryka niestety bardzo późno zaczęła interesować się Afryką. Ale problem „in a nutshell” sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: gdzie otrzymają swe dyplomy kadry technicznej inteligencji krajów afrykańskich — w Ameryce czy w Sowietach? Nie tylko przyszłość Afryki, ale coś znacznie więcej zawarte jest w odpowiedzi na powyższe pytanie.

Polakowi łatwiej jest zrozumieć klimat młodej Afryki niż Anglikowi czy Amerykaninowi. My bowiem miemy dokładnie jak wygląda następny dzień po odzyskaniu niepodległości. Kończy się walka, a zaczyna się polityka do której nikt nie jest przygotowany. W tej typu sytuacjach mamy zawsze z jednej strony nagromadzony w czasie walk o niepodległość potencjał nacjonalizmu — z drugiej strony brak konkretnego programu politycznego. Strategia Chruszczowa zmierza do wykorzystania tej charakterystycznej „pauzy”. Sowiety sądzą, że uczucia nacjonalistyczne można będzie wykorzystać pod warunkiem, że potencjał ten zatrzyma swój antykolonialny i anty-zachodni charakter.

Sekretarz Generalny ONZ D. Hammarskjöld napisał w oparciu o doświadczenia w Kongo ważny szkic pt. „Introduction to the Annual Report of the Secretary General on the Work of the Organization 16 June 1959 — 16 June 1960”.

Teza Hammarskjölda nadaje ONZ ściśle neutralistyczny charakter. W myśl tej koncepcji głównym zadaniem ONZ winna być ochrona i pomoc dla państw neutralnych. Jak słusznie zauważył w swym wnikliwym studium o ONZ Theodore Draper („Ordeal of the UN” — *The New Leader*, New York) — kon-

cepcja Sekretarza Generalnego stanowi całkowite zerwanie z tradycją ONZ, której to tradycji głównym reprezentantem jest premier Chruszczow.

Brzmi zarozumiale powoływać się na własne artykuły, ale dokładnie 10 miesięcy temu polemizując z naszymi „niezlomnymi” anty-neutralistami — zauważyłem na tych łamach, że w większości krajów afro-azjatyckich nie wybieramy pomiędzy pro-amerykanizmem a pro-komunizmem — tylko wybieramy pomiędzy komunizmem, a neutralizmem. Wyraziłem również wówczas pogląd, że ONZ winna umożliwić zachowanie neutralności tym krajom, które pragną pozostać neutralne.

Sytuacja w Afryce jest bardzo trudna. Sowiety stosują starą, kolonialną zasadę „otwartych drzwi” i operują poza ramami ONZ. To są metody, które dla mocarstw zachodnich są zupełnie niedostępne, ponieważ mobilizują natychmiast uczucia antykolonialne. Jedyną drogą dla Ameryki jest popierać neutralizm i poprzez ONZ dbać o ścisłe przestrzeganie statusu neutralnego.

Najbliższe 10 lat będą decydujące. Sowiety zrobią wszystko, by dynamikę antykolonialną — nim ostygnie — przekuć na komunistyczną ofensywę produkcyjną na wzór chiński.

Mocarstwa zachodnie, a Ameryka w szczególności, winny popierać i chronić neutralizm, a w ramach neutralizmu popierać i chronić demokrację.

Główny nacisk w projektach afrykańskich winien być położony na oświatę. Należałoby podjąć ofensywę oświatową na skalę nieznaną w dziejach. Niezależnie od akcji oficjalnej prezydent powinien zachęcić wielkie firmy amerykańskie o światowych powiązaniach by ufundowały w Afryce Uniwersytet czy Uniwersytety i stypendia naukowe. Trzeba by ludziom, dysponującym setkami milionów dolarów wyjaśnić, że fundując w Afryce Uniwersytety i stypendia nie uprawiają żadnej filantropii, ale działają w swoim własnym, bardzo bezpośrednim, interesie.

Do takiego gigantycznego projektu — a projekt afrykański jeżeli ma przynieść rezultaty musi być gigantyczny — poza pieniędzmi potrzebni są i ludzie.

W Ameryce i wolnym świecie istnieje cała plejada organizacji oraz tysiące emigrantów z wschodniej Europy. Nie od rzeczy będzie zauważyć, że na nic się nie zda przekonywanie Polaków, Czechów czy Rumunów o bezsensowności komunizmu (o czym w tych krajach nikt nie wątpi) — jeżeli równocześnie dopuścimy do osadzenia się komunizmu i wpływów sowieckich na kontynencie afrykańskim. I przeciwnie, jeżeli powiedzie się ugruntowanie wolności i demokracji w krajach afro-azjatyckich — będzie to równoznaczne z wybitnym osłabieniem Sowietów, co z kolei wywrze bezpośredni wpływ na sytuację w krajach satelickich.

Sądzę, że Amerykanie winni zmobilizować na wielką skalę emigrantów wschodnio-europejskich dla pracy w Afryce. Emigranci wschodnio-europejscy nie mają na sobie „stygmatu”

kolonializmu i są wszyscy przekonani antykomunistami. To są cenne kwalifikacje do pracy na czarnym kontynencie. W krajach takich jak Kongo potrzebni są nie tylko inżynierowie, ale fachowcy w każdej dziedzinie.

Budowa demokracji jest rzeczą bardzo trudną. Daleko łatwiej jest iść po drodze najmniejszego oporu i budować jedynie antykomunizm. Na dalszą metę nie ma jednak przed nami wyboru. Musimy wszędzie i za wszelką cenę budować demokrację, bo tylko demokracja i wolność stanowią autetyczną zaporę przeciw komunizmowi.

Juliusz MIEROSZEWSKI

ZWIĄZKOWIEC

Jedynе pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień Służy Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne korespondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w Kanadzie i innych krajach świata.

Z w i ą z k o w i e c

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników jak i poprzez korespondencje z kraju

Z. w i ą z k o w i e c

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

Z w i ą z k o w i e c

drukuje w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich, oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

Z w i ą z k o w i e c

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym instrumentem reklamy handlowej.

Z w i ą z k o w i e c

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów.

Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach

Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00.

Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA :

1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada

Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

DOKOŁA NAGRODY LITERACKIEJ

W Paryżu toczy się obecnie dość bezładna dyskusja na temat tegorocznej nagrody Akademii Goncourtów. Nie naszą rzeczą jest sądzić paryskie obyczaje literackie, tym razem jednak chodzi o sprawę, której zasięg przekracza granice miasta i nawet jego *grande banlieue*. Spory tego rodzaju powstać dziś mogą łatwo w różnych środowiskach, nie wyłączając naszego podwórka emigracyjnego. Dlatego — dla nauki i przestrogi — warto zatrzymać się na chwilę nad losami cenionej nagrody literackiej.

„Sądziła Akademia (Goncourtów) dorocznym zwyczajem, kto się w piórze najlepiej zasłużył przed krajem” i 21 listopada przyznała nagrodę powieści rumuńskiego emigranta Vintilii Horii pt. *Dieu est né en exil*, której tematem są dzieje Owidiusza na wygnaniu. Powieść ta ukazała się już wiosną i spotkała się z umiarkowanym uznaniem krytyki, lecz tegoroczna produkcja powieści nie dawała Akademii łatwego wyboru.

(*Prix Goncourt* jest najwyższą cenioną w Paryżu nagrodą literacką. Wynosi wprawdzie tylko 50 nowych franków, lecz dostarcza nagrodzonemu autorowi sto do dwustu tysięcy czytelników. Jako najslawniejszych laureatów tej nagrody wymienia się zazwyczaj Prousta i Malraux, arcydzieła nie ukazują się jednak każdego roku i z późniejszych nagrodzonych niewielu tylko zachowało się w pamięci czytelników).

Zaraz po ogłoszeniu wyników głosowania lecz przed uroczystym wręczeniem nagrody laureatowi w kilku pismach różnych kierunków ukazały się wiadomości, że Vintila Horia był w Rumunii członkiem Żelaznej Gwardii, faszystą i antysemitą. *L'Humanité* ogłosiła fragmenty jego artykułów drukowanych w 1935-1941 w *Sfarma pietrelor*. Dwa z nich, uważane widocznie za najbardziej kompromitujące, obieły całą prasę. W pierw-



szym, z 1935, czytamy, że dwa narody — Niemcy i Włochy — rządzone dotąd przez żydo-masonerię, wyzwoliły się z ich tyranii i są na drodze do szczęśliwej przyszłości; w drugim, z 1940, że z jednej strony Niemcy stanęły na czele narodów dążących do wolności, z drugiej zaś Żydzi, przebrani za Anglików i Amerykanów, grają swoją ostatnią kartę.

Na pytania dziennikarzy Vintila Horia powiedział, że był „prawicowym intelektualistą”, lecz nie brał udziału w żadnych gwałtach ani do nich nie zachęcał. Jako rumuński *attaché* prasowy w Niemczech został — po zawarciu pokoju między Rumunią i Związkiem Sowieckim — aresztowany w 1944 w Wiedniu. Zwolniony potem przez wojska angielskie, nie wrócił do kraju. Na emigracji przebywał przez pewien czas w Argentynie, skąd przyjechał do Francji.

Poselstwo rumuńskie ogłosiło ze swej strony komunikat, że Horia był od 1934 członkiem „faszystowskiej organizacji” i w 1946 został zaocznie skazany na bezterminowe więzienie za „propagandę faszystowską, lżenie demokracji i szerzenie antysemityzmu”. Z wyliczenia tego widać, że oskarżany był tylko o *délits d'opinion*.

Po tych rewelacjach Roland Dorgelès i Gérard Bauër oświadczyli prasie imieniem Akademii, że przyznana nagroda zostanie utrzymana. Akademia — wyjaśnili — przyznaje swe nagrody bez względu na opinie polityczne kandydatów i nie wahała się przyznać ich komunistom, jak Elsa Triolet i Roger Vaillant. W dalszym ciągu ich oświadczenia znajduje się wszakże następujący *passus*: „Przed przyznaniem nagrody, aby nie przypaść pisarzowi niegodnemu naszego wyboru, Akademia zebrała informacje u wydawcy powieści, w francuskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych i u *attaché culturel* rumuńskiego. Żadna z tych instancji nie dostarczyła nam dowodu, aby działalność polityczna i publicystyczna Horii czyniła go niegodnym nagrody, którą mieliśmy przyznać”.

Tak sformułowane, oświadczenie akademików wprowadzało do dyskusji nowy motyw, mianowicie możliwość omyłki powstałej z mylnych informacji o osobie kandydata. Podchwycili to akademicy, którzy głosowali uprzednio na innych kandydatów. Armand Salacrou oświadczył prasie: „Nic nie wiedziałem o zbieraniu informacji o przeszłości Horii, ponieważ jednak dochodzenie takie miało miejsce, mamy prawo postawić sobie pytanie, czy nawet ci, którzy prowadzili to dochodzenie i odczytywali jego potrzebę, głosowaliby na Horię, gdyby zamiast otrzymanych o nim informacji korzystnych posiadali informacje ściśle tj. niekorzystne”. Z innych oświadczeń i komentarzy wynikało, że część akademików była za unieważnieniem nagrody i przeprowadzeniem nowego głosowania.

W tym stanie sprawy, 1 grudnia, Vintila Horia przesłał na ręce sekretarza Akademii, Dorgelèsa, list donoszący, że zrzeka się nagrody, nie chcąc być przyczyną sporów i polemik w kraju, który udzielił mu wspianiałomyślnie gościny.

List ten dostarczał nowych argumentów na rzecz ponownego głosowania. Myśl ta zdawała się zyskiwać coraz więcej zwolenników. Nawet najpowściągliwsze komentarze utrzymywane były w trybie warunkowym — „jeżeli istotnie powieść zasługuje na wyróżnienie” — sugerując możliwość rewizji pierwotnego sądu Akademii. Inni atakowali wartość literacką powieści lub wyrażali wątpliwość, czy Horia jest istotnie jej autorem. Dziennikarze licytowali się w poszukiwaniu argumentów drażniących i zamaszystych. Jeden z nich np. był zdania, że Horii należy odebrać nie tylko nagrodę lecz i pieniądze, i że Akademia powinna wywrzeć nacisk na wydawcę i autora, aby zrekli się dochodów z powieści na rzecz ofiar zbrodni hitlerowskich. Autorytety literackie zachowywały przezorne milczenie.

5 grudnia Akademia Goncourtów zebrała się ponownie i ogłosiła następujący komunikat: „Pragnąc przyczynić się do uspokojenia umysłów, Vintila Horia doniósł nam, że zrzeka się nagrody Goncourtów z 1960, przyznanej mu za książkę *Dieu est né en exil*. Ożywieni tą samą chęcią uspokojenia umysłów, członkowie Akademii postanowili jednomyślnie zrzec się wyznaczania w tym roku nagrody”.



Burzliwa historia nagrody następcza różne refleksje.

Najbardziej poszkodowana wyszła z niej Akademia, tracąc znaczną część swego autorytetu. Z opisanego wyżej przebiegu sprawy wynika jasno, że Akademia nie może nagrodzić nikogo wbrew opinii prasy. Jest to koniec jej niezależności. Paryski karnawał literacki z całą jego grą nagród, obrad, domysłów i niedyskrecji wszedł w okres zmierzchu, bo gra taka zakłada niezależność sądów.

Akademia Goncourtów ma za sobą długi okres sławy. Wyroki jej stanowiły o fortunach wydawców i orientacji kilkuset tysięcy czytelników. Dla tych, którzy pamiętają ożywienie ogarniające okolicę restauracji Drouant w dniu głosowania i tłum dziennikarzy polujących na każdą „niedyskrecję”, na każde słowo i półsłówko dziesięciu akademików, wypadki ostatnich tygodni są zupełną niespodzianką. Zamiast tych tradycyjnych scen, zobaczyliśmy w tym roku sąd literacki obradujący pod ostrzałem demagogów, krzykaczy i ostropiśców, żądających reasumpcji wyroku. Jest to widok przykry, wulgarny. *Spettacolo indecoroso*, jak mówią Włosi. Cokolwiek myśleć o wartości obecnego systemu nagród literackich, kłeska instytucji niezależnej, mającej dotąd w swym ręku najważniejszą nagrodę, musi spowodować ogólną dewaluację tego rodzaju wyróżnień.

Akademii Goncourtów kłeska zastała zupełnie nieprzygotowaną. Widać to z jej pierwszego komunikatu po rewelacjach prasy. Akademia stanęła na terenie, na którym nie mogła skutecznie bronić swego autorytetu. Mam tu na myśli ustęp dotyczący dochodzenia o przeszłości Horii. Wynika zeń jasno,

że w własnej opinii akademików o tym kto jest „godny” lub „niegodny” nagrody rozstrzyga w ostatniej instancji nie tekst jego powieści lecz jego akty personalne tj. świadectwo moralności wystawione przez władze krajowe, a gdy chodzi o emigranta, także przez władze kraju pochodzenia. Do rozważania i oceny tego rodzaju dokumentów Akademia nie posiada kompetencji, zależy więc od dobrej woli informatorów, którzy w danym wypadku ją zawiedli. Stawiając w ten sposób sprawę, Akademia przyznawała się, że udzieliła nagrody na podstawie mylnych informacji i tym samym kapitulowała przed dziennikarzami, lepiej poinformowanymi, otwierając drogę do reasumpcji uchwały z 21 listopada.

Trudno zrozumieć, czym kierowali się akademicy redagując ten nieprzezorny tekst. Mogli spostrzec łatwo, że schodzą w nim na teren sobie nieznaną, śliski, pełen zasadzek i niespodzianek. Tekst literacki można różnie oceniać, lecz jest to dokument *ne varietur*, gdy akty personalne nie są nigdy kompletne i podlegają dowolnym uzupełnieniom. Kto wie, ile niespodzianek znaleźlibyśmy w naszych własnych *dossiers*, zebranych przez policję kilku różnych reżymów, pod którymi kolejno wypadło nam żyć.

Nieostrożność akademików zrozumieć można chyba na tle ogólnych tradycji krytyki literackiej francuskiej, poświęcającej więcej miejsca anegdotom biograficznym oraz listom i szpargałom pozostawionym przez autora niż ogłoszonym przezeń tekstom. Stąd być może pochodziły zainteresowania akademików aktami personalnymi Horii.

Otwierając drzwi ewentualnej reasumpcji swej uchwały, Akademia podważała same podstawy swej egzystencji jako sądu literackiego. Jaką bowiem wartość posiadałyby nagrody dawane „do potrzymania”, i przyznawane potem autorowi odrzuconemu w poprzednim głosowaniu, lecz posiadającemu lepsze akty personalne? Wszystkie sądy są omylne i posiadają przewidziane prawem instancje odwoławcze. Dla sądów literackich instancją odwoławczą jest sąd czytelników. Odwołanie nagrody tworzyłoby precedens burzący ustalony porządek wyrokowania i granice kompetencji, tworząc zamęt, w którym żaden sąd nie posiadałby autorytetu. Świadomość tego niebezpieczeństwa znajdujemy dopiero w jednomyślności ostatniej uchwały Akademii z 5 grudnia.

Już w pierwszym komunikacie po rewelacjach Akademia zajęła pozycję, z której nie mogła skutecznie bronić ani Horii, ani nawet własnego autorytetu. Vintila Horia musiał to jasno widzieć, bo natychmiast zrobił jedyny krok, jaki mu jeszcze pozostał, mianowicie zrzekł się nagrody. Ocalił w ten sposób jej autentyczność — bo zrzec się można tylko tego co się posiada — i dał Akademii możliwość uniknięcia katastrofalnej dla niej reasumpcji.

Vintila Horia wyszedł z tej przygody mniej oszukany niż Akademia. Nie dał sobie odebrać nagrody i zatrzymał wszystkie płynące z niej korzyści. Gazety doniosły, że Fayard sprzedał w krótkim czasie sto tysięcy egzemplarzy jego powieści i przygotowuje jej nowe wydanie. *Nouvelles Littéraires* zaczęły drukować jego nową powieść. Czytelnicy nie zawiedli więc atakowanego przez prasę autora.

Zwraca jednak uwagę fakt, że wśród niezliczonych publicystów, którzy zabierali głos w tej sprawie, nikt nie próbował bronić Horii od stawianych mu zarzutów. Są widocznie zarzuty tabu, których nikt nie odważa się dotykać. Jak powstają dziś takie tabu w środowiskach tradycyjnie skłonnych do *libre examen*? Jest to temat godny uwagi, do którego może kiedyś wrócimy.

Trudno byłoby bronić Horii dowodząc np., że to co pisał nigdy w *Sfarma pietrelor* jest słuszne, że żydo-masoneria itd. Sam Horia pierwszy by temu zaprzeczył i z obrony takiej byłby bardzo niezadowolony. Nie da się natomiast zaprzeczyć, że ogłoszone w prasie wyjątki z jego młodzieńczej publicystyki zostały wydęte przez polemistów do rozmiarów nierealnych, fantastycznych, i że można je sprowadzać do bardziej wiarygodnych proporcji.

W wyjątkach tych uderza przede wszystkim straszliwa banalność. Że Hitler i Mussolini ocalili swe kraje od anarchii i kryzysu gospodarczego, że żydo-masoneria itd. — frazesy te czytać można było każdego dnia w setkach gazet, powtarzano je od rana do wieczora. Zapewne, nikt do wymawiania tych słów nie był zmuszony; należy do nich pewien *persönlicher Einsatz*, wzięcie odpowiedzialności, od której nie ma potem ucieczki. Fakt, że tylu młodych i nawet starszych brało na siebie lekkomyślnie tę odpowiedzialność, byłby całkowiec niezrozumiały, gdyby nie towarzyszyły mu pewne okoliczności.

W chwili, gdy dwudziestoletni Vintila Horia wstępował do „faszystowskiej organizacji”, było już jasne, że w Europie dokonał się milcząco nowy podział wpływów, i że Rumunia i inne kraje Europy Wschodniej znalazły się w zonie wpływów niemieckich, dokładniej mówiąc hitlerowskich. Żyjącym w tej zonie zdawało się, że przez długie lata, być może do końca życia będą musieli pływać w brunatnym sosie, słysząc wciąż *Horst Wessel Lied* i *Heil Hitler*. W tej perspektywie przezorność nakazywała przysposobić się do nadchodzących zmian, znaleźć sobie zawczasu aryjską babkę, zatrzeć ślady stosunków z żydo-komuną i spalić niektóre papiery. Doświadczeni przygotowywali się w milczeniu, młodzi z krzykiem i nieumiarem. Głośne chwalenie Hitlera lub przynajmniej Mussoliniego stało się dla wielu symbolicznym gestem obronnym, powtarzaniem mechanicznie ilekroć myśl wracała do zawieszanej nad światem gróźby.

Kto w tych latach nie obciążał swego sumienia większymi grzechami, temu po 25 latach można ówczesne słowa i gesty wybaczyć. Horia odsiedział rok w hitlerowskim więzieniu; można

to uznać za wystarczającą karę za chwalenie Hitlera. W ciągu tego roku pokuty przemyślał zapewne wiele rzeczy na nowo.

Autora artykułów z *Sfarmy pietrelor* obciąża dziś największe podejrzenie, że i teraz, być może, chwali potajemnie Hitlera i spluwa dyskretnie na widok żydo-masonów. Podejrzenie takie jest jednak mało wiarygodne, bo nawet gdyby Horia był zuchwiałym grzesznikiem, nie przyznającym się do błędów i nie czującym skruchy, w 15 lat po śmierci Hitlera musiał dostosować swe pojęcia do nowego obrazu świata.

Nie znam Vintili Horii, któremu moja obrona nie jest potrzebna, bo sam daje sobie doskonale radę, nie mam też żadnej sympatii dla „prawicowych inteligentów”, mówię o nim dlatego, że refleksje, jakie budzi jego wypadek, odnoszą się nie tylko do byłych faszystów, lecz także do byłych chwalców Stalina i do wielu, wielu innych, którzy pisali pod presją wypadków i sytuacji. *C'est un terrible avantage que de n'avoir rien fait*, pisał Rivarol po Rewolucji Francuskiej i upadku Napoleona. Szczęśliwi także ci, którzy za radą Talleyranda — *n'écrites jamais* — powstrzymali się od pisania i do zmiennych czasów przystosowywali się w milczeniu, nie zostawiając po sobie żadnych kompromitujących szpargałów.

CIĄGŁOŚĆ I KONTRASTY

*Pamięci Ludwika Gumpłowicza
w pięćdziesiątą rocznicę śmierci*

Od kilku miesięcy mieszkam znów w Szwajcarii, w mieście gdzie zamożność łączy się od kilku wieków z poczuciem porządku i umiaru. Jeżdżąc codziennie tą samą linią tramwajową znam już z widzenia część pasażerów. W ubiegłym tygodniu uwagę moją zwrócił siedzący przede mną mężczyzna. Widziałem go z tyłu i zrazu zastanowiło mnie jego ubranie. Była to ciepła kurtka z mocnego, pozieleniałego na ramionach sukna, jaką kupuje lub każe sobie szyć ktoś, kto w ciągu najbliższych trzydziestu lat nie zamierza zadawać się z krawcami. Na szyi miał skręcony w postronek szalik nieokreślonej barwy, spod którego wyglądał kołnierz koszuli nie pranej być może od pół roku. Nigdy wprawdzie takiej koszuli nie widziałem, lecz wyobrażam sobie, że tak powinna wyglądać. Szyja i widzialna dla mnie część twarzy miały oliwkowy odcień skóry dawno nie mytej, policzek jednak był gładko ogolony. Jak robił to nie myjąc się? Używał widocznie elektrycznej maszyny do golenia. Ciemne włosy, dawno nie strzyżone, miał zaczesane na tył. W jednym miejscu przeświecała przez nie mała łysinka. Był to *herpes tonsurans*, jaki widziałem przedtem tylko raz jeden w 1919, gdy po

wojnie zaczęły się szerzyć różne rzadko widywane choroby zakaźne. Nieznajomy musiał więc żyć w nieopisanym zaniedbaniu i brudzie. Pościel na której spał miała zapewne barwę dorosłego skorpiona. Trudno przypuszczać, aby jakaś kobieta chciała z nim dzielić takie łóżko. Nieznajomy obchodził się najwidoczniej bez kobiet.

Im dłużej nań patrzyłem, tym wyraźniej zarysowywały się różnice dzielące go od pozostałych pasażerów, umytych, ostrzyżonych i kupujących z początkiem każdego sezonu nowe ubranie z wełny lub materiału syntetycznego. Nieznajomy nie brał i nie chciał być może brać udziału w ogólnych procesach wymiany. Przypuszczałem, że był to cudzoziemiec, uchodźca ze Wschodu lub obcy robotnik poszukujący pracy. Kupując bilet zwrócił się jednak do konduktora w miejscowym dialekcie. Zatem tutejszy. Jego obcość i zaniedbanie były więc chyba objawem choroby umysłowej. Na przodzie tramwaju zwołniono się tymczasem miejsce, na którym siedłem, aby zobaczyć nieznajomego *en face*. Był niespełna czterdziestoletni, dość przystojny, dobrze odżywiony. Twarz jego była całkowicie odprężona, spojrzenie jasne, uważne. Nic nie wskazywało, aby zamknięty był w jakiejś własnej, niezrozumiałej dla innych fantasmagorii. Patrzył na otaczający go świat pogodnie i nawet, jak mi się wydawało, nie bez umiarkowanego zainteresowania. Przypuszczenie choroby umysłowej należało również odrzucić.

Czy wyglądał na ubogiego? W społeczeństwach bardzo zamożnych termin ten staje się trochę nieokreślony. W najbogatszych nawet miastach jest pewna niewielka ilość osób nie mogących się żadną miarą zmieścić w istniejącym porządku rzeczy i utrzymywanych, zresztą niechętnie, przez gminy. Ale i ubóstwo nie objaśniałoby wyglądu nieznajomego. Przed stu laty Jeremiasz Gotthelf pisał, że w Szwajcarii nawet żebracy zebraż w świeżo wypranych koszulach. Jeżeli istotnie był ubogi, należał do *undeserving poor*, do ubogich hardych, afiszujących swe ubóstwo i kłujących nim oczy majątnych. Lukianos z Samosaty radził wysyłać takich na Gwiazdę Polarną, aby nie mącili spokoju obywateli. Wątpię jednak, aby był na utrzymaniu gminy. Był młody, zdrowy, i przy istniejącym braku rąk roboczych wystarczyło mu wyrazić ochotę do pracy, aby zarabiać jak i inni. Nie omyłę się zapewne przypuszczając, że jego sytuacja materialna nie była gorsza od mojej.

Czemu więc był taki inny i czemu był taki, jak należało przypuszczać, z własnej woli? Czemu obchodził się bez tylu rzeczy dostępnych dla każdego w tym najzamożniejszym zakątku Europy?

Pojawienie się nieznajomego w tym właśnie środowisku nie było być może dziełem przypadku. Czyż Towner w swej *Philosophy of Civilization* nie mówi, że teorie zalecające wstrzeźliwość i ograniczanie potrzeb znajdują najłatwiej posłuch w środowiskach zamożnych, zagrożonych chorobami pochodzącymi

z dobrobytu i przejedzenia? Prócz tego w krajach zamożnych od dawna *la jeune, la belle, l'aimable, la gracieuse, la toute-puissante pièce de cent sous*, o której pisał Balzac w czasach świętego triumfu mieszczaństwa i potęgi pieniądza, zdążyła już mocno postarzeć i, pozostając nadal wielką potęgą, utraciła część dawnej urody. Warunki te sprzyjają zapewne nonkonformizmowi, niejasnemu uczuciu niezadowolenia z ogólnie przyjętych opinii, artykułów wiary i zwyczajów. Gdy nazwiemy niemytego pasażera nonkonformistą, rysy jego wydadzą się nam bardziej znajome.

W swej sławnej sztuce Ionesco przedstawia mieszkańców małego miasteczka gotowych, w poszukiwaniu odmiany, zostać nawet nosorożcami. Pomysł świetny, lecz nie łatwy do wykonania. W rzeczywistości trudno wyrwać się z jakiegoś szablonu nie wpadając od razu w inne gotowe wzory. Nieznajomy pasażer był tego najlepszym przykładem. Już na pierwszy rzut oka poznajemy w nim pewne rysy Diogenesa z Synopu, który również pogardzał wodą i dla zeszkobania z siebie brudu ocierał się o pień drzewa. Udana czy prawdziwa niechęć do kobiet połączona z abnegacją zbliża go do świętobliwych postelniców spijających w pieczarach bez łazienek. W koszuli nieznajomego dostrzec można wspomnienia wzorów nowszych, mianowicie nihilistów, którzy, gdy zdarzało się im wkładać czystą koszulę, zamiatali nią przedtem podłogę. Wspomnienia wszystkich tych wzorów odzieżowego nonkonformizmu znaleźć można w czarnych swetrach, spodniach z manchesteru i zmierzwionych włosach części obecnej młodzieży. Jakiegokolwiek były ich teorie i wyznania wiary, za wszystkich czasów pewna ilość osób wyróżniała się wyszukany zaniebdaniem wyglądu zewnętrznego, tworząc typ ludzki o zdumiewającej trwałości.

Od czasów Diogenesa abnegaci głosili różne teorie. Stroje ich były podobne, słowa różne. Wyrażały zazwyczaj niezadowolenie, postawę krytyczną wobec istniejącego porządku rzeczy. Głos zabierali jednak tylko najwymowniejsi. Protest innych był niemy. Na próżno pytalibyśmy dzisiejszych *clochards* czy młodych ludzi w czarnych swetrach, czemu nie podzielają zdania większości i co proponują nowego. Na pytania te odpowiedziliby po prostu: „Odczep się, idioto”. Mieliby o tyle rację, że odczuwanie i milczące wyrażania niezadowolenia nie wymaga argumentów. Wyglądem swym dają znać z daleka, że oddalili się od reszty obywateli i nie zamierzają wdawać się w dyskusję. Postawa ta, kusząca ludzi zapewne od czasów Lucyfera, wytworzyła odpowiadający jej wzór zachowania się, który czeka gotowy na każdego, komu ciasno w otaczających go warunkach społecznych.

Błahe na pozór szczegóły świadczą o stałości typów ludzkich i wzorów zachowania się. Pozorne innowacje są często powrotem

do formuł starszych. Refleksje tego rodzaju budzą np. ilustrowane cenniki uniwersalnych domów towarowych, sprzedających wszystkie towary powszechnego użytku od konfekcji do książek i zegarków. Rozsyłane w setkach tysięcy egzemplarzy, cenniki te są zarazem zachętą i przestrożą, wiadomo bowiem z doświadczenia, że wymienione w nich artykuły po kilku tygodniach znikają na zawsze z handlu i bez względu na nich powodzenie u publiczności nie są więcej produkowane. Przeglądający nowy cennik musi od razu powziąć decyzję. „Kup zaraz, bo jutro nie będzie”. Formuła ta odpowiada dzisiejszym poglądom na korzyści płynące z szybkiego obrotu pieniędzy. Nowość jej jest wszakże pozorna. Jest to stara formuła piratów ofiarowujących towary z ostatniego rabunku.

Pirat stał się słowem rzadko używanym. Stara rasa piratów, prosperująca na morzach aż do stosunkowo niedawnych czasów, nie wygasła jednak bezpotomnie i nagromadzone w tym zawodzie fortuny nie zostały jeszcze całkowicie rozproszone. Pewna obcesowość, z jaką towary ofiarowywane są dziś nabywcom, zdaje się świadczyć, że i stworzony przez piratów typ prędkiego handlu dochował się do czasów obecnych.

Gdziekolwiek znajdują się ślady jakiegoś rzymskiego osiedla, składającego się chociażby tylko z kilku domów, najokazalszym budynkiem jego są termy. Rozpoznać w nich zawsze można *caldarium, tepidarium* i inne pomieszczenia służące do niepraktykowanej obecnie rafinacji kąpielowych. Zdobiące te budynki mozaiki i upiększenia świadczą, że przebywano w nich chętnie i długo. W świecie starożytnym termy były rodzajem salonu, miejscem spotkań i rozmów. Koło wszystkich źródeł gorących rozsiadanych po Europie Zachodniej znajdujemy szczątki rzymskich urządzeń kąpielowych. Każdy niemal wiejski dom mieszkalny — *villa rustica* — miał swój basen kąpielowy, rzecz uważaną dziś za szczyt zbytku, na który pozwolić sobie mogą tylko milionerzy i najslawniejsze gwiazdy filmowe. W miastach termy były budynkami o imponującej architekturze i rozmiarach obliczonych na wielką frekwencję. Na wznoszenie i utrzymywanie ich miasta łożyły tyleż lub więcej niż na budowę teatrów i stadionów.

Złoty wiek kąpeli skończył się z najazdem tzw. barbarzyńców. Ludy, które kilku falami zalały rzymskie imperium, wędrowały przedtem długo przez kraje chłodne i kąpały się zapewne tylko latem w spotykanych po drodze rzekach i jeziorach. Kąpiel nie należała do ich obyczaju. Wszedłszy na teren rzymskiej cywilizacji, barbarzyńcy oglądali ze zdumieniem termy, próbowali być może w nich się kąpać, lecz nie znaleźli w tym większej przyjemności. Byli przeważnie chrześcijanami i na kąpanie się w marmurowych basenach patrzyli zapewne jak na

grzeszny obyczaj pogański. Potrzeby ludności miejscowej były im obojętne, środki finansowe municypaliów stopniały wśród przewrotów, i barbarzyńcy, zagarnawszy władzę, nie utrzymywali zakładów kąpielowych.

Pojęcia o użyteczności kąpeli uległy od tamtych czasów wielkim przemianom, Europejczycy nigdy jednak nie odkryli na własny użytek antycznej radości kontaktu z wodą. Kąpiel należy dla nich do nudnych obowiązków, którym poświęca się jak najmniej czasu i miejsca. Spędziwszy 37 lat w różnych krajach Europy Zachodniej nie miałem nigdy mieszkania, w którym mógłbym się swobodnie kąpać. Czynność ta nie była nigdzie rzeczą samą przez się zrozumiałą, wymagała pertraktacji i nalegań. Unikając ich poznałem dziesiątki publicznych zakładów kąpielowych. Były to przeważnie miejsca dziwnie niegościnnie, ponure, tłoczne i brudne, do których wchodzi się tylko w ostateczności. Toteż przez całe życie czułem się brudny i niedomyty. Jedynym krajem, w którym kąpiel nie nastęrczała mi żadnych trudności, były Włochy Południowe, gdzie zachowały się rzymskie tradycje i gdzie przy każdym zakładzie fryzjerskim znajduje się czysta i przyjemna *doccia*.

Zarząd byle jakiego miasta Europy Zachodniej rozporządza środkami większymi niż stolica rzymskiego imperium, ale kąpiele nie zajmują w jego wydatkach niemal żadnego miejsca. Znikły po prostu z wyobraźni Europejczyków. Jak się to stało? Rzecz w tym, że przez kilkanaście wieków monarchowie i książęta utrzymujący dwory i nadający ton rekrutowali się z potomków barbarzyńców nie mających zwyczaju się kąpać. Pochodzenie ich od barbarzyńskich zdobywców widoczne jest i w innych zwyczajach. Ostatnie osoby koronowane, które oglądamy w ilustrowanych gazetach, ukazują się fotoreporterom w mundurach i, jeżeli posiadają jeszcze tereny łowieckie, zapraszają swych gości na polowanie. W obyczajach tych żyją nadal odległe wspomnienia zaszytych w skóry myśliwych, zdobywców rzymskiego imperium.

Obyczaje ludów przywykłych grzać się przy ognisku przechowały się także w urządzeniach zamków pozbawionych pieców. Na północ od Alp domy mieszkalne Rzymian posiadały rodzaj centralnego ogrzewania zwanego *hypocaustum*. W warownych zamkach wnoszonych przez barbarzyńców i ich potomków rozkładano ogień na kamiennej podłodze, pod okapem komina wyciągającego dym. Ten prymitywny system opału, który można oglądać we wszystkich starszych zamkach, utrzymał się przez przeszło tysiąc lat i ustąpił miejsca piecom kaflowym dopiero w czasach nowożytnych. Na kontynencie posiadanie kominka ma dotąd pewne znaczenie symboliczne. Łatwo odcyfrować je np. u Hitlera, gdy przyjmował gości przed kominkiem, na którym płonęły olbrzymie kłody.

Trwałość tych zwyczajów wskazuje, że na gruzach świata starożytnego barbarzyńcy zachowywali przez długi czas swą odrębność. Stanowili warstwę władców, nie mieszącą się z lud-

nością podbitą i nie przyjmując jej zwyczajów. Od pięćdziesięciu pokoleń ludność zachodniej części naszego kontynentu składa się z gruba z potomków zdobywców i podbitych, którzy przez długi czas trzymali się oddzielnie. Na Sycylii czy w Kalabrii poznać można od razu potomków Normanów po jasnych jak len włosach. Mniej wyraźne choć często widzialne są rysy znamionujące potomków Longobardów i Gotów. Niewiele wszakże wniosków można wyciągnąć z współlistnienia w Europie Zachodniej etnicznie różnych typów mieszkańców. Znacznie ciekawsze byłoby rozpoznanie, co pozostało u nich z typów zachowania się zdobywców i podbitych. Temat rozważań bogaty, mogący uważnemu obserwatorowi dostarczyć rozrywki na długie lata. Jasno widać w nim tylko pozycje wyjściowe, to jest typy zachowania się obu grup w chwili ich spotkania.

Historia przedstawia cywilizację antyczną w jej aspekcie ruchomym, w postaci konfliktów wewnętrznych i przemian. Architektura natomiast odsłania jej aspekt statyczny, zdumiewającą ciągłość i stałość warunków. Świadczą o niej rozmiary i natura budownictwa. Nieraz już zwracał uwagę fakt, że Rzymianie budowali tak, jak gdyby byli nieskończenie bogaci i nie musieli się liczyć z wydatkami. Te same wrażenie sprawiają ich roboty publiczne, które — jako inwestycja kapitału — obliczone były na setki lat. Praca niewolnicza nie objaśnia tych zjawisk. Praca niewolnicza znana była za wszystkich czasów, nigdzie jednak nie pozostawiła pamiątek równie trwałych jak w świecie śródziemnomorskim. Podobny obraz monumentalnych prac i rozrzutności wysiłków pozostawiło ówczesne rolnictwo, zatrudniające niewolników tylko w wielkich latyfundiach. Ktokolwiek był na Riwierze i zapuszczał się w schodzące ku morzu doliny, musiał zwrócić uwagę na *berges*, kilkumetrowej szerokości stopnie pnące się tarasami po zboczach gór aż do wysokości tysiąca metrów. Wyższe piętra tych tarasów wykute są w skałę, i ziemię przyniesiono na nie z dołu w koszykach. Gdziekolwiek na północ od Alp znajdowały się rzymskie kolonie, pola ich zachowały dotąd granice i kierunek nadany im przez rzymskich agrimensorów. Dla zagospodarowania posiadanej ziemi i wzniesienia na niej budynków i upiększeń ludność imperium podejmowała wysiłki obliczone na wiele pokoleń i nieograniczoną stałość warunków. Wszystkie jej dzieła miały cechy trwałości. Przez *berges* i wytyczone przez agrimensorów pola przeszły później różne ludy, na próżno jednak szukalibyśmy na powierzchni ziemi znaków ich pracy.

Zachowanie się barbarzyńców przedstawia typ zgoła odmienny. Jakikolwiek były ich obyczaje przed opuszczeniem pierwotnych siedzib, na terenie imperium barbarzyńcy pojawili się jako zbrojny lud w pochodzie, wykonywujący prawo zdobywców. Przechodzili wszędzie na gotowe. Nie znali ogrodnictwa i tryb ich życia wymagał szerszej przestrzeni. Gdy spostrzegli większe gospodarstwo z pięknym domem mieszkalnym, wypędzali zeń właściciela i osiadali na jego majątku. Po krótkim czasie dawna

villa rustica zmieniała się w zapaskudzoną ruinę, zdziczałe pola nie przynosiły plonów, i rozczarowany zdobywca oglądał się za innym, lepiej jeszcze zagospodarowanym majątkiem. Okres ten nie trwał jednak długo. Eksploatacja rolnicza zdobytego terenu zaczęła wkrótce wymagać całkowitej reorganizacji. Nowe fale najeźdźców i spory między wodzami sprawiły, że wsi zabrakło bezpieczeństwa. Wille rzymskie obliczone były na *pax romana* i nie dawały schronienia przed ludem zbrojnym. Sytuację tę zdobywcy opanowali przy pomocy tych samych talentów, które zrobili ich panami imperium, mianowicie przez organizację grup zbrojnych związanych węzłami rodzinnymi i szczepowymi. Porzucali więc rozproszone po dolinach wille rzymskie i chronili się w obozach i zamkach warownych na szczytach wzgórz. Tak zaczęła się istniejąca do dziś parcelacja kontynentu europejskiego przez grupy szczepowe czy narodowe, zorganizowane w celu obrony zajmowanego terytorium od sąsiadów i wyłącznej eksploatacji jego bogactw ludzkich i naturalnych. Praca i indywidualny wysiłek twórczy poddane zostały kryteriom przydatności organizacyjnej, wahającej się wraz z układem sił. Liczono się z terminami krótkimi, zaniechano robót publicznych. Przez kilkanaście wieków Europa pełna była zamków i fortyfikacji lecz pozbawiona dróg i mostów. Był to złoty wiek rycerstwa i indywidualnych sprawności wojennych. Największymi budynkami wzniesionymi w tych czasach były pałace panujących, służące ich autorytetowi. Tylko kościoły zachowały samodzielność i przy nich skupiały się talenty uchylające się od mobilizacji.

Jakie były przez ten czas losy ludności podbitej? Środki jej skurczyły się, uzdolnienia pozostawały niewyżyskane. Część jej przed najazdem ludów stepowych uciekła w góry i tam można dotąd widzieć ślady jej zdolności do zagospodarowywania niewdzięcznych terenów i ozdabiania ich skromnymi upiększeniami. Nie ulega jednak wątpliwości, że pracowitość jej stanowiła niewidoczną podstawę materialną, na której wznosiły się zamki i harcowali rycerze.

Potomkowie dawnej ludności imperium są wciąż obecni w Europie. Zgodnie z prawem Mendla czyste ich typy pojawiają się znów mimo małżeństw mieszanych. Kto ma w pamięci rzymską rzeźbę portretową, poznaje wciąż w tłumie przechodniów żywe repliki głów z Museo Capitolino. Mój niemyty sąsiad z tramwaju np. przypominał mocno Gordiana III, którego portret z uszkodzonym nosem znajduje się z rzymskim Museo Nazionale. Czy jednak u tych odległych potomków Rzymian zostało coś z typu zachowania się przodków? Jeden z moich przyjaciół ma uderzająco rzymskie rysy. Kiedy słyszę go dyskutującego kwestie prawne lub widzę pracującego w ogrodzie, wydaje mi się, że lada chwila odwróci się i zagadnie mnie po łacinie. Jego *behaviour* odpowiada dokładnie jego rysom. Jest to jednak być może tylko przypadek. Często chciałbym zatrzymać na ulicy nosicieli rzymskich głów i zadać im kilka pytań.

Myślę nawet chwilami o ułożeniu kwestionariusza pozwalającego łatwo zorientować się w ich trybie zachowania się.

Znacznie liczniejsi wydają się w tłumie przechodniów potomkowie dawnych zdobywców. Skąd się ich tylu wzięło, kiedy według obliczeń Fustel de Coulanges'a barbarzyńcy osiedli na terytorium imperium szanowali nieznacznie tylko część ludności? Być może podczas wieków panowania asymilowali dawnych mieszkańców; być może warunki obecnej cywilizacji przemysłowej sprzyjają skupianiu się ludności tego typu w śródmieściach. Jakikolwiek nadawali by sobie pozory, po niechęci do kąpieli, do trwałych budynków i upiększeń, po gotowości do rabunku i niszczenia, po waśniach przywódców i egzaltacji ogarniającej ich na wspomnienie starych więzi szczepowych poznajemy w nich bez wahania potomków barbarzyńców.

Paweł HOSTOWIEC

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI
DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ
TADEUSZA IRTEŃSKIEGO

Powieść

„....Plotki, anegdotki, sporo rysów obyczajowych, przejrzysta tendencja, a wszystko to ku pokrzepieniu serc garstki „niezłomnych” emigrantów. Nie jeden z nich westchnie za autorem: — Ech, dobrze było, psiakrew, pić krew ludu pracującego”

(Eligiusz M. Zaworski w warszawskiej „Nowej Kulturze”)

„....Co najdziwniejsze to fakt, że ta eskapistyczna literatura *biologemigracyjna* wywołała w prasie emigracyjnej przychylnie na ogół, nieraz entuzjastyczne recenzje. Czym je tłumaczyć?”...

(Stefan Mękowski w londyńskim „Dzienniku Polskim”)

„....One word is sufficient to describe the book's value — excellent. In addition to its literary excellence, however, the volume will long serve as a primary source for the historian, the sociologist, and the linguist in their study of the gentry, a class of pre-World War One Polish society which has disappeared”...

(R. Smal-Stocki z Marquette University w kwart. „Books Abroad”)

Cena \$ 5.00 albo 35 sh.

Zadać we wszystkich księgarniach polskich i obcych
albo bezpośrednio u wydawcy

B. ŚWIDERSKIEGO

30, Buer Road — London, S.W.6 — England

Wincenty i Anioł

— *Repent! Repent! Repent! Your time has come!*

Mewy wiszące na wietrze kwiliły do wtóru. Wiatr pędzący fale na kamienistą plażę targał białymi włosami człowieka, stojącego na trybunie zbitej z kilku desek.

— Pokutujcie! Załujcie za grzechy! Oczyszćcie dusze wasze. Bo idzie czas, gdy błagać gór będziecie, aby na was spadły i od gniewu was zasłoniły.

Prorok unosił ręce, jakby popychał własne słowa w świat.

Obok trybuny stały dwie kobiety trzymające z obu stron napis: Jestem z wami!

Płachta wydymała się jak żagiel. Łopotała uderzając o nogi proroka, bijąc po nogawkach wyrudziałych kordrojowych spodni.

— *Repent! Repent!* — powtarzał człowiek.

Przymknąwszy oczy, wysunąwszy w przód rzadką a jasną jak pasmo lnu brodę, pochylał się nad gromadką ludzi.

Wiatr od morza niósł ze sobą chłodny dreszcz. Kilkunastu mężczyzn kulilo się zaciskając marynarki.

Na skraju koła stał barczysty blondyn w czarnym swetrze i granatowych grubych spodniach. Nie był wysoki, ale trzymał się prosto i wielka jego głowa górowała nad wszystkimi. Ponad plecami innych obserwował z oddalenia trybunę z sennym prorokiem, żagiel szarej materii z napisem, trzymające go dwie kobiety.

Jedna z nich pochmurna, ciemna, zła patrzyła przed siebie oczyma pełnymi gniewu i pogardy. Jak anioł z Sądu Ostatecznego.

Druga, podobnie jak jej mistrz, miała oczy przymknięte. Okrążyła jej twarz z wystającymi policzkami, z miękkim dziecięcinnym podbródkiem była biała jak mleko. Spod czarnej chustki wynikały się jasne włosy.

— Otwórzcie wasze oczy, aby widzieć, otwórzcie wasze uszy, aby słyszeć. Niosę wam ratunek, niosę wam wybawienie.

Ale biada tym, którzy słysząc nie wierzą, widząc nie ufają. Ogień piekielny, żar potępienia ogarnie ich i spali razem z tą ziemią potępioną za jej występki.

— Hej mister — zawołał ktoś z tyłu — dałbyś nam trochę tego żaru piekielnego, tak zimno!

Audytorium wybuchnęło śmiechem. Usta proroka skrzywiły się boleśnie. Podniósł powieki i spojrzął oczyma tak przejrzytymi jakby były ze szkła.

— Hej Johnnie! — ktoś wrzasnął i do przodu przepchnęło się trzech marynarzy.

Młodziacy z nasuniętymi na czoło białymi czapeczkami, z rękami w kieszeniach granatowych spodni stanęli naprzeciw trybuny i zaczęli wykrzykiwać, przedrzeźniać proroka.

— Kiedy nas wyślesz do piekła?

— Miej litość nad nami grzesznikami!

— *Hi! Angel!* — jeden podsunął się do wystraszonej dziewczyny i wyciągnął rękę. — Daj mi buziaka. Rajskiego buziaka.

Blondynka cofnęła się gwałtownie. Uderzyła bokiem w trybunę, która zachwiała się, a prorok śmiesznie zatrzepotał rękoma.

— Do nieba lecisz Johnnie? Zabierz mnie ze sobą! — wołał jeden z marynarzy.

A ten pierwszy nie dając za wygraną nacierał na dziewczynę.

— *One kiss, Angel.* Jeden całus.

— Zostaw ją.

Na ramieniu marynarza spoczęła czyjaś ręka. To krępy blondyn podskoczył na ratunek „świątych”.

Na sekundę wszystko zamarło. Marynarz skurczony przysiadł nie odwracając się, jego koledzy pochylili się do przodu z boku patrząc na intruza.

Wszyscy inni zaczęli się instynktownie cofać.

I w jednej chwili wybuchło prawdziwe piekło. Zaczepiony majątek zwinął się jak sprężyna i skoczył do tyłu. Napotkał na sprawnego przeciwnika i nadział się na wystawione w górę kolano. Opadł i zaraz razem z dwoma kolegami skoczył z rykiem. Zakotłowało się, migąły pięści i w ruch poszły nogi. Krępy blondyn bronił się jak dzik osaczony. Już jeden z marynarzy leżał trzymając się za podbrzusze, a drugi krwawił z rozbitego nosa. Trzeci ostrożniejszy, bardziej doświadczony zwrócił się z bliska wpierając głowę pod brodę przeciwnika. Szamotali się ślizgając na okrągłych kamieniach aż runęli w dół. Wtedy podskoczył ten z rozbitym nosem i zaczął kopać leżącego.

Rozległ się przeraźliwy gwizd. Z dwóch stron biegli: policjant wielki jak góra w mundurze i dwaj żandarmii marynarki.

W mgnieniu oka marynarze zerwali się do ucieczki. Nim władza nadeszła, został już tylko poturbowany blondyn w kole zbliżających się znowu słuchaczy proroka.

Siedział na ziemi i macał się po bokach, dotykał twarzy, podbitego oka, podrapanej brody.

— Cholera ich taka mać — zaklął po polsku.

Spojrzał w stronę przewróconej trybuny. Obok proroka stała dziewczyna z podartym strzępem napisu w ręku. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na pobitego obrońcę. Wydało mu się, że więcej w tych oczach lęku teraz, niż przedtem, gdy cofała się przed napastującym ją marynarzem.

— *Come Angel* — zawołała ta druga, czarna i wraz z mistrzem odeszły w stronę portu.

Jeszcze z drogi blada towarzyszka proroka obejrzała się za siebie.

Wokoło pobitego zabrał się niemały tłum. Teraz wszyscy byli odważni, wszyscy gadali jak na wyścigi. A ponad nimi górował policjant, który pisał w notesie często śliniąc ołówek.



Josephine w barze „Pod Kotwicą” oparła się piersiami o ladę. Pilnie wpatrywała się w drzwi czekając aż się otworzą.

Mimo, że jeszcze było widno na dworze, w salce barowej zapalono już światło. Ale to niewiele pomagało. Ciężkie cienie leżały po kątach obwieszając jak sieci rybackie zakopcone ściany, filarki po obu stronach bufetu, rzędy butelek na dębowych półkach, okręt w butelce wiszący nad głową bufetowej.

Niewidoczny zupełnie pułap występował tylko w kręgach światła od lamp wiszących w żelaznych okuciach. Widać tam było czarne haki i łańcuchy, i belki poprzeczne, sękatę jak ramiona starców.

Na wprost drzwi wisiała żelazna kotwica z trzema lampkami na spłaszczonych łapach.

Drzwi się nareszcie otworzyły. Wszedł bohater bójki na plaży, krępy blondyn w czarnym swetrze.

Nie patrząc na boki podszedł do bufetu. Josephine zajaśniała uśmiechem.

— *Hallo sir Galahar!* Zabiłeś smoka?

Skrzywił się. Podniósł do góry pięść i pokazał obdarte ze skóry knykcie.

— Łatwo im we trzech na jednego — zamamrotał.

— Nie martw się Viki — sierżant Forbes wszedł do baru schylając się pod kotwicą. — Ci już ciebie nie zaczepią. Odechciało się im na zawsze.

— Dał im bobu. Dał — z dumą w głosie powiedział Freddy podsuwając się bokiem pod łokieć Vikiego.

— Czego się gapisz — ze złością zawołał Viki na bufetową. — Nalej kolejkę.

Odwrociła się do nich szerokimi plecami.

— *Foreigner'zy*. Przekłęci *foreigner'zy* — zamruczał Hamish. Ze złością cisnął swoją strzałką w tarczę na ścianie.

— Amerykańscy marynarze.

— Właśnie. Oni najgorsi ze wszystkich *foreigner'ów* — odpowiedział Hamish sierżantowi.

— Przez nich, przez tych krwawych idiotów Nikita nam bombę na łeb zrzuci. Zobaczycie!

Wyskoczył z cienia i stanął przed wszystkimi: mały zadzierzysty, w latanej marynarce z ciemnobrązowego tweedu, w workowatych spodniach, bez koszuli ze swetrem zwijającym się wokoło szyi. Z ramion zgarbionych ale wciąż szerokich wystawała obrośnięta szczecina głowa. Broda, wąsy, bokobrody włosy — wszystko sterczało jak kolce u dojrzewającego kasztana. W tym siwym nastroszeniu błyszczwały czarne oczka otoczone pomarszczoną, garbowaną skórą.

— Ja wam mówię. Ta bomba nam na łeb spadnie. Dwie wojny przez tych *foreigner'ów* przegraliśmy.

— Przegraliśmy? Hamish! — zawołał ze sztucznym oburzeniem Forbes.

— Ja przegrałem — zawrzał stary. — Patrz! — podniósł rękę z dwoma tylko palcami. — Na pierwszej trzy palce straciłem. Za co? Kto zaczynał? Tym żabojadom zza kanału zachciało się wojny, a ja bez palców do domu wróciłem. Na drugiej...

— Na drugiej nic nie mogłeś stracić — zawołał ktoś z kąta, z grupy skupionej przy strzałkach — siedziałeś w domu.

— W domu? — Hamish nie posiadał się z oburzenia. — A kto wyłowił z morza lotników? Kto był pierwszy kiedy Niemcy storpedowali bazę? Kto?

— Aleś nic nie stracił.

Hamish podskoczył do góry.

— Narzeczoną straciłem. Ot co! Przez tych *foreigner'ów*.

— Uspokój się — Josephine odwróciła się po raz któryś z rzędu stawiając na ladzie kufle z piwem. — Nic nie straciłeś, żeś się z Margaret nie ożenił.

— Rzeczywiście — przyznał Hamish. — Kto by pomyślał, że z niej robi się taka jęzda. Ale Robby stracił! — zawołał z triumfem. — Zeby jacyś tam Polacy o jakiś tam Gdańsk nie krzyczeli, Robby byłby szczęśliwy.

— A ty miałbyś Margaretę.

— Biorąc z tego punktu widzenia... — Hamish nie dokończył machnąwszy ręką. — No to zdrowie Vikiego. Złam nogę Viki!

Podniósł z bufetu kufel z piwem i zdmuchnął pianę.

— Przecież Viki to *foreigner* — odezwała się przekornie Josephine — i to z tych najgorszych *foreigner'ów*, z Gdańska.

Hamish machnął ręką. Nic nie odpowiedział, aż odjął kufel od ust.

— Amerykanie to *foreigner'zy* — stanowczo oświadczył — cholerni *foreigner'zy* z ich bazą łodzi podwodnych, z ich samolotami, z ich bombą atomową. A Viki jest *regular*, stały klient.

— Viki! — pisnęła Josephine — podnosząc kieliszek z brandy.

— Nasz Viki — trzepnął chłopca po ramieniu Forbes, aż się nieszczęsny skopany, pobity bohater skrzywił z bólu.

— Obrońca uciśnionych.

Viki pomachał swoim kieliszkiem i przechyliwszy głowę tyknął jednym haustem podwójną porcję whisky. Postawił na ladzie i mrugnął na Josephinę.

Zebrało się teraz spore grono regularnych klientów baru „Pod Kotwicą”. Stłoczyli się przy bufecie i popijali swoje piwko. Pomrukiwali i przegadywali się półgębkiem.

— Znowu się upijesz — powiedziała Josephine stawiając przed Vikim czwarty z rzędu kieliszek whisky.

— Mam prawo, czy nie mam? — zapytał Viki ocierając usta.

— Ma prawo — zawołał Hamish — nie jest żonaty.

— Właśnie — westchnęła Josephine, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Masz — trącił w bok Vikiego Forbes — kandydatka do ożenku. Możesz choć jutro iść przed ołtarz.

— Josephine, Josephine... — zaśpiewał sztucznym falsetem Freddy.

— U wdowy, chleb gotowy — z kąta ciemnego podrzucił MacFergus. Znowu zatrzęśli się od śmiechu. Josephine poczerwieniła ze złości. Vikiemu zrobiło się jej żal. Nie była przecież do niczego. Tęga, rosła, zdrowa. Włosy miała ciemne i błyszczące, cerę gładką, usta świeże. Może by i zdała się komu na żonę. Choć wdowa.

Spojrzał na nią z sympatią.

— Kto to jest ten Johnnie? Wariat? — spytał odwracając uwagę od dziewczyny.

Popatrzyli na siebie jakby każdy z nich szukał, tego kto ma obowiązek odpowiadania na takie pytania.

— Johnnie? — zabrał głos sierżant Forbes. — On mówi, że koniec świata się zbliża.

— Nuts! — krótko zbył sprawę Angus rzeźnik.

— Prorokuje nam wszystkim piekło — powiedział Freddy. — Jeździ z miejsca na miejsce, z portu do portu i nawraca ludzi na jakąś nową sektę.

— Nie nawraca — prostował MacFergus. — Każe pokutować za grzechy.

— Powiada, że idzie sąd ostateczny, że cała ziemia wybuchnie i tylko on się uratuje i tych weźmie ze sobą, którzy na to zasłużą.

— Kto mu nasypie srebra do kapelusza.

— A gdzież on ich zaprowadzi? — zapytał Viki. — Na księżyc?

— A właśnie że na księżyc! — zawołał Hamish. — On powiada, że nawet dalej. Cała ziemia od tej cholernej bomby rozleci się w kawałki a on ze swymi dziewczynami polecą na talerzyku na Venus, albo na inną gwiazdę.

— Bo on powiada — wyjaśnił Freddy — że sam jest z innej planety. Kapujesz?

— Brudny, rozpustny pies — Josephine stuknęła pustym kuflem o ladę, przerywając potok wymowy. — Śmierdzący kozioł. Rozpustny satyr. On i te jego dziewczki.

— Jakie dziewczki? — Viki zwrócił się w stronę dziewczyny. — No nie wiesz? — wykrzywiła wargi ironicznie. — Te coś ich bronii przed marynarzami.

— On mieszka w łodzi — poważnie objaśnił Forbes — razem z trzema dziewczynami.

— Żyje z nimi? — Viki był coraz bardziej zaintrygowany.

— Kto to może stwierdzić. Dziewczyny chodzą do pracy a on prowadzi gospodarstwo. Powiada, że reperuje łódź. A wieczorami jak deszcz wielki nie pada, to kazanie na plaży wygłasza.

— Nie ma szczęścia — dodał Angus — takie szkaradne lato! Każdy interes leży.

Viki pociągnął whisky i zamyślił się. Podniósł rękę i potarł bolące oko. Uśmiechnął się do siebie.

— Ta jedna z nich — powiedział Freddy — to twoja rodaczka.

— Aha — potwierdził MacFergus — polska dziewczyna.

— Ta blondynka? — spytała Josephine.

— Aye — przytaknęła MacFergus patrząc na Vikiego, który tarł dalej oko, jakby nie słysząc ich wcale.

— Przekłęci, zwariowani *foreigner*'zy — zamruczał Hamish przechylając kufel z piwem.



Siępił deszcz. Chmury siedziały na wzgórzach otaczających zatokę i targane wiatrem sływały kawałkami ku morzu. Wiatr odrywał z nich szare splachcie, pędził ponad falami i jak mokrymi szmatami bił nimi po porcie, zatoce, po czarnych molach, chyboczących kutrach i łodziach, po twarzach ludzi i po oknach pozamykanych domów.

Viki siedział na w półrozwalonym murku i patrzył w stronę plaży.

Pękata łódź Johnniego leżała na suchym lądzie jak ryba, wyrzucona przez fale. Podparta drągami skrzywiła się na jedną stronę. Wygięte deski denne świeciły deszczem i świeżą smołą. Burta podniesiona do góry przeżyła się jak łuk napięty. Maszty sterczały jak strzały godzące w szarość nieba.

Małe okrągłe ciemne okienka nadbudówki i osłona koła sterowego błyszczały wymytmami na deszczu szybami.

Viki patrzył oczekując, że zobaczy tam jakiś ślad życia, ale łódź była cicha i opuszczona.

Było przedpołudnie. Vikiego głowa pękła po wczorajszym pijaństwie. Powinien był, jak każdego ranka, zostać w domu. Odespać, odleżeć przynajmniej do obiadu.

Tak zwykle robił.

Kiedy zjawił się „Pod Kotwicą” dwa tygodnie temu, powiedział z góry jakie są jego zwyczaje.

Cztery tygodnie. Cztery tygodnie póki nie zawinie do portu kuter *Last Hope* i stary Lewiss nie zabierze go na nowy tankowiec.

Jeszcze jeden statek. Jeszcze jeden dom pływający. Złudzenie mieszkania, złudzenie spokojnego życia. Tygodnie, miesiąc z dala od ładu, jakaś zapadła dziura koło Adenu, na brzegach Brazylii, Persji czy Argentyny. To wszystko jedno gdzie. Taki sam brzeg, taki sam piasek. Pustka. Pompy, rurowości, zapach ropy, spoceni pompierzy, klecone jak bądz, z byle czego chałupki.

— Viki, jedziesz na wypad?

Drugi mechanik Vincent Kadul tłucze się ciężarówką do jakiegoś miasta, do jakichś sal restauracyjnych, dancinów, nocnych klubów, burdeli, kabaretów.

Wraca. Leży jak kłoda i podryguje na wybojach brazylijskiej szosy. W ustach kwaśny, lepki smak straconej nocy. Przed nim gorycz idących dni, dni wolnych, ślamazarnych, sunących się po oleistym oceanie.

A kiedy dmie wiatr, burza, szkwał, wałą fale i zmywają pokład ropowca, gdy tak kołysze, że kasztel potrząsa ludźmi jak grzechotka orzechami, gdy długi kadłub statku wygina się i trzeszczy w stawach — wtedy Viki rzucający od ściany do ściany w maszynowni modli się o jeden spokojny dzień. Aby go, gdy przyjdzie, nienawidzieć.

— Czego ty chcesz Viki?

Czego? Gdy miał dość, rzucał morze. Z początku szukał pracy na ładzie. Szedł do fabryki, do elektrowni, do magazynu na tragarza. Zarabiał pieniądze i przepijał. Puszczal na dziewczki.

Kiedy przekonał się, że na ładzie gorzej niż na morzu, rzucał ład, uciekał na pierwszy napotkany ropowiec. Znowu na kilka miesięcy.

A potem już nie starał się o jakiś ład, o jakąś stałość.

Kiedy miał dosyć pływania, schodził i czekał na nową okazję. A w przerwie szedł do jakiegoś hotelu, do jakiejś knajpy „Pod Kotwicą”...

— Jak się nazywasz dziecko?

— Josephine.

— Josephine, masz tu moje pieniądze. Tyle mam i nic więcej. Za to co tu jest chce spać, jeść i pić przez cztery tygodnie. Tyle czasu nim przypłynie stary Lewiss. *O key?*

Dziewczyna patrzy na zwitek banknotów. W myśli oblicza.

— Za te pieniądze możesz u nas mieszkać cztery miesiące.

— Ale ja piję — śmieje się Viki — piję najdroższa. Piję jak smok. I nie może mi zabraknąć *whisky*. *O key?*

Dziewczyna kiwa głową i powiada:

— Chłop, który pije, nie przedstawia dla mnie żadnej korzyści. Po prostu klient.

Z pewnym żalem spogląda na zwalistą mocną postać marynarza, na gładkie czoło, niebieskie szeroko rozstawione oczy,

na kędzierzawe jasne włosy. Nawet kulkowaty, trochę przypłaszczony nos schowany między mięsistymi policzkami podoba się Josephinie. Nie jej pierwszej i nie ostatniej.

Pewnie dlatego Viki mówi o kosztach spania, jedzenia, picia, na miłość nie przeznaczzył ani funta. Po co? Tylko fujary płacą za miłość.

Viki patrzy na opuszczoną łódź proroka Johnniego i myśli o dziwnym człowieku, który w starej łajbie objeżdża świat i woła, wzywa do pokuty. Prorokuje koniec świata.

Rozwrzeszczani Arabowie w Port Saidzie, derwisze nad Kanałem Sueskim, pokazujący sztuczki fakirzy w Kalkucie, kuglarze afrykańscy, czarownicy w maskach tak przerażających, że od jednego spojrzenia można wytrzeźwieć — wszystko to było. Wszystko bez wrażenia. Wszędzie jest wódka, dziewczyny. Za pieniądze wszędzie jednakowo oszukują.

Ale ten błądy, biały, przejrzysty, jak z plastikowej masy wariat jest zupełnie inny.

Johnnie — prorok.

Dziewczyna miała twarz okrągłą, oczy rozszerzone lękiem, też wielkie i okrągłe.

Jaki miała nos, usta?

Dlaczego jak na nią patrzył zdawało się, że ją skądś zna. Tak jakby spotykał zgubioną siostrę.

Tak właśnie. Gdyby kiedyś Viki miał zobaczyć swoją siostrę, na pewno miałby to samo wrażenie swojskości, bliskości...

— Viki — nie słyszał, jak podszedł do niego sierżant Forbes i położył mu rękę na ramieniu — po co tu siedzisz?

Odwrocił się zmieszany.

— Tu nikogo nie ma. Właściwie prawie nikogo. Dziewczyny w pracy a Johnnie śpi. Zawsze śpi do późna rano.

— Co mnie oni obchodzą — próbował oszukać policjanta.

Wstał, strzepnął z kurty deszcz i gotów był towarzyszyć sierżantowi.

— Kiepska pogoda na służbę — uśmiechnął się do Forbesa.

— Na spacer też niedobra.

— Alkohol wyparowuję.

— *Aye* — zgodził się policjant.

I poszli w stronę miasteczka. Po mału noga za nogą. Sierżant człapiąc wielkimi platfusami, Viki zamiatając nogami na boki po marynarSKU.

— To tutaj — powiedział sierżant Forbes, gdy doszli do *King's Hotel*'u.

— Co tu?

— Tu pracuje ta twoja Polka. Jako pomywaczka. W dnie nieparzyste kończy o czwartej, w dnie parzyste o dziesiątej wieczorem. Dziś jest dzień parzysty.

Viki popatrzył z boku na wszystkowiedzącą władzę miasteczka.

- Nie ma takiej rzeczy, o której byś nie wiedział?
 — Bardzo wielu rzeczy nie wiem i to mnie czasem martwi.



Hotel stoi w samym środku łuku zatoki. Z prawej i lewej mniejsze, nie tak okazałe budynki zaginają skrzydła półksiężyca. Za nimi w zagłębieniu wzgórz kilkadziesiąt szarych domków. I to całe miasteczko, gdzieś na północy Szkocji.

Od północy nad zatoką panuje kopulaste wzgórze, łyse na czubku, porośnięte drzewami po bokach. W tych drzewach za białym murem widać wielkie budynki Marynarki.

Po przeciwnej stronie wody, prawie patrząc na przystań wojennej marynarki — czarne na wpół spróchniałe molo, szeroki pomost z belek, kamienny budynek z zegarem na wieżyczce i niskie magazyny z trzech stron otaczające zamknięty kwadrat wewnętrznej przystani. W tym kwadracie kołysz się na odpływie kutry rybaków, barki i holowniki. Przycumowane i milczące wydają się porzucone, odstawione na zawsze w zagrodę doku.

Tu obok tych beczynnych kutrów fronty domów podchodzą pod same molo. Czarne, w zaciekach, popękane domy z ubiegłych stuleci.

Najokazalszy z nich to jednopiętrowy hotel i bar „Pod Kotwicą”.

King's Hotel szczyli się nowoczesnymi urządzeniami, ale na zewnątrz jest taki sam staroświecki i posepny jak całe miasto.

Gdyby lato dopisało, gdyby stawili się turyści i letnicy zapewne hotel ożywiłby się, kolorowe sukienki zabarwiłyby skwerek, zadowoleni z siebie starsi panowie poobsiadaliby ławki, może zaczęła by grać orkiestra, może na skraju promenady rozstawiłby się namiot ze strzelnicą, zawirowałaby karuzela, ojcowie miasteczka zdecydowałiby się na oświetlenie wieczorne nabrzeża...

Po jednostronnej ulicy chodzą tylko okryci płaszczami nieprzemakalnymi tubylcy, przebiega kilku opalonych, muskularnych oficerów marynarki, grucha majtków z bazy łodzi podwodnych stoi przed wystawą sklepu z dziecinny ubraniem.

Deszcz śiąpi. Wisi na mgle kroplami, które leniwie opadają na chodnik.

King's Hotel moknie, okna błyszczą polane wodą, zacieki na murach z szarego kamienia wydłużają się, z dziurawych rynien ciurka na chodnik.

Tylko trawa na trawniku u wejścia do hotelu kipi szczęśliwą zielonością.

Z bocznego wejścia, gdzieś z dołu pachnącego przypalonym tłuszczem weszła dziewczyna.

Nasunęła chustkę na głowę, zacisnęła kubrak na sobie i ruszyła chodnikiem. Wiatr otulał jej nogi spódnicą. Wielgaśne wykoszlawione pantofle na bosych nogach człapały po kałużach.

— Hallo, aniołku!
 Viki oderwał się od wystawy i zrównał z dziewczyną. Podniosła na niego oczy i zarumieniła się.

— Dzień dobry pani — powiedział podnosząc palce do kaszkietu.

— Pan... Czego pan chce ode mnie?

Przechodzący mężczyzna odwrócił się na dźwięk polskiego, obcego tutaj języka.

— To tak się wita zbawcę? Człowieka, który naraził się na pobicie dla pani?

Popatrzyła mu w oczy poważnie i pokręciła przecząco głową.

— Nie trzeba było tego robić. Proszę nigdy tego nie robić.

— Nie?

— Nie.

— Kto to powiedział?

— Johnnie — odpowiedziała głosem pełnym zdziwienia.

— Dlaczego?

— To ma zły *influence*. To robi *bad blood*.

— Aha...

Ruszyła naprzód a on przy niej. Nie patrząc się na niego przyspieszała kroku.

— Czy to nie jest śmiesznie — mówił — tu w takiej dziurze, spotkać rodaczkę. Polaków owszem spotykało się prawie w każdym porcie, naszych wszędzie cholera nosi, ale Polkę, samą jedną...

Nie odpowiadała. Szła coraz prędzej.

— Czy aniołek się nie cieszy, że spotkał swojego?

Ani słowa.

— Możemy chociaż idąc porozmawiać.

— Wszyscy ludzie są jednakowi — odpowiedziała na to pierwsze pytanie.

Tak? A Johnnie też jest taki sam jak inni? Czy ten wariat może jest lepszy?

— Proszę tak nie mówić. To są poważne sprawy.

— Poważne? Pewnie, że poważne. Gniazdko sobie uwił na stateczku, trzy kobiety mu służą, trochę sobie czasem pokrzyczy, pogrozi ludziom i pieniążki zgarnia. Świetne życie sobie urządził.

— *It's a lie. A dirty lie!* — zatrzymała się i rzuciła mu w twarz angielskie słowa. Jej jasne i spokojne oczy zapaliły się gniewem.

Sklonił się przed nią z ręką na sercu.

Kiedy zakręciwszy gwałtownie pospieszyła dalej swoją drogą, nie stropiony szedł przy niej.

— Niech się aniołek nie gniewa. Przecież ja chciałbym najlepiej. Spotkał człowiek polską dziewczynkę, to pragnie jej pomóc.

Dochodzili do końca chodnika, dalej już leżała kamienista plaża a na niej łódź Johnniego.

— Proszę mi tylko powiedzieć, czym mogę pomóc. Może jest coś takiego do zrobienia, że i ja się przydam rodaczce? Może coś kupić? A może moglibyśmy sobie ot pogadać po swojemu?

Zatrzymała się. Podniosła głowę tak gwałtownie, że chustka spadła do tyłu i jasne włosy posypały się na czoło. Potrząsnęła nimi i krzyknęła:

— *Go away! Go away you... you...*

Wyciągnął ręce zdumiony wybuchem złości.

— Precz! — krzyknęła po polsku. — Idź sobie! *Go away!*

Odwróciła się i zaczęła biec po rozsypujących się otoczkach. Nogi w koszlawych pantoflach wykrzywiały się i potykały, kamienie pod stopami grzechotały.

Biegła w stronę łodzi.

Tam jakby na krzyk dziewczyny spoza przechylonego kadłuba wyszła wysoka chuda kobieta. Postąpiła kilka kroków i otworzywszy czarny szal jak skrzydło czekała.

Viki patrzył w tamtą stronę i widział jak dwie ciemne postacie łączą się w jedną i odchodzą poza łódź.

Jeszcze zabielało twarzą zwróconą w jego kierunku, zaszurało kamieniami i w nagłej ciszy została tylko łódź nadstawiająca obły bok na wiatr i deszcz.

Ruszył ramionami i wsadziwszy ręce w kieszenie kurtki poszedł w kierunku baru „Pod Kotwicą”.



— Nasz Johnnie przygotowuje się do drogi.

Viki spojrzął na Freddy'ego.

— Skąd wiesz?

— Nareszcie zabrał się do roboty. Przestał spać do wieczora a i stuka młotkiem w swojej krypie.

Viki mruknął coś, jakby go nic to nie obchodziło, ale na drugi dzień rano poszedł sprawdzić.

Łódź z bliska wyglądała większa i solidniejsza.

Podszedł po kamieniach aż do samej burty. Nikt się nie pokazał. Za łodzią zobaczył cienki dymek i poczuł zapach gorącej smoły. Obszedł dokoła i zajrzał na drugą stronę.

— *Good morning* — powiedział zobaczywszy Johnniego stojącego z kubłem w ręku.

— Pokój z tobą — powiedział jasnowłosy prorok.

Miał na sobie wytarte kordrojowe spodnie i szarą flanelową koszulę z zawiniętymi rękawami. Przez otwarcie koszuli widać było białe ciało i kępki rudych włosów na piersiach.

Viki podszedł bliżej i uderzył pięścią o dno łodzi.

— Szykujesz łajbę do podróży?

— Trzeba być zawsze gotowym. Czy ty jesteś bracie gotów?

Viki popatrzył na Johnniego. Mimo zdartego przyodziewku, zmierzwionych włosów na głowie i na brodzie,

mimo kubelka ze smołą i nieporadności z jaką trzymał drewnianą szpachlę, ta postać nędzna i wychudzona nakazywała szacunek. Przejrzyste oczy patrzyły ze smutkiem i z powagą nie cofając się wcale przed szyderczym uśmiechem przybysza.

— Tylko bez kazań — powiedział Viki — przyszedłem by ci pomóc.

— Przyszedłeś, bo jesteś ciekaw, ale różnymi drogami chodzi woła boża. Może jesteś przeznaczony na narzędzie.

Viki obszedł łódź i obstukał dokoła.

— Ty chcesz na tym płynąć? Gdzie?

— Tam gdzie mi jest sądzone.

— Trzeba by zmienić wszystkie deski. Próchno się sypie. Jedno uderzenie mocniejsze i będziesz miał dziurę w burcie.

Johnnie śledził uważnie inspekcję, ale na zarzuty nic nie odpowiadał.

— Ty mieszkasz w niej?

— Mieszkamy. Tak — odpowiedział Johnnie jakby zdziwiony pytaniem.

— Musi być wam niewygodnie. Nie mogliście postawić jej prosto?

— Zabrakło podpórek. Niewielu też mieliśmy pomocników.

— No tak.

Viki pokiwał głową dziwiąc się jak na tej łodzi zdołał Johnnie prorok dopłynąć tutaj.

— No — powiedział zrzucając kurtkę — jak pracować to pracować. Rób tylko co ci każe, a nie wyjdiesz na tym złe.

Do południa obtykali dno, smarowali smołą i pakowali pakułami. Potem Viki uznał, że przyszła pora obiadu.

— Gdzie wasza kuchnia? — spytał.

Johnnie wskazał na kamienie zakopcone od ognia.

— Zaraz przyniosę czajnik.

Viki nie dał się wyprzedzić i sam podskoczył do łodzi. Wdrapał się po szczeblach przybitych do burty i stanął na przewrzuwionym pokładzie. Właz do kabiny był otwarty. Viki zszedł w dół i rozejrzał się ciekawie: po obu stronach długiego stołu mieściły się podwójne koje zasłane kocami. Na stole leżała gruba metalowa płyta, lśniąca jak zwierciadło. Na półkach w głębi stały książki, garnki, pudełka i słoiki. Za drzwiami z tyłu znajdowała się mała kuchenka z palnikiem karbidowym. Na niej stał blaszany, powyginany czajnik i dwa garnki.

— Ciasno tutaj — powiedział Viki w stronę wychylającego się z luku Johnniego. — Ciasno.

Johnnie milczał.

— Wy tu tak wszyscy razem śpicie?

— Idź dalej obejrz wszystko — gniewnie powiedział Johnnie — wszak po to tu przyszedłeś.

Za stołem pod półkami były małe drzwiczki otwierające się do wnętrza małej kabinki. Viki przecisnął się z trudem i zajrzał.

Leżało tam jeszcze jedno posłanie a nad nim rodzaj ołtarzyka z krucyfiksem drewnianym i sztucznymi kwiatami.

— To wszystko? — mruknął do siebie z rozczarowaniem.

— Tak to wszystko — zaśmiał się Johnnie ironicznie. — Widziałeś wszystko, a teraz podaj mi czajnik i pudło z chlebem. Zjesz ze mną obiad. Taki obiad na jaki mnie stać.

Johnnie miał wprawę w rozniecaniu ognia między kamieniami i mimo, że wiatr rozciągał dym i dławił płomień, ognisko szybko zostało opanowane i za kilka minut Viki siedział w kucki na żwirze trzymając w rękach blaszany kubek z herbatą.

Naprzeciw tak samo przykucnięty Johnnie łamał chleb i kawałkami podawał gościowi.

Prorok miał brudne palce i dawno nie mył twarz. Z bliska wyglądał nędznie, chudo, szaro, ale gest dzielenia się chlebem z gościem był celebrowany z taką powagą i godnością, że Viki brał kęs pełen szacunku.

— Jak chcesz to pomaluję ci kabinę.

Oczy Johnniego uśmiechnęły się do gościa.

— Nigdy nie wiesz gdzie cię zaprowadzi droga, skoro raz postawisz na niej swoją stopę.

— Tylko nie spodziewaj się po mnie jakichś nawróceń.

Tym razem nie tylko oczy się zaśmiały. Johnnie wybuchnął głośnym śmiechem.

Viki spojrział zdziwiony. Wychudły, brodaty prorok nagle stał się wesółym chłopcem. Dziwnie!

— Kto ty jesteś Johnnie?

— Nikt — wzruszył ramionami. — Nikt, zupełnie nikt.

— Przecież masz dom, rodzinę, nazwisko. Jesteś obywatelem jakiegoś miasta przyplynałeś tu skądś. Jednak jesteś kimś.

Twarz Johnniego zmierzchła, oczy nabrały powagi, a usta wykrzywiły się w smutny łuk jak do płaczu.

— Jestem głosem wołającym na puszczy — zaczął jak na trybunie tylko ciszej, szeptem przejmującym Vikięgo bardziej niż krzyk.

— Jestem tym, który prostuje ścieżki i przygotowuje na przyjęcie Pana. Gotujcie się, bo chwila bliska. Pokutujcie i bijcie się w piersi, bo sąd nadchodzi. Zbliży się godzina, kiedy umarli przemówią a żywi w prochu legną. Szykujcie się!

— Zostaw to Johnnie. Ja się tym nie przejmuję. — Viki wstał i z góry patrzył na skurczonego proroka.

— Swoje kobiety możesz czarować takimi gadkami nie mnie.

— Jesteś głuchy jak wszyscy. Ale mówię ci, że kiedy przejdziesz to z krzykiem przerażenia, będziesz biegł po ulicach i wzywał pomocy. Idzie straszny, straszny czas.

— Nie kracz. Ja się nie boję. Powiedz mi lepiej skąd ty te dziewczyny wzięłeś? I co to za prorok, święty, co z całym harem obwozi się po świecie.

— Bracie — powiedział Johnnie smutno nie podnosząc głowy — nie zbliżaj się do mnie ze swymi brudnymi myślami.

— Przecież nie powiesz mi, że żyjesz w czystości? Kto są te trzy kurwy?

— Uwierzyły. Jeśli ty uwierzysz, też znajdziesz miejsce na mej łodzi. Ci co uwierzą niech przyjdą do mnie, zabiorę ich w kraj pokoju i szczęśliwości.

— Nie powiesz mi, do cholery — Viki trącił w ramię proroka — że zmieścisz na swej łupinie wielu ludzi? Co?

— Ci co uwierzą, ci co odprawią pokutę znajdą przy mnie miejsce.

— Idioto — zdenerwowany, zły Viki popchnął mocniej, Johnnie przewrócił się i leżał skurczony tak jak siedział.

— Nabieraj sobie kogo chcesz — grzmiał Viki pochylając się nad leżącym — mnie nie okłamiesz. Jesteś zwykłym jarmarcznym oszustem. Gadasz co ci ślina na język przyniesie i wyłudzasz od ludzi pieniądze. Ja znam takich jak ty, po całym świecie szwendają się chciwi lekkiego chleba. Prorokiem się obwołał i do pokuty wzywa. Sam się nawróć! Sam idź do pracy zarabiaj na siebie, przestań wykorzystywać naiwne kobiety.

Viki pochylił się jeszcze bardziej i nagle spostrzegł, że ciałem Johnniego wstrząsają kurcze. Leżąc na boku, z twarzą wtuloną w otoczeki plaży prorok płakał.

— Wariat — powiedział Viki, aby dodać sobie otuchy i nie pozwolić aby gniew wygasł.

— Płacz sobie. Płacz. Wiedz jednak, że ci nic nie pomoże. Te dwie baby to możesz zniszczyć, czy utopić, mnie to nic nie wzrusza, ale strzeż się zrobić krzywdę Polce. Słyszysz? Ja jestem Polak i będę jej bronił. Słyszysz?



— Przekłete rozpustne kozły — krzyczała Josephine za barem — brudne, brodate, śmierdzące kozły!

Mężczyźni zaśmiewali się oklepując swoje kolana. Podobała się im energiczna, tłusta bufetowa.

Jak zwykle przodował w opowiadaniach świńskich kawałów ryży Freddy. Zawsze miał nadzieję, że rozochoceni bywalcy postawią dowcipnemu opowiadaczowi podwójną *whisky*, ale najwzżej zdobywał pół *pinta* piwa.

Tym razem opowieści miały za temat dziwny czworobok składający się z Johnniego i jego trzech kobiet.

— Cienka i chuda — powiedział Freddy — Lucy się nazywa, ale prawdziwy z niej Lucyfer, lubczyk mu warzy. Jakby chłop bez lubczyku nastarczył na trzy baby?

— He, he, he — rechotał Angus rzeźnik.

— Angus — wołał MacFergus — ty chojrak, ty byś bez lubczyku!

— Pewnie.

— Nie przerywać — strofował Freddy. — Skoro sobie pan prorok podpije lubczyku, to powiada: jaki dzień dzisiaj, jasny czy ciemny. *Guines*, mówi Lucy, No to kolej na ciemnego aniołka. Chodź, mów, do rajy dziecko.

— Ha, ha, ha... śmieli się wszyscy, tylko Josephina krzywiła się z niesmakiem. Nalewała piwo i postukiwała kufkami na znak dezaprobaty. Nie śmiał się także siedzący w kącie Viki. Pociągał z kieliszka i spluwał w trociny posypane na podłodze.

— A jak dzień jasny — Freddy przechodził do dalszego ciągu historyjki urozmaiconej bardzo realistycznymi wstawkami — to kolej na aniołka białego. Z tym to zupełnie inne igraszki...

— Zostaw Freddy — odezwał się Viki.

Spojrzeni zdziwieni.

— O co chodzi? Nie podoba się ci, to nie słuchaj. — Freddy czuł za sobą poparcie słuchaczy.

Viki podniósł się i wyszedł z kąta na środek sali.

— Właśnie — powiedział zaczepnie. — Mnie się to nie podoba.

— Chłopcy — krzyknął energicznie gruby Nielson — nie pozwalam na żadne bójki. Jak bić się to na zewnątrz.

— Kto chce się bić? — protestował Freddy cofając się za plecy MacFergususa. — Nikt nie chce. Jak się naszemu drogiemu Vikiemu nie podoba opowiadka, to nie. Niech sam nam coś opowie.

Viki podszedł do lady i postawił na niej pusty kieliszek.

— To samo.

Josephine nałata i podsunęła mu whisky.

— Spodobala ci się?

— Kto?

— Ta twoja Polka. Rodaczka.

Viki tyknął wódkę jednym haustem.

— Nalej jeszcze — powiedział szorstko.

— Uwważaj, bo z aniołami niebezpiecznie zaczynać.

— Nalej do kieliszka — powtórzył ostrzej.

Wziął wódkę i odszedł do swego kąta. Freddy znów zaczął swoje kawały, ale już na inny temat i już nie tak wesoło.

Jednak zwolna nastrój wracał. Freddy gestami opisywał tarapaty małżeńskie grubego Nielsona, właściciela „Kotwicy”. Słuchacze znów pokładali się ze śmiechu. Angus rżał, Hamish piszczał starczym głosem, wszyscy klepali się po udach. Josephine krzyczała na nich i pobrzękiwała szkłem.

Wszedł Forbes i samą ogromną postacią zapanował nad wszystkimi.

— Uczście się — zawołał na nich — idzie tu niezwykle gość.

Spojrzeni w stronę drzwi. Za chwilę otworzyły się i stanęła w nich czarno ubrana, chuda i wysoka kobieta. Obejrzała się dokoła i podeszła wprost do Josephine.

— Małą brandy, proszę — położyła na ladzie pogniecionego funta.

Josephine nie sięgnęła po płaską flaszkę na półce, ale podstawiała miarkę pod baryłkę i zaczęła saczyć najpierw do niej a później przelewała do pustej butelki po winie. W czasie

tej czynności wszyscy w milczeniu przypatrywali się niezwyktemu gościowi.

Kobieta była niemłoda, na pewno ponad trzydzieści lat. Mogła mieć nawet dużo więcej, ale była z tych chudych i suchych, które zawsze są nieokreślonego wieku i wyglądają jakby i pięć ich nie była całkiem określona.

Ostry profil z lekko haczykowatym nosem, cera ciemna, spierzchnięta, pocięta zmarszczkami, włosy spod chustki wychodziły czarne z pasmem siwym.

Zrudziała chustka okrywała ją do połowy, dalej widać było spódnicę a spod niej czarne pończochy i chodaki takie, jakie nosi się na farmie do obory.

Ręce leżące na ladzie były białe, palce długie, paznokcie wypięlgnowane. Dziwnie te dłonie nie pasowały do całej postaci.

Dopiero chwyt ręki zaciskającej się na butelce podanej przez Josephinę przywrócił równowagę: był chwytem z nagłą drapieźnym. Takim właśnie jakiego należało się spodziewać.

Drugą ręką zgarnęła resztę i odwróciła się w stronę wyjścia.

Na chwilę objęła spojrzaniem całe zgromadzenie. Kurczyli się pod jej wzrokiem. Oczy kocie, jasno-żółte palily i drażniły. Kto napotkał ten wzrok czuł się nieprzyjemnie, jakby spojrział w oczy węża.

— Diabeł — powiedział Freddy, gdy za kobietą zamknęły się drzwi.

— Sam Lucyfer w spódnicy — potwierdził MacFergus.

— Kto to? — spytał Viki ze swego kąta.

— Nie wiesz — zdziwiła się Josephine. — To Lucy, zafana pomocnica Johnniego. Pierwsza dama harem.

— Diabeł, diabeł — pokrzykiwał Hamish.

— Nie taki straszny diabeł — zabrał głos sierżant Forbes. — Podobno bardzo zdolna krawcowa. Watsonowa chce ją na stałe. Powiada, że odkąd u niej pracuje zakład idzie lepiej. Daje jej najlepsze warunki, aby tylko zatrzymać.

— Nie zatrzyma — powiedział Nielson.

— Dlaczego?

— Przyjdzie czas i popłynie razem ze swoim Johnni'em. Nieraz już tak bywało. Posiedzi na miejscu, popracuje miesiąc, dwa i już jej nie ma. Odplynęli.

— To ty ich znasz? — spytał Viki podchodząc do bufetu.

— Ja? Wszyscy ich znają.

— I nikt ich nie zna — dodała Josephine.

— Kto oni?

— Wariaci — zaśmiała się Vikiemu w sam nos. — Wariaci.

— *Foreigner*'zy, przekłęci *foreigner*'zy — zamruczał do wtóru Hamish.

Viki ze stukiem postawił kieliszek i zakręcił się na miejscu. Bez słowa pożegnania wyszedł z baru.

— Cholernie, zwariowani *foreigner*'zy.

— Wszyscy? — zapytała Hamisha Josephine.

— Wszyscy, co do jednego. I zobaczycie co z tego wyniknie.

— Co? — wiedzieli co odpowie, ale jak zawsze naciągali starego Hamisha, podbechtując pytaniami.

— Bomba. Cholerna bomba. Nikita się rozgniewa na *foreigner*'ów i rzuci nam bombę. Zobaczycie, mówię wam.

— I będzie koniec świata — zaśmiał się Freddy — tak właśnie jak przepowiada ten wariat Johnnie.

— Nie taki on wariat — Hamishowi zjeżyły się bardziej siwe włosy — on wie czego chce. W czas bomby tylko na morze. Na morzu jedyny ratunek.

— Hej, Hamish — zawołał piekarz Mac Arthur — dla czego więc nie naprawisz swej Mewy. W razie czego popłyną — byś na morze razem z Johnnie'm.

— Mewy? — odwrócił się w tył Hamish. — A kto mi naprawi Mewę? W tej cholernej dziurze nie ma mechanika. Nie ma. Wszystkich Amerykanie zabrali do bazy. Ani jeden nie został. Poszli pracować dla tych przeklętych, bezczelnych *foreigner*'ów z za wody.

— Spytaj Vikiego — poradziła Josephine. — On na pewno pomoże

— Viki *foreigner* — sprzeciwił się Freddy.

Hamish spojrział na ryżego z boku. Rozgarnął gruzłowatą dłońią szczecinę wkoło ust i splunął na podłogę.

— Spytam Vikiego — powiedział wyzywająco.



Ze wzgórza ponad bazą Marynarki widać było zatoczkę, miasto i prawie wyspę całą jak na dłoni.

Wiatr porozrywał chmury i słońce pływało swobodnie po niebie i w morzu. Od rana przygrzewało pojąć miasteczko weselem.

Viki siedział z Franką na obeschłej trawie. Patrzyli w dół na port, patrzyli w dal przed siebie poza morze, ku innym płasko leżącym na horyzoncie wyspom, ku ciemnej linii stałego ładu.

Woda jak welur, albo jak zboże dojrzałe, mieniła się pod dotknięciem wiatru. Obok pasów błyszczących roztopionym metalem, leżały smugi czarne jak nocne jeziora. Obok przejrzystej akwamaryny płynęła soczysta zieleń i granat biało mieniący się na słońcu.

W zatoce kołysał się wielki szary okręt wojenny: okręt-baza. Obok niego czarne wrzeczona łodzi podwodnych ze sztywnymi garbami wieżyczek przymykały bokami jedna przy drugiej jak wielkie ryby.

Stąd widać było ruch na łodziach, marynarzy w bluzach białych i w bluzach granatowych. Biała motorówka płynęła ku przystani.

— Nie rozumiem — mówił Viki — dlaczego u ciebie raz tak, a raz tak. To byś zjadła człowieka taka zła; to chcesz żeby z tobą na spacer chodzić, na trawie siadać, rozmawiać jak przyjaciel. Nie rozumiem.

Patrzyła na niego bardzo jasnymi, niebieskimi oczami.

— Przecież jesteś mój rodak. Polak. Johnnie powiedział...

— Przestań — przerwał. — Jeżeli powiesz, że to dla Johnniego, że to z rozkazu tego wariata tu siedzisz, to pójde sobie i nigdy nie wrócę.

Trzy dni chodził Viki naokoło jasnego anioła proroka Johnniego. Trzy dni odprowadzał ją z daleka z pracy, kręcił się koło łodzi, uśmiechał się przy spotkaniu, kłaniał się grzecznie.

Jego zabiegi nie przynosiły żadnych rezultatów. Dziewczyna była zła, pochmurna, na uśmiechy nie odpowiadała, mijając Vikiego odwracała głowę.

Aż jednego wieczoru podeszła do niego sama. Stał oparty o ścianę domu i zaskoczony jej nadejściem nie zmienił postawy.

— Ja przyszłam, żeby pana przeprosić — mówiła po polsku, ale z chropowatym akcentem.

— Ja panu źle nie życzę. Dla wszystkich trzeba być *same*. Pan jest Polak, dla pana muszę być bardzo dobrze.

Było jej do twarzy z rumieńcem.

— Nic złego przecież nie chciałem, po prostu jako rodak...

— Ja wiem. Johnnie powiedział, że pan rodak, że pan bardzo *unhappy*. Kazał mi powiedzieć, że jestem *sorry*.

Poszła sobie. Odwróciła się jeszcze i podniosła rękę w geście pożegnania.

Na drugi dzień wieczorem podszedł i towarzyszył jej do łodzi. Na trzeci dzień jakoś skręcili samochcąc zupełnie w innym kierunku. Poszli razem na spacer. Był to ten dzień, w którym ona kończyła robotę wcześniej, o czwartej. Szli razem daleko, za Bazę, poza cypel wysunięty w morze, na drugą stronę skał. Tam gdzie było zupełnie pusto.

— Rozmawiamy ze sobą tyle — powiedział gdy siedli na wielkich głazach — mówimy o duperelach, o kwiatach i trawce, o pogodzie dziś i jutro, a ja nie wiem nawet jak się nazywasz i kim jesteś.

— Nie będę ciebie przecież zawsze nazywał *Angel*, aniołek — dodał trochę z gniewem, bo milczała opuszcwszy powieki.

— Mnie to różnie różni nazywali — powiedziała wreszcie. — Kiedyś mamusia wołała na mnie Franka. Potem byłam już Franciszka i Francis i Frazoska i sama nie wiem jak...

— Frania — powiedział — to takie ładne imię.

— A pan...?

— Ja? Ja to jestem zwykły Wincenty. Chłopski syn Wincenty Kadul. Koledzy w marynarce wołali na mnie Wicek, a kiedy dziewczyny angielskie ochrzcili mnie Viki, to już tak zostało.

— Wicek. To bardzo ładnie tak mówić. Ja bardzo lubię imię Wicek.

— To sobie go weź — zaśmiał się rubasznie.

— Jak to?

— A no nazywaj mnie zawsze Wicek, a ja ciebie Frania. Dobrze?

— Dobrze Wicek.

Miała 32 lata. Piętnastoletnią zabrali ją Niemcy na roboty w 1943. Powiedziała, że ma już osiemnaście, chciała iść zamiast matki i siostry. Poszła jakby dobrowolnie na ofiarę. Potem była w obozie UNRRY, potem w innym obozie. Dowiedziała się, że matka zginęła. Rozstrzelali ją Niemcy razem z ojcem i drugą córką. Podobno chodziło o kontyngenty.

Ofiara zdała się na nic. Nie wracała, bo już nie mogła.

Ja, Wicek, była wtedy już grzeszna, z dzieckiem. Jeden Anglik wojskowy przyczepił się do mnie. I nie powiem, spodobał się mnie też. Nauczył po angielsku mówić, powiedział, że ożeni się *sure*. Ale odwołali do Anglii. Nigdy go nie widziałam.

— A dziecko?

— Dziecko umarło. Nie byłam silna jeszcze. Nie taka jak teraz.

Potem uciekła do innego obozu. Potem zgłosiła się jako EVW na *domestic servants*. Było ciężko, z początku bardzo ciężko. Trzy razy uciekała zmieniając miejsce, próbowała w fabryce. Pracowała jako robotnica w przędzalni nici. Marnowała się. Miała mały pokój u bardzo niedobrych ludzi, którzy wykorzystywali ją, obdzierali ze wszystkiego. Polacy, tak Polacy. Było tak źle, że wytrzymać nie podobna.

— I co zrobiłaś?

— *I went away* — zaśmiała się — uciekłam.

— Z Johnniem.

— Nie wtenczas nie znałam Johnniego.

Ile razy ją zapytał o Johnniego, o inne dziewczyny z łodzi, zawsze milkła, odwracała głowę. Niczego nie mógł się dowiedzieć.

Tylko tyle, że na usprawiedliwienie swych czynów, swego postępowania miała zawsze odpowiedź jedną: Johnnie powiedział, Johnnie kazał.

— Kazał ci pracować — wydziwiał nieraz — harować ciężko a pieniądze sobie oddawać, tak?

— Nie mów tak, Wicek, on nie taki.

— Nie taki? A jaki? Po co trzyma przy sobie trzy ciężko pracujące dziewczyny? Po to, aby samemu nic nie robić. Znam takich oszustów, alfonsów, *pimps!*



— Więc Johnnie kazał ci chodzić ze mną, a ty go słuchasz?

— Nie Wicek, to nie dlatego. Ja przecież sama...

Zaśmiał się na cały głos. Sięgnął ręką w zanadrze i wyciągnął mały pakiet. Rozwiązał, rozwinął papier i wyciągnął kolorowy jedwabny szal.

— To dla mnie? spytała z rozszerzonymi oczyma.

— Hm — ściągnął jej z głowy czarną chustkę i zarzucił biało-niebiesko-czerwony jedwab. — Żebyś wyglądała nareszcie, jak dziewczyna, a nie jak Marysia-sierotka.

Bez lusterka, na pamięć ułożyła sobie szal w koło głowy wysuwając spod barwnej materii kokieteryjny loczek.

— A wiesz, że ty jesteś ładna dziewczyna?

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Viki przechylił się i objawszy ją za ramiona zaczął całować.

Miała mokre, ciepłe, miękkie wargi. Ulegała mu bezwolnie. Coraz coraz goręcej aż przygarbnał ją pod siebie. Oddała mu się tak prosto i zwyczajnie, jakby obdarzała go swym uśmiechem.

Potem siedzieli w milczeniu i patrzyli na morze.

— Powiem ci Frania — trzymał ją w pól i mówiąc patrzył przed siebie ponad leżące u ich stóp morze — dość już uciekałaś. Trzeba raz zatrzymać się i zacząć żyć naprawdę. To nie jest zły kraj, tu można się urządzić. Jeżeli nie będziesz chciała, to już więcej nie popłynę na morze. Właściwie mam dosyć pływania, tylko że nikogo nie mam, to ciągnie wciąż dalej i dalej. Ale teraz będzie inaczej. Osiedlimy się w dużym mieście, gdzie lepiej żyć i gdzie więcej Polaków. Zaczepię się przy pracy jako mechanik. Nie bój się, mechanikom dobrze płacą i jak nie będziesz chciała, to nie potrzebujesz chodzić do roboty. Będziemy mieli swój dom i swoje gospodarstwo. No? Frania? Co to?

Pochylił się nad nią i zobaczył, że Frania cicho, boleśnie płacze.

— Frania — potrząsał nią — Frania, co ty? Nie chcesz mnie? Nie chcesz?

Tego dnia nie powiedziała już ani słowa. Była smutna i nie starała się ukryć łez.

Na rozstanie zdjęła ze siebie kolorowy szal i oddała go Vikiemu. Zakutała się w swoją czarną chustkę i odeszła w kierunku łodzi proroka.

Viki został z szalem w rękach.

Nie powiedział jej, ile go ten szal kosztował. Musiał pójść do Josephine i upokorzyć się.

— Josephine, czy ty nie uważasz, że ja mniej piję?

— Prawdę mówisz Viki. Jak tak dalej pójdzie, to zostaniesz oszukany, nie przepijesz pieniędzy, które u mnie złożyłeś.

— Właśnie. Tak sobie myślę, że gdybym jeszcze mniej pił, albo na dzień, dwa odłożył picie zupełnie, to byś nie miała nic przeciw temu, żeby mi wypłacić male odszkodowanie w gotówce?

— *Sure*, Viki, *sure*. Ile ci potrzeba.

— Piąta — powiedział szybko czerwony ze wstydu.

— Wiedziałam, że tak będzie — powiedziała wyciągając z kasy pięć funtów. — Kup jej co Viki. Dobrze zrobisz jak jej coś kupisz.

— Ale to sekret, między nami — prosił na pożegnanie.



Na drugi dzień nie widział Franki wcale. Na trzeci dzień, parzysty, spotkał ją wychodzącą z King's Hotel. Była uprzejma miła, ale jakaś skępowana. Nie chciała pójść na spacer na górę, chociaż pogoda była dość ładna. Poszli znowu nad samo morze poza skalisty cypel i siedli na głazach z dala od siebie.

— Co się dzieje Franiu? — pytał z troską w głosie.

— Powiedziałaś mu, że odchodzisz? Powiedziałas, że chcesz być ze mną, że się pobieramy?

— Powiedziałam mu o tym, co tam na górze.

Mówiąc to schyliła głowę i ukryła twarz w cieniu chustki.

— Co on na to?

— Płakał. Johnnie płakał całą noc.

Dziewczyna znacznie uprościła reakcję Johnniego. Nie powiedziała też nic o awanturze, którą wywołało jej oświadczenie.

— Gdzie byłaś? — krzychała na nią Lucy.

Siedzieli razem z Johnniem przy stole w kabinie statku. Ponieważ stół pochylał się wraz z całą łodzią, więc Lucy górowała nad Johnniem kurczącym się na przycy po niższej stronie.

— Co cię to obchodzi? — Franka chyba po raz pierwszy odpowiedziała w ten sposób. Sucha twarz Lucy wykrzywiła się gniewem.

— Powiedz jej Johnnie — pisnęła. — Ty ją spytaj gdzie była.

Johnnie skurczył się jeszcze bardziej.

— Angel — szepnął błagalnym głosem.

— Byłam na górze z Vikim.

— Powiedziałaś mu, co ci kazaliśmy? — syknęła Lucy. — Że ma przestać cię prześladować? Że ostrzegasz go jako jego rodzaczka, że straszne kary go czekają, jeżeli nie da nam spokoju? Przekazałaś mu rozkaz Planet?

— Jeszcze nie — Franka patrzyła w kąt unikając wzroku Johnniego.

— Jeszcze nie? — krzyknęła Lucy. — Więc co wy tam robicie. Całe dnie walęsas się z tym rozpustnikiem. Pewno się puszczasz, co?

— A tak. Puszczam się. — Franka podniosła głowę objęta nagłym gniewem.

— Angel — znowu jęknął Johnnie.

— Nie przeszkadzaj — szcęknięła Lucy — niech mówi, niech wyzna swoje grzechy. Co z nim robiłaś?

— To co kobieta z mężczyzną robi. Nie wiesz? A może ty naprawdę nie wiesz? Nigdy mężczyzny nie znałaś.

Lucy wyskoczyła zza stołu i zamachawszy się z całej siły uderzyła Frankę w twarz. Dziewczyna upadła na pochyłą podłogę, uderzyła bokiem we framugę drzwi, ręką zrzuciła z kuchenki garnki, przewróciła bańkę z naftą.

Wreszcie wygramoliła się i stanęła, nie patrząc na czerwona z gniewu Lucy, ale na Johnniego. Ten położył głowę na stole i płakał.

Na to nadeszła czarna Betty, drugi anioł proroka.

— Co się stało? — zapytała zza pleców Franki.

— Jej się spytał — warknęła Lucy. — Tej rozpustnicy, tej jawnogrzesznicy. Zamiast przekazać rozkaz Gwiazd temu Polakowi zaczęła się z nim puszczać. Suka. Przeklęta suka!

— Wiedziałam, że tak będzie! — krzyknęła Betty. — Ostrzegałam przed podłym nasieniem. Mówiłam! Może nie mówiłam?

Popchnęła Frankę z tyłu i wyskoczyła przed nią.

— Poczekaj dziwko, już ja ci pokażę, ja ci dam puszczenie się!

Uderzyła Frankę w piersi i obie z Lucy zaczęły ją szarpać, okładać kułakami, drzeć za włosy. Franka z początku nie broniła się, ale wreszcie zaczęła je bić niegorzej niż one ją. W małej kabinie kotłowały się jak trzy furie. Uderzały głowami o kojki, kopały nogami w brzęczące na podłodze garnki, objęły się o ściany, drzwi, o mocno przymocowany stolik.

A Johnnie oparłszy głowę o ręce zaciśnięte na metalowej płycie szlochął w głos.

Jego jęklivy płacz górował ponad wszystkim.

O tej awanturze Franka nie powiedziała Vikiemu. Sam domyślił się. Podszedł do niej i podniósł głowę jej do góry delikatnie ujmując za brodę.

— Podrapał cię — palcem dotknął czerwonych pręg na policzku. Wziął jej ręce w swoje i odsunął sweter: sine place widniały na przedramieniu.

— Pobił cię? — z powstrzymanym gniewem pytał.

— To nie on, to one. On tylko płakał. Całą noc płakał.

— Już tam nie wrócisz — powiedział spokojnie.

Spojrzała z wielkim lękiem.

— Ja muszę, muszę tam wrócić.

— Dlaczego? Po co? Żeby cię znowu pobiły?

— Ja muszę, muszę.

— Frania — siadł przy niej na głazie i objął za ramiona. —

Powiedz mi całą prawdę. Przecież ty nie kochasz się w tym wymoczku z rządka brodą. Lubczyku ci zadają?

— O nie! — zachnęła się gwałtownie. — On mnie nigdy nie tknął. On wcale nie taki! On czysty!

— Więc kto on taki? Kto?

Odsunęła się trochę i spojrzała z powagą.

— On jest człowiek stamtąd — pokazała palcem na niebo.

— Z innej planety. Wysłannik.

— I ty w to wierzysz?

— On powiada, że przybył tu, aby ludzi ratować. Bo idzie taka wojna i takie trzęsienie ziemi, że kto z nim nie poleci, ten zginie. A tylko ludzie bez grzechu mogą z nim lecieć.

— A myśmy zgrzeszyli — próbował zażartować.

Popatrzyła mu w oczy z wyrzutem.

— Jeżeli będziemy pokutować, to nam przebaczy.

— Tobie i mnie? Razem?

— Tak.

— Powiedział ci to?

— Wyczytał to z tablicy. Rozkaz taki z Venus — wymawiała nazwę planety po angielsku „winus”. — On ma w kabinię taki metal, tablicę na stole i czyta na niej rozkazy. On z tej tablicy uczy nas śpiewania, modli się z niej. To tak jakby ktoś pisał mu wszystko, a on odczytywał.

— A ty możesz coś na tablicy odczytać?

— Nie — potrząsnęła głową — tylko święci, bez grzechu mogą.

— A Lucy? A ta druga?

— One? — przez nie Johnnie najwięcej płacze. — Ty wiesz, że one grzeszą ze sobą? Johnnie wie o tym i płacze. On wszystko wie.

— A sam nie grzeszy? Ma przecież trzy kobitki.

— Mówiłam ci, on nie taki. On czysty.

Odsunął ją od siebie i powstał.

— Frania — powiedział stojąc nad nią — rzuć te bzdury! Nie widzisz, że nam będzie dobrze ze sobą?

— Ja wiem Wicek, ja wiem. Pierwszy raz jak cię zobaczyłam, to zdawało mi się, że ciebie znam od dawna, jeszcze z tej Polski. Jak usłyszałam, że mówisz po polsku, te słowa, wiesz jak siedziałeś pobity, to chciałam rzucić Johnniego i biec do ciebie.

— No więc Frania, więc?

— Ale tak nie można. Johnnie by się bardzo gniewał. A Johnnie musi być spokojny, czysty, bo inaczej wszystko na nic.

— Więc dlaczego ze mną chodziłaś?

— Ja myślałam, że może być inaczej. Ja wiedziałam, że ty jesteś dobry. Jak Johnnie powiedział, że obiecałeś pomalować łódź, to sobie pomyślałam, jak to dobrze byłoby, gdybyś ty z nami razem. Popłynęlibyśmy razem z Johnniem do tych innych krajów, do innych ludzi. Tam gdzie dużo słońca i ciepło. Wiele, wiele ludzi słuchałoby Johnniego i potem...

— A potem — dokończył za nią — wszyscy by wsiedli na wielki talerz latający, albo lepiej półmisek i poleciliby do nieba na tę Wenus. Tak?

— Nie śmiej się — szepnęła z wyrzutem.

— Ja mówię poważnie, tak samo jak ty. Tylko chcę cię spytać, a co będzie z Lucy i tą drugą? One, które grzeszą, które ciebie pobity, złe kobiety. Wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć, że są złe. Czy one też do nieba...?

— Jakbyś ty z nami był, to Johnnie by przegnał je od siebie.

— A tak nie może?

— Nie, bo one służą naszej sprawie. Przecież one dają swoją tygodniówkę. Składają do skrzyneczki na Wielką Podróż. One są nam potrzebne.

— Ejże — powiedział gniewnie — a może to ty jesteś im potrzebna?

— Nie mów tak.

— Słuchaj Frania, zróbmy my taką umowę. Albo ty mnie przekonasz, albo ja ciebie. Jeżeli ty mi udowodnisz, że Johnnie to prawdziwy prorok, porządny święty to ja płynę z wami. Okrętuje się na waszą łajbę i hajda w świat. Wyganiamy te dwie jędze i jesteście szczęśliwi. Dobrze?

— Dobrze Wicek — oczy jej rozjaśniły się nadzieją.

— A jeżeli ja ci udowodnię, że twój Johnnie to oszust, zwykły człowiek, który nabiera innych. Jeżeli postawię ci przed oczy fakty, to ty rzucasz tę świętą kompanię i idziesz ze mną. Dobrze?

— Wicek... — w głosie jej słychać było bolesny wyrzut.

— Mów zgadzasz się na taką umowę? No?

— Niech tak będzie — szepnęła.

— No to dobra. Pamiętaj więc o umowie.

Ujął nachyliwszy się jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta.

— Nie bój się — powiedział cicho — ze mną też będzie ci dobrze. — A jak będzie smutno to pojedziemy w te inne kraje. Ale wierz mi, dziewczyno, tam też nie ma szczęścia, jak człowiek sam szczęśliwy nie jest.

Szli razem po drodze nad morzem. Od wody dął wiatr i pędził mokrą mgłą. Owinęła ich i ukryła, aż dopiero przy samym porcie wyszli z niej między czarne pomosty i szare domki.

Franka zastała Johnniego schylonego nad metalową płytą. Obok niego stała groźna Lucy.

— Powiedz jej — krzyczała. — Oznajmij jej prawdę!

Lucy pachniała wódką a Johnnie miał spuchnięte oczy i czerwone policzki.

— Niech wie całą prawdę.

— Angel — zaczął Johnnie łagodnym tonem. — Gwiazdy gniewają się. Bardzo się gniewają.

— Powiedziały — krzyczała Lucy, że zginiesz, ty i twój Polak, jeżeli nie odprawisz pokuty. Jeżeli go nie odpędzisz.

— Johnnie?

— Tak Angel — Johnnie skrzywił się boleśnie. — Gwiazdy są bardzo złe. Nie można Gwiazd gniewać bezkarnie. Grzeszyłaś Angel.

— A one — Franka wskazała palcem na Lucy. — One nie grzeszą?

Johnnie podniósł obie ręce do góry i wysunął brodę naprzód.

— Pokutujcie — zawołał głosem takim, jakim przemawiał z trybuny. — Pokutujcie, bo nie znacie dnia ani godziny!

— Ty, Angel — szepnęła Lucy — widzisz te ręce? Bez pomocy Gwiazd dam sobie z tobą radę. Zaduszę cię. A i na twego Polaka mam sposoby. Strzeż się!

Franka cofnęła się przed wyciągniętymi, zagiętymi w szpony rękami. Przerażenie odebrało jej mowę.



Viki wkroczył „Pod Kotwicę”. Skinąwszy ręką grającym w strzałki, uśmiechnąwszy się do Josephine podszedł wprost do Nielsona siedzącego na stołku przed bufetem.

— Mr. Nielson niech mi pan powie wszystko co pan wie o Johnnie.

— Viki, Viki, czyś ty zwariował?

— Mr. Nielson, pan sam mówił, że to oszuści. Pan wie o nich.

Nielson potarł dłońmi kolana. Właściciel baru „Pod Kotwicę” był nadmiernie gruby i kiedy siedział, to olbrzymi brzuch zwisał mu między kolanami.

— Co ci się stało?

— Mr. Nielson — Viki przystawił sobie krzesło, siadł obok gospodarza i zaczął innym, bardziej proszącym tonem — pan powiedział, że wie pan coś o nich, o tej kompanii z prorokiem na czele. Niech mi pan powie. Mnie bardzo na tym zależy. Kto on jest, skąd? Jak się naprawdę nazywa? Co to za kobieta ta Lucy? Powiedz pan wszystko.

Scisnął Nielsona za kolano, aż tamten skrzywił się z bólu.

— Prawdę powiedziawszy Viki, to ja nic nie wiem. Ludzie mówią to i tamto. On podobno z miasta, włóczy się z tą sztuką świętą już od trzech lat, a przedtem siedział w więzieniu zdaje się za kradzież, czy coś. Tyle co mówią, tyle wiem. Nic pewnego powiedzieć nie mogę.

— A ona?

— Pewnie jego dziewczyna. Zawsze z nim jest. Inne aniołki zmieniają się, ale Lucy zawsze przy nim.

— A jak się on nazywa?

— Nie wiem, zupełnie tego nie wiem. Spytaj sierżanta Forbesa.

— Pytałem. Albo nie wie, albo nie chce powiedzieć. Póki nic złego nie robią, nie może ich ruszyć palcem.

— Ja ci powiem Viki, udaj się ty do miasta, na ląd, tam zbierzesz wiadomości. Pójdź tam do Jimma, który ma bar na nadbrzeżu, Manilla. Jeśli ten cholerny Jimm czego nie wie, to nikt nie wie. Idź do Jimma.

— Thanks — Viki znowu ścisnął kolano grubasa i powstał.

Podszedł do baru. Josephine podsunęła się jakby wiedziała o co chodzi.

— Jo — zaczął z prośbą w głosie — poradź mi.

— Chodzi znowu o pieniądze — uśmiechnęła się życzliwie ku niemu poprzez ladę.

— Tak i o pieniądze też.

— Ja ci powiem, masz u nas jeszcze 42 funty, odliczając na utrzymanie za tydzień 6 funtów możesz zaraz dostać 34, no powiedzmy nawet 35. I picie — zaśmiała się — na koszt przedsiębiorstwa. *On the house.*

— Ja muszę mieć więcej. Dużo więcej.

— Po co ci więcej. Za tydzień przybija Lewiss. Przez tydzień 35 funtów to i na księżniczkę wystarczy.

— Josephine!

— No dobrze. Zdaje się że rozumiem. Chcesz mieć tyle pieniędzy żeby się ożenić? Co?

— A jeżeli i tak — uderzył dłonią o ladę.

— To szczęście Boże. Wcale się nie dziwię. Samotność Viki to przykra rzecz. Każdy w końcu od niej ucieka. Nie dziwię się.

— Ale poza pieniędzmi potrzeba mi transportu na ląd. I to zaraz.

— Zaraz, to wątpię. Żaden statek już w tym tygodniu nie odpływa. A w taką pogodę nikt cię łodzią nie zabierze. Ale zaczekaj...

Spojrzała w stronę grających w strzałki.

— Hamish — zawołała. — Chodź no tutaj.

— Po co mieszać w to tego dziadygę.

— Zaczekaj. Jak potrafisz z Hamishem się dogadać, to będziesz miał transport i pieniądze. A może i coś więcej. Hamish to dziwny chłop.

— No? — zapytał Hamish. — Stawiasz tubylcom, *foreigner'ze?*

Josephine podsunęła już nalane kieliszki.

— Hamish — powiedziała — właśnie Viki wyraził chęć naprawienia motoru w twojej Mewie. On najlepszy mechanik. Takiego drugiego nie znajdziesz i na lądzie.

— He? — Hamish podniósł czarne oko znad kieliszka.

— Jak chcesz — potwierdził Viki — to obejrzę ten motor. Jeśli dam radę, naprawę. Naturalnie zapłacisz mi, słono zapłacisz.

— He he — zaśmiał się Hamish marszcząc obrośniętą siwo twarz. — Pewnie że zapłacę. Hamish zawsze płaci. Kiedy chcesz zacząć?

— Zaraz.

Hamish wcale się nie zdziwił pośpiechem.

— No to — powiedział — napijmy się pod drugą nogę i chodźmy.

— Dzięki Josephine — skinął Viki ręką ode drzwi.

Przez trzy dni nie było prawie widać ani Hamisha ani Vikiego. Wpadali na szybkiego kieliszka umorusani, w kombinizonach. Hamish miał minę zadowoloną, błyszcząły mu oczy w pomarszczonej twarzy i rzucał w koło triumfujące spojrzenia.

Viki wyglądał na zmęczonego.

— Jak idzie Hamish? — kiedyś wielki Forbes nachylił się poprzez barierę w zewnętrznej przystani i zajrzał do wnętrza przycumowanej tu Mewy.

Hamish wyjrzał i położył brudny palec na ustach. Jednocześnie filuternie mrugnął. Z głębi stateczku prychnął motor. Zrobił kilka taktów i umilkł. Hamish szybko znikł pod pokładem.

Pracowali nawet w sabat.

We wtorek w południe Freddy przyleciał do baru z nowiną, że Mewa zniknęła z przystani. Nie ma jej ani w doku ani obok pomostu. Gdzieś popłynęła.

Podniecenie zapanowało wśród bywalców „Pod Kotwicą”.

Po co, na co? Gdzie? Wieczorem rozważali wszelkie motywy i cele podróży i przyszłość Hamisha, Vikiego i Mewy.

— Może teraz starać się o państwowy kontrakt — powiedział rzeźnik Angus.

— Może — potwierdził MacFergus. — Jakby sobie wziął do pomocy takiego Vikiego, to wożąc pocztę i załatwiając prywatne zamówienia zarobi duże pieniądze.

— Taki Hamish — dziwił się Freddy — wiedział kiedy zreperować swoją Mewę, właśnie wtedy jak się Smithsonowi Queen Margaret zepsuła.

— No powiedzcie — perorował — Angus — ten Viki ma szczęście. Weźmie go stary Hamish do pomocy, bo jak sobie da radę bez niego, bez porządnego mechanika? I chłopak nie potrzebuje tulać się po morzach. Co?

Smieli się wszyscy. Najbardziej śmiał się Forbes, a Nielson z wszystko wiedzącą miną wtórował mrugając do sierżanta.

— Jeszcze się z naszą Josephine ożeni — krzyknął Freddy.

— O co to to nie — zawołała z gniewem.

— Nie chcesz Vikiego? — zdziwił się Angus.

— On ma kogo innego.

— Tę Polkę z cyrku Johnniego? — zapytał Freddy.

Forbes znowu mrugnął do Nielsona.

— Nie bądź taki domyślny — krzyknęła na Freddego Josephine. Ale żał się jej zrobiło nadwornego wesołka i postawiła przed nim kieliszek wódki.

— Wypij za zdrowie Vikiego.

Zrobiło się wesoło i gorąco. Pili za zdrowie Vikiego, Hamisha, Josephine, Nielsona, nawet za zdrowie jasnowłosego aniołka z łodzi proroka Johnniego.

Przekrzykiwali się i klepali.

Na taki hałas i wrzask weszła Lucy. Jak zawsze opatulona w ciemną chustkę, jak zwykle podeszła do lady prosząc o pół butelki brandy.

Wszyscy raptownie ucichli. Lucy rozglądała się dokoła jakby szukała kogoś.

— Co się patrzysz, czarownico — podsunął się ku niej pijany Freddy. Kogo szukasz? Vikiego?

Uderzyła w niego swymi oczyma żmii, ale nie odstraszyła już na wpół przytomnego rudzielca.

— Viki już ho, ho na łądzie! — tykał ją z bliska palcem — popłyną! A jak wróci, to zrobi z wami porządek. Porządek!

Lucy pogardliwie odtrąciła pijaka i chowając butelkę pod chustkę odeszła od lady. Jeszcze od drzwi na wszystkich wyzywające spojrzenie i wyszła.

— Idioto! — Zawołała Josephine. — Pijaku cholerny. Wstrętny plotkarzu!

— O ccco chodzi — jękał się Freddy przerażony.

— Rozwarłeś swoją jadaczkę jak wrota stodoły!

— Ja przecież nic nie powiedziałem.

— Idioto. Ciężki idioto!

— Nie ma co gadać — silił się na trzeźwość Angus — ostrzegł wiedźmę.

— Tak — potwierdził MacFergus — mogą teraz zwiać.

— Nie uciekną przed wysoką wodą — stwierdził Forbes. — Musi być wielki przypływ.

— Masz rację — odezwał się Nielson — tylko, że wysoka woda będzie jutro po południu.

— Jeśli Viki nie zdąży? — załamała ręce Josephine.

— Trzeba ich zatrzymać. Bob — zwrócił się Angus do Forbesa — ty masz prawo ich nie puścić!

— Tak, tak Bob — wołali wszyscy z Josephiną najgłośniej krzyczącą — ty ich nie puść.

— Dajcie mi jakąś prawną podstawę. Dajcie mi powód.

Forbes drapał się strapiiony w głowę.

Trybunę proroka, zbity z dwu skrzynek dziwołag, otoczyło kilkudziesięciu słuchaczy. W tym była co najmniej połowa amerykańskich marynarzy w białych czapeczkach.

Johnnie nawoływał jak zawsze do pokuty, do oczyszczenia serc, do ukorzenia się wobec idącego końca tego świata.

Podnosił ręce do nieba i zamknawszy oczy wystawiał twarz na uderzenia wiatru wiejącego od morza.

— Pokutujcie! Jam jest głosem rozpaczyci! Przygotujcie się na głos trąb archanielskich!

Napis trzymany przez dwa ciemne anioły głosił: To może być jutro!

Marynarze żartowali między sobą pokazując palcami aniołki, przedrzeźniając proroka, śmiejąc się z pogroźek Sądu Ostatecznego.

— Nuda. Zasmarkana nuda — powiedział barczysty mat.
— Chodźcie chłopaki.

— Zaraz — powstrzymał go kolega — popatrz no tylko.
— Hej, hej — zawołało kilka głosów i marynarze razem z resztą sennej publiczności zaczęli przejawiać zainteresowanie.
— Patrzenie! — wołali — Archanioł.

Obok Johnniego na trybunie stała biała postać kobiety. Miała na sobie szatę uszytą z niezbyt czystego prześcieradła. Luźne fałdy tej sukni podnosiła rękami jakby rozpościerała skrzydła.

Archanioł? Nie. Ponad białą suknią unosiła się ciemna, drażniąca głowa Lucy.

Odrącała proroka i stanęła ponad tłumem.

— Widzę! — krzyknęła wyciągając rękę przed siebie. —
Widzę!

Obrócili się do tyłu spoglądając w kierunku wskazywanym przez nią.

Wiatr wydymał morze. Płaskie fale przyływu nacierały na plażę podchodząc aż po ocementowanie nabrzeża. Daleko na morzu czarna pręga idącego sztormu kładła się na horyzoncie.

— Nadszedł czas! Nadszedł czas! — Krzyczała kobieta.

Spojrzeli znowu na nią. Oczy jej paliły się gorączką, ręce podniesione drżały, biała szata łopotała wokół wyprostowanej postaci.

Było w niej coś strasznego, coś nakazującego. Nie wiedzieli o co chodzi, czym grozi, gdzie wzywa, ale kurczyli się wyleknieni.

— Nadszedł czas, gdy słowo trzeba nieść w świat. W świat!

Przekrzykiwała wiatr, wciąż wskazując im kierunek na morze.

I znów popatrzyli do tyłu: chmura niosąca huragan i deszcz zbliżała się jakby tabun koni galopujących po falach.

— Widzicie ten gniew Boży? Widzicie tę groźbę zniszczenia? Zagłada wam, zagłada!

Na jej krzyk straszliwy, od strony portu, od strony Bazy, z głębi uliczek biegli ludzie. Zebrała się ich już prawie setka.

— Koniec wam, zagłada!

Wiatr raptem ustał, zrobiło się tak cicho, że słycać było tylko oddechy tych co nadbiegli w pośpiechu.

Lucy pochylała się nad tłumem, roztoczyła białe skrzydła, potrząsnęła głową, tak że ciemne włosy posypały się po ramionach.

— Ratujcie się... — zawołała wielkim, przejmującym szepcetem, którzy wydał się rykiem katastrofy wiszącej nad nimi.

Pochylili się ku ziemi.

Podniosła się, wyprostowała i pokazała ręką na plażę.

— Spuszczajcie łódź proroka! Już czas!

Obejrzeni się tym razem w kierunku łodzi Johnniego, pod którą fale wysokiego przyływu podchodziły tuż tuż.

— Spuszczajcie na wodę łódź! — wykrzykiwała rozkaz Lucy.

Barczysty mat przełknął ślinę i ruszył grdyką.

— A no cóż, chłopaki, tyle jej możemy zrobić, co?

— *O key!* Dawaj z łodzią w morze!

— Spuszczajcie łódź! — naśladował głos Lucy jeden z marynarzy.

Pobiegli na plażę. Jakby kierował ich tam wyprostowany palec kobiety. Za marynarzami ruszyli inni.

— Łódź na wodę! — krzyczała za nimi Lucy. — Nadszedł czas.

Schyliła się w dół i potrząsnęła odrętwiałym Johnniem.

— Zbudź się, niedołęgo — krzyknęła mu w ucho — odpływam.

Skoczyła ze skrzynki i popchnęła dziewczynę.

— Dalej! Do łodzi!

Biegła przodem ciągnąc Johnniego. Przed nią marynarze zbliżali się już do przechylonego statku. Za nią dwa anioły: Betty i Franka.

— Nie! — Franka stanęła. — Ja nie chcę. Ja nie!

Betty złapała ją za rękę.

— Lucy! — krzyknęła przeraźliwie.

Lucy w mgnieniu oka zrozumiała sytuację. Puściła Johnniego i pobiegła do Franki. Złapała ją w pól i zarzuciła sobie na ramię.

— *No! No! Help! Help!* — wzywała ratunku dziewczyna.

— Bierz Johnniego — krzyknęła Lucy na Betty, ja sobie dam z nią radę.

Rzuciła się ku łodzi, która już ruszała się ponad głowami tłumu jakby ożywiona.

W tej samej chwili sztorm uderzył im w twarz. Lucy niosąca Frankę zachwiała się, ale przemogła wiatr. Johnny ledwo nie upadł, szedł po kamieniach ciężko walcząc z wiatrem, który rozwiewał mu rzadką brodę i białe włosy. Z tyłu pchała go Betty.

Łoskot wiatru, szum deszczu zagłuszył krzyki Franki, wołanie Lucy, pohukiwania ludzi napierających na łódź zsuwającą się ku wzburzonym falom.

Lucy roztrąciła marynarzy. Nikt nie słyszał co krzyczała, nikt nie rozumiał co znaczy rozpaczliwe szamotanie się Franki.

Marynarze złapali je razem i podnieśli wysoko, aż poza burtę. Rzucili do środka łodzi. A za Lucy i Franką podsadzony przez innych znalazł się na pokładzie Johnnie, potem Betty.

— W drogę, w drogę, proroku — wrzeszczeli marynarze, popychając łódź pod wiatr, poza wzburzone fale.

Nie zdawali sobie sprawy zupełnie, że sami już stoją w wodzie, że fala uderza w nich mocząc od stóp do głów.

— Na morze! Na morze!

Po nadbrzeżu biegła wysoka postać. Sierżant Forbes zdążył spóźniony do miejsca niezwyklej awantury.

Biegł szybko, tak szybko, na ile pozwalał bijący w twarz wiatr z deszczem.

Spóźnił się. Kiedy stanął na plaży przemoczeni marynarze wychodzili z morza. Ludzie ocierali z twarzy deszcz i słoną wodę. Śmieli się wesoło.

Na falach o kilkanaście metrów od brzegu kołysała się łódź proroka.

— *Ahoy!* — zawołał Forbes. — Johnnie! Johnnie!

Nikogo nie było widać. Nikt się nie pokazał na pokładzie.

I wiatr nagle ustał. Deszcz padał, ale drobniejszy, schodził na ziemię i morze prostymi strużkami, cichymi, spokojnymi. Burza gdzie się rozplynęła.

— Hej wy tam! — wołał Forbes.

Zaterkotał motor, zabulgotała woda pod rufą. Łódź po mału ruszyła przeciw falom. Wznosiła się i opadała. Oddalała się.

Na pokładzie nie było nikogo.

— Co to było? — zapytał Forbes przemoczonego do nitki Campbella.

— To było coś, człowieku. To było coś!

Forbes złapał młodego Iana Lamonta i potrząsnął nim za ramię.

— Dlaczegoście tę łódź spuścili?

— My? Zapytaj o to marynarzy. To oni. To taki żart amerykański.

Sierżant popatrzył na oddalającą się grupę. Otrząsali się jak psy wyciągnięte z wody, machali rękami w stronę łodzi i żartowali ze sobą.

— Przekłęci *foreigner'*zy!

— Co mówicie, sierżancie? — zdziwił się Ian.

— Nic. Absolutnie nic.



Viki z Hamishem wyptywali z ujścia rzeki, gdy krótki a gwałtowny sztorm o mało nie rzucił ich na mieliznę. Hamish zakręcił kołem i położył Mewę na bok. Kiedy wyprostowali się pod wiatr, spojrzali triumfalnie na Vikiego.

— A co?

Viki kiwnął głową. Sterówka nie była całkowicie oszklona, wiatr hulał po niej, toteż zamiast wysilać się na mówienie porozumiewali się gestami i uśmiechem.

Viki był zły. Był wściekły, ale mimo to swoboda, z jaką mały stateczek pokonywał sztorm i fale, ciął morze i wiatr — napełniała go uciechą. Pod nogami czuł wibrowanie pokładu. Równy i mocno pracował diesel.

W mieście wymienili kilka części, uzupełnili braki, wstawili nowe tłoki i pierścienie i motor gotów był na kilka do-
brych lat wyteżonej pracy.

Viki spisał się dobrze, Hamish promieniał i poklepywał go po plecach przy każdej sposobności. Sam przy tym wyglądał lepiej i młodziej.

Nie, nie ogolił się, nie przygładził sterczących kosmyków siwizny, ubrał się tylko w grubą kurtę żeglarską i nałożył na twarz wyraz radości i zadowolenia.

Nie było tego wyrazu na twarzy Vikiego. Nic mu się nie powiedziało. Jimm z baru Manilla nic mu nie powiedział. Coś tam słyszał, ale wszyscy coś słyszeli, a nikt nie umiał nic określonego powiedzieć.

— On jest Anglik, *Sassenah* — przekonywał Vikiego. — Na pewno Anglik. To oni zjeżdżają się tutaj, aby nas wykoryzstywać. Wszystko co złe to oni. Anglicy.

— Przekłęci *foreigner'*zy. — zawtórował Hamish

— Wiesz przynajmniej, kto to jest ta Lucy?

— Pewnie taka sama jak on. Tylko jedno ci powiem, że to nie wariaci. Trzeba mieć zdrową głowę, aby taki sposób życia wymyślić. Trzy kobiety na niego pracują, a on do góry brzuchem leży. A wszędzie gdzie przyjedzie, to jeszcze na boku zarobi, co mu ludzie głupi do kapelusza wrzucają. Bywa, że stara lady się przejmie jego kazaniem i tłusty czek w rękę wsunie.

— Nie znasz jego nazwiska?

— Nikt nie zna.

— A policja?

— Jak chcesz, idź na policję.

Viki udał się do komendy oddziału portowego. Nie chcieli i może nie umieli mu nic powiedzieć o Johnnie. Znali go jako spokojnego, nie łamiącego żadnych praw wariata.

— Więcej ci o nim lekarz może powiedzieć.

— Ale mnie chodzi o człowieka. Nie rozumiecie, że on dziewczynę niemądrą kołuje? Przecież to zbrodnia. Oszukiwać, okłamywać, nabierać dziewczynę i łamać jej życie. On może ją siłą za sobą pociągnie!

— Jeżeli pan uważa, że dzieje się krzywda, że prawo i porządek na tym cierpią, albo pojedyncza persona, to proszę złożyć zażalenie a my to rozpatrzemy.

Viki wyleciał wściekły z komendy policji.

Parł Hamisha do odjazdu na wyspę, ale nie mógł nic przyspieszyć. Diesel rozebrany na części czekał na obiecane tłoki.

Burza nagle ścisła. Nawet fala deszczu przeszła ponad nimi. Tylko szara, rzadka mgła utrudniała widzenie. Morze leżało przed nimi jak staw otoczony szarością. Płynęli wewnątrz zaczarowanego koła, które kołysało stateczkiem na wszystkie strony.

— Viki — zawołał Hamish — popatrz.

Wyjął zza pazuchy pakiet zawinięty w szmatę i rozwinawszy pokazał.

— Co to takiego?

— Pierwsze potwierdzenie kontraktu rządowego. Całą pocztę będziemy wozić. I nie tylko do nas; na trzy wyspy. Wszystkie trzy wyspy. Będziemy bogaci Viki. Będziemy bogaci.

— Kto: my?

— No jakże ja, ty, Nielson, Forbes, Josephine...

— Jakto?

— To ty nie wiesz, że Forbes i Nielson są współnikami do Mewy? Wykupili mnie, bo trzeba było pieniędzy. Ale to dobre chłopcy. Przeklećcie dobre chłopcy. Oni to wpadli na ten pomysł żeby ciebie przyjąć na mechanika. Jak zechcesz, albo na stałą pensję, albo na współnika. Nic cię Viki nie oszukamy. I nie będziesz potrzebował ciągle pływać. Miesiąc ty, miesiąc ja, a jeszcze weźmiemy majtka do pomocy. Co?

— A Josephine? Też współniczka?

— Hej — Hamish trzepnął Vikiego po plecach — nie udawaj tylko. Z Josephine to ty spółkę zakładasz. Żenisz się z nią chłopie. No nie.

— Nie — Viki potrząsnął głową — nic z tego.

— Nie żenisz się?

— Ani się nie żenię, ani nie pływam z wami. Ja bardzo wam dziękuję za wasze serce, ale to nie dla mnie. Stary Lewiss zabiera mnie na *Last Hope* i odpływam. W świat.

— Viki — Hamish położył mu rękę na ramieniu — jesteś *foreigner* przekłety, cholerny, śmierdzący *foreigner*. Ale ja ciebie lubię. Viki, ja ci mówię, że czas przestać wciąż uciekać. Ucieczka to paskudna rzecz, nie męska. Trzeba stanąć w miejscu i powiedzieć sobie: tu będę walczył i jak kto mnie ruszy to biję. Rozumiesz Viki, biję!

— A jak nie ma kogo bić? Jak dusi tylko powietrze? Wiatr, nic więcej?

— Ja ci mówię Viki, nie uciekaj. A na *Last Hope* zawsze jest czas.

Hamish zakręcił kołem. Z lewej strony ukazało się białe wysokie widmo: latarnia morska.

— Pół drogi, Viki — ucieszył się stary — tak prujemy jak nigdy, Queen Margaret tak nie płynęła. Bijemy ją o dobre dwadzieścia minut. Viki, to jest motor, to jest łódź!

Jeszcze pół godziny płynęli w kole szarej mgły, potem zerwał się wiatr i ją rozpedził. Wzmogły się fale i zaczął siąpić deszcz.

— Jeszcze pół godziny, Viki — cieszył się Hamish.

— Co to za łódź? — spytał Viki patrząc w prawo. O jaki dobry kilometr kotywał się niski, płaski stateczek, dwa razy mniejszy od Mewy.

— Jakiś niemrawa pokraka — zauważył Hamish. — Czekał no, czy to nie łódź tego wariata Johnniego? Tak, to na

prawo ona. Przeklećci wariaci na takiej łodzi kierują się wprost na ocean.

— Łódź Johnniego? — Viki nie mógł wciąż zrozumieć.

— No tak. Dzisiaj wysoka woda, spuścił ją i plynie na ocean. Utopi się. Na pewno się utopi!

— Zawracajmy! — Viki złapał za koło sterowe.

— Gdzie, po co? — Hamish próbował protestować.

— Zawracaj! — wrzeszczał Viki jak nieprzytomny.

Hamish puścił koło. Mewa zakręciła przechylając się mocno. Śruba wyszła z fali, motor zaterkotał.

— Kieruj na nich — zawołał Viki a sam skoczył do maszyny. Mewa za chwilę zaczęła drżeć od wysiłku, motor łomotał coraz szybciej. Łódź Johnniego zbliżała się ku nim.

Viki wyskoczył na pokład. Sam ujął ster i wpatrywał się w cicho sunącą rozłożystą łódź.

— Nie bój się — upewniał go Hamish, dogonimy ich. Mewa by nie prześcignęła takiego starego pudła!

Z każdą minutą łódź Johnniego była coraz bliżej. Widać już było dokładnie pokład, iluminatory, bańki z ropą i wysoką czarno-białą postać przy kole sterowym.

— Frania! Frania! — Viki wołał, choć oba statki dzieliła przeszło stumetrowa przestrzeń falującej wody.

Z początku na pokładzie łodzi nikt na to wołanie nie reagował

— Frania! To ja, Wicek! Fraaania!

Spod pokładu wyskoczyła ciemna postać. Za nią inna. Zaczęły się szamotać w luku.

Wysoka osoba rzuciła koło sterowe i pobiegła do przodu.

— Lucy! Zatrzymaj się, ty cholero! — krzyczał Viki poznawszy sternika.

— Betty do steru — słychać było komendę Lucy — ja ją biorę na siebie.

— Wicek! Wicek! — rozpaczliwe wezwanie dobiegło Vikiego. Straciwszy głowę ruszył do burdy jakby chciał skakać do morza.

— Spokojnie — hamował go Hamish — za minutę dogonimy ich, zacumujemy i porozmawiamy z nimi.

— Wicek, Wicek! — krzyk Franki był coraz wyraźniejszy.

Szamotała się teraz z Lucy, która wpychała ją siłą pod pokład.

Betty przy sterze widząc zbliżającą się wprost Mewę zakręciła w bok i łódź przechyliła się gwałtownie. Franka wyrwała się i rzuciła ku burcie.

Przez chwilę Mewa szła dawnym kursem i przestrzeń pomiędzy łodziami powiększała się w oczach.

— Wicek! — zawołała Franka z rozpaczą i skoczyła do wody.

W mgnieniu oka Viki zrzucił ze siebie kurtkę, kopnął ciężkie gumowce z nóg i dał nura w morze.

Hamish zakręcił kołem sterowym. Mewa zawróciła na miejscu. Okrążyła kotłującą się wodę. Hamish wyłączył motor i pochylił się przez burtę. Za chwilę poleciało do morza koło ratunkowe z napisem Mewa.

— Trzymaj się Viki! Łap za koło.

Jasna głowa Vikiego skakała po falach. Ręka podnosiła się i opadała tnąc pieniste grzbiety. Przy sobie trzymał drugą głowę i po mału, po mału zbliżał się do koła ratunkowego. Ledwo uchwycił za nie, już Hamish zaczął ciągnąć linę.

Jeszcze minuta i już byli na pokładzie. Ociekali wodą, oddychali ciężko. Wpółprzymotna Franca patrzyła z zachwytem w twarz Vikiego.

— Wicuś...

— No już dobrze, Franca, już dobrze.

— Wicuś!

Hamish splunął w morze.

— *Foreigner*'zy mruknął na dźwięk polskiego języka.

Viki sprowadził dziewczynę do kabiny. Otworzył szufladę i wyrzucił swetry, bieliznę, spodnie Hamishowe.

— Wicuś! — Franca podniosła na niego jasne oczy. Nie wytrzymała, wzięła ją mokrą, ledwo dyszącą, w ramiona i całował.

— Musisz się przebrać. Najpierw musisz się przebrać. A te łachy szarpał na niej czarny przyodziewek wyrzucił w morze. Ja — uderzył się w czoło przypomniawszy sobie — ja ci przecież... Poczekaj!

Za chwilę był z walizką w ręku i rzucał na kojkę kolorowe łaszki. Bluzkę, spódniczkę, sukienkę, sweterek, pantofle.

Zostawił to przed zdumioną dziewczyną i sam nie oglądając się uciekł na pokład.

Hamish mrużąc pod nosem włączył motor, ustalił kurs na przystań i stał z ręką na kole.

Viki podszedł do niego.

— Gdzie oni jadą? — zapytał patrząc na oddalający się statek proroka-Johnniego.

— Do piekła — mruknął Hamish. — Takie pudło spróchniało! Cud będzie jeśli do wieczora wytrzymają na oceanie.

— Oni wierzą w cuda, Hamish.

— A ty nie wierzysz?

— Może i ja wierzę — roześmiał się.

— Idź się przebrać Viki, dostaniesz zapalenia płuc.

— Zaraz, Hamish. Zaraz pójdę. Tylko...

Zaszurały za nimi kroki. Z luku wyszła Franca. Miała na sobie żółtą jak jajecznicza bluzkę i niebieską spódniczkę. Twarz oblepiały jej mokre włosy.

— Pantofle były za małe — powiedziała pokazując bosa nogi.

Hamish obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

— Ostatecznie, Viki, możesz się nie żenić z Josephine. Tak — klepnął koło sterowe — możesz się żenić z kim chcesz.

I jeżeli Forbes albo Nielson będą chcieli mnie przegłosować, to im tak powiem, że im w pięty pójdzie. Przekłęci, cholerni *foreigner*'zy. Możesz się żenić z kim chcesz.

— O czym on mówi Wicuś?

— On? Nie zważaj na niego. On tylko chce ci powiedzieć, że masz co jeść i gdzie mieszkać. On daje nam pracę Franca. Daje nam życie.

— Będziemy żyć. Potwierdził Hamish. — Będziemy żyć na całego.

— A bomba atomowa Hamish, a *foreigner*'zy?

— Do piekła z bombą atomową, do diabła z *foreigner*'ami. My będziemy jeszcze długo żyć, Wi... jak ona mówi na ciebie? Wiśusz?

Czesław DOBEK

BANKNOTY DOLAROWE DOSTARCZAMY W POLSCE

W myśl obowiązujących w Polsce przepisów (Rozporządzenie Rady Ministrów z 7-go listopada 1956, Dziennik Ustaw Nr 50 z 12-go listopada 1956, par. 223) każdy obywatel ma prawo otrzymywać efektywne amerykańskie dolary i przechowywać takowe u siebie.

Banknoty dolarowe można legalnie wymieniać na polską walutę po specjalnym korzystnym kursie za dolara w Bankach PKO.

W związku z powyższym uruchomiliśmy wysyłkę banknotów dolarowych w dowolnych odcinkach wg. życzenia naszych P.T. Klientów. Banknoty dostarczamy w specjalnych poleconych listach wartościowych, które wysyłamy bezpośrednio z Anglii.

Koszt wysyłki dolarów do Polski wynosi:

do \$.	25.00	\$.	5.80		
"	\$.	50.00	\$.	7.50	
"	\$	100.00	\$.	8.50	
		za każde dodatkowe \$.	100.00	..	\$.	4.50

TAZAB & Co. Ltd.

Tazab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

NEW YORK, 3
36, Third Avenue,
ALgenquin 4-4161

UWAGA: Zamówienia mogą być przyjmowane wyłącznie z Ameryki, Szwajcarii i Niemiec Zachodnich.

Wiersze

ALBUM SNÓW

10 maja

Czyżbym pomylił dom albo ulicę
 A może schody, choć kiedyś bywałem tam co dzień.
 Zaglądałem przez dziurkę od klucza: kuchnia i ta i nie ta.
 A niosłem nawiniętą na szpuli
 Taśmę z plastiku wąską jak sznurowadło:
 To było wszystko co napisałem przez tak długie lata.
 Zadzwoniłem niepewny czy usłyszę tamto nazwisko.
 Stała przede mną w sukni szafranowej
 Niezmienna, witająca mnie uśmiechem bez jednej łzy czasu.
 I rankiem niebieskie sikory śpiewały na cedrze.

17 czerwca

I już na zawsze zostanie ten śnieg
 Nieokupiony, nieopowiedziany nikomu.
 Na nim pod wieczór zamarza ich ślad
 W godzinie, roku, państwie i powiecie.

I już na zawsze zostanie ta twarz
 Którą deszczowe krople przez wieki smagają.
 Toczy się jedna spod rzęsy do ust
 Na pustym placu, w nienazwanym mieście.

14 sierpnia

Kazali nam zapakować rzeczy, bo dom będzie spalony.
 Zdążyłem napisać list ale ten list był ze mną.
 Złożyliśmy swoje węzélki, siedliśmy pod ścianą.
 Patrzyli kiedy na węzélki kładliśmy basetłę.
 Moi synkowie nie płakali. Powaga i ciekawość.
 Jeden z żołnierzy niósł bańkę benzyny. Inni zdzierali firanki.

18 listopada

Pokazał nam drogę która wiodła w dół.
 Nie zgubimy się, mówił, bo dużo jest światła.
 Przez opuszczone sady, winnice i progi
 Zarośnięte jeżyną, poszliśmy na przełaj.
 A światła, co kto woli, były latarniami
 Olbrzymich świętojańskich robaczków czy planet
 Małych i zniżających się niepewnym lotem.
 Kiedy raz jednak skręcić chcieliśmy do góry
 Wszystko pogasło. I w zupełnej nocy
 Zrozumiałem, że iść nam aż na dno przepaści
 Bo tylko wtedy znowu prowadzą nas ognie.
 Trzymałem ją za rękę, pamięć nas łączyła
 Cieleśna, zgodnych wypraw na łożu kochanków
 To znaczy kiedyś w zbożu albo w gęstym lesie.
 Nisko zahuczał potok, stały usypiska
 Przeróżliwe, koloru księżycowej siarki.

23 listopada

Długi pociąg stoi na stacji i peron jest pusty.
 Zimą, noc, niebo mroźnie podplywa czerwienią.
 I słyszeć tylko płacz kobiety. O coś błaga
 Daremnie, oficera w kamiennym płaszczu.

1 grudnia

Hale infernalnego dworca, z przeciągiem i chłodem.
 Stuk stuk do drzwi, drzwi się otwierają

I ukazuje się w nich mój umarły ojciec
 Ale młody, piękny, ukochany.
 Podał mi rękę. Uciekam od niego,
 Zbiegam po schodach krętych, w nieskończoność.

3 grudnia

Z białą szeroką brodą, w aksamitnym stroju,
 Walt Whitman prowadził tańce w małym dworku
 Którego właścicielem był Swedenborg Emanuel.
 I ja tam byłem, miód i wino piłem.
 Najpierw krążyliśmy, wzięwszy się za ręce,
 Podobni do głazów porośniętych pleśnią
 Puszczonych w ruch. Potem niewidzialne
 Orkiestry szybciej grały i porwało nas
 Szaleństwo płaszać, w upojeniu.
 A taniec ten, harmonii, pojednania
 Był tańcem szczęśliwych chasydów.

14 grudnia

We śnie różnica pomiędzy subiektywnym i obiektywnym znika.
 Jesteśmy i podmiotem i przedmiotem
 To znaczy oglądamy siebie lecącego.
 Poruszałem silnymi skrzydłami, pode mną przesuwały się
 Łąki niebieskawe, łozy, kręta rzeka.
 A oto zamek z fosą a przy nim ogrody
 Gdzie spaceruje moja ukochana.
 Ale wracając musiałem uważać
 Żeby nie zgubić zatkniętej za pasem
 Magicznej książki. Wzbijać się wysoko
 Nigdy nie mogłem a tu były góry.
 Z trudem do szczytu parłem tuż nad lasem
 Rdzawym od liści dębów i kasztanów.
 Tam w ptaki wyrzeźbione na suchym konarze
 Niewidzialna ręka ciskała gałęzie
 Żeby mnie ściągnąć magicznym sposobem.
 Spadłem. Trzymała mnie na rękawiczce,
 Teraz jastrzębia z zakrwawionym piórem,

Wiedźma pustkowi. W zamku podpatrzyła
 Zaklęcia, w książce mojej drukowane.

16 marca

Twarcz niewołana. Jak umarł nikt nie wie.
 Powtarzałem pytanie aż się ucieleśnił.
 I on, bokser, bije w szczękę brygadiera
 Za co buty go depczą. Ja brygadierowi
 Psio patrzę w oczy, mam jedno pragnienie:
 Wykonać każdy rozkaz, żeby mnie pochwalił.
 I nawet kiedy raz posyła mnie na miasto,
 Miasto arkad, pasaży, placów marmurowych
 (A chyba to Wenecja), stąpając po płytach
 W śmiesznych łachmanach, bosi, pod za wielką czapkę,
 Myślę tylko jak spełnić co on mnie polecił,
 Pokazuję przepustki i niosę dla niego
 Lalkę japońską (kupiec nic się nie znał).

24 marca

Jest to kraj z pogranicza Rudnickiej Puszczy,
 Na przykład w bok od tartaku w Jaszunach, między borem
 [Klejwy
 I wioskami Czernica, Mariampol, Halina.
 Być może toczy się tu rzeka Yerres
 Przez ławy zawilców na podmokłych łąkach.
 Sosny-nasienniki, mostki, paprocie.
 Jak faluje ziemia! Nie żeby pękała,
 Ale zapowiada ruchem skóry
 Że potrafi schylić do siebie czubami i obalić drzewa.
 Dlatego radość. Takiej ludzie dawniej
 Wcale nie znali. Ciesz się, ciesz się
 Dróżką, szafasem, wypukłym kamieniem.
 I wody! A w tych wodach co strzelisz utonie.
 Józef pachnie machorką, stoi tu na brzegu.
 — Strzeliłem niedźwiedzia ale przepadł. — Kiedy?
 — Dziś po południu. — Głupcze, patrz tam w beczce
 Płynie twój niedźwiedź. Gdzież tam niedźwiedź. Wstyd.
 To tylko dyszy raniony niedźwiadek.

25 marca

Przez łąki pola w nocy
 Przez łąki pola cywilizacji
 Biegliśmy krzycząc, śpiewając w języku nie naszym
 Ale takim, który ich przerażał.
 Uciekali przed nami, my już dwumetrowe
 Stawialiśmy kroki, trzymetrowe,
 Bezgranicznie potężni, weseli.
 Gasząc światła zatrzymał się samochód: inny.
 Samochód stamtąd. Słyszeliśmy głosy
 W mowie przez nas użytej tylko dla zabawy.
 Teraz nas, podszywających się, popędzał strach
 Tak wielki, że za płoty, palisady,
 Czternaście metrów skacząc sadziliśmy w głąb lasu.
 A za nami pogoń i krzyk
 W dialekcie Scytów albo Longobardów.

3 kwietnia

Wyprawa nasza wjechała w kraje suchej lawy.
 Być może pod nami zbroje i korony
 Ale tutaj nie było ani drzewa
 Ani nawet porostów na kamieniu
 I w niebie bez ptaków, goniąc rzadkie chmury,
 Słońce zachodziło między czarne bloki.

Kiedy powoli, w tej zupełnej ciszy
 W której żadna jaszczurka nie zaszeleściła
 Zgrzytały pod kołami wozów rumowiska
 Nagle spostrzegliśmy stojący na wzgórzu
 Różowy gorset z rozwiniętą wstążką.
 Dalej drugi i trzeci. Więc odkrywamy głowy
 Poszliśmy ku nim, ruinom świątyni.

Czesław MIŁOSZ

CZUWAJMY

Nasz świat z cegieł, z mineralnych żużli.
 Z rowów porowatych rany palą żołnierza.
 Z czarnych rur, z asfaltu, wojen, mordów.
 W rurach ujarzmiamy gaz, wodę, powietrze, a kiedy welon
 Zorzy owiewa nam twarz, płaczymy.
 Ludzkość wciąż jest pełznącą hordą
 Choć napisano Biblię i rozłupano Atom.
 Ile lat potrzeba, żeby wyrósł zdrowy dąb?
 Ile wieków, by kostka wołu nie większa
 Niż centymetr sześcienny wapna
 Uległa zmianom takim jak myśl ludzka?
 Słońce ukazuje zawsze ten sam jeden złoty ząb,
 Od milionów lat, w otwartej szeroko jamie ustnej przestworzy.
 Kiedy wyrośnie drugi złoty ząb? Rząd zębów. Więcej słońc.
 Nie wiemy. Nic nie wiemy co nas czeka
 W wiecznym krążeniu materii i z rąk człowieka.
 Nasz świat niewyspanych żon, elektrycznych kuchen,
 Ciasnych schodów, złego jedzenia.
 Opuszczeni przez swoich z wrogiem szukamy przymierza.
 Nie mamy nigdy czasu na sen, odpoczynek, wciąż działamy.
 Młode dziewczęta noszą na niebieskich kapeluszach stokrotki,
 Groszki barwne, złote pióra trawiastych roślin.
 Malują świeże usta czerwonymi kredkami.
 Potem tak trudno zetrzeć te kredki z piersi
 Włochatych, z gorącą skórą.
 Nasz świat z samolotów prujących przestrzeń, jak drukuje
 Maszyna do szycia płótno modrymi ściegami.
 Zwijamy się, pędzimy bezmyślnie do grobu.
 Nasz świat z okrętów szybkich, jak ekspresy.
 A kiedy zwyczajny biedny człowiek
 Chce z Europy dostać się na kontynent amerykański
 Zabiera mu to więcej czasu, niż Kolumbowi
 Na wolno sunącej skrzyni poruszanej szarymi żaglami.
 Nie ma na myśli cla, choć poborcy czyhają we wszystkich kątach
 Naszego świata, używają radaru, precyzyjnych maszyn. Bronią się,
 Człowieku, przed ich głupimi żartami. Nic nie wiedzą
 Poborcy myśli. Obudzimy ich pewnego dnia,
 Wypędzimy z łóżek zaścielonych jedwabnymi koldrami.
 Nic poborcy myśli nie wiedzą.
 Będą stać po kolana w soczystych trawach
 Z podniesionymi do góry rękami.
 Tłuste szczury wśród rur, cegieł, w namiotach impregnowanych
 Smołą i gumą.
 Staną huty,
 Samoloty, okręty, trzaskać będą automatyczne salwy.
 Nie ma nic bardziej żałośniejszego

Jak rozkraczone ludzkie zwierzę na ziemi.
 Nic bardziej wzniosłego,
 Jak uparty owad rozpięty w kryształowej lupinie.
 Czuwajmy.
 Świat nasz nie zginie
 Choć zginą poborcy nakładający cło na ludzkie myśli.
 W tym tkwi sprzeczność istnienia.
 Lecz szczury wyłęgamy.
 Świat bez szczurów jest czystszy.
 W świecie tym, gdzie rosną w lasach świeże kwiaty,
 Gdzie brat zabija brata,
 Życie jest trudno.
 W świecie tym, gdzie woda jest czysta, jak oddech dziecka,
 Gdzie matka porzuca małą córkę
 Dla spania z innym mężczyzną,
 Życie jest trudno.
 W świecie tym będzie życie jeszcze trudniej,
 Gdzie bogacze umierają z nudów, ludy z głodu,
 A narody, które do dziś dnia nie wiedzą,
 Co to jest godność człowieka,
 Budują statki powietrzne, żeby zasiedlić nicponiami księżyc.
 Zasiedlić i rozhałasować cichą, pożyteczną planetę
 Posyłającą nam światło nocą, aby z dala od cegieł,
 Bulgotających rur, mamrotających żon,
 Wrzeszczących dzieci,
 Rachunków za gaz, chleb, dach nad głową, prześcieradła
 Na których leżymy, okręty, samoloty, mieć chwilę spokoju,
 Tak potrzebną do zastanowienia się, że życie
 Dane nam przez dzięką naturę
 Starszą od wszystkich praw wymyślonych przez mędrców,
 Popsutych przez głupców,
 Zaczyna się w łonie matki i kończy w zimnej ziemi.

Marian CZUCHNOWSKI

CZEKAMY

czekamy na senne marzenia
 w bezsenne godziny nocy
 czekamy
 na
 marzenia
 w jałowy czas
 w chwile gdy nikt
 nie przychodzi
 i nadziei nie ma
 znikąd

czekamy na sen
 w godziny niepokoju
 gdy szarpie nas ból
 gdy cierpimy
 w ciszy
 okrutnej
 dla słabych
 gdy czai się strach
 czekamy sami
 w pułapce
 czekamy na sen
 na śmierć

lecz nie otrzesz po stracie
 gdy stratą jesteś sam
 znajdziesz się na pustkowiu
 bracie
 niezdolny do ruchu
 i na policzkach bruzdy
 same wyślubią twój ślad
 nie otrzesz bracie
 zgubisz się w huku jak we mgle
 nie będzie po tobie też
 niczyich
 uciekaj póki czas
 póki płakać można o zmroku
 i szukać swych śladów
 na twarzy której zarys
 w cieniu drga
 więc nim zginie —
 uciekaj na krańce też
 przed stratą siebie
 której nikt i nic nie wróci
 bracie którym ty jesteś
 i jeszcze — ja

LIŚCIE

jesienią liście nasze schną
 wióry szeleszczą
 a wiatr —
 potrząsa ciałem
 wiotkim liściem
 zamierającym przy podmuchu bomb

(a cóż liść
gdy sadzy deszcz
gdy czarnych ulotek pęk
opada na znak
że —)

liściem żółtym czerwonym
liściem twardym
łamliwym
opłatkiem
życia

(a cóż opłatek
gdy w palcach miazga
skrzydełek motyli molich
śmieszny pyłek
bo —)

jesienią liście nasze płoną
siedmiokrotnie pożarem tęczy
w ogrodzie
w ogrodzie
śmierci

Bolesław TABORSKI

POSZUKIWANIE

Gdzie leżą drogi którymi pojadę?
Skąd prosić chmury lecącego wiatru?
A może dawno minął już dzień startu —
ja niepotrzebnie patrzę w niebo blade?...
Płomień u świecy w różne lata strony.
w książce co chwila zmieniają się treści. —
Przewracam kartki niejasnej powieści
i o północy spać idę znużony.

Slepy, wśród wiedzy zgubiłem kierunki,
staram się zatrzeć samotności blizny. —
Jedno doznanie, to boleść obczyzny,
a w czarze — złudne na mądrości trunki.

Jan KIERYŁŁO

Z naszego rozproszenia

Ślady na "Czarnym piasku (1)"

Piasek na plażach jukatańskich jest srebrny. Z lotu ptaka niemal biały, jak koszule *upil* noszone przez śniade jukatanki. I jest obramowany płomieniem czerwonych liści i kwiatów, jak *kuy*, barwny haft koszule te zdobiący.

Piasek na plażach karibeskich jest złoty. Jak złoto, którego szukali tam hiszpańscy konkwistadorzy i angielscy czy francuscy piraci.

Natomiast na plażach Pacyfiku piasek jest czarny. Jak popiół z wulkanów dymiących nad środkowo-amerykańską kuchnią. Jak popiół życia i wspomnień o nim...



— Sportowa koszula do czarnego ubrania! — Pani Barbara załamuje ręce.

— Bardzo dobra — krzywi się Andrzej, usiłując zawiązać krawat pod wykładanym kołnierzykiem.

„Zyzus’ wskoczył na maszynę do pisania i istotnie zezowatymi ślepiami przygląda się swoim państwu.

By nie parsknąć śmiechem wsadzam nos w szklanekę whisky.

Barbara i Andrzej Bobkowsy wybierają się na przyjęcie do ekskluzywnego klubu *Guatemala*, gdzie dla jedynaka wesele urządza papa, Polak, i z gwatemalskiego ożenku milioner.

Za oknem „szumi dżungla”. Gęste, *maczetą* jeszcze nie tknięte chaszczce, w których ślepo utyka Bobkowskich *avenida*. Między betonowe pudełko eleganckiej willi a jarem, siedliskiem wszelkiego tropikalnego robactwa wciśnięte, stoi „Bobkovo” (2).

(1) Patrz: „Czarny Piasek”, sztuka w 3 aktach, napisana przez Andrzeja Bobkowskiego i opublikowana w „Kulturze” (Nr 11/145, 1959). Cytaty kursywą w tekście są wzięte z tej sztuki.

(2) Patrz opis sceny w akcie 2-gim „Czarnego Piasku”.

Drewniana, przez termity zżerana i trzęsieniami ziemi skrzywiona buda, w której, na pozbawionym frontowej ścianie parterze, jakiś sztachetami od ulicy odgradzony warsztat, a na pięterku — do którego włącz od zewnątrz, po wąskich, drabiniastych schodkach — mieszkanie. Pracownia literacka (Jego) i malarska (Jej). I przytułek dla kotów, które oboje cenią bardziej niż ludzi (prócz Zyzusia zastają tam jeszcze dwa rude kłębuszki piszczące w koszyku). Na ścianach z desek, akwarelki. *Tapczan przykryty indyjską tkaniną, podobną do łowickich pasiaków.* Żelazne ramy, do których sznurkiem przywiązana skóra — czyli modernistyczne fotele. Pękata biblioteczka, w której na pierwszym planie biały komplet „Kultury”. *Otwarta maszyna do pisania* (na której właśnie Zyzuś, wcale nie biały i wcale nie śpiący) i *przysunięte do ściany staroświeckie biurczko rażące swą elegancją*, i na niskim stoliku flacha kanadyjskiej whisky (przemycanej) i paczka amerykańskich papierosów (przemycanych). *Kurzu* nie widzę ale *nieład* zaiste artystyczny.

Andrzej z kolei mocuje się ze sznurowadłami. Najchętniej na przyjęcie poszedłby w swoich wydeptanych oxfordach. Pani Barbara pod światło ogląda nylony. Zyzuś ziewa, obojętnie mija spodek z *mlekiem z proszku „Rosemary”* i idzie spać pod koc na tapczan.

Jestem w gwatemalskim „Bobkowie”.

Do większości polskich pisarzy dostać się można kolejką podziemną, z jednego końca Londynu na drugi. Do innych niemal spacerkiem, do Francji, Włoch, Zachodnich Niemiec, Szwajcarii. Trochę już dalej (i kosztowniej) do tych w New Yorku czy w Kalifornii, w Meksyku czy w Argentynie. Ale ciągle jeszcze w granicach *naszej* geografii, w zasięgu *naszego* słowa.

Bobkowscy jednak wysiedli z emigracyjnego autobusu jeżeli już nie na najdalszym, to na pewno na najmniej znanym przystanku. Jak gdyby w szczerym polu, gdzie diabeł mówi dobranoc, raki zimują i gdzie „kijem nie wypędzisz” wygodnickich snobów, mieszkańców wielkich stolic i „zachodnich cywilizacji”. Na *Czarnym Piasku* w G w a t e m a l i ! Ktoś ich tam kiedyś, z górą dziesięć lat temu, namówił, z ukochaną Francją do rozwodu nakłonił i... by się do nich dostać dwie tylko drogi:

samolotem — znad Chiapas i Petén, meksykańsko-gwatemalskiego pogranicza, przykrytego miękkim dywanem piniowej, deszczowej lub wiecznie zielonej dżungli. Znad wulkanów i garbatego kregosłupa Sierra Madre. Znad blaszanych dachów przedmieść i w szachownicę wytyczonych *avenidas i calles* stolicy na — *La Aurora*, nowoczesne jej lotnisko, z którego już tak-sówką, pod samą skrzypiącą bramką na „8 A” *avenida*. Wygodnie, bezpiecznie i drogo;

lub tak jak ja. Autobusem i koleją do gwatemalskiej granicy, piechotką poprzez nią i dalej indiańskim autobusem do tejsze stolicy, gdzie znowu piechotką przed tę samą bramką. Niewygodnie, niezbyt bezpiecznie i tanio.

(Można jeszcze a la Cortés czy Alvarado, na przełaj przez dżungle i góry. Można łajbą niemiecką z Hamburga do Puerto Barrios. Ale kto dzisiaj ma na to siły i czas?).

— *Guatemala! Guatemala!* — po raz ostatni wykrzyknął kierowca autobusu i pożegnał mnie szerokim uśmiechem, pełnym złotych plomb. Wysiadłem na placu obramowanym drewnianymi straganami, w których indiańskie, przebarwne płótna i amerykańska, potworna tandeta. I z miejsca, nos w nos, wpadłem na indiańską rodzinę.

Na czele kroczył Tata, o szerokiej i płaskiej twarzy Buddy. Na końcu Mama z wyładowanym owocami koszem na głowie i najmłodszym członkiem rodziny w worku na plecach. Między nimi, gęsiego, maszerowała ilość lat ich małżeńskiego pożycia (nie koniecznie sakramentem uświęconego). Mama i dziewczyny owinięte były od pasa po kolana czerwonym płótnem i miały białe *huilip*, bluzki w dziwne desenie haftowane i dziwnie skrojone. Znaczenie tego kroju pojąłem wówczas, gdy Mama wyciągnęła spod rękawa pierś, by nakarmić nią głodnego potomka na plecach. Wszystkie miały długie po pas, grube i czarne war-kocze, przeplatane wstążkami i zakończone wielkimi, kolorowymi kokardami, a na szyi sznury kolorowych świecidełek. Były boso i stopy stawały do środka. I dziwnie kręciły biodrami celem utrzymania w równowadze dźwiganych na głowie ciężarów.

Tata natomiast, wraz z chłopakami, miał na gołych nogach sandały o grubych podeszwach z samochodowych opon; do kolan sięgające spodni, pasiaste niczym nasze łowickie, i owinięte dodatkowo kraciastym szalem; szare *robozo*, wyszywane w czarne wzory nietoperzy lub dwugłowych habsburskich orłów; białą torbę na ramieniu i słomiane *sombrero* na głowie. Poza tym Tata podpierał się jeszcze długą *maczetą* niczym pielgrzymim kosturem.

Przeszli — a ja tak się zagapiłem, że zapomniałem o trzymanym w rękę aparacie filmowym. Ale za chwilę ujrzałem drugie takie stadko, i trzecie i czwarte — a na dodatek jeszcze — wojaka! Wyglądał jak gdyby przywędrował do Gwatemali wprost z Camp de Châlons. Miał spleśzczone, granatowe *kepi* z czerwonym denkiem, granatową kurtkę sięgającą do połowy łydek, czerwone pantalone i szpadę przy boku. Brakowało mu tylko bródki II-go cesarstwa...

Gdy jednak wmaszerowałem za nim na 6-tą *avenida* (której z 5-tą, nowojorską, mylić nie należy) i ujrzałem paradujące po niej dorodne *muchachas*, o śniadej skórze i czarnych wło-

sach obciążonych w najmodniejszy sposób: ze złotymi kolczykami w uszach, złotymi medalionami na głębokim dekolcie, złotymi bransoletkami na gołych rękach i złotymi plombami wśród ukarminowanych warg; drobne i zgrabne, opięte i wypięte — a obok nich „na brzytwę” zaprasowanych *caballeros* o buńczucznych minach, wypomadowanych czuprynach i z obowiązkowym czarnym wąsikiem — stwierdziłem, że nie jestem w żadnym amerykańskim rezerwacie dla Indian, ani na próbie wiedeńskiej operetki — ale w stolicy kraju, na głównej jej arterii.

Była wprawdzie tak wąska jak boczna „strita”, na której mieszkam w Toronto, ale nieprzerwany, jednokierunkowy ruch upodabniał przejście na drugą stronę do wędrówki linoskoczka. Jednopiętrowe domki, z rzadka tylko urozmaicone jakimś nowoczesnym, 3-4 piętrowym „drapaczem”, nie zasłaniały ani słońca ani nieba. Było ciepło, ale pot nie spływał po karku. Byłem w centrum miasta, a przecież powietrze smakowało nie jak zwiertzała *Coca-cola*, lecz jak prawdziwe deserowe wino. Naturalny, gwatemalski *airconditioning* powodował, że czułem się i lżejszy, i młodszy, i weselszy i w ogóle jak po tyknięciu pełnej garści hormonowych pigułek. I było czysto. Nie fruwały z wiatrem stare gazety, w oczy nie pruszyło kurzem, a na chodnikach nie wałały się pudełka od papierosów lub ogryzki *mango*. Sklepy były eleganckie i obficie zaopatrzone w międzynarodową tandetę i luksusy, samochody dobrze reprezentowane przez wszystkie amerykańskie i europejskie firmy, a w głównym kinie dawali film, który widziałem w Kanadzie nie dalej jak rok temu.

Nie łatwo było równocześnie patrzeć na plan miasta (można by na nim grać w szachy), oglądać się za chybottliwymi jak w *mambie* biodrami *muchachas*, omijać kaleki-żebraków leżących w poprzek wąskiego chodnika, opędzać się od sprzedawców biletów loteryjnych i fotografować stadka indiańskich rodzin, człapiące gęsiego przez miasto, niczym po wąskich ścieżkach w górach lub w dżungli. Przebrnąłem jednak szczęśliwie przez ten tak inny, tak kolorowy i tak niezwykle światek, by po godzinie znaleźć się u celu:

przed kołową, drewnianą bramką, za którą stał mały samochodzik, a po ścianie domku pięły się na pięterko strome schodki. Obok przysiadło cementowe pudełko z ozdobnymi kratami w oknach i dzwonkiem przy drzwiach. Sprawdziłem adres. Może to tam? Ale nie. To TU! Zatrząsałem więc bramką i huknąłem:

— *Senior Bobkowski!* — Odpowiedziała mi cisza. Chciałem chałupkę obejść, myśląc, że wejście może z drugiej strony. Ale z drugiej strony był stromy jar a w nim dżungla. Wróciłem więc pod bramkę i głośniejszym głosem: — *Senior Bobkowski!*

Z okna na górze wychyliła się nagle rozwiana, jasno blond czupryna: — *Que pasa aqui?*

...I tak oto do Bobkowskich w Gwatemali trafiłem.

W samym centrum stolicy, na jednej z jej poprzecznych *calles*, tuż koło głównej *avenida*, wielki szyld nad wielką szybą wystawową głosi, że tutaj właśnie jest *Guatemala Hobby Shop*. A co to oznacza wystarczy wraz z innymi, młodymi lub starszymi dziećmi przytknąć nos do szkła i pożerać wzrokiem: te pociągi, tory i stacje kolejowe; fregaty, pancerniki i parowce, żagłówki i motorówki, samochody, ciężarówki, różne *mixery* czy *buldozery*, żołnierzy i armaty, balony i samoloty. Szczególnie zaś te ostatnie. O napędzie gumowym, motorkowym, ba — nawet rakietowym! Cała niemal historia naszego świata. Od lacandońskich strzał z grotami ze szkła *oryginalnych butelek Coca-cola*, po wyrzutnie stratosferycznych pocisków.

W środku, za ladą, dwie małe, czarniawe i leniwe sprzedawczynie, przed ladą klienci w wieku od pięciu do pięćdziesięciu lat, a na półkach i za szklą wszystko co im do szczęścia czy zabawy potrzebne. W tyle sklepu — magazyn. Paki, paczki, pudełka, drewniane półki nimi zavalone i drewniany stolik, na którym stopy papierów i spracowana maszyna do pisania. I twarde krzesło a na nim, nie wiedząc co w tym tłoku robić ze swoimi długimi nogami — Andrzej, *businessman*.

Kariera normalna. Di Pisa, emigranta, poszukującego „własnej drogi” do życia. Dziesięć lat temu (jak my wszyscy — prawie) zaczynał z niczego. *Przeszedł bardzo trudne chwile. Musiał dorabiać się wszystkiego własnymi rękami.* Za psie pieniądze pracował w fabryce, by potem, w domu, z bambusów i gumy kleić i budować swoje samolociki, które kątem, w sklepie z zabawkami sprzedawał. 16 godzin na dobę w ten sposób harował. Aż doczekał się dojścia do władzy gwatemalskich komunistów, którzy pewnego dnia, pod pretekstem, że Gwatemala ciągle jeszcze znajduje się w wojnie z Niemcami (znajduje się w niej i do dzisiaj), upaństwowili całą niemiecką własność. A że właściciel sklepu z zabawkami był Niemcem — więc i Andrzejowi groziła utrata kilku lat ciężkiej pracy. Nocą, tylnym wyjściem, wyniósł ze sklepu co mógł i chcąc nie chcąc z chałupnika zmienił się w businessmana. Na spółkę z bogatym, gwatemalskim już fabrykantem perfum (!) założył swój *Hobby Shop* i... ile jest wart dzisiaj??? Drapie się w blond czuprynę i śmieje pod nosem. Może z kilkanaście tysięcy (dolarów oczywiście)...

Podstawą tego businessu jest *hobby* samego właściciela — czyli modele samolotów. Zna się na nich jak nikt inny w Gwatemali i mało kto gdzie indziej. A że jest z natury sportowcem więc też modele nie tylko sprowadza, sam buduje i sprzedaje — ale rozpowszechnia również w kraju sport modelarski. Założył *Club Areomodelista Guatemalteco*, który dzisiaj, pod fachową już tylko opieką Andrzeja, stał się niemal instytucją narodową. Ma licznych entuzjastów i możliwych protektorów. Ma dobrą pra-

sę, jest „snobistyczny” (co w Gwatemali bardzo ważne) i znany w całym świecie modelarskiej międzynarodówki. Sam założyciel opowiada skromnie jak to przed kilku laty brał udział w międzynarodowych zawodach modelarskich w Szwecji.

(— Nie, nic nie zdobyłem, ani żadnego miejsca nie zająłem. Zawiniło zimno, od którego tutaj zupełnie odwykłem. Początkowo miałem nawet dobre miejsce, ale pogoda się popsuła, ręce zmarzły — a z modelami wiadomo, trzeba ostrożnie delikatnie...).

Dzisiaj pod blond czupryną rodzą się nowe projekty. Szybownictwo. W Gwatemali zupełnie nieznane — a przecież warunki terenowe są świetne i tylko z drzewem na szybowce będzie kłopot, bo w całej Ameryce nie ma odpowiedniego i trzeba je aż z Europy sprowadzać.

Andrzej businessman klepie na maszynie *invoice*, rozwodzi się nad gatunkiem i cenami sprowadzanego ze Stanów lub z Europy towaru, od czasu do czasu wsadza nos do sklepu, by podgonić leniwe sprzedawczynie — i tylko szuka okazji, by po literacku, po krakowsku czy warszawsku, wyskoczyć do kawiarni na jedną czarną i pogawędkę z biznessem nie mającą nic wspólnego.

Andrzej-sportowiec reperuje potrzaskany na zawodach model samolotu, marzy o fruwananiu nad gwatemalskimi wulkanami z dumą chwali się jak to niedawno, na sto metrów, pobit o 20 lat od siebie młodszych pływaków gwatemalskich. I widzę, że zazdrości mi mojej włóczędzy, że gdyby nie ten business (który jest pretekstem) i zdrowie (które jest rzeczywistością) i o którym nie chce mówić, chętnie by poszedł ze mną w góry i dżungle Środkowej Ameryki.

Andrzej-pisarz? Właśnie ukończył pierwszy akt *Czarnego Piasku*. Ale o tym później, nie tutaj, w sklepie czy w kawiarni.



Jest sobota.

Właśnie powróciłem z kilkudniowej wyprawy w nieprawdopodobny świat. Jestem naszpikowany wrażeniami, zachłyśnięty widokami i pijany górkim powietrzem. Najpierw było jezioro-bajka: Atitlan, o którym już Huxley pisał, że przekracza granice możliwego pojęcia o malowniczości. Z trzema nad nim stożkami wulkanów, z zielonymi piniami przeglądającymi się w granatowej wodzie, z wioskami indiańskimi wokoło i turystyczną Meksyką — Panajahel przylepioną między jeziorem a stromymi zboczami. Luksusowe hotele kąpiące się w kwieciu rozmaitym, z przystaniami, motorówkami, barami i małpkami w klatkach — i gliniane chatki, otoczone kamiennymi murkami, czółna wystrugane z jednego pnia drzewa i warsztaty tkackie z epoki piastowskiej. Zgrabne Indianki w czerwono-biało-czarnych strojach, wielkich turbanach, kokardach, świecidełkach, często półnagie,

podniecająco ruszające biodrami, stawiające do środka bosc stopy, niczym Greczynki dźwigające na głowach gliniane dzbany z wodą i uśmiechające się uśmiechem Mona Lizy — i amerykańskie turystki, podkaszane, szminką wysmarowane, hałaśliwe, rozczochrane i szczyrzące zęby spod obiektywów aparatów fotograficznych. A potem było Miasto Pokrzyw, Cziczikastanango. Górskie, po fantastycznych, krew mrozących i żołądek wywracających serpentynach tylko dostępne, gniazdo Majów. Z pogańskimi szamanami palącymi kadzidło na stopniach katolickiego kościoła, z starożytnymi bożkami czczonymi jeszcze na górskich uroczyskach, z największym w Środkowej Ameryce indiańskim rynkiem, na który dwa razy na tydzień schodzi z gór tysiące Indian. Typy i stroje trudne do opisanie. Orgia barw, tkaniny, owoce, jarzyny, kwiaty, potworne maski i prymitywne zabawki — wszystko zmieszane na straganach i w przejściach między nimi. Dym z szamanowskich kadzideł i opary gorzałki. Książd z progą plebani pobłażliwie obserwujący pogańskie praktyki odprowadzane przed wrotami Bożego Domu, pijący pokotem leżący na wąskich chodnikach i nieustający warkot bębnow i pisk piszczałek przygrywających przed „prywatnymi” kapliczkami miejscowych „świętów”. Inny świat. Inni ludzie. Inne kolory. Po opuszczeniu go wydaje się snem, bajką, fantazją...

Nazajutrz mam lecieć do Tikal, sławnych ruin majowskich, stosunkowo niedawno odkrytych w samym środku niedostępnej, gwatemalskiej dżungli i ponad 240 stóp wysokimi piramidami pnących się do nieba, siedziby wszystkich życiodajnych bóstw. Cieszę się więc, że dołączę je do mojego kompletu oglądanych już piramid egipskich i meksykańskich, i *ziguratów* babilońskich. Przedwcześnie. Na 28 miejsc w samolocie znalazło się tylko 16 chętnych turystów (wiadomo, nie sezon). Lot więc odwołano a ja zostałem na lodzie.

Uratował mnie Andrzej.

— Po południu jadę samochodem do Puerto Barrios, nad Atlantyk, gdzie urzędnicy „United Fruit Co.” mają własny klubik modelarski. Jutro urządzają zawody, na które zaprosili mój gwatemalski klub. Niech się pan ze mną zabierze (jesteśmy jeszcze „per pan”).

Nie potrzebował dwa razy zaproszenia powtarzać.

Ale teraz czekamy w sklepie na klubową delegację i mamy kłopot. Modelarze bowiem obrazili się, że Amerykanie w swoim zaproszeniu nie wspomnieli nic o noclegu czy wyżerce. I wobec tego narodowa duma gwatemalska poczuła się dotknięta. Lekceważenie! — orzekli i zatelefonowali, że chyba nie pojedą. Co raz bardziej narastająca w łacińskiej Ameryce niechęć (lekkomyślnie) do *Norteamericanos* wyładowuje się nie tylko w donośnym krzyku, by Stany Zjednoczone wwniosły się z Kanału Panamskiego, by „United Fruit Co.” skakała tak jak ten czy tamten rząd Środkowo Amerykański na swojej narodowej ma-

rimbie zagra, i by Waszyngton dawał jeszcze więcej dolarów bez pytania się na co, po co i komu. Wyładowuje się również na co dzień, w przekonaniu (nie zawsze słusznym), że *Norte-americanos* „per nogam” traktują swoich południowych sąsiadów.

Andrzej jest wściekły. — Gówniarze! — stwierdza. — Zaproszono ich grzecznie i po przyjacielsku, a oni chcieliby jeszcze, by samolot po nich przysłano, diety dzienne zapewniono, whisky i dziewczynki dodano... Obaj jesteśmy pewni, że Amerykanie przyjmą gwatemalskich modelarzy jak najgościnniej — ale jak to wytłumaczyć młodym chłopakom, nاپuszonym nacjonalizmem i przesiąkniętym propagandą???

Czekamy. Modelarzy nie widać. — Jak za godzinę nie przyjadą, pojedziemy sami! — pieni się Andrzej. — Przyjąwszy zaproszenie nie wypada nie stawić się na zawody. Jesteśmy poważnym klubem, znanym za granicą... Pojedziemy sami, a ja potem machnę na nich ręką. Zrezygnuję. Beze mnie w pół roku rozleca się.

Dłubie coś jeszcze, klei i przykręca przy modelu, który ma brać udział w zawodach, i rozmowa schodzi na Gwatemalczyków:

Weseli, gościnni, przyjacielscy — owszem, ale równocześnie leniwi i nie wytrwali. Gdy konkurencji zaczyna lepiej iść — Andrzej zaciera dłonie. Wie z doświadczenia, że im lepiej, tym prędzej konkurencja spocznie na laurach, splajtuje, a klienta przejdzie do niego. Daje przykład: gdy polskie małżeństwo (z Dipisów) założyło domową fabryczkę polskich konfitur, rychło cała Gwatemala palce po nich oblizywała. Gdy jednak małżeństwo dorobiło się, kupiło *finkę* (farmę) a konfiturowy interes sprzedało miejscowym — w pół roku go położyli. Nikt nie chciał jeść świństwa przez nich produkowanego... A do tego jeszcze „dorabianie się na boku”. Gdy wybudowano wspaniały stadion sportowy, na którym w 1950 roku odbyła się Amerykańska Olimpiada — cała dzielnica pięknych willi wyrosła z materiałów przeznaczonych na ten stadion... Gdyby nie Amerykanie i Europejczycy różnie by w Gwatemali było. „United Fruit Co.”, państwo samo w sobie, zapewnia główne dochody kasie rządowej. Robotnicy pracujący na jego plantacjach są najlepiej płatni a gdy czasem trzeba, by „dla dobra państwa” (czyli wymuszenia od UFCO więcej dolarów lub koncesji) strajkowali, rząd musi posyłać do nich agitatorów, sami bowiem strajkować nie chcą! Niemcy, posiadający w Gwatemali największe i najlepsze plantacje kawy, zapewniają główne kontakty handlowe z Europą. Prywatni przedsiębiorcy i tacy jak Andrzej kupcy prowadzą trwałe interesy, oparte na ciężkiej pracy (której tuziemcy nie lubią) i zdrowych podstawach (których tu nie doceniają), a inżynierowie (jak np. Polak Muszyński) budują domy, które nie walą się już przy byle jakim trzęsieniu ziemi...

Co te kontrasty spowodowało? Kto winien? Klimat? Temperatura ludności? Łacińska kultura. Indiańska krew w żyłach???

Ta ostatnia może szczególnie.

Znowu przykłady z rękawa Andrzeja: rząd, w ramach przydzielania ziemi indiańskiej ludności, podzielił plantacje kawy między mieszkańców *pueblo*. Indianie kawę zebrali i za te dosłowne z drzewa (a raczej z krzaka) spadłe pieniądze poczęli taksówkami jeździć do stolicy i tam skupować lodówki, odkurzacze, żelazka elektryczne — do *pueblo* nie posiadającego elektryczności! Gdy pieniądze się skończyły, krzewy kawowe wycięli, a na ich miejsce zasadzili kukurydzę... A Indian w tym kraju liczącym 3 i pół miliona ludności — jest trzy miliony!

I dalej:

— *Ten mały kraik — przez małe „k” — jest na jednym z pierwszych miejsc w światowej statystyce eksportu kawy i ilości zabójstw na sto tysięcy mieszkańców. Jedno więcej, jedno mniej — nikt się nie będzie o to specjalnie martwił. Tu jest jeszcze wolność... I dlatego wszystkiego kocham ten kraj i tych ludzi! — Andrzej rozchmurza się. — I nigdzie indziej nie chciałbym już żyć.*

Modelarze zjawiają się z godzinnym opóźnieniem. Na wydłownej popołudniową *siestę* ulicy, przed sklepem, następuje gwałtowna wymiana zdań. Andrzej czerwony na twarzy, z rozwianą wikingowską czupryną, gorujący nad chłopakami o blisko dwie głowy, macha rękami jak wiatrak i ruga ich po hiszpańsku. Aż miło słuchać, choć nic nie rozumiem. Chłopaki kręcą się jak na różnie. Spoglądają na Andrzeja krzywo i spod oka. Coś tam z cicha i niepewnie pod czarnymi wąsikami bąkają. Prezes klubu, autentyczny ponoć hiszpański hrabia, wyglądający na fryzjerskiego praktykanta, zadziera do góry nosa i jest najbardziej obrażony. A że jego jest samochód którym chłopaki mają jechać — więc... Na koniec argumenty i groźby Andrzeja przeważają. Bądź co bądź chłopaki tylko się nacjonalistycznie dąsali, chcieli pokazać Andrzejowi, że im na Amerykanach nie zależy — w rzeczywistości jednak każdy chciał jechać.



Niegdyś, za hiszpańskich, „kolonialnych”, jak to się dzisiaj modne nazywa, czasów, droga znad Atlantyku i Karibejów do wnętrza państwa Rycerzy Santiago i ich stolicy: „Najwierniejszego i Najszlachetniejszego Mias’a”, wiodła przez Rio Dolce i Lago Izabal, u podnóża strzegącego jej przed piratami Castillo de San Felipe de Lara i dalej, przez dżungle i góry, na murach lub na plecach indiańskich tragarzy. Monopol na nią dzierżyli oczywiście Hiszpanie. Ich „Srebrna” czy „Złota” flota wywoziły z kraju wszystko czym można było wypełnić pozbawione dna skarbcze Świątobliwego Króla Jegomości i jego wiernych (w łupiestwie) *grandów*. Wzamian przywożąc z Hisz-

panii wino i oliwę, bez których życie doczesne konkwistadorów byłoby trudne do zniesienia; świątobliwych mnichów, bez których życie duchowe wiernych byłoby narażone na wieczne potępienie; poborców podatkowych, bez których hiszpańskie zdobycze nie warte byłyby zachodu, oraz piękne *donie*, mające zapewnić ciągłość hiszpańskiego w Ameryce Środkowej panowania.

Po przeprowadzeniu Hiszpanów (w 1821 roku), złote środkowo amerykańskie jabłko a z nim szlaki komunikacyjne i handlowe zagarnąć chciała zarówno kolonialna Anglia Królowej Wiktorii, jak i amerykańscy awanturnicy w rodzaju Williama Walkera „*El ultimo filibustero*” czy *Commodore* Vanderbilta. Po latach krwawych walk, zaciętych targów i nie przebierającego w niczym kupczenia, ostatecznie zwyciężył nowoczesny już „Coca-cola-nializm” i jego główny na tym terenie przedstawiciel: „Uniter Fruit Company”.

Na miejsce opuszczonego Castillo de San Felipe powstał nad Atlantykiem Puerto Barrios prywatny port UFCO. Zmudną drogę przez góry i dżungle zastąpiła prywatna kolejka tejże UFCO, łącząca Puerto Barrios ze stolicą Gwatemali. Złoto i srebro, z których Hiszpanie kraj niemal zupełnie wypaproszyli, zastąpiło „zielone złoto” — owoce. Banany, ananasy, pomarańcze, hodowane na olbrzymich plantacjach UFCO i setkami tysięcy ton wywożone do Stanów Zjednoczonych przez „Białą” flotę UFCO.

Głównym celem kolejki był oczywiście transport owoców z plantacji do portu. Cudze towary i pasażerów brała z łaski, licząc sobie za to tak słońco, że sprowadzenie towaru z Europy do gwatemalskiego portu kosztowało mniej niż przewiezienie go dalej, kolejką, do stolicy kraju. Przez kilkadziesiąt lat monopol ten funkcjonował jeszcze sprawniej niż jego hiszpański prototyp. I był tak umocniony w terenie, że potrafił szybko zlikwidować hitlerowskie (najpierw) i komunistyczne (potem) zamachy na swój stan posiadania. Postęp dotarł jednak w końcu i do Gwatemali — a wraz z nim uświadomienie, że jedyne w tym kraju „okno na świat” nie może już dłużej pozostawać w prywatnych rękach. Jednym z pierwszych więc czynów pokomunistycznych rządów w Gwatemali było rozpoczęcie budowy szosy mającej połączyć stolicę i centrum kraju z jego atlantyckim wybrzeżem i tym samym uniezależnić od monopolu UFCO handel z Zachodnimi Stanami Zjednoczonymi, Zachodnimi Indiami, Europą i Afryką.

Drogą tą właśnie jedziemy z Andrzejem — i stąd ten objaśniający wstęp.

Po gładkim jeszcze asfalcie przebijamy się przez góry, wyrąbanymi w nich kanionami, w które co raz wałą się kamienne lawiny, tarasując drogę i grożąc wypadkiem. Gubimy się na jakichś niczym nie oznaczonych objazdach, omijających nie wykończone jeszcze mosty. Wreszcie wpadamy w zieloną dolinę

ciągnącą się aż po wybrzeże Oceanu. Początkowo ruch na szosie dosyć duży. I osiedla wokoło, i uprawne polećka i wielkie plantacje. Białe kościółki wśród palm i przydrożne zajazdy z charakterystycznym wokół nich tłumem. Rychło jednak wszystko to się kończy — wraz z asfaltem, którego tu jeszcze nie położono, wraz z ludnością, która tu jeszcze za drogą nie dotarła, wraz z ruchem kołowym, który się tu jeszcze nie rozkręcił i wraz z półkami, których jeszcze nie zdołano wykarczować w dżungli, która nagle stoczyła się z pobliskich wzgórz i objęła drogę swoimi zielonymi ramionami.

Zapada noc. Na niebie zapalają się wielkie, południowe gwiazdy i równocześnie w samochodzie gasną światła drogowe. O naprawie ich w tym bezludziu nie ma mowy. Jechać więc musimy dalej na krótkich, miejskich światłach. A że równocześnie zaczynają się dziury i wyboje więc czujemy się istotnie jak na włóczegowskim szlaku.

Z obu stron drogi pcha się dżungla. Nieprzebyte gąszcz splątany lianami, dyszący wilgocią, szeleszczący pióropuszcami palm. Wszystko co w nim żyje świeci wielkimi oczyma, bezkształtnym cieniem przebiega drogę, przeraźliwym wrzaskiem przerywa ciszę. Od czasu do czasu makabryczne oświetlenie. To płoną karczowiska. Włochate pnie palm niczym gajzery buchają iskrami tłącendo się w ich środku ognia. Jak leniwe węże wiją się płomienie trawiące wilgotne chaszczce. Za dwa, trzy lata będą tu już plantacje, pola kukurydzy, osady. Chwilowo jednak jesteśmy sami na tym niewykończonym i bezludnym, ostatnim odcinku drogi.

— To jest życie! — Andrzej zsunął cyklistówkę na tył głowy. — Dżungla! — marzy na głos.

— Ma ją pan przecież tuż za oknem, w swoim „Bobkowie”.

— Ech... Wie pan, jak to jest. Brak czasu, praca, choroby... Kiedyś gdy jeszcze mogłem, łaziłem w góry, zaglądałem w kraterzy wulkanów. Wspaniałe wycieczki, cudowne widoki. Teraz... jeżeli się ruszam to do New Yorku, Paryża, Sztokholmu czy nawet Panamy. Wygodnie... A na miejscu, na dwa lub trzy dni najwyżej z żoną nad Pacyfik, do eleganckiego pensjonatu, wylegiwać się na czarnym piasku i z rewolweru strzelać do rekinów baraszkujących na fali i nie pozwalających się kąpać w morzu. (Tu następuje dłuższy wykład lubującego się w broni Andrzeja, na temat różnicy między rewolwerem a pistoletem).

— A przecież kocham ten kraj! (powtarza raz jeszcze, nie ostatni). Może to nie jednego rodaka oburzy, ale tak naprawdę jest. Nigdzie indziej nie chciałbym już mieszkać, nigdzie indziej już tak mi się podobać nie będzie. Co za wspaniały klimat, powietrze, krajobraz, kolory... W pół dnia można przejechać znad czarnego piasku nad Pacyfikiem na złoty piasek nad Atlantykiem. Poprzez lianami splątane dżungle, po pod palmami obwisłymi włochatymi kokosami, przez gąszcz bananów rosnących

wbrew naturze do góry nogami, przez sztywne plantacje ananasów, i na wietrze zsumiące pola trzciny cukrowej. Poprzez wysokie góry porośnięte piniowym lasem, w którym szyszki żółte, jak świecidełka na choince. U stóp wulkanów przeglądających się w cudownych jeziorach lub dominujących nad zniszczonymi przez siebie osiedlami. Poprzez wyżyny zielone plantacjami kawy lub złocące się polami pszenicy i kukurydzy. Pod tropikalnymi *mango* i *papajami* i pod swoiskimi śliwami i jabłoniemi... Gdzież indziej znaleźć można coś podobnego na tak krótkim odcinku drogi???

...Gdyby tylko nie ludzie! Ale i do nich mam sentyment. I do nich można się przyzwyczaić i oni w końcu przestają razić — swoim lenistwem, bałagaństwem. Tyle, że zrobili ze mnie rasistę! Dopiero tutaj oceniłem wartość swojego „północnego” pochodzenia. („*Ja nie jestem rasistą... Ale ja czarnych wnuków nie chcę... ja nie mogę... ausgeschlossen, pan rozumie? Nie, pan nie rozumie...*”).

Andrzej zaciąga się powietrzem nasyconym już morską solą. Działa nań jak narkotyk. — Dżungla! Zawsze o niej marzyłem. Od najmłodszych lat. I oto ona...



Łyską wreszcie świątelką. Droga poprawia się. Dżungla się kończy. Posterunek policji gdzie zapisują nasze nazwiska i numer samochodu — i już Puerto Barrios. Mającą jakieś drewniane budy. Snopami światła i wybuchami wrzasków reklamują się portowe knajpy. Na ulicy widać jakieś zataczające się cienie. Marynarze, pijacy, prostytutki. O drogę do hotelu nie warto, a i niebezpiecznie pytać. Wreszcie zręście oświetlony plac, wokół którego drewniany balkon i knajpy nań wychodzące, a w środku boisko koszykówki, na którym właśnie emocjonujący widzów mecz — a naprzeciw olbrzymia, krzywa i drewniana buda, owinięta w przeciwmoskitową siatkę. „*Hotel Norte*, jak wszystko tutaj — własność „United Fruit Co.”. Sławny karibejski zajazd, który na międzynarodowych szlakach przyrównać można (pod względem sławy tylko) do dawnego, brytyjskiego jeszcze *Shepherda* w Kairze, i któremu meksykański *Del Prado* czy panamski *El Panama Hilton*, mimo luksusów i turystycznej reklamy — nawet do pięt nie dorosły. *Hotel Norte* — knajpa i przystłek dla prawdziwych obieżyświatów, w którym prędzej czy później każdego można spotkać, kto w ten czy inny sposób związany jest z Karibem, Indiami Zachodnimi i całym wybrzeżem Ameryki, od Miami po Rio de Janeiro.

Buda istotnie fantastyczna. Skrzywiona, trzeszcząca, od wewnątrz zżerana przez termity, od zewnątrz cięta przez moskity, smagana wiatrem, śmierdząca solą morską, rybami i flitem, odgradzona od świata siatką. Luksusu nijakiego. Amerykański turysta ucieka stąd po jednej nieprzespanej nocy w wytworne

objęcia snobizmu nowoczesnych hoteli. Ale za to atmosfera... Kolonialno-tropikalna. Czuć przygodę, awanturę, rewolucję. Przy stolikach na sali jadalnej czy w trzcinowych fotelach w niewielkim barze, obok urzędników UFCO i businessmenów z New Yorku siedzą jakieś typy mogące być zarówno handlarzami bronią lub żywym towarem, agentami Fidel Castro lub Nikity Chruszczowa, czy też po prostu ochotnikami na tę lub inną rewolucję. Filibustierzy XX wieku. Włóczędzy (jak ja), pisarze (jak Andrzej), romantycy lub cynicy. Po angielsku wygoleni lub po kubańsku owłosieni. Po europejsku wyelegantowani lub po amerykańsku rozmamłani. Opaleni jak traperzy lub bladezi jak kryminaliści. Dziesięć języków, pięćdziesiąt typów... I brak tylko międzynarodowych kokot — ale te w Puerto Barrios niewielkie miałyby pole do popisu. Czarne, zgrabne, w kuse i obcisłe perkaliki wciśnięte, pachnące tanimi perfumami i oliwą, zawsze uśmiechnięte i „egzotyczne”, miejscowe piękności wystarczająco umilają gorące noce marynarzom i obieżyświatom.

W białe kitle odziani czarni kelnerzy roznoszą napoje i potrawy. Na stoliku butelka sosu *Worcester* — bez którego żadna, szanująca się, kolonialna knajpa nie może się obyć. W powietrzu wilgotny upał.

Andrzej jest rozpromieniony. — Podwójne whisky z sodą? Oczywiście! Najwspanialszy trunek. Na zmęczenie, na upał, na samopoczucie... Muszę tutaj z żoną na dłużej przyjechać. Co za nastrój!

Mam już do czynienia nie z businessmanem czy obserwatorem miejscowych stosunków, ale z pisarzem. Fantazja literacka bierze górę nad wszystkim...

I wreszcie weranda opasująca cały budynek, drewniana, koślawa i siatką otulona, i pokój przy niej, mały, duszny, śmierdzący flitem, brzęczący komarami, i szum morza tuż zaraz, za siatką, i zimny prysznic w jedynej na cały balkon łazience, i zasłużony spoczynek.

— Pisz pan coś? — pytam, naciągając prześcieradło na nos, bowiem już jakaś brzęcząca bestia zdołała mnie uciąć w policzek.

— Piszę! Sztukę. Pierwszy akt mam już gotowy. Temat? Emigranci na tutejszym terenie. Jest Żyd — rasista i Murzyn kolonialista (chce emigrować do Anglii — czyż to nie typowy przykład kolonializmu?), jest sentymentalny Polak i praktyczny Francuz. Jest romans (bo być musi), komedia (bo w takim towarzystwie o nią nie trudno) i dramat (bo o niego jeszcze łatwiej). Jest rzeczywistość polska (w wydaniu tych, którzy z kraju dzisiaj przyjeżdżają) i rzeczywistość środkowo-amerykańska (w wydaniu tych, którzy strony te pokochali)... Zresztą, z pisaniem nie spieszę się. Piszę wówczas kiedy mi się chce. Nie często. (To był maj. *Czarny Piasek* ukazał się w listopado-

wym numerze „Kultury”. Śmiem sądzić, że ta nasza wycieczka do Puerto Barrios i ta nocna rozmowa w *Hotel Norte*, ten nastój i te wrażenia, spowodowały, że po powrocie Andrzej ukończył swoją sztukę szybciej niż poprzednio myślał.

Tuż za werandą szumi morze. Miarowo, usypiająco i podniecająco równocześnie. Poprzez ten szum nagle dobiega piosenka śpiewana przepitym głosem. Znajoma??? Zamykam oczy i zdaje mi się, że jestem gdzieś indziej. Nie w Gwatemali, nie w Puerto Barrios nad Karibem i nie w *Hotel Norte* z Andrzejem Bobkowskim — ale, o kilkanaście lat młodszy, w... Marynarze niemieccy, ze statku hamburskiej linii, przywożącego do Gwatemali „Volkswageny” i inne niemieckie wyroby wzamian za kawę i owoce, pijani oczywiście, oblapujący w białe, perkalikowe sukienki wciśnięte, czarne i gorące jak tropikalna noc dziewczyny — śpiewają piosenkę hitlerowską.

— Marynarze i prostytutki — śmieje się Andrzej. — To tutejsza ludność. Urzędy UFCO i burdele, to tutejsze instytucje... Te ostatnie zresztą to pogrobowce epoki, która w Europie już się skończyła, ale w Gwatemali jeszcze trwa. Kraj jest rolniczy więc i więzi rodzinne są daleko mocniejsze. Zaręczyny na przykład istnieją jeszcze w dawnym tego słowa znaczeniu i porządna panią kładzie się z mężczyzną do łóżka dopiero po ślubie. Aby jednak nagromadzone namiętności mogły się jakoś legalnie i bez niczyjej krzywdy wyładowywać, są burdele... Pamiętam, gdy je we Francji zamknięto, wraz ze szwagrem włożyliśmy czarne krawaty. Na znak żałoby. Nie za instytucją ale za epoką, która tam bezpowrotnie schodziła do grobu... (*...gdy dwa lata temu rozebrano pociąg-widmo i uprzątnięto resztki, upiliśmy się z rozpaczy, a mnie wydawało się, że zburzono mi Notre-Dame...*)” czytam dzisiaj w *Czarnym Piasku* i słyszę echa owych z Puerto Barrios wspominków).

— ...Przyjaciele koniecznie namawiają mnie bym się przeniósł na stałe do Nowego Yorku (znowu skok, zmiana tematu, myśli na gorąco w tej karibejską, czarowną noc wypowiedane). Ale ja nie chcę. Dobrze mi tutaj i już do końca pozostane (*...W życiu każdego z nas istnieje jakaś granica. Dochodzimy do niej i nagle słyszysz jakby cichy „klik” — jakby coś zaskoczyło i przestało się od tej chwili poruszać. I wtedy instynktownie wyczuwa się, że to koniec, koniec podróży...*).

Słucham. Jednym uchem filozofii Andrzeja a drugim portowych odgłosów. Mimo flitu i siatek komary brzęczą i tną. Mimo otwartych na werandę drzwi jest duszno i gorąco. Noc kołysze i usypia szumem fal i palmowych liści, śpiewa tropikalną melodią, jak fala Atlantyku nabrzmiewa wspomnieniami, które rozbijają się o plażę rzeczywistości i zapomniane, leniwie spływają z powrotem w granatową toń.

— ... Tylko niech Pan o Gwatemali ładnie napisze — już nicmal przez sen mówi Andrzej. — Bo warto... Piękny kraj, uroczy kraj, kochany kraj...

Rozstaliśmy się wczesnym rankiem, z kurami nieomal. Andrzej jechał szukać swoich modelarzy, którzy mieli nocować gdzieś po drodze, by potem z nimi do Amerykanów na zawody (Okazało się, że przyjęli ich po amerykańsku: z wyzerką, wypitką i pławieniem się w prywatnym basenie). Ja zaś wyruszałem na nową włóczęgę. Wprawdzie nie do Hondurasu, na piechotę, jak zamierzałem i co mi odradzono, ale skrzypiącą, pełną Muzynów motorówką, na Rio Dolce i nad Lago Izabal.

Spotkaliśmy się po tygodniu. Przyszedłem do sklepu pokryty kurzem gwatemalskich bezdroży, spalony tropikalnym słońcem, zmęczony jak pies i szczęśliwy jak beztroski szczeniak. W uszach szumiała mi jeszcze dżungla, wyły wyjce, kłóciły się papugi, kłapały zębami aligatory, szeleściły węże zmykające wśród krzaków, grał wiatr na palmowych piuropuszczach. Przed oczyma migwały jak dłoń wielkie i jak niebo błękitne motyle, lśniła gładka tafla jeziora, wszelkimi kolorami mieniły się dzikie orchidee.

Andrzej siedział w magazynie po uszy zanurzony w firmowe papierki. Zerwał się na mój widok i niemal w objęcia ułapił. — Gratuluję „Bartka Zwycięzcy” — wykrzyknął (właśnie otrzymał majowy numer „Kultury”, a w nim moje pod tym tytułem wspomnienie o Wielkiej Bitwie). — Czytałem go wieczorem żonie!

Głupio mi się zrobiło i zdumiałem się, nie przypuszczałem bowiem, że żyją jeszcze mężowie uprawiający staromodne czytanie na głos swoim białogłowom.

— Naprawdę Bocheński grał na fortepianie???

— Naprawdę!

Andrzej kręci głową. Coś by chciał powiedzieć. Coś go może boli... Wreszcie: — Mnie w Polsce do wojska nie wzięli z powodu wzroku, a we Francji z powodu nazwiska... Do podziemia we Francji nie poszedłem, bo mu nie ufałem. Zresztą ktoś musiał pozostać na powierzchni, pomagać, opiekować się... Pracowałem w fabryce. Bardzo ciężko. I pisałem. Na gorąco. Uwagi, wspomnienia. Gdy je po wojnie opublikowałem twierdzono, że wszystko to wymyśliłem już później, *post factum*, bo przecież (zdaniem krytyków) nie mogłem tego wówczas przewidzieć.

Wylazi z niego ból, żal, złość. Że nie brał udziału, że był poza nawiasem, że gdy chciał swoje trzy grosze wtrącić odepchnięto go, a gdy chciał swoje powiedzieć nie dano mu wiary.

— Pić mi się chce — zmieniam temat wiedząc dobrze, że rozmowa między „kombatantem” a „cywilem” do niczego nie prowadzi. I poszliśmy na kawę.

Musiąłem mu szeroko o swojej ostatniej włóczędze opowiedzieć. O tych nocach spędzonych w bambusowej szopie (3) i dniach w indiańskiej pirodze. O lagunach otulonych dżunglą zamieszkałą przez białe lub szare czaple, czarne jak smoła kormorany, płochliwe wyjce, zielono-żółto-czerwone papugi, błękitne motyle. O wodach, w których czają się aligatory, pluskają nieczułe na kule morskie krowy, baraszkuje wąsiaste wydry. O ścieżkach kręcących się wśród dżungli, wąskich, dusznych, strasznych nieraz i prowadzących do nikąd. O karczowiskach w środku chaszcy wypalonych i poletkach malutkich, na których człowiek z dżunglą bezustannie walczy o ziemię. O obojętnych spojrzeniach Indian, o niezasłoniętych piersiach Indianek, o miniaturowym Castillo de San Felipe de Lara, który niegdyś przed piratami strzegł wejścia na jezioro Izabal, a po którym dziś włóczęgą się duchy piratów i konkwistadorów... I krew mi znowu grała na myśl, że w przyszłości można będzie wykorzystać moje spotkanie tam z Mister Thompsonem, nieogolonym, w połatanych szortach i koszuli w kwiatki Amerykaninem, w dżunglach nad Rio Dolce poszukującym złota...

— Musimy tam razem pojechać — zapala się Andrzej, i już i temu oczy błyszczą i w nim krew gra. — Strzelba i maszyna do pisania (!). Będziemy mieszkać w bambusowym rancho, pływać po lagunach, rozkoszować się dżunglą. Na przyszły rok, dobrze? Koniecznie!

Trzęsienia ziemi? Co roku! Ulice chybcą się jak pokład okrętu. Domy zataczają jak pijani Indianie. Przewody elektryczne strzelają bengalskimi ogniami. Ludzie wylegają na place, śpią w *patiach* i na ulicach. Ale wali się już nie wiele. Tylko jakieś stare rudery. Architekci bowiem nauczyli się budować „prewencyjnie”. Zresztą — w Gwatemali przeważnie stoją tylko parterowe domki. Nawet w centrum miasta. Po zniszczeniu, jakiego stolica doznała na przełomie roku 1917-18 — zmaźrzała. Jest przygotowana na najgorsze...

Komuniści? Gdy tutaj niedawno jeszcze rządili, było naprawdę źle. Ludzie znikali z domów. Policja, łapsy, szpiedzy. Bano się własnego cienia. Z przeciwnikami rozprawiano się normalnie — strzał w tył czaszki. Założono pierwsze w Ameryce obozy koncentracyjne. Zostały po nich makabryczne wspomnienia, które jednak nie przeszkadzają, że komunizm znowu podnosi głowę, szczególnie w stolicy...

Niemcy? Usadowili się głównie w prowincji Coban. Są wielkimi plantatorami kawy. Stara, sprzed pierwszej wojny jeszcze, emigracja. W czasie drugiej wojny, odpowiednio przepełnieni propagandą, chcieli w Gwatemali wprowadzić nazizm.

(3) Ciekawych jak taka szopa wyglądała odsyłam do opisu sceny w I akcie *Czarnego Piasku*. Ta, a w której przez przez 5 nocy spałem w Pueblo San Felipe była identyczna. Brakowało w niej tylko szynkwasu, stolików i polskiego Żyda.

Brażowe koszule, Hitlerjugend, swastyki — wszystko to już było gdy ocknęła się „United Fruit Co.” i niebezpieczną zabawę zlikwidowała (tak samo zresztą, jak później komunistów). Ale Niemców w Gwatemali szanują. Ich wysiłek, pracę, solidność. Towarów niemieckich zatrzesienie. Nawet w Andrzeja, zabawkowej branży. Spośród nalepek przedstawiających znaki klubowe lub państwowe, najlepiej idą Hackenkreutze i swastyki! A i na innych polach też „sukcesy”... W Coban chyba połowa indiańskiej ludności ma jasne włosy! Tamtejsi patriarchowie niemieccy mają często ponad 50 dzieci, z czego tylko pewien procent z oficjalną, niemiecką żoną.

— Indianom to zresztą nie przeszkadza. Biorą sobie często kobiety nawet w ciąży i nic ich to nie obchodzi... Mówią, że rączki, albo nóżki dziecka będą i tak jego... tego ostatniego —

Polacy? Przed wyjazdem prosiłem Andrzeja by oddał mi bieliznę do pralni. Gdy ją odbierał, Polak pracujący przy maglu złapał go za guzik i począł tłumaczyć, że z powodu Tybetu n a p e w n o wybuchnie wojna światowa, bowiem żony wysokich dygnitarzy amerykańskich są b u d d y j k a m i , więc... I ów marynarz, który wprost z więzienia (w którym siedział za nielegalne przekroczenie granicy gwatemalskiej) skoczył na administratora szpitala (pisał o nim Andrzej w „Kulturze”, w swojej recenzji z książki Choromańskiego). I owo małżeństwo, które teraz gospodaruje na *fince* wartości ćwierć miliona (dolarów), a którego „głowa” jeszcze dziesięć lat temu pożyczła od Andrzeja dolara na papierosy... I ów milioner z gwatemalskiego ożenku, i fertyczne rozwódeczki poszukujące mężów (również najchętniej milionerów). I inżynier Muszyński, były polski lotnik, ostatnio z Costa Riki a poprzednio z Wenezueli, który właśnie „dla zdrowia” osiadł w Gwatemali i po raz któryś tam już z rządu w ciągu swojego 60-kilkoletniego życia celująco zdał egzamin nostryfikacyjny przed profesorami z gwatemalskiego uniwersytetu... Ludzie, którzy na gwatemalskim przystanku wysiedli i już zostali.

A Żydzi? pytam, przypominając sobie, że w sztuce Andrzeja i o nich mowa.

Bronią się jak mogą przed imigracją pobratymców! Gdy któryś do Gwatemali zawędruje zbierają nawet między sobą pieniądze, byle go jak najprędzej gdzie indziej, poza granicami tego kraju ulokować. A gdy ogłosili zbiorę na Izraela pierwszym który zjawił się w Komitecie był jasnowłosy olbrzym, Andrzej Bobkowski, z ciężko zarobionymi pięcioma dolarami w ręku. — Chciałem im pokazać, że my, Polacy, nie tylko Żydów za pejsy ciągniemy!

Opici gwatemalską kawą idziemy z kolei by ją kupić (— gdy byłem w Paryżu, mówi Andrzej, paszport gwatemalski działał na Francuzów jak czarodziejska różdżka. Wszystkim się zdawało że jestem „królem kawy”!). Być w Gwatemali i nie przywieźć ze sobą lub nie posłać stamtąd kawy — rzecz nie do

pomyślenia. Ale i nie łatwa do zrobienia. Najlepiej byłoby (twierdzi Andrzej) kupić zieloną, ale nie wiadomo gdzie ją dostać. Kilku spotkanych na ulicy znajomych Andrzeja (co krok albo on komuś, albo ktoś jemu się kłania) też nie wie. Wreszcie jednak koło *mercato* znajdujemy mały sklepik. Obsługa żeńska. Pachnie cudnie. Ale zielonej kawy nie ma. Tylko palona, w funtowych paczkach. Czy można ją wysłać za granicę? Nie wiedzą i nie mogą. Podobnego eksportu turystycznego nie mają zorganizowanego. Do głowy im to nie przyszło. Za granicę kawę sprzedają i wysyłają plantatorzy, wielkie firmy eksportowe. I to te najlepsze jej gatunki. Tutaj, na miejscu, na wewnętrzny użytek-gatunki podlejsze, z indiańskich poletek. Zresztą, ludzie i tak coraz więcej *Nescafe* piją...

Andrzej wścieka się. Znowu macha rękami, trzęsie czupryną, krytykuje bałagan, brak zmysłu kupieckiego, tłumaczy i złości się. Businessman z niego wylaży podszyty miłością do kraju. Czarniawe sprzedawczynie uśmiechają się tylko pobłażliwie. Widać, że argumenty nie trafiają im do przekonania. Po cóż mają się wysilać? Turystom ta ich indiańska kawa w funtowych paczuskach wystarcza, a za granicę, do krewnych czy przyjaciół mogą ją sobie wysłać sami na poczcie.

— Sam pan widzi, mówi Andrzej, jak tutaj do tego podchodzą. Gdzie indziej byłaby już dawno zorganizowana wysyłka, odpowiednia reklama, gotowe paczki itd. itd. A tutaj — dobrze że znaleźliśmy sklepik. A po zieloną kawę, która przecież do takiej wysyłki najlepiej się nadaje, bo nie traci aromatu, to chyba trzeba by pójść na plantacje i samemu z krzaków narwać! I tak jest ze wszystkim. Jak Europejczyk lub Amerykanin do czegoś sami się nie wezmą — tutejszy nie dba, nie zależy mu, nie chce mu się...

Wieczorem pożegnanie. Z Andrzejem i z Gwatemalą. Czas bowiem najwyższy ruszać dalej, na południe, za siedem gór i siedem rzek.

Nastrojowy, luksusowy lokal w eleganckim hotelu. Przćmione światła, lśniący bar z lustrami i błyskotliwa parada butelek. Wygodnie fotele. Uśmiechnięci i jak duchy poruszający się kelnerzy. Podwójne whisky (oczywiście) i małe kanapki (te już gratis). Jakies starszawe, w niemodne suknie przybrane Amerykanki, zbyt późno poszukujące tego, czego za młodu nie zażyły, i gwatemalski z nimi przewodnik, zaprasowany, z czarnym wąsikiem i złotymi plombami, śniady i znużony. Eleganccy *caballeros* a z nimi blondwłose i długonogie, modnie rozczochrane i w modne worki odziane amerykańskie dziewczyny. I kruczowłosa, śniadocera śpiewaczka o wypiętym tyłeczku i obfitym biuście. Tak obciśnięta kusa sukienka, że i palca byś nie wsadził. Chwieje się w biodrach i śpiewa jakies

hiszpańsko-amerykańsko-kubańskie piosenki. (Ale nie meksykańskie, gdyż jak przeczytałem na postrzępionym afiszu, zdobitym ścianę zajazdu w El Estor, deskami od świata zabitej miściny nad Lago Izabal: — „Nie jedź do Meksyku — Nie kupuj meksykańskich towarów. — Nie słuchaj meksykańskiego radia — Nie graj meksykańskich melodii!”). Wspomniałem wówczas nasze rodzime „Nie kupuj u Żyda” i roześmiałem się serdecznie z nieśmiertelnej, ludzkiej głupoty).

Whiski smakuje jak trunek bogów. Krew się burzy, piosenka podnieca.

Jesteśmy już „na ty”: — Musisz koniecznie znowu tutaj przyjechać! — stwierdza Andrzej. — Wybierzemy się razem na włóczęgę. W dżunglę. Będziemy żyć jak Indianie i cieszyć się z życia...

Uśmiech rozjaśnia mu twarz. Sięga po szklanę i klepie mnie po kolanie: — Pamiętaj! Obiecałeś! — i przypomina: — Jak Boga kocham tylko mi przypadkiem nie obsmaruj tej mojej przybranej ojczyzny. To komiczne i sam nie potrafię zrozumieć jakim cudem można tak szczerze pokochać obcy kraj, jak ten kraik. (Po czym dodaje ze swoim łobuzerskim cynizmem). Ze ludzie gówniarze, to trudno — ludzie wszędzie są gówniarzami i dlatego ja uznaję tylko koty!

Rozstaliśmy się pod usianym wielkimi, migotliwymi gwiazdami aksamitnym niebem Gwatemali. Andrzej skręcił za róg, na którym siedziały rzędem śniade Indianeczki w czerwonych spódnicach i białych bluzkach.

Zostały po nim tylko ślady na Czarnym Piasku.

Aleksander GROBICKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Afrykańskie wyuczasy

Gdy w Europie trwa sezon urlopów tysiące ludzi planuje wyjazdy na Costa Brava, na Rivięre, czy Majorkę, aby spędzić kilka tygodni w słońcu, w miłym otoczeniu i wśród interesujących ludzi. Ale co mamy robić my, od lat żyjący w Afryce, gdzie mamy 10 miesięcy słońca rocznie, czasem jest go aż za wiele?

Nie mogąc się zdobyć na pokrycie kosztów wyjazdu do Europy, po 11 latach pobytu w Kenii postanowiłem spędzić urlop wśród przyjaciół w Unii Południowo Afrykańskiej.

NAIROBI — MOMBASA

W poniedziałek 4 kwietnia wyjechałem z chmurnego i deszczowego Nairobi do Mombasy. Podróż miałem o tyle niecodzienną, że moim współtowarzyszem był Arcybiskup McCarthy, biskup diecezji Nairobi, który jechał na wizytację misji katolickich w rejonie Mombasy. Arcybiskupa McCarthy znałem już poprzednio z oficjalnych przyjęć. Jest on wielkim przyjacielem Polaków, wypytywał mnie o życie naszej Polonii w Kenii oraz o stosunki panujące obecnie w Polsce. Na pogawędce przeszła nam cała noc; o 5-tej rano Arcybiskup wysiadł na stacyjce Mariakani, gdzie oczekiwał go miejscowy misjonarz.

Wtorek 5 kwietnia. Dojeżdżając do pasa nadbrzeżnego zmienia się nagle krajobraz. Zamiast wysuszonych krzaków i traw pojawiają się gaje palm kokosowych, potężne drzewa mango oraz pola bananów. Duże opady i wieczna wilgotność idąca od oceanu gwarantują też dobre wyniki w uprawie bawełny, kapoku oraz ananasów.

Pięknymi serpentynami zjeżdżamy coraz bardziej w dół i z daleka widać już szafir Oceanu Indyjskiego. Kolor jego jest

zupełnie odmienny od lazuru Morza Śródziemnego czy Adriatyku, całkiem inny od siniego Bałtyku czy Kanalu. Na niebie nie ma ani jednej chmurki i robi się coraz cieplej. Punktualnie o godzinie 8-mej wjeżdżamy na stację kolejową Mombasa. Otacza nas chmara tragarzy i portierów hotelowych, zawsze tropiących łatwy zarobek u niedoświadczonych pasażerów. Na peronie wielkie tablice głoszą: „Nie opłacać tragarzy. Są oni pracownikami administracji kolei”. Lecz to nie skutkuje.

Mombasa jest głównym portem Kenii oraz punktem wyjściowym kolei łączącej Ocean Indyjski z Jeziorem Wiktorii. W roku 1895, po długich dyskusjach w Parlamencie brytyjskim, rozpoczęto budowę linii kolejowej, która w roku 1899 osiągnęła rejon gdzie obecnie położone jest Nairobi, a w roku 1901 doszła do Kisumu nad Jeziorem Wiktorii. Zasadniczym celem budowy tej kolei miała być pomoc w rozwoju gospodarczym Ugandy, gdzie wówczas rozpoczęto uprawiać na wielką skalę bawełnę. Kenia była pustynią, porośniętą buszem, w którym żerowały dzikie zwierzęta. Pierwsi osadnicy europejscy przybyli do Kenii dopiero po uruchomieniu kolei. Tu trzeba zaznaczyć, że Niemcy które zajmowały Niemiecką Afrykę Wsch. (obecna Tanganyika) w roku 1891, rozpoczęły budowę linii kolejowej z portu Tanga do Moshi i to było głównym powodem, że rząd brytyjski zdecydował się na budowę linii kolejowej z Mombasy do Ugandy, wydatek, jak wówczas twierdzono, zupełnie nieopłacalny.

O Mombasie wspomina w 100 A. D. pisarz Periplus jako o „wyspie wojny”. Nazywano ją wówczas MVITA. W 8 wieku po Chrystusie zaczęli się tu osiedlać Arabowie, którzy rozpoczęli eksploatować Czarny Ląd. W XVI wieku rządili tu Portugalczycy, pozostawiając po sobie widome pamiątki, tak zwane „Krzyże Vasco de Gama”, którymi zaznaczano tereny zajęte pod panowanie portugalskie. Fort Jesus, zbudowany jako obrona wejściowa do portu Mombasy, zachowany jest bardzo dobrze i ostatnio został przemieniony w muzeum.

Mombasa, która jest wyspą, oraz dziesięćmiłowy pas nadbrzeżny od Mombasy po wyspę Lamu w roku 1887 zostały wydzierżawione przez rząd brytyjski od Sultana Zanzibaru Bargasha, za sumę 20 tysięcy funtów rocznie. W ten sposób powstał Protektorat Kenia, w odróżnieniu od Kolonii Kenia. Protektorat suwerennie należy do Sultana Zanzibaru, którego czerwona „Chorągiew Krwi” powiewa na słupach wkopanych w ziemię we wszystkich miejscowościach Protektoratu. Brytyjczycy jedynie administrują Protektoratem, a Union Jack może powiewać wyłącznie na budynkach administracyjnych.

Mombasa ma dwa porty: Port Stary, posiadający tradycje sięgające wstecz do 2.000 lat; był on i jest portem barek arabskich, przypluwających w czasie wiatrów północno-wschodnich. Przywożą one po dziś dzień wyroby z Indyj, Persji i Arabii: perskie dywany, stare tkaniny wschodnie, dachówki z Mangalore w Indiach oraz sól. Od stycznia do kwietnia barki te czekają

w Mombasie na pomyślne wiatry powrotne, które doprowadzą je do portów macierzystych.

Zalogi barek to postawni i dostojni Arabowie, którzy są niewyczerpaną skarbnicą opowieści z Tysiąca i jednej nocy, przekazywanych z pokolenia w pokolenie. Najbardziej popularne opowiadania, to historia o Ali Babie i 40 rozbójnikach i o Sindbadzie żeglarzu, wywodzącym swój ród z ich sfery. Historie te, opowiadane po arabsku, to nie bajki, lecz prawdziwe wydarzenia z odległej przeszłości.

W nowym porcie Kilindini widać już z daleka śnieżnie biały statek „AFRICA”. Po załatwieniu formalności paszportowych i celnych jestem na statku. Rozpakowuję walizki w przydzielonej mi 4-lóżkowej kabinie. Okręt ma *Air Condition* z czym spotkałem się po raz pierwszy.

Jadę klasą turystyczną, która ma te zalety, że kosztuje taniej a za to towarzystwo jest przyjemniejsze. Pierwszą klasą jadą „w poszukiwaniu słońca” bogaci turyści, którzy rezygnują z szybkości samolotów na rzecz spokoju i komfortu, jaki mają na statku. Przeważnie są to starsze lub schorowane osoby, lecz spotyka się także młode pary w podróży poślubnej, oraz jadących na koszt rządu lub wielkich firm, urzędników z rodzinami. Klasa pierwsza daje większy komfort i wygodę, lecz, jak mnie zapewniał *maitre d'hotel* klasy turystycznej, jedzenie jest prawie jednakowe. Różnica jest w ubiorze, gdyż w I klasie podaje służba w smokingach, a w klasie turystycznej w białych kurtkach.

Anglicy wolą podróżować statkami brytyjskimi, toteż na „AFRICA” przeważają Włosi, potem idą Grecy, Belgowie, lecz nie ma ani jednego rodaka.

Moja 4-lóżkowa kabina jest przestronna, ma umywalnię z prysznicem i toaletą. Miejsca jest mniej niż w I klasie, ale na razie jest nam wygodnie, bo jedzie nas tylko dwóch. Moim współtowarzyszem jest Pierre G., południowo-Afrykańczyk, zatrudniony w biurze Afrykańskich Safari w Johannesburgu. Ostatnio, przez trzy miesiące woził luksusowym autobusem grupę turystów amerykańskich po Unii, obu Rodezjach, Kongo belgijskim, Ugandzie i Kenii. W Nairobi grupa jego rozjechała się, a on wracał ze swoim autobusem z Mombasy via Durban do Johannesburga.

W czasie podróży zaprzyjaźniliśmy się i Pierre opowiadał mi wiele ciekawych wspomnień ze swych Safari. Pytałem go gdzie po zakończeniu Safari pojechali jego milionerzy amerykańscy. Otóż jedno małżeństwo poleciało na Wielkanoc do Rzymu, dwie pary wróciły do Stanów, jedna pani poleciała do Indyj, a inna z Nairobi, via Rzym i Warszawa, poleciała do Moskwy. To się nazywa turystyka.

Nasz statek jest prawie pełny. Ogółem w klasie turystycznej jedzie 175 pasażerów, i taka sama ilość osób jest w I klasie. Ponadto załoga statku liczy 150 osób.

O godzinie 17, przy dźwiękach muzyki nadawanej przez głośniki, miejscowy pilot, znający wszystkie prądy i podwodne skały, wyprowadza nas z portu. Mijamy Stary port i wypływamy na Ocean Indyjski. Brzegi zielenią się gajami palmowymi oraz gąszczem podzwrotnikowym. Pamięcią cofam się wstecz, jak 11 lat temu, po służbie w PKPR, zawitałem do brzegów afrykańskich na „osiedlenie się”. Obecnie po raz pierwszy opuszczam te brzegi, jadąc na urlop i odpoczynek.

Statek jest włoski, więc cała obsługa to Włosi i Włoszki. Po oglądaniu przez kilkanaście lat wyłącznie służby murzyńskiej, dziwny mi się wydaje widok europejskich służących i kelnerów. Wszyscy są mili i chętni do usługi. Widać, że pracy swej się nie wstydzą.

Pokład zastawiony leżakami, a w basenie urządzonym z luku i napełnionym wodą morską, młodzież dokazuje i wszyscy garną się do słońca. Jest początek kwietnia, a statek wypłynął z Triestu z końcem marca, więc w Europie nie było jeszcze wiosny.

Szybko nawiązują się znajomości, do czego przyczyniają się czynne przez 16 godzin na dobę dwa bary (tylko w klasie turystycznej, w I klasie jest ich cztery). Odchodzi *Cinzano bianco*, Martini oraz piwo Drehera.

Pierwsza kolacja. Kuchnia kontynentalna, suta i smaczna. Dla trunkowych mogę podać, że do posiłków podają na stół litr *Vino rosso*, które jednak nie u wszystkich ma powodzenie.

Wieczorem celem bliższego zapoznania się pasażerów urządzono dansing przy dźwiękach dobrej, zawodowej orkiestry statku.

DAR ES SALAAM — BEIRA

Sroda 6 kwietnia. Raniutko wchodzimy do portu Dar es Salaam. Z daleka widać wież kościoła katolickiego, zbudowanego za czasów panowania niemieckiego.

Trwający od 8 tygodni strajk pracowników portów i kolei w Tanganyice jest powodem, że przy linach przycumowujących nasz statek do mola, pracują Europejczycy z administracji portu. Murzyni siedzą z boku i przypatrują się jak Bwani pracują. Statek opuszcza sporo pasażerów. Przeważnie Belgowie powracający do Konga, którzy z Dar es Salaam jadą pociągiem do Kigomy, a następnie statkiem do Albertville.

Urządzamy krótką wycieczkę do miasta, przeważnie zamieszkałego przez Hindusów i Murzynów. Europejczyków na ulicach prawie nie widać. W Tanganyice jest ich około 20.000, z czego w Dar es Salaam jedynie 3.000 osób.

W mieście jest o wiele goręcej i duszniej niż w Mombasie, gdyż nie ma przewiewu od morza, które jest zakryte gajami palmowymi. O godz. 10 jesteśmy z powrotem na statku i o 10.30 ruszamy w dalszą drogę.

Czwartek 7 kwietnia. Jesteśmy na pełnym morzu cały dzień i noc. Z daleka widać zarys brzegów Tanganyiki. Delfiny towarzyszą statkowi stadami a często widzimy też latające ryby. Pogoda piękna, niebo bez jednej chmurki i *Afrika* z szybkością 22 węzłów na godzinę, pruje ocean.

Po południu ćwiczenia w alarmowej zbiorce, przeprowadzane bardzo dokładnie. Od czasu wypadku z M/S *Andrea Doria*, w roku 1958, włoskie władze morskie bardzo zaostrzyły regulamin alarmowy i wzmocniły środki bezpieczeństwa. Na odgłos syren alarmowych stawiamy się w pasach ratunkowych na wyznaczonych punktach alarmowych.

Opuszczają łodzie ratunkowe i oficerowie informują nas, że według obowiązujących zasad, w razie konieczności, naprzód będą ratowane kobiety, dzieci i starcy, a potem reszta pasażerów. Pokrzepiają nas zapewnieniem, że statek ma wystarczające środki ratownicze dla reszty pasażerów i całej załogi.

Piątek 8 kwietnia. Płyniemy wzdłuż wybrzeży Mozambiku i popołudniu będziemy w Beira. W odległości 12 mil od portu Beira, na pełnym morzu, stoi statek, na którym mieszkają piloci, wprowadzający statki do portu. Beira, położona u ujścia rzek Pungwe i Busia jest najpłytszym i najgorszym portem wschodniego wybrzeża afrykańskiego — jak mnie wyjaśnia jakiś wilk morski.

Mozambik został odkryty przez Vasco da Gama w roku 1498 i w roku 1505 przybyli z Portugalii pierwsi koloniści, którzy osiedlili się przede wszystkim nad brzegiem morza, u ujścia rzek Pungwe i Busi, gdzie powstał port Beira. Obszar Mozambiku wynosi około 297 tysięcy mil², a ostatni spis ludności, przeprowadzony w roku 1955, objął 6 milionów mieszkańców, w tym 5 i 3/4 miliona „nieucywilizowanych” i 200.000 „ucywilizowanych”.

Założona w roku 1891 Kompania Mozambiku, na mocy umowy z rządem Portugalii administrowała prowincją Manica i Sofala, ze stolicą w Beira. W miarę rozwoju gospodarczego i politycznego, kolonia Mozambik w roku 1951 została przemianowana na prowincję Portugalii, rządzoną przez Gubernatora Generalnego, któremu podlega 9 gubernatorów prowincjonalnych. Stolica rządu obecnie znajduje się w Laurencu Marques.

Z daleka widać zabudowania portu Beiry. Motorówką przybijają do statku pilot, który wolno wprowadza nas do portu. Przyływ umożliwia nam wejście, lecz na wyjście z portu będziemy musieli czekać 24 godziny do następnego przyplwu. Różnica poziomu między przyplwem a odpływem, dochodzi czasem do 18 stóp. W lecie, w okresie suszy, gdy obie rzeki są wyschnięte większość małych statków żeglugi przybrzeżnej leży zupełnie na brzegu. Większe statki muszą stać na redzie i wyładowywanie odbywa się przy pomocy dźwigów i barek, co bardzo podraża koszt wyładunku.

Beira, dawna stolica Mozambiku portugalskiego, zdegradowana obecnie przez Laurencu Marques, ma 45 tysięcy mieszkańców w tym 10 tys. Portugalczyków. Z Beiry wychodzi linia kolejowa, która przecina Afrykę do portu Lobito w Angoli.

Z portu idziemy piechotą do miasta. Mijamy piękne nowoczesne 6 i 8-mio piętrowe domy, które stoją obok parterowych domków, zbudowanych w stylu kolonialnym, każdy z ogrodem i przestronną werandą. Przy Avenida Andrada stoi pomnik bohatera narodowego, Luis'a Inacia. Mimo późnej pory, a jest już godzina 10 wieczór, sklepy są otwarte i oświetlone, a w kawiarniach przy stolikach ustawionych na chodnikach, siedzą Portugalczycy; wszyscy mężczyźni ubrani jednakowo, ciemne długie spodnie i koszulki z krótkimi rękawami. Nie widać zupełnie *short'ów* ani białych tropikalnych ubrań, tak popularnych w Kenii i obu Rodezjach.

Wchodzimy do jednej z kawiarni przy placu Municipality, która jak wszystkie inne ma *Air condition*, panuje więc przyjemny chłód. Podglądam co piją sąsiedzi-tubyłcy i zamawiam czarną kawę i kieliszek mocnego likieru w rodzaju ratafii, co kosztuje 3 szylingi.

Chodniki przepełnione są spacerującym tłumem młodzieży rodzaju męskiego. Nie widać zupełnie kobiet. Nie widać też policji; w ciągu naszego spaceru po mieście widziałem tylko jednego policjanta, rozmawiającego przyjaźnie ze znajomymi.

Po małym odpoczynku postanowiliśmy obejrzeć nowootwarty Grand Hotel Beira. Taksówką za 5 szylingów dojeżdżamy do hotelu oddalonego o 6 km. od centrum miasta.

Włóczyłem się trochę po świecie, widziałem Ritza i Dorchester, ale takiej budowli nie widziałem nigdy. Coś pośredniego między Buckingham Palace a Pałacem Dożów. Wspaniale rozplanowany 8-piętrowy budynek, wybudowany na kasyno gry, a po odmowie licencji przemieniony na hotel o 405 pokojach. Pełno marmurów, dywanów, kryształów i kwiatów, wszystko utrzymane w bardzo dobrym tonie i stylu. Lecz panuje pustka. Po godzinie 10 wieczorem cały ten kolos był ciemny, służba rozchodziła się do domów a portier na zapytanie ile ma zajętych pokoi odpowiedział — dziesięć. Pojechalismy windą na taras na dachu skąd jest piękny widok na miasto i z daleka oświetlony port. Hotel obliczony na bogatych turystów amerykańskich oraz na turystów z Rodezji i Konga, na razie stoi pustkami.

Wracamy na statek gdzie wciąż jeszcze trwa wyładowywanie samochodów i towarów. Dobrobyt Beiry w zupełności zależy od sytuacji ekonomicznej w obu Rodezjach i Kongu. Wysokie opłaty portowe i tranzytowe na kolei sprawiły obecnie, że część eksportu i importu do tych krajów została skierowana via Durban, co trwa dłużej lecz taniej i opłaty są w walucie sterlingowej. Cały eksport miedzi z Konga i Północnej Rodezji idzie w świat przez Beirę.

BEIRA — DURBAN

Sobota 9 kwietnia. Około 12 w południe, w czasie największego przypływu pilot wyprowadza nas na pełne morze i bierzemy kierunek na południe. Statek znacznie się wyludnił. Opuścili nas pasażerowie do Rodezji i Konga, a przybyło tylko kilka rodzin południowo-afrykańskich, wracających z urlopów w Rodezji.

Niedziela 10 kwietnia. Ranek chmurny, morze burzliwe, zimno i po raz pierwszy od lat czuję różnicę klimatu. Płyniemy coraz bardziej na południe od równika i wchodzimy w zasięg chłodnych wiatrów od bieguna południowego, które niosą ze sobą afrykańską zimę.

Po Mszy św. dowiadujemy się z komunikatu radiowego o zamachu na premiera Unii Dr. Verwoerd'a. Przygotowując przed trzema miesiącami swój wyjazd do Unii, nie przewidywałem że przyjadę w okresie stanu wyjątkowego i rozruchów. W międzyczasie morze coraz bardziej się rozhuštało, gdyż bokiem przechodziło tornado o wielkiej mocy. Burza trwała do 9 wieczór. Jak na złość, wieczorem, przed lądowaniem w Durbanie wypadł galowy obiad z kapitanem statku. Mimo wspańiałego jedzenia, na 150 osób w naszej klasie, do kolacji zeszło tylko 30 osób. Osobiście wytrzymałem cały dzień na posterunku w barze, w ten sposób ratując się od choroby morskiej.

Poniedziałek 11 kwietnia. Rano, przy pięknej pogodzie, wpływamy do portu Durban. Na przystani wiele osób oczekuje swych rodzin; ze względu na wprowadzony stan wyjątkowy, surowa kontrola paszportów i bagażu.

Widocznie moja walizka i paszport budziły zaufanie, gdyż jak powiedziałem że jadę do przyjaciół na święta, celnik kreską zaznaczył walizkę i życzył mi „Nice Holiday in Union”. Idę do autobusu Pierra, który tymczasem załatwia formalności celne. Autobus już wyładowany, nalewają benzynę, sprawdzają raz jeszcze dokumenty i ruszamy w drogę. Pierre zaproponował abym mu towarzyszył w przejażdżce z Durbanu do Jahaniesburga. Oszczędziłem w ten sposób 7 funtów na bilecie kolejowym, zobaczyłem więcej kraju, a on miał towarzysza w drodze.

Zanim Pierre załatwił formalności urzędowe w swoim biurze, autobusem miejskim wybrałem się na zwiedzanie miasta. *Victoria Embankment* — promenadą ciągnącą się wzdłuż wybrzeża — dojeżdżam do znanej plaży w Durbanie. Pomimo dnia powszedniego na plaży tysiące ludzi, przeważnie młodzieży, gdyż obecnie są wakacje szkolne. Przy plaży znajduje się słynne akwarium, zbudowane w trzech kondygnacjach, z których można obserwować ryby i gady żyjące w ogromnym szklanym zbiorniku. *Smith Street* wracam do centrum miasta. Na placu *Municipality* oglądam pomnik postawiony kapitanowi Smith,

jak głosi napis w roku 1900 dzielnie bronił on miasta przed Burami.

Durban jest portem, skąd wychodzi kolej łącząca Transvaal, obie Rodezje i Kongo. Kraj, który również odkrył Vasco da Gama w wigilię Bożego Narodzenia roku 1497, nosi nazwę Natal, od nazwy nadanej przez odkrywców „Terra Natalis”. W roku 1824 por. marynarki brytyjskiej F.G. Farewell, założył tu stację marynarki, która potem rozrosła się w miasto Durban.

Zbliża się godzina umówionego odjazdu, więc spieszę do garażu, gdzie czeka na mnie Pierre. Ruszamy w drogę do oddalonego o 400 mil od Johannesburga.

DURBAN — JOHANNESBURG — PRETORIA

Z miejsca ruszamy pełnym gazem, gdyż czeka nas długa podróż, 400 mil dobrej drogi, lecz musimy pokonać wzniesienie ponad 5500 stóp.

Z Durbanu do stolicy Natalu — Pietermaritzburg, oddalonego tylko o 57 mil, ruch na drodze bardzo ożywiony. Jedziemy okolicą ogrodów; przed każdym domkiem dobrze utrzymane trawniki i kwiatniki. Tutaj o suszę nikt się nie martwi — nie ma jej nigdy.

Droga asfaltowana, dwutorowa, szybkość poza obrębem miejscowości zamieszkałych nieograniczona. Okolica przypomina Podkarpacie. Staram się uzmysłowić sobie, gdzie na tych polach pod Pietermaritzburg stały namioty 8. dyw.

Na ogół mało znana jest historia pobytu w Unii, 8 dyw. W.P., która po opuszczeniu Rosji została przeznaczona jako uzupełnienie I Korpusu w Szkocji.

6. czerwca 1942, dywizja w składzie 20 pp. Z.K., 24. pp. i Oddziały dywizyjne, łącznie około 5.000 żołnierzy, odplynęła S/S Maurytania z Suezu do Anglii. W czasie podróży na statku wydarzył się wypadek tyfusu i władze brytyjskie zdecydowały, że cały transport musi przejść 3 miesięczną kwarantannę. 16.6.42 po przybyciu do Durbanu, dywizja została wyładowana i przewieziona w okolice Pietermaritzburg, gdzie ją ulokowano na przód w obozach jenieckich, a następnie w specjalnie zbudowanym z namiotów Obozie Polskim.

20. pp. Z.K., którego dowódca był pułk. A. Idzik, przyczynił się bardzo do nawiązania stosunków z miejscowym społeczeństwem, które zapoznał z duchem i nastrojem żołnierza polskiego. Mimo że wycieńczone pobyt w Rosji i nie posiadające specjalnego ekwipunku, oddziały polskie prezentowały się bardzo dobrze. Zorganizowana przez ppr. dr. Kawa orkiestra pułkowa dawała z powodzeniem koncerty muzyki polskiej w Pietermaritzburg, Johannesburg i Cape Town. Urządzano szereg akademii i popisów; 15 lipca w Pietermaritzburg zorganizowano dzień Polski, który przyniósł poważny dochód, zwłaszcza z urządzanego balu z pokazem tańców polskich.

W czasie wizytacji obozu, minister spraw wewnętrznych, Lawrence, po raz pierwszy zapowiedział gotowość rządu Unii, przyjęcia i utrzymania sierot polskich z Rosji sowieckiej.

1. września 42. pułk. Idzik w towarzystwie grupy oficerów i żołnierzy pułku, wraz ministrem R.P. dr. S. Lępkowskim i wicekonsulem Arminem, złożyli w Pretorii wizytę Marszałkowi Smutsowi, ofiarowując mu w darze portret w wykonaniu artysty pułku, st. strz. Szolomiaka.

Przyjmując dar, marszałek Smuts odpowiedział (cytuję za pułk. Idzikiem):

„Jesteście pierwsi i najlepsi spośród wszystkich Aliantów. Znam Was i kocham jeszcze od czasu wspólnych walk ramię przy ramieniu z wojskami Południowej Afryki, a specjalnie z 1-szą naszą Dywizją. Życzę Wam, abyście jak najprędzej powrócili do swojej ukochanej i pięknej, ale już wolnej Ojczyzny. Tymczasem będziemy tu, w Południowej Afryce, opiekować się waszymi dziećmi i rodakami”.

Po wyjściu od Marszałka Smutsa minister Lawrence zakomunikował obecnym, że marszałek zdecydował przyjęcie 500 polskich dzieci do Unii. Tak został wprowadzony w życie plan utworzenia Osiedla Polskiego w Oudtshoorn.

7 września dywizja wypłynęła z Durbanu do Anglii, żegnana serdecznie przez mieszkańców, a także, co podkreślają ci co brali w tym udział, przez Murzynów. 20 pp. ZK. odpłynął S/S Rangitiki, a 24 pp. S/S Cirkasia.

Przed wyjazdem, 20 pp. zebrał wśród żołnierzy sumę £ 1000, którą przekazał ministrowi Lępkowskiemu, na rzecz dzieci i sierot polskich, które mają przybyć do Oudtshoorn.

W roku 1943, celem uczczenia pobytu Oddziałów Polskich, rada miejska Pietermaritzburg nazwała jedną z ulic miasta, „Poland Road”.

Jak widać z powyższego, dzięki inicjatywie i pomysłowości pułk. Idzika, przymusowa kwarantanna przemieniła się w szereg dobrze zorganizowanych i życzliwie przyjętych przez społeczeństwo, polskich imprez propagujących naszą sprawę.

Lecz dziś, po 18 latach, mało kto pamięta tych *Polish Soldiers*.

Wspinamy się stale pod górę. Mijamy miejscowości Eastcourt, Colenso i pamiętne z oblężenia w wojnie południowoafrykańskiej Ladysmith. Jest już noc gdy z daleka widzimy światła miasta diamentów i złota. Po 12 godzinach jazdy jesteśmy w Johannesburgu. Zajeżdżam do znanego mi hotelu przy Commissioner street, w którym mieszkałem 11 lat temu. Właściciel, urodzony w Polsce, widząc moje nazwisko i miejsce zamieszkania w Kenii pyta: — a jak się powodzi Polakom w Kenii? Czy jest tam jeszcze Mau Mau?

Wtorek 12 kwietnia. Rano przenoszę się do gościnnego domu państwa Niedziałkowskich, od których dowiaduję się, że przyjechałem na doroczne Targi, na których jest też pawilon

polski. Nie namyślając się długo, jadę autobusem do Millner Park, gdzie odbywają się *Rand Eastern Show*.

Na terenach wystawowych tłumy zwiedzających. Imponujący pokaz bydła i maszyn rolniczych. Zwiedzam kolejno pawilony W. Brytanii, Włoch, Niemiec, Holandii, Belgii, Austrii i zbliżam się do pawilonu z napisem POLAND. Wrażenie raczej ujemne. Pawilon skromny, prosty w budowie, wygląda ubogo w przeciwieństwie do pawilonu drugiego państwa z za żelaznej kurtyny — Czechosłowacji. Zwiedziwszy pawilony innych państw, byłem ciekaw co wystawia Polska. Łudziłem się, że będzie można kupić znane z dobroci konserwy lub inne produkty, lecz spotkało mnie rozczarowanie. Pokaz obejmował tylko tak zwane *Investments Goods* — jak wyjaśniono w specjalnym wydaniu *Polish Foreign Trade News*. Przy wejściu stały gablotki z lekarstwami i różnymi antybiotykami, wytwarzanymi przez CIECH. UNIVERSAL pokazał kilkanaście typów aparatów radiowych. VERIMEX aparaty fotograficzne, CENTROZAP instrumenty precyzyjne. Poza tym widziałem sześć zwojów perkalików, wystawionych przez CETEBE, z ostrzeżeniem: „Przszę nie dotykać”. Przed pawilonem stało kilka ciężkich maszyn rolniczych oraz samochód Nysa — przypominający Volkswagen. Całość bardzo uboga i nie efektowna. Ani jednego kwiatka lub dekoracji. Przy stoiskach urzędowało kilku panów, z których tylko jeden możliwie władał językiem angielskim (b. oficer 1. Dyw. Panc.).

Przed opuszczeniem wystawy raz jeszcze wróciłem do Pawilonu polskiego, chcąc skontrolować swoje wrażenia: może jestem uprzedzony, a może to naprawdę jest martwota. I z bólem w sercu musiałem się zgodzić na to drugie.

Na zwiedzaniu Johannesburga i odwiedzaniu znajomych i przyjaciół zeszyły mi dwa następne dni.

Johannesburg znałem z poprzedniej wizyty w roku 1948, gdy jako oficer łącznikowy War Office i PKPR organizowałem wyjazd polskich sierot oraz dzieci rodzin wojskowych do Anglii.

Były to sieroty, które w kwietniu 1943 roku przybyły do Unii, do specjalnie dla nich założonego Osiedla w Oudtshoorn, nad zatoką Mosel. Rząd Unii zaofiarował Rządowi Polskiemu w Londynie pomoc w ulokowaniu tych sierot, urządzając całkowicie osiedle, które obejmowało kilkadziesiąt budynków mieszkalnych, murowanych, mieszczących szkoły, sypialnie, warsztaty, magazyny itd. Personel szkoły liczył 50 osób, w tym połowa była zatrudniona w administracji a połowa była personelem nauczycielskim. W osiedlu uruchomiono przedszkole, dwie szkoły powszechne 6 kl. i gimnazjum. Oprócz szkół uruchomiono warsztaty: szewski, krawiecki, stolarski i blacharski.

Gdy w roku 1948 został zatwierdzony przez War Office plan sprowadzenia polskich rodzin wojskowych, bracia i siostry, którzy byli w PKPR, mieli prawo sprowadzać swoje rodzeństwo (sieroty). Tak samo dalsi krewni, o ile wykazali się

dostatecznym zabezpieczeniem finansowym, mogli korzystać z prawa sprowadzenia swych krewniaków do Anglii.

Będąc Oficerem Łącznikowym War Office i Inspektora PKPR przy Dowództwie Brytyjskim w Afryce Wschodniej, po ukończeniu ewakuacji polskich rodzin wojskowych z Afryki wschodniej, zostałem wysłany, wraz z mjr. Buckingham, szefem ówczesnej misji łącznikowej, do Pretorii, celem odszukania dzieci, które zostały uprawnione do wyjazdu, a następnie zorganizowania transportu morskiego do Anglii. Na zatwierdzonych 160 dzieci, zgodziło się na wyjazd 19. Reszta, przebywająca w szkołach, w konwentach katolickich, lub już po szkołach — na posiadach, odmówiła wyjazdu, na co nie było argumentów. Misja nasza pracowała w porozumieniu z lokalnym Wydz. Opieki Społecznej w Min. Pracy, które raczej z tego obrotu sprawy było zadowolone, pozyskując tanim kosztem szereg młodych i wartościowych osób; 28 października 1948 r. grupa ta odplynęła Carnarvon Castle do Anglii. Tym samym statkiem odplynęło równie 37 osób z Rodezji, z gen. Zarzyckim.

Ponieważ zadanie nasze wymagało wyjazdów w teren, zwiędziłem Cape Town, i okolice oraz poznałem dokładnie Pretorię, siedzibę rządu Unii.

Obecnie, mieszkając prawie że w centrum miasta, piechotą wybrałem się na spacer z myślą by, zobaczyć jak wygląda stan wyjątkowy i gdzie są barykady na ulicach, o czym tyle pisała prasa. Na ulicach tłumy ludzi bardzo porządnie ubranych, w większości Europejczycy, ale widać też dostatnio ubranych Murzynów z rodzinami, każdy z walizką. Są to przybysze z prowincji na zakupy w mieście. Ponadto inni Murzyni: chłopcy biurowi lub służba domowa, każdy w drelichowych szortach i koszulce z krótkimi rękawami, obramowanymi kolorowym paskiem, po tym od razu można poznać że właściciel takiego ubrania pracuje w jakimś biurze lub domu prywatnym.

Idąc Twist street nareszcie widzę barykady. W parku miejskim, w którym pełno starszych pań i dzieci, boisko sportowe odgrodzone jest kozłami hiszpańskimi, za którymi stoi sześć samochodów pancernych.

Mały oddział żołnierzy terytorialnych-Europejczyków odbywa ćwiczenia. Po drugiej stronie ulicy mieści się coś w rodzaju naszej Komendy Miasta. Budynek wojskowy, ogrodzony kozłami hiszpańskimi, warta pod bronią. Przy ogrodzeniu szereg matek i ojców, rozmawiają ze swoimi synami, którzy zostali powołani do pełnienia służby bezpieczeństwa. Lecz nikt z przechodniów nie zwraca na to uwagi. Jest okres przedświąteczny i ferii szkolnych, na ulicach i w sklepach tłumy ludzi.

Tu mała dygresja: po powrocie do Kenii, wiele osób pytało mnie, jak wygląda sprawa murzyńska? Czy bardzo ich przesładują?, itp. Za krótko byłem w Unii, aby wyrobić sobie zdanie o tym najbardziej istotnym zagadnieniu, rozdziałającym cały naród: „apartheid czy integration”. Na ten temat pisze się całe rozprawy i wypowiadają się socjologowie, księża, politycy i agi-

tatorzy polityczni. I nie zapominajmy o tych, którzy nie znają zupełnie zagadnienia, lecz również zabierają głos na ten temat. Rozmawiałem z osobami mającymi wyrobione zdanie. Na statku, przyjaciel mój Pierre, urodzony transwalczyk, będący jest w stałym kontakcie z cudzoziemcami, wypytującym go na ten drażliwy temat, miał całą podręczną biblioteczkę omawiającą to zagadnienie. Wiele z nim przedyskutowałem i co mogłem przeczytać. Chciałem wyrobić sobie zdanie kto ma rację i czyja polityka w Afryce jest słuszna, rządu Południowo-Afrykańskiego czy np. rządu brytyjskiego w Kenii.

Apartheid czyli odrębny rozwój, jest podstawową zasadą polityki obecnego rządu Unii Południowo-Afrykańskiej, stosowanej wobec różnych grup rasowych w Unii. Myślą przewodnią tej polityki jest zasada, że mniej rozwinięci nie-biali, szczególnie szczerp Bantu, winni być kierowani przez białych, ku samorządowi wewnątrz własnego społeczeństwa i na ich własnych terenach.

Integration czyli wchłonięcie, jest stosowane na terenach kolonialnych brytyjskich, gdzie tubylcy, jako równi Europejczykom są dopuszczani do urzędów i stanowisk. Taka forma rządów została przeprowadzona w Ghanie, Nigerii i jest zamierzana w Tanganicy i Kenii.

Wśród rodaków zamieszkujących Unię, znalazłem też podzielone zdania: jedni są za rządem i popierają bezkrytycznie jego politykę wobec mas murzyńskich, inni wyraźnie podkreślają swoje poparcie dla polityki ugodowej, zmierzającej do przyznania nie-białym praw, z których na razie korzystają tylko biali. Kto ma rację przyszłość pokaże. (N.b. wizyta moja była kilka miesięcy przed wypadkami w Kongo, które radykalnie wpłynęły na ugruntowanie się polityki *apartheid'u*).

Lecz wracajmy do milszych rzeczy.

W Wielki Piątek wybrałem się do pobliskiej Pretorii aby odwiedzić pułk. Wejtko, prezesa Zarządu Krajowego SPK Afryka-Południe. Spotkanie nasze na tradycyjnej rybce omówione było już poprzednio. Lecz co kraj — to obyczaj. Wielki Piątek u protestantów jest największym świętem roku. Wszystkie restauracje i jadalnie zastałyśmy zamknięte, jednak pułk. Wejtko, znając dobrze swój teren, zaprowadził mnie do BOULEVARD Hotel znanego z dobrej kuchni i dobrych win. Dostaliśmy godne zakąski i obiad, podlany obficie krajowym winem, lecz przedtem musieliśmy się wpisać jako goście hotelowi.

Pułk. Wejtko, który od kilkunastu lat mieszka w Unii, położył wielkie zasługi nad zorganizowaniem byłych polskich wojskowych, nie tylko na terenie Unii, lecz również i obu Rodezji. Jest on założycielem i prezesem Oddziału SPK Afryka-Południe i zna dobrze warunki w jakich nasi rodacy żyją i dorabiają się. Toteż korzystając z okazji wypytwałem go o Po-

W Unii Południowo-Afrykańskiej zamieszkuje obecnie około 2.000 Polaków, skupionych głównie w większych miastach, a więc w Johannesburgu i Pretorii oraz okolicy — około 500

osób, w Cape Town około 350 osób, w Durbanie około 250. Fakt, że nasi rodacy są rozproszeni na dużych przestrzeniach, bez oparcia o starą emigrację, której nie ma, oraz powszechne zobojętnienie na sprawy społeczne, wpływają na to że zaledwie 30-35 % z nich należy do organizacji polskich a frekwencja na zebraniach nie przekracza 25 % tej zorganizowanej części. Tak jak w innych skupiskach polskich zagranicą, brak jest chętnych do pracy, a w zarządach lub w organizowaniu imprez od szeregu lat bierze udział wciąż ta sama grupa ludzi.

W Johannesburgu istnieją trzy organizacje niepodległościowe: Zjednoczenie Osadników Polskich, które liczy około 170 członków, Stowarzyszenie Techników Polskich — około 50 członków i Koło SPK Transvaal — około 50 członków. W Pretorii jest Delegatura Tow. Pomocy Polakom, na Afrykę Południową i Kółko Polskie. W Cape Town działa Oddział Zjednoczenia Osadników Polskich i Koło SPK; w Durban Koło Natal i Koło SPK. Kombatanci mają również Koła w obu Rodezjach. Ostatnio została utworzona Delegatura Zarządu Krajowego SPK na Kenię. Delegatury Skarbu Narodowego są w Johannesburgu, Durban i Cape Town.

Już drugi z rzędu ksiądz polski umiera w Unii na posterunku, tak że obecnie Polonia nie ma własnego duszpasterza.

Do ciekawszych imprez polskich należą coroczne obchody rocznicy Powstania Warszawskiego, zainicjowane przed laty przez Zjednoczenie Osadników Polskich. SPK uzyskało odznaki AK dla lotników południowo-afrykańskich, którzy nieśli pomoc Warszawie w roku 1944. Ze 119 pilotów którzy latali w 31 i 34 Eskadrze S.A.A.F. zginęło 38. Uroczystości nadania odznak żyjącym oraz rodzinom poległych lotników, organizowane w kilku miastach Unii przez Koła SPK, stały się doniosłymi wydarzeniami propagandowymi. Z ich okazji w pismach lokalnych ukazują się liczne artykuły o Polsce, zaś jeden z lotników, por. Austin, napisał na ten temat dłuższą powieść pt. „Urszula i Warsaw Concerto”. Książka ta ma się ukazać w Stanach Zjednoczonych z przedmową gen. Bora. Autor poszukuje również wydawcy polskiego. (Może *Kultura* podejmie się tego?).

Mimo dużej odległości, łączność z Krajem jest wcale żywa. W ciągu ostatnich kilku lat, kilkadziesiąt osób jeździło do Polski na urlopy, choć podróż taka kosztuje około £ 300. Około 50 osób przyjechało z Kraju, aby odwiedzić krewnych. Jest kilku fachowców z Polski, którzy otrzymali w Unii stałe posady. W okresie zamknięcia kanału Sueskiego, do portów Unii zawiązały polskie statki handlowe celem uzupełnienia zapasów żywności i wody. Załogi ich chętnie gościły miejscowych rodaków i same korzystały z gościnności na lądzie.

Na dorocznych Targach w Johannesburgu już trzeci rok z rzędu jest Polski Pawilon.

W Unii nie ma przedstawicieli dyplomatycznych Rosji sow.

ani też państw satelickich z wyjątkiem Czechosłowacji, która ma konsulat w Cape Town.

Historia Polaków w Afryce jest mniej zbadana aniżeli w innych częściach świata. Ostatnio Polak pochodzenia amerykańskiego, E. Bojarski, zebrał informacje o 90 wybitnych rodakach, którzy przyczynili się do rozwoju i zbadania Czarnego Łądu, przed końcem XIX wieku. Wydał on swą pracę w czterech numerach amerykańskiego pisma „The Explorer”.

Jest dużo innych niesprawdzonych śladów naszych rodaków w Unii, np. o grupie 12 osiedleńców, którzy przybyli do Natalu w roku 1828. Część z nich nie upodobała sobie tego kraju i postanowiła wrócić do Ojczyzny na przelaj, poprzez cały kontynent i zapewne zginęła w drodze. Są groby polskie na cmentarzu w Kimberley. Podobno jakiś oddziałek polski brał czynny udział w wojnie angielsko-burskiej po stronie Burów. Sprawy te pułk. Wejtko bada w bibliotekach i uniwersytetach.

Druga wojna światowa przyniosła większą falę imigrantów Polaków, którzy przybyli częściowo z Rosji sowieckiej, a częściowo na indywidualne osiedlenie z Anglii. W kwietniu 1943 przybyło z Persji 501 dzieci, przeważnie sierot. Większość z nich po ukończeniu studiów osiedliła się w Unii, pracują w przemyśle i w kopalniach. Przeważnie urządzili się dobrze, i z przyjemnością trzeba przyznać, że mają bardzo dobrą opinię u miejscowego społeczeństwa. Świadectwo z pobytu w Oudtshoorn jest najlepszą rekomendacją na uzyskanie pracy.

Zaklimatyzowali się również liczni marynarze i lotnicy polscy, którzy w czasie pobytów wojennych potrafili sobie przygotować grunt, uzyskali wizy pobytowe no i z czasem dorobili się własnych warsztatów pracy lub przedsiębiorstw.

Na zakończenie pułk. Wejtko stwierdza: wszystkim powodzi się nieźle, bo kraj należy do zasobnych i potrzebuje rąk do pracy.

I tak nasza rybka wielkanocna przeciągnęła się, gdy opuściliśmy hotel, służba przygotowywała już nakrycia do herbaty.

Niedziela 17 kwietnia. Rano piechotą poszedłem do Katedry w Johannesburgu i tam po raz pierwszy i jedyny widziałem razem białych, kolorowych i czarnych, słuchających Mszy św.

W południe tradycyjne święcone u państwa Niedzialkowskich. Na herbatę jadę do państwa Mycielskich, gdzie zastaję prawie całą Polonię Johannesburga. Pani Róża Mycielska była długoletnią prezeską Stowarzyszenia Osadników Polskich, a dr Mycielski, mój kolega z Poselstwa w Budapeszcie, ma obecnie kwitnące biuro handlowe. Ze starych znajomych spotkałem ministra Łepkowskiego, pracującego obecnie w Mennicy Państwowej, majora Iwanowskiego, który prowadzi bardzo dobrze prosperującą szkołę jazdy konnej. Przejazdem był znany pianista p. Niedzielski z żoną, który miał dać szereg koncertów w Unii i w Rodezjach.

Ja byłem ciekawy, jak wygląda stan wyjątkowy w Unii, a moi gospodarze i znajomi wypytywali mnie jak się żyje pod terrorem Mau Mau.

Następna wizyta u państwa Ledóchowskich. Inż. Włodek Ledóchowski, przyjaciel z czasów budapeszteńskich, dokąd w 1939 r. przyszedł z kraju jako pierwszy kurier Podziemia, jest obecnie *Consultant Engineer*.

Poniedziałek 18 kwietnia. O 3 po południu wyruszyłem pociągiem do Durbanu. Podróż trwała 17 godzin.

Wtorek 19 kwietnia. O godzinie 8 rano wjeżdżamy na dworzec kolejowy w Durbanie. Z daleka widzę w porcie śnieżno białą *Africa*. Biorę taksówkę obsługiwaną przez elegancką starszą panią — która chciała koniecznie nosić moje walizki, na co nie mogłem pozwolić — i jadę do hotelu Mayfair. Ponieważ statek odchodzi dopiero następnego dnia (we środę) cały wtorek poświęciłem na dokładniejsze zwiedzanie miasta, oraz przedmieść Durbanu.

Poniedziałek 25 kwietnia. O 1 w nocy dopływamy do Dar es Salaam, lecz czekamy do 6 rano na wprowadzenie nas do portu. O 13 ruszamy i głośniki ogłaszają, że jedziemy na Zanzibar. Ponieważ do portu w Mombasie musimy wejść o 6 rano więc zamiast stać beczynnie na redzie, kapitan postanowił zboczyć do Zanzibaru — tajemniczej wyspy goździków. Po 2 godzinach widać zarysy wyspy, a potem miasto. Stajemy na redzie. Za opłatą 20 szylingów od osoby, mamy zapewniony dojazd motorówką do portu, zwiedzanie wyspy, no i powrót na statek (bez uczynności agencji turystycznej można to samo mieć za 7 sh.).

W przystani widać stojący na kotwicy jacht Sultana „Seyyid Khalifa”. Przybijamy do mola i od razu rzuca się w oczy Beit-el-Ajaib, Dom Cudów, dawny pałac sultanów Zanzibaru. Następnie widać budynek Starej Fortecy, oraz nowoczesny pałac sultański, gdzie mieszka Sultan Zanzibaru, Jego Wysokość Seyyid Sir Khalifa bin Harub bin Thuwein bin Said (zmarł 9.10.60 w wieku lat 81. Następcą został jego syn Książę Seyyid Sir Abdullah bin Khalifa).

W cztery osoby wsiadamy do wygodnej taksówki, która ma nas obwieźć naokoło wyspy, 32 mile po dobrych tarmakowych drogach.

Przejeżdżając przez wąskie uliczki miasta widzimy pracujących złotników i snycerzy, którzy z kości słoniowej rzeźbią piękne figurki, broszki i bransoletki. Mijając granice miasta widzimy dobrze zachowany dom Livingstona, w którym w roku 1866 przygotowywał ostatnią wyprawę na kontynent afrykański.

Następny przystanek przy ruinach Marahubi. Był to pałac zbudowany w roku 1880 przez sultana Seyyid Barghash na ha-

rem. Pałac został przypadkowo spalony w roku 1899, lecz ruiny i sztuczne sadzawki, pełne lilii wodnych, stanowią piękny obiekt do zdjęć fotograficznych.

Jedziemy dalej do pałacu Kibweni, w którym sultan wraz ze swoim dworem spędza gorące dni podzwrotnikowego lata. Z Kibweni jedziemy do Bu-Bu-Bu lokalnej wioski z ciekawym targiem murzyńskim. Nazwa Bu-Bu-Bu pochodzi od pobliskiego źródła, w którym woda wytryskując z ziemi wydaje podobny odgłos. Dojeżdżając do Princess Marie Louise Road, wjeżdżamy w okrąg plantacji goździków. Czujemy — ich duszący zapach, ale rozglądając się nie mogę dostrzec nigdzie plantacji. Nie wiem dlaczego, wyobrażałem sobie, że goździki rosną na krzakach, podobnych do krzaków kawy czy herbaty. Pytam szofera: „Wapi cloves” (gdzie goździki), na co pokazuje mi drzewa, wśród których jedziemy. Drzewa podobne do naszych buków. Okazuje się, że goździki rosną na drzewach i trzeba dobrze wygimnastykować Murzynów, którzy wdrapawszy się na drzewo, przywiązują się sznurem do pnia i obydwiema rękami zbierają goździki wrzucając je do przepasanej przez ramię torby lub koszyka. Następna roślina, którą pokazuje nam szofer — to *lemon grass*, rodzaj trawy, która po roztarciu na dłoni ma zapach cytryny. Używają jej do perfumowania bielizny. Szofer jest wyćwiczony w wyszukiwaniu specyfików, które bardzo interesują turystów, zwłaszcza tych, którzy wyjechawszy z Europy w Zanzibarze po raz pierwszy stykają się z roślinami podzwrotnikowymi. Pokazuje nam drzewo cynamonowe, z którego dobrze wysuszonej kory, pochodzi cynamon, używany przez nasze goście. Gaje palm kokosowych dla mnie nie są nowiną, ale moi towarzysze podziwiają Murzynów, którzy na zawołanie, za szylinga, wdrapują się jak małpy na drzewo i zrywają świeże kokosy, z których wypija się chłodne i orzeźwiające mleko. Wjeżdżamy na dużą farmę, gdzie suszy się zebrane kokosy. To znaczy suszy się kopre, tj. jądro kokosu. Kopra jest używana do wytłaczania oleju i do wyrobu mączki kokosowej, a wyciżyny daje się jako pokarm dla bydła.

Na zakończenie zwiedzamy Biet-el-Amani Museum, w którym zebrano wiele pamiątek i dokumentów z przeszłości Zanzibaru.

Wtorek 26 kwietnia, o 6 rano wprowadza nas pilot do portu Kilindini. Wieczorem koleją wracam do Nairobi, na nową pracę.

I tak się skończyły moje Afrykańskie Wywczasy. (Dla ciekawych ile to kosztowało — podaję moje wydatki: bilety kolejowa i przejazd statkiem £ 55, wydatki na statku £ 10, wydatki w Unii £ 20 — razem 85 funtów za 23 dni urlopu).

Roman KRÓLIKOWSKI

Nairobi, lato 1960.

DRUGIE WYDANIE

PRZEJRZANE, POPRAWIONE I UZUPEŁNIONE

całkowicie wyczerpanych tomów pierwszego i drugiego:
znakomitego dzieła

WŁADYSŁAWA POBÓG-MALINOWSKIEGO

pt.

NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA POLSKI

TOM PIERWSZY — 1864-1918

I — Po klęsce stycziowej. II — Okres przeobrażeń. III — W przededniu rewolucji. IV — Rewolucja roku 1905-1908. V — Po drodze do czynu zbrojnego. VI — Pierwszy rok wielkiej wojny 1914. VII — Ku Państwu Polskiemu. VIII — Pierwsze dni odradzającej się Rzeczypospolitej (listopad 1918 r.).

TOM DRUGI — 1919-1939

I — Budowa Państwa. II — Przed wersalską konferencją pokojową. III — Kongres Wersalski. IV — Walka o granice. V — Wilno i Lwów. VI — Taganrog-Moskwa-Kijów. VII — Czerwony najazd i Konferencja w Spa. VIII — Zwycięstwo sierpniowe 1920 roku. IX — Ostatni etap zjednoczenia. X — Okres wszechwładzy Sejmu. XI — Przełom majowy w 1926 r. XII — Rządy Marszałka Piłsudskiego 1926-1935. XIII — Polska bez Piłsudskiego. Zamknięcie tomu drugiego stanowić będzie opis kampanii wrześniowej 1939 roku.

**OBJĘTOŚĆ PIERWSZYCH DWU TOMÓW
„NAJNOWSZEJ HISTORII POLITYCZNEJ POLSKI”
w naszym wydaniu zostanie wybitnie powiększona**

i wyniesie blisko:

1500 stron

(w pierwszej edycji ok. 1100 stron)

„Najnowsza historia polityczna Polski” w drugim wydaniu zostanie zaopatrzona w dokładne **indeksy nazwisk i miejscowości** oraz w **liczne mapy** i będzie

BOGATO ILUSTROWANA

portretami wybitnych postaci i dokumentarnymi fotografiami ważnych wydarzeń.

Aby umożliwić nabycie znakomitego dzieła jak najszerzszym rzeszom

P.T. Czytelników będziemy je wydawać

ZESZYTAMI W PRENUMERACIE

Całość obejmie: **15 zeszytów po 96 stron**

Cena zeszytu wraz z przesyłką

**DLA TYCH KTÓRZY ZGŁOSZA PRENUMERATĘ
DO 31 MARCA 1961 ROKU**

7/— lub \$ 1.00

Po tym terminie cena zeszytu zostanie nieodwołalnie podwyższona do:
10/6 lub \$ 1.50

Zeszyty „Najnowszej historii politycznej Polski” zaczną ukazywać się — co miesiąc jeden — **OD KWIETNIA 1961**. Całość wyjdzie **DO KOŃCA CZERWCA 1962**.

**Kto będzie płacić regularnie prenumeratę —
otrzyma bezpłatnie**

po zakończeniu edycji zeszytowej
okładki płócienne do obydwu tomów

B. ŚWIDERSKI 20 A, QUEENS GATE TERRACE
LONDON, S. W. 7.

Sąsiedzi

Dialog polsko-rosyjski

Na nasz rosyjski numer „Kultury” zareagowała bardzo żywo rosyjska prasa emigracyjna. Roman Gul (Nowyj Żurnał, New York), Koriakow (Nowoje Russkoje Słowo, New York), piszą o tym numerze w tonie przyjaznym, witając tę polską próbę szczerego dialogu; reszta artykułów utrzymana jest w tonie polemicznym i skrajnie krytycznym. Naszych rosyjskich rozmówców dotknęły do żywego teksty „antyrosyjskie” Marksa i Custine’a, dołączone do eseju Miłosza. Większość polemik dotyczy artykułu wstępnego Mieroszewskiego. Mieroszewski jak zresztą i Miłosz, wiążą parokrotnie z historią Rosji, również Rosję i Rosjan pod władzą sowiecką, obciążając naród rosyjski za grzechy sowieckie. Nasi polemicy kategorię przekreślają tę odpowiedzialność, negując związki istniejące między tradycją historii państwa rosyjskiego, a historią 43 lat Związku Sowieckiego. Stanowisko to zdaje się nam powierzchowne. Okrutna diagnoza Custine’a czy wiersze Mickiewicza cytowane przez Miłosza, były może dlatego tak bolesne dla czytelników rosyjskich, że ciągłość tę proroczko podkreślają.

Ale Rosjanie zareagowali najostrzej na ustęp artykułu Mieroszewskiego, który oburzył również wielu czytelników polskich.

Gdy Mieroszewski stwierdza, że nie mamy problemów granicznych z Rosją, że nie ma dzielących nas spraw terytorialnych, ma na myśli fakt, również trudny do przyjęcia dla obinii polskiej jak i rosyjskiej: to jest fakt, że między nami i Rosją jest Litwa, Białoruś, Ukraina i że z nimi jedynie graniczymy i graniczyć będziemy. Rozwijając swoją myśl, Mieroszewski pisze: „uważamy za sprawiedliwe i uprawnione dążenie do niesależności narodowej krajów zniewolonych czy anektowanych przez Związek Sowiecki. Chodzi nam przede wszystkim o Ukrainę i kraje bałtyckie z Litwą na czele. Nie czujemy się w prawie w ich imieniu przemawiać, ale ich narodowe dążenia będą miały zawsze odzew u Polaków”.

Powiązanie sowieckiej aneksji państw bałtyckich z wiekowym panowaniem Rosji na Ukrainie oburzyło Rosjan. Sprawy stawia jasno I. Kormilew (Rassija, New York). Według niego Rosjanie będą popierać dążenia do wolności Polaków, Węgrów, Czechów czy Litwinów, ale „sprawa Ukrainy jest wewnętrzną sprawą rosyjską, która nie tyczy tych narodów a przede wszystkim Polski” (nasze podkreślenie).

Dla Leona Rar (Posiew, Monachium) dążenie do niepodległości Ukrainy jest wymysłem szowinistów emigrantów i nie istnieje na samej Ukrainie.

Osipow w Nowym Russkim Słowie ocenia wschodnią politykę Polski ostrzej i bezwzględniej niż Custine Rosję. Custine poprzez krytykę gwałtowną i perspektywy czym jeszcze grozić będzie światu despotyzm Rosji nie ukrywa podziwu nie tylko dla jej siły ale i dla jej mądrości politycznej i konsekwencji działania. Osipow widzi w wielowiekowej polityce polskiej na wschodzie jedynie „krwawą bezmyślność” (krwowuju bezmyslicu).

Na tle tych wypowiedzi i paru innych jeszcze, uderza list-protest p. Fiedotowej, wdowy po wybitnym pisarzu i działaczu rosyjskim (i), witający naszą polską próbę dialogu polsko-rosyjskiego. Przesyła ona nam dwa artykuły swego męża, nieznanego polskiemu czytelnikowi. Jeden z nich został napisany 1 listopada 1939 roku (Nowaja Rassija), drugi w roku 1947 (Nowyj Żurnał). Oba artykuły stawiają na zupełnie innym poziomie odwieczny polsko-rosyjski antagonizm. Ten pisarz rosyjski widzi Polskę w jej niemocy, jej błędach, ale i w tej sile. Artykuł napisany zaraz po katastrofie wrześniowej jest wyrazem holdu Rosjanina dla samotnej walki polskiej. W tym holdzie nie ma śladu zdawkowości. To jest naprawdę wyraz bólu człowieka, który ciós skierowany w Polskę przeżył tak, jakby był wymierzony w niego.

Artykuł z r. 1947 porusza z rzetelną i szlachetną odwagą sprawę imperium rosyjskiego, narodów pokonanych przez Rosję, omawiając szczególnie losy Kaukazu i Ukrainy oraz coraz silniejsze budzenie się, w XIX i XX w., świadomości narodowej na Ukrainie.

Poza Filozofowym, którego praca nad zbliżeniem polsko-rosyjskim w latach w 1919-1939 nie jest dostatecznie znana ani Polakom ani Rosjanom, nie spotkaliśmy chyba, oprócz prof. Karpowicza, pisarza, działacza rosyjskiego, który — jak Fiedo-

(1) G.P. FIEDOTOW (1886-1951) historyk i eseista. W latach 1920-22 profesor Historii Średniowiecznej na Uniwersytecie w Saradowie. Opuszcza Rosję w 1925. Mianowany profesorem Teologicznego Instytutu Prawosławnego w Paryżu, pracuje nad zbliżeniem kościołów. W 1931 zakłada z Bunakowem-Fondamińskim pismo „Nowyj Grad”. Jest autorem szeregu książek i studiów. Emigruje do Ameryki w 1941 r. W New Yorku zostaje profesorem historii w Akademii Teologii Prawosławnej. W roku 1946 publikuje: *The Russian religious mind w 1948, A treasury of Russian spirituality*. W Wydawnictwie im Czechowa ukazał się w 1952 pośmiertny wybór jego studiów pt. *Nowyj Grad*.

tow — potrafił o sprawach tych myśleć i pisać z taką wolą prawdy, i wyczuć przyszłości.

REDAKCJA

Losy imperium

Co prawda, Rosja jest imperium bardzo swoistym. Biorąc pod uwagę jej narodową i geograficzną strukturę, zajmuje miejsce pośrednie między Wielką Brytanią i Austro-Węgrami. Jej nie-rosyjskie posiadłości nie znajdują się po drugiej stronie mórz. Stanowią bezpośrednie przedłużenie rosyjskiego kontynentu, zaś zwarty obszar rosyjskiej ludności nie jest ostro odcięty od jego obcoplemiennych kresów. Ale zarówno Daleki Wschód, jak Turkiestan, w sensie gospodarczym a nawet politycznym, całkowicie odpowiadają pojęciu kolonii mocarstw zachodnich. Typologiczna, to jest jakościowa, analogia z Austro-Węgrami jest jeszcze bardziej oczywista. Jednak odsetek panującej wielkorosyjskiej ludności w cesarstwie Romanowych był o wiele wyższy, niż odsetek ludności niemieckiej w cesarstwie Habsburgów. Stąd nieporównanie o wiele większa trwałość rosyjskiego państwa. Analogia będzie bardziej kompletna, jeśli zamiast Austro-Węgier weźmiemy Cesarstwo Niemieckie przed 1805 rokiem. Rosjanie i Niemcy wzięli na siebie identyczną rolę cywilizacyjną i asymilizacyjną. Wprawdzie, wśród niemieckich poddanych znalazły się narody o starej i bogatej kulturze! Rosja miała tylko jedną Polskę, Niemcy miały Polskę, Węgry i Czechy, ale wraz z wzrostem poziomu kulturalnego narodów, wchodzących w skład Rosji, i wzrostem ich separatyzmu, Rosja zaczęła zbliżać się do typu imperialnego austriackich Niemiec.

Nie chcieliśmy jednak dostrzegać skomplikowanego składu narodowego Rosji. Dla większości nas przerobienie Rosji w ZSSR, w pozorną federację narodów, wydawało się niebezpieczną maskaradą, za którą chowała się ta sama ruska Rosja, czy nawet ta sama święta Ruś.

Jak wyjaśnić nasze złudzenie? Dlaczego rosyjska inteligencja XIX wieku zapomniała, że znajduje się nie na Rusi, lecz w imperium? U szczytu swojej ekspansji i chwały, w stuleciu „ortów Katarzyny”, Rosja zdawała sobie sprawę ze swej różnorodności plemiennej i była z tego dumna. Dzierżawin opiewał „królową kirgiz-kajsackiej hordy”, zaś Puszkina, ostatni bard imperium, przepowiadał, że jego imię będzie wymawiane przez „dzikiego dziś Tunguza i przyjaciela stepów, Kałmuka”. Kończąc z poetów po-puszkiniowskiej epoki przyszłoby do głowy

wspominać Tunguzów i Kałmuków? Zaś pochlebstwo Dierżawina wydawało się po prostu niezrozumiałe, sztuczne i fałszywe. Budowniczo i poeci imperium pamiętali o jego misji: nieść postęp wszystkim jego ludom — uniwersalny postęp, promieniujący z Zachodu, aczkolwiek w świetle rosyjskiej mowy.

Po Puszkynie, który powadził się z caratem, rosyjska inteligencja zatraciła smak zajmowania się imperialnymi zagadnieniami, a nawet w ogóle zagadnieniami narodowymi i międzynarodowymi. Opanowała ją całkowicie, aż do umysłowego opętania, sprawa politycznej wolności i sprawiedliwości społecznej. Osądzano Imperium, wszystkie imperia, ze stanowisk humanitarno-liberalnych, jako gwałt zadawany narodom, ale wyniki tego gwałtu przyjmowano za nieuniknione. Co więcej, dla większości inteligencji XIX wieku świadomość narodowa redukowałą się do granic Wielkorosji. Rosja była niezmiernie rozległa i mało kto z wykształconych Rosjan poznał ją od kresu do kresu; najbardziej niespokojnych wabiła legenda Zachodu. Ale nawet podróżując po Rosji, Rosjanin nie wychodził poza granice ustalonego obyczaju: porozumiewał się wszędzie po rosyjsku, spotykał wszędzie taką samą rosyjską administrację i tubylców, tych wybitniejszych i bogatszych, już doszlusowujących do obyczaju, mowy i kultury zdobywców. Inteligencja oburzała się przymusową rusyfikacją i nawracaniem obcokrajowców, ale to oburzenie dotyczyło metod, a nie upatrzonego celu. Asymilację traktowano jako nieuniknioną konsekwencję cywilizacji. Jeszcze pięćdziesiąt, jeszcze sto lat i cała Rosja będzie czytać Puszkina po rosyjsku (tak rozumiano „Pomnik”), zaś wszystkie etnograficzne przeżytki przejdą do muzeum i do wyspecjalizowanych czasopism.

Rosyjskie „zachodnictwo” posiada jeszcze jeden niespodziewany aspekt. W ogóle mało interesowano się Rosją, a jeszcze mniej jej imperialną historią. I tak oto stało się, że prawie wszystkie, najbardziej konieczne, badania z dziedziny zagadnień narodowych i imperialnych pozostawiono historykom o tendencji nacjonalistycznej. Ci, naturalnie, tworzyli tendencyjny schemat rosyjskiej historii, łągodzący wszystkie mroczne strony państwowej historii. Schemat ten dostał się do oficjalnych podręczników, pogardzanych, lecz mimo woli przyjmowanych i pozbawionych korektur. W wykładach Kluczewskiego nie było historii stworzenia i rozbudowy Imperium.

I tak oto w umysłach nie tylko liberalnej, lecz i rewolucyjnej inteligencji utrwaliło się naiwne przeświadczenie, jakoby państwo rosyjskie, w przeciwieństwie do zachodnich państw, powstawało nie przemocą, lecz pokojową ekspansją, nie podbojem, lecz kolonizacją. Tego rodzaju przeświadczenie podzielały nacjonałiści wszystkich narodów. Francuzi z dumą powiadają, że generał Federbe ofiarował Francji Zachodnią Afrykę przy udziale jednej kompanii żołnierzy, zaś Lyautey był nie tyle zdobywcą Maroka, co wielkim budowniczym i organizatorem. To prawda, ale tylko połowa prawdy. Drugiej połowy, jakże łatwo rzuca-

jącej się w oczy cudzoziemcom, nie dostrzega krótki wzrok nacjonalistów.

Niewątpliwie, rosyjski *Drang nach Osten*, analogiczny do niemieckiego, zostawił w dziejach mniej krwawych śladów. Było to konsekwencją rzadszego zaludnienia i niższego poziomu kulturalnego wschodnich Finów i sybirskich plemion, w zestawieniu ze słowiańskim Zachodem. A jednak — z jakim uporem i zapamiętaniem walczyli na przykład Wogułowie w XV wieku z rosyjskimi „kolonizatorami”, a potem kazańscy Tatarzy i Baszkirzy. Przy każdym wstrząsie rosyjskiej państwowości mamy do czynienia z ich powstaniem — w burzliwej epoce na początku XVII stulecia, za Piotra, za Pugaczowa, ale spór historyczny jest już z nimi zakończony. Pomimo sztucznego renesansu wschodnio-fińskich ludów, ani Marijska, ani Mordowska republika nie zagrażają całości Rosji, ale z Tatarami sprawa jest bardziej skomplikowana. A cóż powiedzieć o ostatnich zdobyczach Imperium, które zostały bez wątpienia okupione obfitą krwią: o Kaukazie, o Turkiestanie?

Mamy sentyment do Kaukazu, ale patrzymy na jego podbój poprzez romantyczne poematy Puszkina i Lermontowa. Jednak nawet Puszkiniowi wymknęły się okrutne słowa o Cycjanowie, który „plemiona całe niszczył, gubił”. Już w dzieciństwie mówiono nam o pokojowym przyłączeniu Gruzji, ale niewiele wie, jakim wiarołomstwem i jakim pohańbieniem odwdzięczyła się Rosja Gruzji za jej dobrowolne przyłączenie się. Niewiele wie i o tym, że po kapitulacji Szamila około pół miliona Czerkiesów wyemigrowało do Turcji. To wszystko są sprawy niedawnych czasów. Kaukaz nigdy nie został spacyfikowany całkowicie. Należy pamiętać, że tak samo jest z Turkiestanem. Podbity z niesłychanym okrucieństwem, powstawał zbrojnie podczas pierwszej wojny światowej i potem, za bolszewików. Przed rewolucją rosyjski wpływ kulturalny w Azji Środkowej był w ogóle słaby, a po rewolucji ten wpływ nabrał takich cech, że mógł uczynić nienawistnym samo imię Rosjanina.

I wreszcie Polska, ta nigdy niezagojona (po dziś dzień) rana w żywym ciele Rosji. Ostatecznie cała rosyjska inteligencja, także nacjonalistyczna, pogodziła się z odpadnięciem Polski. Ale inteligencja ta nigdy nie uświadomiła sobie aż do głębi historycznego grzechu, popełnianego — przez całe stulecie — nad duszą polskiego narodu, ani naturalnego oburzenia, z jakim Zachód reagował na rosyjskie panowanie w Polsce. To właśnie Polsce Rosja zawdzięcza swoją sławę „więzienia narodów”.

Czy ta opinia była zasłużona? W takim samym stopniu, jak i przez inne imperia europejskie. Za cenę eksploatacji i uciemięczenia niosły one w dziki lub barbarzyński świat ziarna węższej kultury. Szydzić z tego może tylko ten, kto sam siebie wyklucza ze spadku hellenistycznego świata. Jeśli chodzi o Rosję, sprawa komplikuje się skutkiem jej kulturalnych odrębności w stosunku do jej zachodnich i wschodnich kresów. Przy zachodniej granicy rosyjska administracja miała do czynienia z narodami bardziej

ucywilizowanymi, niż naród panujący. I dlatego też, chociaż reżym rosyjski w Finlandii i krajach Bałtyckich był raczej miękki, traktowano go jako ucisk. Rosyjscy *kulturtraegerzy* nie mieli tu nic do roboty. Dla Polski zaś Rosja była istotnie więzieniem, dla Żydów — gettem. Te dwa narody Imperium przyduśiło całym swoim ciężarem. Ale na Wschodzie, przy całej brutalności rosyjskiej administracji, kulturalna misja Rosji nie ulega wątpliwości. Obco-plemieńcy syberyjscy, uciskani i rujnowani, jeśli pozostawali przy życiu — a jednak pozostawali — włączali się do narodu rosyjskiego, częściowo do rosyjskiej inteligencji. W krajach mahometańskich, przywykłych do despotyzmu miejscowych emirów i chanów, rosyjska samowola i łapownictwo nie były takie straszne. W Rosji nikogo nie wbijano na pal, jak to robiono w Chiwie i Bucharze. Już w zwyczajach rosyjskiej władzy, w jej pariachalnych despotyzmie było coś pokrewnego z państwową szkołą Wschodu, ale w wydaniu bardziej złagodzoną, zhumanizowaną. Ponadto u Rosjan nie było tego zarozumiałego poczucia wyższości rasy, które niszczyło owoce oświeconej i ludzkiej administracji angielskiej w Indiach. Rosjanie nie tylko bez trudu wchodzili w komitywę, lecz zawierali związki krwi ze swoimi poddanymi, ułatwiając ich arystokracji dostęp do wojskowej i administracyjnej kariery. Tak oto plusy i minusy idą na przemian w tym różnobarwnym korowodzie. Bilans ostateczny — prawdopodobnie pozytywny, jak i dla innych imperiów europejskich. I gdyby świat mógł jeszcze istnieć, jako równowaga imperialna, w tym układzie imperium rosyjskie zajęłoby honorowe miejsce. Ale w świecie nie ma już miejsca dla starych imperiów.

Ruch narodowo-romantyczny doszedł do granic Rosji z pewnym opóźnieniem. Nie od razu przyjął on cechy polityczne. Być może, miało to związek ze słabością romantycznego nacjonalizmu (słowianofilizmu) w samej Wielkorosji. Przez długi czas ciężenie do kultury zachodniej (za pośrednictwem Rosji) mniejszościowych środowisk inteligentnych wysuwało się ponad związek etnograficzny z ich narodami. Ale to, co było nieuchronne, musiało przyjść. Jeden z pierwszych był Runeberg, twórca „Kalewali”, który dał początki fińskiej literatury, tworząc nowy naród z tego, co stanowiło jedynie etnograficzną narodowość. W drugiej połowie stulecia odradzają się, czy też raczej rodzą się literatury bałtyckie — łotewska i estońska, — przyszłe narody, tworzone przez poetów. W tym samym czasie następuje nowy rozkwit prastarych piśmiennictw Kaukazu — gruzińskiego i ormiańskiego. Na początku dziewiętnastego wieku, literatura ukraińska, jedna z pierwszych została muśnięta i ożywiona przez powiew romantyzmu. Już w połowie stulecia, w łonie Bractwa św. św. Cyryla i Metodego, ruch ukraiński nabiera politycznego charakteru.

Przebudzenie Ukrainy, a zwłaszcza separatystyczne cechy ukrainofilów wprawiły rosyjską inteligencję w zdumienie i aż do końca pozostały dla niej niepojęte. Przede wszystkim dla-

tego, że myśmy lubili Ukrainę, jej ziemię, jej lud, jej pieśni, uważaliśmy to wszystko za nasze, ojczyste. Ale również dlatego, żeśmy zbyt mało — i to był nasz wielki grzech — interesowali się przeszłością Ukrainy na przestrzeni ostatnich trzech-czterech stuleci, które stworzyły jej narodowość i jej kulturę, różniącą się od Wielkorosji. Zgodnie ze schematami rosyjskich nacjonalistów wyobrażaliśmy sobie, że Małorusi, opadając z sił pod polskim uciskiem, marzyli tylko o tym, by połączyć się z Moskwą. Ale Rusini nie byli obcymi w polsko-litewskim państwie, chociaż ich odrzucało od katolicyzmu. Przeniknęło do nich niezwykle dużo elementów polskiej kultury i państwowości. Moskwa, z jej wschodnim despotyzmem, była dla nich obca. Gdy raczej religijne skłonności kozactwo do zawarcia unii z Moskwą, oczekiwały je gorzkie rozczarowania. Moskiewskiego wiarołomstwa nie zapomniano po dziś dzień. Zaś nasze głębokie niezrozumienie ukraińskiej przeszłości najjaskrawiej wykazuje ocena Mazepy.

Nowy etap w tworzeniu się ukraińskiego narodu przypada na drugą połowę dziewiętnastego wieku. Bezmyślne przesładowania ukraińskiej literatury spowodowały przeniesienie się ośrodka narodowego ruchu z Kijowa do Lwowa, do Galicji, która nigdy nie miała związków ani z Moskwą, ani z Petersburgiem. Miało to dwojakie skutki. Po pierwsze, literacki język zaczął wyrabiać się na podstawie gwary galicyjskiej, a nie poltańskiej, czy kijowskiej, a więc bardziej oddalonej od gwar wielkoruskich.

Polski a nie rosyjski język stał się źródłem nowych, oderwanych i naukowych słowotworów. Rosjanin bez trudu rozumiał Szewczenkę, ale już język Hruszewskiego był dla niego niezrozumiały, wydawał się sztuczny. Jak gdyby to nie wszystkie literackie języki były sztuczne w okresie ich powstawania — rosyjski język Łomonosowa, czy łacina Enniasza! Ale myśmy uporczywie uważali nadal język małorosyjski za prowincjonalną gwarę rosyjszczyzny, mimo że sławiści całego świata, nie wyłączając Rosyjskiej Akademii Nauk, dawno uznali tę gwarę za samodzielny język. Fakt, że język ten przekształcił się z mowy poezji, opartej na folklorze, w mowę oderwanego myślenia, że w tym języku istnieje już poważna literatura naukowa, ostatecznie rozstrzyga sprawę istnienia narodu ukraińskiego. Hruszewskiego można uważać za jego twórcę.

Przed naszymi oczami przechodził na świat nowy naród, ale myśmy na to zamykali oczy. Wydawało się, jak gdybyśmy byli przekonani, że narody istnieją wiecznie i niezmiennie, jak przyrodnicze rodzaje w epoce przedewolucyjnego przyrodznactwa. Dostrzegaliśmy bzdurność ukraińskich mitów, które już Kijowskiej epoce przypisywały istnienie osobnego ukraińskiego narodu, różnego od rosyjskiego. Ale zapominaliśmy, że ta historyczna mitologia potrzebna była tylko po to, by wyjaśnić obecną rzeczywistość. Narodu nie było, ale ten naród rodził

się — rodził się przez całe stulecia, za naszych czasów w coraz szybszym tempie. Rok 1917 to oficjalna data jego narodzin.

Fakt, że ośrodek ruchu znajdował się w Galicji, wyłączał nowy naród pod względem politycznym z ogólnych losów narodów Rosji; ułatwiał mu przejście od federacyjnej ideologii Kostomarowa i Drahomanowa do idei „niepodległościowej”.

Istniał jeszcze jeden ruch wśród narodów Rosji, którego ośrodek znalazł się zagranicą i którego istnienie całkowicie przegapiliśmy. To był ruch pan-turkowski, łączący literackie i polityczne przebudzenie się rosyjskich Tatarów z odrodzeniem Młodej Turcji.

Pierwsi zauważyli niebezpieczeństwo zagrażające imperium, rosyjscy nacjonaliści. Odpowiedzieli na nie wzmocnieniem rusyfikacji, szcuciem na obce narodowości, znęcaniem się nad Ukraińcami i pogromami Żydów. W ten sposób starannie rozmuchiwali iskry separatyzmów. Dwaj ostatni cesarze, uczniowie i ofiary reakcyjnego słowianofilstwa, nie mający pojęcia, jaki jest imperialny styl Rosji, podcinał jej pień przy samych korzeniach. Rewolucyjna inteligencja wyszła naprzeciw narodowym dążeniom mniejszości dopiero w przededniu pierwszej rewolucji. Niektóre lewicowe partie — nie bolszewicy — włączyły do swego programu federacyjny ustrój Rosyjskiej Republiki. W takiej sytuacji zastał nas 1917 rok.

Trudno przeciwstawić się samej idei federacji. To piękny, rozumny program. Małym narodom przyrzeka zarazem wolność i wszystkie życiowe korzyści pozostawania w ogromnym, przez wielki całe tworzącym się organizmie. Gospodarcze zyski, płynące z imperialnej współpracy, oraz korzyści wojskowo-obronne — nie ulegają wątpliwości. Być może, gdyby w roku 1905, wraz ze zwycięstwem ruchu wolnościowego, zrealizowany został w Rosji ustrój federacyjny, istnienie Imperium przedłużyłoby się przez życie kilku pokoleń. Niestety, narody — przynajmniej w naszych czasach — opierają swój byt nie na rozsądki, lecz na namiętnościach. Wolą rzeź i głód pod swoim własnym sztandarem.

Jak namiętnie Słowianie nienawidzili „szmacianych” Austro-Węgier, a iluż obecnie żałuje, że zginęły. Stara Austria dawno już przestała być habsburską tyranią. Poczynając od 60-tych lat zaczęła przebudowywać się w sensie federacyjnym. Niektóre z jej narodów — Węgrzy, Polacy — już czuli się jak gospodarze na własnej ziemi, godzina pełnego samorządu zbliżała się i dla innych. A w ogóle wszyscy korzystali z takiej porcji swobód politycznych, jaka była nie do pomyślenia w carskiej Rosji. A jednak narody te odstąpiły od swej ojczyzny w godzinie śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Demokratyczna inteligencja, która w 1917-tym przez pół roku rządziła Rosją, nadała federacyjny samorząd niektórym narodom. Jednakże w warunkach rozkładu i upadku wojskowej potęgi rosyjskiej, federacja już nie zadawała. A gdy bolszewizm zwyciężył w Wielkiej Rosji, zaczęto od niej uciekać jak od czarnej

zarazy. Przemocą oręza bolszewicy zebrali imperium z powrotem do kupy i już prawie trzydzieści lat terrorem, jak żelazną obręczą, trzymają rozpadające się części.

Wielu, nawet spośród nieprzejednanych wrogów bolszewizmu, wydawało się, że rozstrzygnięcie narodowego zagadnienia w ZSSR należy do najbardziej udanych jego osiągnięć. Rzecz sprowadza się do dwóch zasad: pełna autonomia kulturalna i żadnej autonomii politycznej.

Brak wolności politycznej pokrywano hojnymi ustępstwami pod adresem narodowej próżności. Nawet nazwę Rosji zniszczono. Jedenaście republik ZSSR żyło „pod swymi własnymi sztandarami”: według konstytucji miało nawet prawo do odwołania się. W pierwszych latach rewolucji narodowe siły — Wielkiej Rosji nie licząc — nie tylko wyzwoliły się, lecz otrzymały państwowe poparcie i doprowadziły do kulturalnego rozkwitu. Poważna część inteligencji znalazła ujście w kulturalnej działalności wśród ludu. Naturalnie, cała władza należała do partii komunistycznej, zaś partią kierowała Moskwa.

Ten rozkwit trwał bardzo niedługo. Bolszewizm jest systemem nie tylko politycznym, lecz przede wszystkim ideologicznym. Narodowy romantyzm, nieuchronnie przechodzący w odcień idealistyczny, budził w nim nienawiść. W kilkudziesięciu językach Związku musiały być drukowane i czytane przede wszystkim zebrane pisma Marksa i Lenina. Do tych osiągnięć doszły ody na cześć Stalina. W tym celu konieczne było zaduszenie narodowych piśmiennictw (zwłaszcza ukraińskiego i turkuskiego), przy czym wyniszczono znaczną część inteligencji. Od tego czasu narodowe ruchy zostały zapędzone w podziemie. Ale to znaczy, że znowu, jak za carskich czasów, na kresach skupiają się odśrodkowe siły, zawsze gotowe wysadzić w powietrze rzekomo federacyjne imperium. Im mocniej są one przyduszone pracą NKWD, tym efekowniej będzie ich wybuch po wyzwoleniu.

Ogromna większość Wielkorusów nienawidzi bolszewickiego reżymu. Ale wspólna nienawiść bynajmniej nie jednoczy narodów Rosji. U wszystkich mniejszości wstręt do bolszewizmu utożsamia się z wrogością do Rosji, z której ten bolszewizm się począł. Wielkorus nie może tego zrozumieć. Rozumuje następująco: wszyscy, w równym stopniu jesteśmy odpowiedzialni za bolszewizm, zbieramy żniwo wspólnych błędów. To prawda, że bolszewicka partia wchłonęła w siebie rewolucyjno-rozbójnicze elementy z wszystkich narodów Rosji, ale nie w równym stopniu. Ideolodzy i twórcy partii byli przeważnie Rosjanami. Bolszewizm z łatwością ustalił się w Petersburgu i w Moskwie, Wielkorusja prawie nie zaznała wojny domowej; kresy przeciwstawiły się bolszewizmowi z zaciętością. Najwidoczniej było coś w tradycjach Wielkorusji, co odżywiało bolszewizm w większej mierze, niż grunto pozostałych części imperium: pańszczyzna, wiejska wspólnota, samodzierżawie. Ukraińcy lub Gruzini gotowi są przesadzać co do narodowo-rosyjskich cech bolszewizmu, a

samych siebie oczyszczać z współnictwa. Ale są to tendencje naturalne.

Żelazna kurtyna totalitarnego igrarstwa przeszkadza nam w wyraźnym widzeniu tego, co się dzieje za ścianami osławionej katowni. Znamy jednak trzy fakty, które zmuszają nas do założeń, że separatyzmy w ZSSR wciąż rosą. Po pierwsze, jak świadczą uciekinierzy, „nacje” stanowią wysoki procent mieszkańców obozów koncentracyjnych. Ich obecności w tych obozach nie równoważą przedstawiciele politycznych prądów czy stronnictw wielkorusyjskich, bo te w ogóle nie istnieją. W bezkształtnej, opozycyjnej masie, pomieszanej z kryminalistami. Wyróżniają się, choćby nawet z piętnem szpiegów, jedynie przedstawiciele małych narodów Rosji.

Ponadto, po drugiej wojnie, rząd zniósł pięć republik (względnie obwodów), za kolaborację z Niemcami. Republiki to niewielkie, ale sam fakt jest wysoce znamienity; do niektórych z nich okupacja niemiecka w ogóle nie doszła. Znieść Ukrainy nie było można bez wszechzwiązkowej hańby, zdaje się, jednak, że ona również zasłużyła na taki los. Wiemy, że były ukraińskie oddziały, bijące się po stronie Niemców, słyszeliśmy o ukraińskiej cerkwi, o zarodku ukraińskiego rządu. Naturalnie, defetyzm objawił się w Wielkorusji, ale na Ukrainie był on o wiele jaskrawszy.

A wreszcie widzimy, co się dzieje wśród nas, na emigracji. Wolno sądzić, że nastroje zagranicą nie odpowiadają na sto procent nastrojom w samych Sowietach: przesada rewolucjonistów jest nieuchronna. Ale nie wolno twierdzić, że oderwali się oni całkowicie od sowieckiej rzeczywistości; w każdym razie, nam, Wielkorusom, wojna i nowa emigracja przyniosły raczej potwierdzenie naszych opinii. I oto, wśród wszystkich ugrupowań rosyjskiej emigracji, przedstawiciele innych narodów Rosji świecą swoją nieobecnością. Tworzą swoje własne organizacje, nawet nie usiłując nawiązać jakiegokolwiek łączności z rosyjskimi towarzyszami walki, dzielącymi taki sam los. Co więcej, nigdzie nie spotykamy się z taką nienawiścią, jak wśród Ukraińców, których niegdyś uważaliśmy — jak się okazuje błędnie — za całkowicie swoich. Jakże daleko odeszliśmy od starej emigracji, gdy — w upragnieniu nadchodzącej rewolucji — przywódcy wszystkich narodów Rosji jednoczyli się w walce „za naszą i waszą wolność”!

Nie trudno przewidzieć, że w razie wojennej klęski Rosji, nastąpi nie tylko upadek sowieckiego reżymu, ale i powstanie jej narodów przeciw Moskwie. W warunkach, stworzonych przez klęskę, nawet te gospodarcze i polityczne motywy, które wskazywałyby na korzyść zachowania związku z Wielkorusją, zaczynają działać w odwrotnym sensie. Pozostać z Rosją znaczyłoby: podzielić jej odpowiedzialność, jej ciężki los. Z drugiej strony zwycięzca stanie przed zagadnieniem, podobnym do tego, które powstało po klęsce Niemiec. Jak zabezpieczyć pokój na przyszłość przed groźbą rosyjskiej agresji? Bolszewizm umrze, jak

umarł narodowy socjalizm. Ale ktoś wie, jakie nowe formy przyjmie rosyjski faszyzm, czy nacjonalizm, by poprowadzić nową rosyjską ekspansję? Choćby w Rosji nie było żadnych separatyzmów, i tak stworzono by je sztucznie; rozbiór Rosji i tak byłby przesądzony. Stan faktyczny umożliwi przeprowadzenie rozbioru w zgodzie z wolą większości narodów, w warunkach demokratycznej sprawiedliwości. Na barki zwycięzców, oprócz wszystkich światowych zagadnień, spadnie dodatkowy ciężar: organizowanie chaosu na terenie Europy Wschodniej. Światowe imperium — to trudna impreza. Ale wojskowa okupacja ułatwi pierwsze kroki.

Perspektywa wojny i klęski Rosji jest w stanie wstrząsnąć nie tylko nacjonalistami, lecz i każdym Rosjaninem, który nie całkiem utracił łączność ze swoim narodem i jego kulturą. Teoretycznie, istnieje jeszcze jedna szansa — zdaje się, jedyna — uniknięcia nowej wojny: to upadek bolszewickiej władzy w Rosji. Od iluż okropności uratowałby się świat! Nie będziemy się teraz zastanawiali, czy to możliwe, — sądzimy, że możliwości są znikome. Ale w losach Rosji, imperium skazanego na zagładę, ten wariant niczego nie zmienia. Podniesienie straszniejszego ciężaru, wiszącego nad narodami Rosji od trzydziestu lat, oznacza wybuch wszystkich głębinowych, rewolucyjnych i odśrodkowych sił. Podczas gdy naród rosyjski będzie przeprowadzać porachunki ze swoimi katami, w ogólnym, nieuniknionym chaosie większość narodowości zażąda, jak w roku 1917, realizacji swego konstytucyjnego prawa do oderwania się. Prawdopodobnie, wybuchnie wojna domowa, w której wezmą udział mniej więcej równe części byłej Rosji. A jeśli nawet zwycięży Wielkorusja i siłą utrzyma przy sobie narody Imperium, jej triumf będzie tylko chwilowy. We współczesnym świecie nie ma miejsca na różne Austro-Węgry. Jeżeli światem będzie rządzić jedna władza — jedyna szansa na jego uratowanie się — jej obowiązkiem będzie uniemożliwienie wszelkiej przemocy jednych narodów nad drugimi. Likwidacja ostatniego prywatnego imperium stanie się kwestią międzynarodowego prawa i sprawiedliwości.

A dla samej Rosji wymuszone przedłużenie imperialnego istnienia oznaczałoby utratę nadziei na osiągnięcie wolności przez nią samą. Państwo, które panuje przy pomocy terroru na połowie swego terytorium, nie jest w stanie zapewnić wolność dla drugiej połowy. Podobnie jak za moskiewskich carów samodzierżawie było ceną, płaconą za ekspansję, faszyzm jest jedynym ustrojem, zdolnym przedłużyć istnienie katorżniczego Imperium. Naturalnie, za cenę dalszego dławienia jego kultury.

◆

Finis Russiae? Koniec Rosji, czy też nowa stronica jej historii? Oczywiście, to drugie. Rosja nie umrze, dopóki żyje naród rosyjski, dopóki żyje on na swojej ziemi, mówi swoim językiem. Wielkorusja, przy tym z dodatkiem Białorusi (praw-

dopodobnie) i Syberii (jeszcze przez długi czas), to wciąż olbrzymi organizm, z olbrzymią ludnością, wciąż jeszcze najliczniejszy z europejskich narodów. Rosja utraci doniecki węgiel, bakińską ropę — ale Francja, Niemcy i tyle innych narodów nigdy ropy nie miały. Rosja stanie się biedniejsza, ale tylko potencjalnie, bowiem ta nędza, w jakiej żyje w komunistycznym systemie, odejdzie w przeszłość. Wojskowy potencjał zmniejszy się, ale przy powszechnym rozbrojeniu nie będzie to miało znaczenia. Jeśli zaś do rozbrojenia nie dojdzie, zginie nie tylko Rosja, lecz cała ludzkość. Nawet uczucie żalu po stracie dawnej potęgi zostanie złagodzone świadomością, że żaden z byłych rywali w starej Europie nie zajął rosyjskiego miejsca. Znikną bowiem wszystkie stare imperia.

Ostatecznie, imperialna świadomość wynikała nie tyle z interesów państwowych — jeszcze mniej z interesów ludu — co z samowoli władzy: z patosu nierówności, zadowolenia z zadawania upokorzeń, z przemocy nad słabymi. W Rosji dziewiętnastego wieku ten pogański kompleks stwarzał jaskrawy kontrast między polityką państwa i testamentem jej duchowych przywódców. Rosyjska literatura była sumieniem świata, zaś państwo straszylem dla wolności narodów. Utrata imperium stanie się moralnym oczyszczeniem, uwolnieniem rosyjskiej kultury od straszliwego ciężaru, zniekształcającego jej duchowe oblicze.

Wolna od wojskowych i policyjnych kłopotów, Rosja będzie mogła powrócić do swoich wewnętrznych zagadnień — do budowania okupionej straszliwą męczarnią, swobodnej demokracji społecznej. Ale po trzydziestu latach komunizmu człowiek rosyjskich stał się brutalny, otępiał, — mówiąc słowami ludowego wiersza, „porósł sosnową korą”. Prawdopodobnie, potrzeba będzie nie jednego pokolenia dla jego reedukacji, to jest dla zawrócenia go w głąb zatraconej tradycji rosyjskiej kultury, a przez nią ku rosyjskiemu chrystianizmowi. Aby sprostać temu wielkiemu zadaniu, rosyjska inteligencja powinna się do niego szykować już dziś, na wygnaniu, zamiast uganiać się za wiadziadłami imperialnych orłów.

G.P. FIEDOTOW

(Przełożył z rosyjskiego Józef ŁOBODOWSKI)

Polska i my

W dniach wojennego zacisza, przed nową, jeszcze nieznaną fazą wojny, zwracamy się myślą ku jej pierwszej ofierze: ku Polsce, zamęczonej, spływającej krwią. Ona pierwsza przyjęła

w siebie uderzenie wroga — dwakroć liczniejszego, dziesięciokroć lepiej uzbrojonego nie wahając się ani przez chwilę, nie zastanawiając się nad beznadziejnością, niepotrzebnością tej walki. Jakież zadziwiający widok w naszym stulecia racjonalizmu, utylitaryzmu, tych wszystkich hasel, iż „cel usprawiedliwia środki”! Bezinteresowny, niecelowy, czysto bohaterski akt „śmierci za ojczyznę” — wydaje się nam zadziwiający, nieprawdopodobny; jak gdyby ożyły i przeniosły się w naszą powszedniość stronicie Plutarcha. I niech nikt nie mówi, że pewność siebie i władza złudzeń odbierają wartość polskiej ofierze. Niewątpliwie, Polska nie doceniła wroga i marzyła nie o śmierci, lecz o zwycięstwie. Ale i tam, gdzie nie było żadnej nadziei, jej siły właśnie wzrastają. W niemieckim Gdańsku, pod ogniem artylerii, garść Polaków — dwa bataliony — przez wiele dni wytrzymywała oblężenie wroga. Pojedynczy lotnicy rzucali się na nieprzyjacielskie eskadry; kawaleria szarżowała na czołgi; Warszawa, otoczona ze wszystkich stron, niszczone z powietrza, objęta pożarem, broniła się nadal, gdy już nie było ani polskiej armii, ani polskiego rządu. Cywilna ludność Warszawy poniosła cięższe straty, niż wojsko, które jej broniło, i nie generał, lecz prezydent miasta stał się uosobieniem jej walki. Takie „epizody” ratują godność nie tylko jednego kraju, lecz i całej epoki. Dalecy nasi potomkowie, odczytując burzliwą historię Europy w trzydziestych latach i omdlewając pod ciężarem nikczemności, służalstwa i przemocy, wywołują się spod władzy moralnej zmory i odetchną — nie, nie dziwmy się temu powiedzeniu — tak, odetchną z ulgą, patrząc na straszliwą i wzniosłą tragedię: na zgubę Polski.

Tragedia zakończyła się obecnie triumfem zwycięzców. Śladem śmierci — grabieże, ruina, uprowadzenie w niewolę na katorgę, zniewolenie nieszczęśliwego narodu — prawdopodobnie, w takiej formie, jakiej nie zaznał przez całą swoją tysiącletnią historię.

Czy w takiej chwili wypada mówić, a nawet myśleć, o przyczynach fatalnego rozwiązania, o ukrytych w nim elementach winy? Mówi się o tym, że ludność Białorusi i Ukrainy z entuzjazmem spotykała rosyjskie wojska. Czy mogło być inaczej? Ten fakt uwydatnia nienormalność stosunków narodowościowych na terenie wieloplemiennego państwa polskiego. Okoliczność, która musiała osłabić zdolność oporu. Były też inne pęknięcia na fasadzie wspaniale demokratycznego, państwowego gmachu. Wszyscy o tym wiedzą. Rzeczpospolita zginęła niegdyś od nierządu i powstań uciemionych narodów. Historia powtarza się, aczkolwiek w innych formach. Polska nie umiała żyć, ale zawsze umiała umierać po bohatersku. I nie my, Rosjanie, mamy prawo wskazywać na źdźbło w jej oku w chwili, gdy stalinowskie — rosyjskie — wojska zadają jej ostatni, zdradziecki cios.

Pieniactwo Rosji i Polski — to prastary, wielowieczny spór. Włączeni jesteśmy w tę tragedię, nie jako cudzoziemcy i po-

stronni obserwatorzy, lecz jako współuczestnicy. Dla nas nie „milczy Krenl i Praga”, to jest rok 1619 i 1830. Ale już nie jesteśmy w stanie powtórzyć wraz z Puszkinem, że ten stary spór został osądzony przez los. Dzieli nas od Puszkina wskrzeszenie Polski, a obecnie, w ostatniej historycznej chwili, jej ponowne zstąpienie do piekieł. Wydaje się nam dziś niemal niepojęta ta obojętność, z jaką Rosjanie XIX wieku przyjmowali polską tragedię. Nie przychodziło im do głowy, by postawić pod znakiem zapytania historyczne wydarzenie tak wielkiej wagi, jak rozbiór Polski. Częściowo wynikało to z faktu, że zbyt lekko, nie zastanawiając się, stwierdzali oni oczywistość istnienia rosyjskiego imperium, nie mając najmniejszej wątpliwości co do jego trwałości — niemal wiekuistości. Nawet nie docierała do nich świadomość rosyjskiej winy. Nie mówię teraz o rewolucjonistach, którzy, poczawszy od 60-tych lat, postawili sobie za cel zniszczenie imperium. Mam na myśli pierwszą połowę wielkiego stulecia, apogeum rosyjskiej potęgi i rozkwitu rosyjskiej literatury. Któż z wielkich pisarzy rosyjskich, których nikt nie oskarży o oschłość serca, spróbował zbliżyć się do tragedii siostrzanego narodu i uczynić wysiłek, by ją zrozumieć? Fraso bliwi oredownicy całego świata, gotowi wyrzec się siebie i Rosji w imię ludzkości, tylko dla jednej Polski, jak się zdaje, nie znaleźli słowa współczucia i zwykłej litości. W najlepszym razie — obojętnie przeszli obok. W gorszym razie — mamy odę Puszkina i parodystyczne fragmenty Dostojewskiego. Znęcanie się nad Polakami stało się jednym z typowych tematów rosyjskiej literatury.

Najbardziej trudna była sytuacja słowianofilów. Nie brakowało wśród nich ludzi, szczerze interesujących się losami słowiańszczyzny i pracujących w ogólnosłowiańskim ruchu. Nie można było nie dostrzegać, że już ten jeden jedyny fakt — wzięcie udziału w rozbiórce Polski — decydował o dwulicowości Rosji i uniemożliwiał jej odegranie roli opiekunki i wyzwolicielki Słowian, wynikającej, jak się wydawało, z samego dziejowego przeznaczenia. Poszczególne słowiańskie narody sprzyjały Rosji i po dziś dzień dotrzymują jej wierności. Ale ośrodkiem, jednoczącym całą słowiańszczyznę, Rosja stać się już nie mogła. A jednym z powodów była niezabliźniająca się polska rana — ten wielki grzech, popełniony przez Rosję w stosunku do Słowiańszczyzny.

Tak więc ten brak współczucia rosyjskiego społeczeństwa wobec polskiej tragedii decyduje o głównej winie Rosji, donioślejszej, niż sam fakt rozbiórów i stuletniego, państwowego ucisku w Królestwie Polskim. Państwo popełniło wiele grzechów, którymi rosyjskie społeczeństwo nigdy nie obciążało swego sumienia. Państwa bezgrzeszne nie istnieją. Tylko taki grzech polityczny, który zostaje zaakceptowany bez reszty przez świadomość narodową, zapisuje się na konto win. Gdy na Strasznym Sądzie narodów Rosja usłyszy: „Coś uczyniła z siostrą twoją, Polską?” — kto, oprócz Hercena, ośmieli się wypowiedzieć sło-

wo w jej obronie? Hercen — tak, bo zapłacił za rycerską obronę Polski utratą przyjaciół, samotnością, zawaleniem się jego sprawy. Ale czy na ostatecznej szali jego odważna obrona przeważy odę „Oszczercom Rosji”?

Toteż nie należy zapominać o tej przeszłości, gdy myślimy o polskich winach — w szczególności o ostatnim dwudziestolecu, które stało się dla Polski okresem historycznego odwetu.

Historyczne losy — pamięć minionych i świadomość obecnych krzywd — same przez się nie wyjaśniają trudności wzajemnego zrozumienia się Polski z Rosją. O tej trudności decyduje głębokie przeciwieństwo kultury i duchowego typu, a bez ich przewartościowania szczerze pojednanie jest niemożliwe.

Zastanawiając się nad źródłem polsko-rosyjskiego sporu, słowianofile dojrzeli je w polskim katolicyzmie. Ale przecież odmienną wyznania Czechów czy Chorwatów nie przeciwstawiła się zbliżeniu z Rosją. Z drugiej zaś strony to nie religijne spory dzieliły demokratyczną inteligencję dwóch narodów, w większości swej obojętną wobec Kościoła. Rosjanie chciwie garnęli się do katolickiej Francji czy Włoch. Jedynie od Polski ich odrzucało.

Być może, nasze przeciwieństwo wyrasta z różnic społeczno-ustrojowych i światopoglądowych. W prymitywnej formie można je wyrazić tak: arystokratyczna wolność starła się z wszystkim zrównującym despotyzmem. Niegdys Polska realizowała feudalną wolność mniejszości w kształcie nieznanym w świecie, aczkolwiek za cenę obojętności wobec pańszczyźnianych mas. U korzeni rosyjskiego despotyzmu niewątpliwie tkwiły zrównujące wszystkie tendencje. Bolszewizm aż do reszty urzeczywistnił te potencjalne dążenia: ogólne zrównanie w nędzy i niewolnictwie. Polskę zgubiła niegdys jednostronność jej rozwoju. Czy nowa Rosja potrafi żyć w swej totalitarnej niewoli?

Duchowy ratunek Rosji polega na odrodzeniu, czy też — skoro chodzi o masy po raz pierwszy włączone w krąg kulturowy — w narodzeniu się uczucia, konieczności, miłości swobody. Ale miłość wolności powinna nauczyć nas tego czego nie rozumieli ani rosyjscy historycy, ani kierownicy rosyjskiej idei narodowej: u źródeł wolności stoi zawsze arystokratyzm. Nie wypada radować się ze stanowisk demokratycznych, z tego, że zawały się plany arystokracji, albo że bojarowie zostali zniszczeni przez Iwana Groźnego. Bojarska wolność w średniowieczu zapewniłaby nam konstytucję szlachecką w wieku XIX, zaś ogólnonarodową — w XX. Ale rewidując naszą przeszłość powinniśmy również zrewidować, a raczej przyjrzeć się po raz pierwszy losom sąsiedzkiej, tak bliskiej i tak dalekiej Polski. Nie z wysokości chłopsko-proletariackiej pychy należy patrzeć na jej szlacheckie szaleństwo. Ach, gdybyśmy mieli choć w małej części tę miłość wolności, która w czystej postaci, w ekskluzywnym kształcie narodowo-arystokratycznym, gubi Polskę! Jej trucizna stałaby się naszym zbawieniem.

Każdy, komu idea słowiańskiego — oczywista, duchowo-kulturalnego — braterstwa nie wydaje się daremnym marzeniem, nie może nie myśleć o bezwzględnej konieczności rosyjsko-polskiego pojednania. Nie mamy wątpliwości co do przyszłego wskrzeszenia Polski. Wyrażmy życzenie, aby losy wybawiły ją od nadmiernego i wyniszczającego jej siły imperializmu. Ale takie odbudowanie etnograficznie zwartej i czystej Polski stanowi jedynie wstępny, bynajmniej nie wystarczający, warunek dla rosyjsko-polskiego zbliżenia. Najważniejszy krok w tym kierunku powinien przyjść z naszej strony: z tej strony, która przecież zadała ostatnie uderzenie. Takim krokiem mogłaby stać się całkowita rewizja rosyjsko-polskich stosunków i poważne zajęcie się polską kulturą, po dziś dzień bardziej dla nas zamkniętą, niż jakakolwiek z romańskich i germańskich kultur Zachodu.

G.P. FIEDOTOW

(Przełożył z rosyjskiego Józef ŁOBODOWSKI)

AMERYKA-ECHO

*Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem*

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$8.00, w Europie \$9.00, w Ameryce Południowej \$6.50 (ze względu na niski kurs miejscowych walut w stosunku do dolara), w Australii \$9.00.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

*Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.*

Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.
1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio
U. S. A.

Archiwum polityczne

Konflikt Chiny-Rosja

Od zwycięstwa komunizmu w Chinach upłynęło zaledwie 10 lat, ale konsekwencje tego wydarzenia stają się coraz bardziej ważnym czynnikiem w polityce międzynarodowej. Wszystkie przepowiednie z niedawnych czasów, zapewniające, że „Imperium Srodka” nie ocknie się z długowiekowego bezwładu, straciły zupełnie na wartości.

Podróźni, którzy w 1960 roku zwiedzali rozmaite prowincje Chin opowiadali mi, że najbardziej głębokim przeżyciem były dla nich obserwacje żywiołowej energii, jaką reżym Mao Tse-tunga rozbudził wśród mas chińskich. 650-milionowy naród, na pół skoszarowany w komunach ludowych wiejskich i miejskich, dokonuje wysiłków, które dla przeciętnego Europejczyka, bez względu na to czy przyjeżdża z krajów kapitalistycznych, z państw satelickich czy z Rosji Sowieckiej, są czymś dotychczas niespotykanym. Nawet obywatele Związku Sowieckiego, których Stalin nauczył nie oszczędzania potu i łez, znalazłszy się w Chinach, bywają podobno przerażeni dynamiką tamtejszych procesów. Komuniści chińscy określili tę dynamikę jako „wielki skok naprzód”. Odbywa się on w atmosferze straszliwej walki z przyrodą i kosztuje wiele ofiar. Czytałem niedawno w piśmie chińskim „China in Bild”, kolportowanym w Niemczech, reportaż o wierceniu tunelu, przez który ma przebiegać linia kolejowa, łącząca prowincję Szeczuan z miastem Kuming w prowincji Jinnan. Choć redaktorzy tego czasopisma unikają drastycznych opisów, stwierdzili jednak w reportażu, że na jednym tylko odcinku budowy robotnicy kopali tunel, chociaż trzysta razy im się zawalił. Nawet w okresie wielkich deszczów nie przerwano robót. Budowniczości tunelu mieli rzekomo oświadczyć: „trudności nie dostrzegamy, góry łamią się pod naszymi krokami, skały rozsadzamy, a najtwardszy kamień rozpryskujemy na miał”. Takich wypowiedzi z wydawnictw chińskich można by przytoczyć tysiące. Chińskie sny o potęgze przemysłowej realizowane

są w sposób okrutny, który odsuwa w cień metody sowieckie z okresu pierwszych piatiletok. Większość obserwatorów, którzy w ostatnich miesiącach przewędrowali spore połacie Chin, uważa, że ten nadludzki wysiłek nie jest wynikiem terroru, ale owocem jakiegoś masowego transu. Utopijne hasła, rzucone przez kierownictwo partii i państwa, trafiły na żyzny grunt. To ma być rzekomo głównym kluczem do zrozumienia tego, co się dzieje w czerwonych Chinach. Naród rozbudzony z wiekowego letargu uwierzył przywódcom w Pekinie, że jest zdolny do skrócenia długich procesów społecznych i ekonomicznych. Innymi słowami, komunistom udało się wytworzyć masowy ruch patriotyczny. Ruch, który zdaniem wnikliwych obserwatorów nabiera coraz bardziej cech wielkomocarstwowych i imperialistycznych.

Wyjście za mur

Chiny, dla większości ludzi na Zachodzie i w Bloku Wschodnim, są nadal krajem egzotycznym, zamkniętym. Ale Chiny Mao Tse-tunga nie są już opasane murem. Nasza świadomość polityczna w epoce wielkich przeobrażeń nie nadąża za tempem faktów i przemian. Chiny od roku 1956 weszły na drogę wielkiej polityki światowej. Wykorzystały one zamęt ideologiczny w ruchu komunistycznym po XX Zjeździe i zachwianie się autorytetu Związku Sowieckiego — o czym wiedzą najlepiej zarówno komuniści polscy jak i węgierscy. Rezolucja Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin z końca października 1956 roku, w której potępiono błędy polityki wielkomocarstwowej Związku Sowieckiego, była wstępem do nowej epoki. Przekroczony ten próg, Pekin postanowił sięgnąć po prawa do współrządzenia światem komunistycznym. Podróż Czu-en-laja do krajów Europy Wschodniej, w styczniu 1957 roku, była wydarzeniem historycznym, o którym dziś można śmiało twierdzić, że zapoczątkowało nową erę na obszarze geograficznym pomiędzy Łabą a Władystokiem. Właśnie ta nazwa miasta rosyjskiego o tak charakterystycznym brzmieniu — powstała z dwóch słów rosyjskich „Władat” „czyli „rządzić, panować” nad „wostokiem” czyli „Dalekim Wschodem” — skonfrontowana ze współczesnym stanem rzeczy, staje się anachronizmem: co prawda nie tak olbrzymim jak fakt pozostawiania Czerwonych Chin poza obrębem Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale mimo to anachronizmem. Wielu Rosjan, szczególnie mieszkańcy miast syberyjskich odczuwają zdale się instyktownie ogrom przemian na południe od Amuru. Niedawno opowiadał mi pewien dziennikarz niemiecki, który kilkakrotnie już był na Syberii, gdzie poznał dużo ludzi i zyskał wielu przyjaciół, że kiedy wrócił z Chin do Irkucka jego przyjaciele sybirscy zaszpywali go niespokojnymi pytaniami, co się dzieje w Chinach i jakie plany mają Chińczycy na przyszłość. Ten lęk kontrastuje z długoletnią tradycją rosyjskiej polityki w stosunku do Chin, polityki w pe-

nym tego słowa znaczeniu mocarstwowej i imperialistycznej, która wykorzystywała każdą szansę aby umacniać własne pozycje na Dalekim Wschodzie, głównie kosztem słabości Chin. Teraz to się zmieniło. Szczególnie od pierwszej wizyty Chruszczowa w Pekinie, w roku 1954, kiedy to Związek Sowiecki musiał zrezygnować z wielu przywilejów na rzecz dynamicznego sojusznika i sąsiada. Mimo to, Sowiety długo nie zdawały sobie sprawy z zasadniczej zmiany sytuacji.

Wydaje się przede wszystkim, że politycy sowieccy nie uchwycili w styczniu 1957 roku głębszego sensu, który tkwił w podróży premiera Czerwonych Chin po Europie Wschodniej. Istnieją dowody, że wówczas w Moskwie potraktowano podróż Czu-en-laja jako taką zwykłą sobie wizytę o charakterze informacyjnym. A tymczasem był to wielki precedens, od którego zaczęła się era ingerencji Chin Ludowych w zagadnienia polityki sowieckiej i międzynarodowego ruchu komunistycznego. Widok Czu-en-laja na tle grobowców królów polskich na Wawelu w styczniu 1957 zasługiwał na to, aby zaczęto pisać nową kartę historii.

Od tej chwili można obserwować konsekwentny wzrost ambicji Chin w dziedzinie polityki zagranicznej i systematyczne rozszerzanie zasięgu wpływów i interesów. W ostatnich dwóch latach Chiny weszły na teren Afryki i Ameryki Łacińskiej. Nie ma ich jeszcze w świecie Zachodnim, ale tylko formalnie, bo już dziś każdy dyplomata, ekspert czy publicysta, nie może analizować stosunków Wschód-Zachód bez w kalkulowania czynnika chińskiego. Mur Chiński, jeszcze tak niedawno symbol polityczny, stał się przeżytkiem muzealnym. Nie ma dziś wielkiego problemu międzynarodowego, na który by nie kładł się cień Czerwonych Chin.

Problem stosunków chińsko-sowieckich

Na ostatniej sesji ONZ w Nowym Jorku często można było się spotkać z opinią różnych kół komunistycznych, że ofensywa Chruszczowa przeciwko Zachodowi pozostaje w logicznym związku przyczynowym z konfliktem ideologicznym Moskwy i Pekinu. Podobno Gomułka wyraził się w rozmowie z Harrimanem w ten sposób, że od Zachodu może w poważnej mierze zależeć, kto w tym sporze zwycięży: Chruszczow czy Mao Tse-tung.

Już sam udział przywódców komunistycznych w sesji ONZ był gestem zwróconym bardziej przeciwko Chinom niż państwom zachodnim. Taktyka Chruszczowa polegała na tym, iż pragnął on zademonstrować Chińczykom, jak można praktycznie walczyć o koegzystencję, pokój i zwycięstwo komunizmu wykorzystując arenę ONZ. Jednocześnie pragnął on dowieść konkurentom chińskim, że wszyscy szefowie partii komunistycznych w Europie Wschodniej stoją jak jeden mąż za pro-

gramem sowieckiej polityki zagranicznej, bazowanej obecnie na rewizji poglądów Lenina o nieuchronności konfliktów wojennych. Chruszczow mógł liczyć na tego rodzaju poparcie, gdyż stojąc przed wyborem Rosja czy Chiny, większość komunistów wschodnio-europejskich sympatyzuje z Rosją. Mówiliśmy już o symptomach lęku i nieufności, szerzących się w stosunku do Chin pośród społeczeństwa sowieckiego na Wschód od Uralu. Nie inaczej kształtują się nastroje w europejskiej części Związku Sowieckiego. „Tatarskie wieści” szerzone w społeczeństwie, pozbawionym obiektywnej informacji prasowej i dającym wobec tego posłuch szepowanej propagandzie, zakamuflowana polemika ideologiczna między „Prawdą” i „Komunistą” ze strony sowieckiej oraz „Dziennikiem Ludowym” i „Czerwonym Sztandarem” ze strony chińskiej, które Rosjanom nieobeznanym, z tajemniczym językiem tej zonglerki międzypartyjnej, kazały snuć jak najgorsze przypuszczenia, a wreszcie zwykły strach przed następstwami „wojennego komunizmu” Chin sprawiły, że Chruszczow ma obecnie za sobą wśród ludu rosyjskiego, w aparacie partyjnym KPZS, a nawet pośród krytycznie z innych względów usposobionych do niego intelektualistów, szerszą i głębszą bazę sympatii aniżeli dawniej. Do tego dochodzi inne zjawisko, mianowicie to, że i przedstawiciele kadry partyjnej, biurokracji gospodarczej i technicznej oraz innych odłamów wpływowych kół w republikach nierosyjskich, widzą w Chruszczowie Rosjanina rokującego możliwości dalej idących koncesji i przywilejów, których by nie mógł dać inny przedstawiciel rosyjskiej kasty rządzącej. Tego rodzaju nastroje istnieją niewątpliwie przede wszystkim w Polsce i na Węgrzech. Inaczej przedstawia się sytuacja w Niemczech Wschodnich, w Czechosłowacji i w Bułgarii, gdyż w tych państwach część ortodoksyjnego aparatu partyjnego darzy sympatią twardy kurs Chińczyków. Najdalej poszli w tym kierunku komuniści albańscy, którzy od miesięcy wypowiadają się jak najwyraźniej za Pekinem. Stanowisko albańskiego dyktatora, Enwera Hodży, jest uwarunkowane nie tyle przesłankami ideologicznymi, ile raczej względami czysto taktycznymi. Chodzi tu mianowicie o politykę wobec Jugosławii. Konflikt pomiędzy Belgradem a Tiraną ma bardzo długą genezę, jeszcze z okresów przedkomunistycznych. W Albanii istniały z dawien dawna obawy przed zaborczością Jugosławii. W okresie konfliktu Komiformu z Tito, sprawy te urosły do olbrzymiego zagadnienia, a grupa ludzi dzierżąca dziś władzę w Albanii usiłuje wszelkimi środkami pokrzyżować jakiegokolwiek próby, porozumienia z Tito. Enwer Hodża i jego popiecznicy boją się, zresztą chyba nie bez podstaw, że gdyby nastąpiło porozumienie z Belgradem, ich sytuacja stałaby się bardzo zagrożona. Na tym właśnie tle powstał ścisły sojusz pomiędzy Pekinem a Tiraną, gdyż Chińczycy zwalczając rewizjonizm Chruszczowa posługują się kamuflażem. Taktyka ta polega na tym, że Mao Tse-tung obrał sobie formalnie Jugosławię i komunistyczną partię jugosłowiańską za przedmiot ustawicznych

ataków. Komuniści albańscy pojęli szybko, że tego rodzaju sytuacja najlepiej ich urzęda i sekundują towarzyszom chińskim w nagonce przeciwko rewizjonistom, nadając swym atakom charakter kampanii czysto anty-jugosłowiańskiej. Powstały stąd bardzo dziwne powiązania i zależności, które w konsekwencji doprowadziły do tego, że Enwer Hodża demonstracyjnie nie zjawił się latem na konferencji partii komunistycznych w Bukareszcie i odmówił posłuszeństwa w związku z wyjazdem do Nowego Jorku. Z drugiej strony, Chruszczow nie może zastosować skutecznej presji wobec Albanii, gdyż Tirana podniosłaby natychmiast krzyk o „imperialistycznych metodach Moskwy”, co by natychmiast dało Chinom asumpt do przedstawienia takiej sprawy na forum międzynarodowego ruchu komunistycznego. Chruszczow zaś tak się zagmatwał w niewyjaśnionych stosunkach z Jugosławią — szczególnie jeśli idzie o sprawy ideologiczne — iż nie jest w stanie wszcząć polemiki na temat oskarżeń chińskich i albańskich, kierowanych rzekomo pod adresem „titoistów”.

Geneza sporu Moskwa — Pekin

Konflikt ideologiczny między Chinami a Rosją Sowiecką zarysował się najpierw na tle tzw. komun ludowych. Jak wiadomo, Chińczycy połączyli eksperyment tworzenia wielkich kolektywów z odpowiednią interpretacją marksizmu, celem udowodnienia, że można przeskoczyć długotrwałe etapy rozwojowe socjalizmu. Chruszczow uznał inicjatywę chińską za godzącą w dotychczasowe przewodnictwo Związku Sowieckiego w światowym ruchu komunistycznym. Pod koniec roku 1958 sytuacja wyglądała tak, że Chińczycy nie osiągnąwszy w swoim „skoku naprzód” nawet ułamka produkcyjnych osiągnięć Rosji, pierwsi ogłosili wejście w stadium budowy społeczeństwa komunistycznego. Chruszczow odparł ten atak używszy nacisku ekonomicznego na Pekin i zwołałszy nadzwyczajny XXI Kongres Partii Sowieckiej, na którym ogłosił własny program przyspieszonego budowania ładu komunistycznego. Chińczycy co prawda wycofali się początkowo ze swych eksperymentów, lecz kiedy w lutym 1959 roku otrzymali wzamian za to nowe, długoterminowe i poważne kredyty sowieckie, podjęli na nowo ofensywę w kierunku tworzeniu komun. Dziś komuny stanowią nieodłączny element chińskiego wzoru realizacji marksizmu-leninizmu.

Nowy etap sporu i to sporu o większym nasileniu, wybuchł na wiosnę 1960 roku. Szło tym razem o prawidłową wykładnię zasad leninowskich w sprawie pokoju i wojny czyli w dziedzinie polityki zagranicznej, konkretnie o rozwój stosunków między światem komunistycznym a kapitalistycznym. Jest rzeczą charakterystyczną, że Chruszczow obalił stary dogmat Lenina i Stalina na XX Zjeździe partii, a więc już na początku 1956 roku. Chińczycy czekali więc cztery lata, aby zarzucić Chrusz-

czowowi odstępstwo rewizjonistyczne. Wpłynęły na to dwa czynniki. W ciągu tych czterech lat władza komunistów chińskich okrzepła, wzrósł ich autorytet zagranicą, a co ważniejsze, Chruszczow — co prawda bardzo okrężnymi drogami — ale doszedł do możliwości podziału świata na sferę wpływów sowieckich i amerykańskich. Podróż Chruszczowa do Ameryki i rozmowy w Camp David, to był właśnie moment, który zdecydował, że Pekin postanowił utracić całą sowiecką ofensywę pokoju i koegzystencji. Czerwone Chiny poczuły się zagrożone w swoich aspiracjach wielkomocarstwowych i odniosły wrażenie, że Chruszczow pragnie izolować swojego azjatyckiego sojusznika od wszelkich wpływów na politykę międzynarodową. Wydaje się, że Chińczycy interweniowali wiosną 1960 roku w Moskwie bardzo ostro na tego rodzaju „zdradę interesów”. Afera z samolotem posłużyła Chruszczowowi za pretekst do zarzucenia taktyki, która znalazła się pod ostrzałem Pekinu. Potwierdziły to wydarzenia, które nastąpiły po nieudanej konferencji paryskiej. Niesposób tutaj zreferować wszystkich ataków, jakie padały ze szpałt dzienników sowieckich i chińskich latem 1960 roku. Sens całej tej walki polegał na tym, że Mao Tse-tung postanowił zlikwidować inicjatywę Chruszczowa w polityce zagranicznej, osłabić akcję Związku Sowieckiego w krajach afro-azjatyckich i wreszcie wydrzeć Moskwie przewodnictwo w ruchu komunistycznym. Aby to osiągnąć, Pekin użył — jak zwykle w sporach pomiędzy komunistami — argumentów ideologicznych. Polegały one z grubsza na następujących zarzutach wysuniętych przeciwko Moskwie:

1. niedocenywanie złowroziej roli imperializmu, a w związku z tym rewizjonistyczne traktowanie problemów wojny, pokoju i koegzystencji;
2. odstępstwo od zasad internacjonalizmu proletariackiego zwłaszcza jeśli chodzi o pomoc dla ruchów komunistycznych w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej;
3. zdrada zasad przyjętych w deklaracji dwunastu partii komunistycznych na konferencji moskiewskiej w listopadzie 1957 roku, w której położono zręby pod namiastkę Międzynarodówki Komunistycznej;
4. tolerowanie odchylen rewizjonistycznych w Polsce i na Węgrzech, zwłaszcza w polityce rolnej, w stosunkach z Kościołem, jak również w sprawach kultury i sztuki.
5. nieprawidłowości w rozwoju wewnętrznym Związku Sowieckiego, gdzie partia komunistyczna akceptuje rzekome odejście od rewolucyjnych tradycji leninizmu, pozwala na kształtowanie się zjawisk burżuazyjnych w społeczeństwie, komsomole, armii a nawet w partii.

Konferencja Związków Zawodowych, zrzeszonych w międzynarodowej federacji komunistycznej, która miała miejsce na początku czerwca w Pekinie, nie pozostawiła żadnych wątpliwości, że Chińczycy postanowili rozpetać wielką wojnę ideologiczną. Wówczas Chruszczow przeszedł do kontrofensywy. W zwią-

ku ze zjazdem rumuńskiej partii komunistycznej rozesłał zaproszenia do partii zagranicznych w obrębie bloku wschodniego, celem przedyskutowania wszystkich punktów spornych. W końcu czerwca doszło do tych rozmów, ale poważnym mankamentem konferencji był fakt, że partia chińska przysłała delegację, złożoną z drugorzędnych działaczy. Podpisali oni co prawda wspólny komunikat na temat „niezłomnej solidarności”, ale wkrótce po tym Politbiuro w Pekinie wycofało podpis spod dokumentu bukareszteńskiego. Zostało to uzasadnione w specjalnym memoriale KCKP Chin do władz partyjnych Związku Sowieckiego, w którym na stu dwudziestu stronach wyliczono Chruszczowowi wszystkie główne i pomniejsze grzechy. Dokument ten jest bardzo pilnie ukrywany i dotychczas jego pełną treść znają tylko nieliczni komuniści.

W odpowiedzi partia sowiecka opracowała obronę swoich poglądów. Zadanie to przypadło trzem specjalistom, a mianowicie Susłowowi, Kuusinenowi i Ponomarewowi. Komitet Centralny KPZS poinformował partie zagraniczne o przebiegu kontrowersji. Wkrótce potem czołowi działacze partyjni w Rosji przeprowadzili szereg narad z aktywem „aparatchyków”, na których roztrząsano szczegóły sporu. Chruszczow był podobno skłonny do powzięcia bardzo ostrych decyzji z zastosowaniem represji ekonomicznych włącznie. Zanim jednak do tego doszło, odbył kilka długich rozmów z przywódcami partii zagranicznych, zarówno z państw satelickich jak też z Zachodu, głównie z komunistami włoskimi i francuskimi. W tym kontekście bardzo specyficzną rolę odegrał Władysław Gomułka.

Koncepcja Gomułki

W rozmowach, które Gomułka prowadził z Chruszczowem latem, nad Morzem Czarnym, pierwszy sekretarz PZPR wysunął inną koncepcję. Gomułka wykazał mianowicie, że wszelka ostra taktyka wobec Mao Tse-tunga przyniosłaby katastrofalne skutki dla międzynarodowego ruchu komunistycznego, skutki na tle których — błędy Stalina wobec Jugosławii byłyby dziecinną igraszką. Z braku bliższych informacji trudno powiedzieć czy Gomułka kierował się tylko instynktem oraz sprawozdaniami obserwatorów polskich w Pekinie, (zresztą jak się wydaje lepiej zorientowanych w tamtejszych sprawach aniżeli przedstawiciele Moskwy) czy też oparł swe przestrogi na poważniejszych studiach z niedawnej przeszłości. Nie wykluczone, że i ten drugi czynnik odegrał pewną rolę, bo historia usunięcia agentów sowieckich z kierownictwa partii chińskiej musi być dla Moskwy pewnego rodzaju „memento mori”. Temat ten zasługuje na specjalne omówienie, wspomnijmy tu więc tylko, że w okresie kiedy Moskwa, a raczej Stalin, likwidowała komunistów zagranicznych wraz z rosyjską opozycją (zginęło wówczas w Moskwie także kilku Chińczyków) Mao Tse-tung usunął z własnej partii

kierowników ruchu komunistycznego desygnowanych przez Stalina, to jest Li Li san i Man-Win oraz ich sympatyków. Następnym krokiem — już w okresie drugiej wojny światowej — było zlikwidowanie wpływów stalinizmu na ideologię partii chińskiej i zastąpienie Stalina autorytetem „przewodniczącego” Mao Tse-tunga. Nawiasem mówiąc ostatni, czwarty, tom dzieł Mao, który ukazał się niedawno w Pekinie, zawiera jak najbardziej wyraźne aluzje, że kierowanie się wskazówkami Moskwy przez dawnych przywódców partii chińskiej, doprowadziło do katastrofy.

W każdym razie Gomułka — który z wroga stał się w międzyczasie jednym z głównych mężów zaufania Chruszczowa — przekonał rzekomo wielkiego patrona, że należy zastosować bardzo elastyczną taktykę wobec Mao Tse-tunga. Przywódca PZPR rozwinął koncepcję „dobrej woli”, czyli jak najłagodniejszego traktowania rozbieżności bez uciekania się do użycia gróźb, represji i polemik. Według Gomułki najlepszą metodą jest uznanie pewnych odmienności w chińskiej drodze do socjalizmu i komunizmu jako „odrębności narodowych” co odbiera towarzyszom z Pekina jeden z najsilniejszych argumentów. Następnie sekretarz partii polskiej wystąpił z pomysłem, aby zamiast wdawać się w niebezpieczne spory ideologiczne, podkreślać stale konieczność zachowania jedności „obozu”, co również osłabił impet krytyki chińskiej. Równoległe do tej taktyki należałoby jak najwyżej pielęgnować wszelkie kontakty z Chinami, wymieniac delegacje, udzielać pomocy technicznej i ekonomicznej, słowem czynić wszystko co by mogło wywierać pozytywne wpływy na kształtowanie się poglądów, nie tylko przywódców chińskich, ale i szerokich mas partyjnych. W międzyczasie „bratnie partie” powinny dążyć do tego, aby wszelkie spory i niejasności ideologiczne były poufnie dyskutowane na najwyższym szczeblu — znowu przy jednoczesnym podkreślaniu na zewnątrz ścisłej spójni ideowej i politycznej. W ciągu tego — zdaniem Gomułki długiego — procesu, Związek Sowiecki i jego wierni sojusznicy musieliby przy wszelkich okazjach udzielać towarzyszom chińskim nauki poglądowej czym jest koegzystencja i do jakich sukcesów prowadzi w rozgrywce z imperializmem. Chruszczow zgodził się z Gomułką we wszystkich punktach. W ten sposób zrodził się również plan udzielenia „lekcji poglądowej” w Nowym Jorku, jako pewnego rodzaju uwertury do opery chińskiej, czyli projektowanej na listopad konferencji międzynarodowego ruchu komunistycznego w Moskwie, oczywiście przy udziale przedstawicieli partii Chin.

Zanim do tego doszło Gomułka musiał załatwić kilka nieprzyjemnych spraw w Warszawie właśnie w związku z konfliktem chińsko-sowieckim. Przyczyną tego była nagle aktywność Chińczyków na terenie polskim, aktywność wyraźnie antysowiecka, a dokładniej mówiąc, antychruszczowowska. Na krótko przed wyjazdem Gomułki do Nowego Jorku pośród aktywu partyjnego zaczęły krążyć jakieś tajemnicze ulotki, w których anonimowi

autorzy poddawali krytyce politykę Związku Sowieckiego. Śledztwo wdrożone w tej sprawie doprowadziło ślady do ambasady... chińskiej. Nastąpiła interwencja u ambasadora Chin w Polsce i choć ten — zresztą bardzo utalentowany i obrotny dyplomata — twierdził, że o niczym nie wie akcja ulotkowa wkrótce ustała. Druga afera wybuchła w związku z opublikowaniem, a raczej wydrukowaniem (bo nakład wycofano) artykułu wstępnego w chińskiej edycji pisma „Polska”, które propaguje sprawę polską zagranicą. Otóż Chińczycy przemycili we wspomnianym artykule kilka dość wyraźnych aluzji pod adresem polityki Chruszczowa. Funkcjonariusze aparatu KC spostrzegli „dwersję” dopiero wtedy, gdy numer „Polski” był już gotowy. Skrupiło to się podobno na Konopce, który będąc swego rodzaju kontrolerem z ramienia PZPR nad linią czasopisma nie przejawiał należytej czujności.

Gomułkę podobno bardzo te „sztuczki” chińskie zirytowały, ale poza kilkoma ostrymi wystąpieniami w KC i oprócz krótkiego zreferowania tego problemu na ostatnim Plenum, przed wyjazdem do Nowego Jorku, na ogół zachował spokój i umiar, zgodnie z programem, który przedstawił Chruszczowowi.

Nowojorska taktyka Bloku

Walka, którą Chruszczow i jego poplecznicy stoczyli na sesji ONZ była podyktowana przede wszystkim potrzebą zawarcia ideologicznego rozejmu z Chinami. Kiedy Chruszczow podniósł sprawę kolonializmu, ciskał gromy na imperialistów, zrażając sobie Amerykę, Anglię i Francję, nie mówiąc o Belgii czy mniejszych krajach Zachodu — wszystkie inwektywy, miały jeden wielki sens: wywołanie pozytywnego echa w Pekinie. Dlatego też dyktator i jego współpracownicy walczyli heroicznie o przyjęcie Chin do ONZ.

Niektórym ludziom na Zachodzie nie mieści się to w głowie. Nie wierzą, że Chruszczowowi aż tak bardzo zależy na uśmierzeniu buntu chińskiego, zwłaszcza kiedy ma w ręku bardzo skuteczne środki jak np. nacisk gospodarczy. Inni natomiast demonizują konflikt Moskwa-Pekin łudząc się w swej ignorancji świata komunistycznego, że „europejską” Rosję będzie można przeciągnąć z czasem na stronę Zachodu, jak gdybyśmy żyli w epoce Kongresu Wiedeńskiego. Na to można tylko powtórzyć za Gogolem: „To już nie te czasy”. Nie są to w istocie czasy, kiedy Stalin mógł rozwiązywać wewnętrzne sprzeczności w komunizmie międzynarodowym likwidowaniem ludzi albo rezolucjami Kominformu — jak to było w wypadku Jugosławii. Chiny to olbrzym, własna rewolucja plus Azja.

Kardynalnym zagadnieniem tych sporów jest przede wszystkim sprawa ideologii. Destalinizacja liźnęła tylko po wierzchu dogmatyczny charakter komunizmu, stworzony przez Lenina i Stalina. Gdyby Związek Sowiecki był nowoczesną formacją

społeczną, gdzie partia jest nie zakonem ale zbiorowiskiem ludzi o podobnych poglądach, które się zmieniają odpowiednio do przeobrażeń i potrzeb wynikających z aktualnych zadań polityki wewnętrznej i zagranicznej kraju, to wszelkie kryzysy z sojusznikami mogłyby być rozwiązywane w normalny sposób. Ale ponieważ komunizm sowiecki i chiński są kierunkiem fideistycznym wynikają z tego tytułu trudności, nieznane w innych ustrojach. Wyobraźmy sobie, że pomiędzy krajami anglo-saskimi wybuchnąby długotrwały spór o to, który kapitalizm — angielski czy amerykański — jest prawowitny, albo że socjaldemokraci skandynawscy wszczęliby spory między sobą na temat odchyłań ideologicznych. Komunizm dzisiejszy widziany na tle dogmatycznych walk chińsko-sowieckich jest ruchem średniowiecznym. Inaczej definiując można orzec, że w miarę rozwoju społecznego i technicznego w państwach bloku wschodniego pogłębia się antagonizm pomiędzy bazą a nadbudową. Dlatego do przedmiotu sporów wschodnich nie można podchodzić z punktu widzenia nowoczesnej socjologii, a raczej trzeba stosować analogie z epoki walk religijnych, z okresu konkurencji pomiędzy Rzymem a Bizancjum. Moskwa Chruszczowa to zachodni kościół rzymski, Pekin Mao Tse-tunga to dawne wschodnie Bizancjum. Na szczęście zachodnie partie socjalistyczne przezwyciężają dawne kompleksy fideistyczne. Chyba tylko rewizjonistów można w tym kontekście przyrównać do ruchu reformacji, choć nie wydali oni dotychczas polityków na miarę Lutra czy Kalwina.

Nieszczęściem dogmatyków chińskich i sowieckich oraz ich zwolenników jest to, że przy totalitarnym charakterze ich władzy nie są w stanie prowadzić publicznych dyskusji. W epoce atomowej traktują swoich podopiecznych jak analfabetów, których nie można informować o przyczynach konfliktu, przebiegu targów i rozmów, bo mogłaby nagle powstać skłonność do herezji. A ponieważ obydwie grupy pretendują na mocy dogmatów do nieomyślności, z drugiej zaś strony życie codzienne zadaje kłopot ich twierdzeniom teoretycznym, więc muszą dalej grzęznąć w swych średniowiecznych praktykach. Nie do pozazdroszczenia jest rola ludzi myślących, którzy, chcąc nie chcąc, zmuszeni są jakoś uczestniczyć w tym rytuale. Pochodną tych zjawisk musi być dalsza demoralizacja rzesz partyjnych, bo jeśli o prawdzie absolutnej decyduje geografia, to gdzie jest miejsce na swobodne przekonania. A zresztą są już trzy prawdy absolutne: w Moskwie, Pekinie i Belgradzie.

Konferencja moskiewska

Nowy Jork umożliwił zwołanie do Moskwy wielkiego Soboru obydwu zwaśnionych czerwonych kościołów (jednak bez udziału patriarchy chińskiego Mao) ale nie dał podstaw do zawarcia kompromisu. Od 9 do 30 listopada trwała wielka dysputa teologiczna, o której zwykli członkowie partii nie byli informowani.

Z tego co wiemy o obradach prowadzonych przy zamkniętych drzwiach Kremla, konferencja obfitowała w bardzo dramatyczne momenty i przynajmniej dwa razy groziła pełnym fiaskiem, a nawet rozłamek. I tym razem Gomułka, który wraz z całą delegacją polską odegrał bardzo aktywną rolę jako doradca Chruszczowa, występował kilkakrotnie z pojednawczymi propozycjami.

Nie była to zresztą lekka rola, bo Chińczycy z miejsca wystąpili bardzo ostro przeciwko Gomułce wyliczając znowu siedem grzechów głównych obecnego kierownictwa PZPR. Na cenzurowanym znalazła się podobno i polityka rolna partii i polityka kulturalna, problem stosunków z kościołem, postawa wobec Jugosławii, pożyczki amerykańskie dla Polski, kontakty z Zachodem, i wreszcie zarzut, że z Warszawy przeciekają wszelkie tajemnice bloku wschodniego na łamy prasy kapitalistycznej. Gomułka bronił się jak mógł, przy czym powoływał się stale na specyficzne warunki historyczne i społeczne, z którymi musi się liczyć każda partia komunistyczna. Przypominał Chińczykom, że i oni podpisali deklarację z 1957 roku, w której stwierdzono jak najwyraźniej, iż partie winny kierować się w codziennej działalności praktycznej i teoretycznej zasadą uwzględniania konkretnych odrębności narodowych, zachowując wierność wobec podstawowych założeń internacjonalizmu proletariackiego. Zdaje się, że Gomułkę popierali nie tylko komuniści sowieccy, ale i większość delegacji z Europy zachodniej, a szczególnie przedstawiciele partii włoskiej.

Powszechną konsternację wśród uczestników narady wywołały pretensje chińskie w sprawie zbrojeń atomowych. Liu Szao Czi oświadczył, że Chiny muszą się stać również mocarstwem atomowym i dodał, że eksperymenty chińskie w tej dziedzinie są już bardzo zaawansowane. Ile w słowach prezydenta czerwonych Chin było prawdy, a ile bluff'u trudno powiedzieć. Nie wykluczone, że chodziło o to, by zaszantażować uczestników konferencji i wymóc tą drogą maksimum koncesji politycznych.

W rezultacie drogą poważnych ustępstw ze strony obozu Chruszczowa udało się uniknąć wybuchu chińskiej schizmy. Nie znaczy to bynajmniej, że Chińczycy mieli z sobą większość. Po ich stronie wypowiadało się najwyżej dwunastu przedstawicieli partyjnych na ogólną ilość delegacji 81 partyj. Ale znaleźli oni wielu zwolenników przy opracowywaniu podstaw ideologicznych kompromisu, gdyż wielu komunistów puściło wówczas farbę wykazując stare ciągoty dogmatyczne.

Poemat, który powstał w wyniku zabiegów bardzo wielu akuszerów, jest potwornym dziwolągami, jakąś zatechłą antytezą naszych czasów precyzji myśli i stylu. Deklaracja moskiewska traktowana jest jednak jako szczyt mądrości, jako naukowe rozwinięcie tezy marksizmu-leninizmu, choć w istocie jest to niezdarne konglomerat bardzo często antagonistycznych poglądów obydwu odłamów komunizmu światowego, świadczący o głębokim kryzysie duchowym, w którym znalazł się komunizm

„upupiony” w roku 1960, czyli w niespełna pół wieku od rewolucji październikowej.

Rezolucja ta nie daje dosłownie żadnej odpowiedzi na aktualne zagadnienia naszej doby. Nie przyczynia się do rozwiązania tak zasadniczych kwestii jak pokój i wojna — bo rzekome zwycięstwo koncepcji Chruszczowa na temat pokojowej koegzystencji zostało okupione tak olbrzymimi koncesjami na rzecz Chin, iż deklaracja moskiewska nie może być przez państwa demokratyczne traktowana jako platforma do przyszłych rozmów Wschód-Zachód. Jej część ideologiczna jest niczym innym, jak nieudolnym wypracowaniem, które ma zamydlić oczy tym komunistom, którzy od kilku lat usiłują spojrzeć na świat trzeźwym okiem. Ale i w sprawach sporu teologicznego osiągnięto bardzo nikły kompromis, który nie usuwa podstawowych przeciwieństw pomiędzy obydwoma blokami ruchu komunistycznego.

Jeśli chodzi o ekonomiczną analizę sytuacji światowej, to w stosunku do czasów Kominformu mamy do czynienia z poważną regresją w ocenie zjawisk gospodarczych. Kryzys ekonomii amerykańskiej oto zbawienie, na które znowu czekają partie komunistyczne, jak na ów cudowny lek, który uzdrowi je z własnego kryzysu nie tylko ideologicznego, politycznego, ale chyba i gospodarczego. Kłamstwo i nieudolność przezierają tak wyraźnie z każdego zdania tej podobno dwadzieścia tysięcy słów liczącej deklaracji współczesnego komunizmu, że można się tylko dziwić jak przywódcy komunistyczni nisko cenią inteligencję swych społeczeństw, oferując im coś podobnego jako przymusową lekturę polityczną.

Bohdan OSADCZUK

Kronika angielska

O „SPOŁKOWANIU Z ABSTRAKCJĄ” CZYLI
O PUBLICYSTYCE I POEZJI SŁÓW KILKORO

I

Warto pisać tylko o rzeczach spornych i kontrowersyjnych. O oczywistościach nie ma powodu pisać. Nie ma sensu powtarzać w kółko, że byłoby dobrze gdybyśmy byli niepodlegli, potężni, suwerenni, bogaci, płodni, gospodarni i świecili przykładem całej Europie.

W warunkach emigracyjnych nie ma nic łatwiejszego, jak być dziennikarzem, a w szczególności publicystą: nie potrzeba ani inteligencji ani inwencji by napisać mурowany artykuł wstępny do niepodległościowego koncernu prasy londyńskiej. Schemat jest zawsze ten sam.

Jestem wielkim entuzjastą talentu Hemara. Ale ile setek wierszy można napisać na temat Chruszczowa, na zmianę z Lwowem i Wilnem? Choćby ktoś był Luwimem-Hemarem-Słowackim w jednej osobie z tego tematu już nic nie wycisnie.

Z tych samych przyczyn nie czytuję nigdy artykułów Dra Stahla. To jest bardzo wykształcony i uczony pan. Ale z góry wiadomo co napisze — więc po co czytać?

Czasem łąduje w Londynie jakiś dziennikarz z kraju i dziwi się naiwnie: „przecież wy możecie tu o wszystkim pisać — dlaczego więc nie piszecie?”

Można na emigracji pisać swobodnie, ale trzeba zapłacić wysoką cenę — co nie każdemu odpowiada.

Przed kilku laty powstał w Londynie Związek Podhalan. Całe dzieciństwo i wczesną młodość spędziłem na Podhalu i mam wielki, sentyment do tego zakątka Polski. Chciałem się zapisać do Związku Podhalan, ale po namyśle zrezygnowałem z tych niewczesnych zamiarów. W naszych warunkach niezależny publicysta nie może należeć nawet do Związku Podhalan. Wystarczy bowiem, bym w którymś z artykułów krytycznie się wyraził o — powiedzmy — naszej polityce w stosunku do Czechosłowacji w okresie monarchijskim lub nieostrożnie napomknął, że Kijów jednak należy się Ukraińcom. Do trzech dni bracia podhalanie powzięliby uchwałę (oczywiście jednomyślną), w której powiedziano by, że... „p. J. Mieroszewski rozszedł się z linią ideową Związku Podhalan na Obczyźnie i został skreślony z listy jego członków”. Uchwałę powieloną i podpisaną przez prezesa i sekretarza — nie bacząc na koszt — rozesłano by do wszystkich pism polskich w 58 krajach polskiego osiedlenia na tej planecie.

Związki i stowarzyszenia emigracyjne — obojętne czy będzie to Stowarzyszenie Kombatantów czy Związek b. Hodowców Jedwabników — uważają się za „kurie rzymskie” powołane do przestrzegania czystości ideologicznych kanonów.

Jacyś kombatanci w Kanadzie powzięli uchwałę przeciwko jednej z moich notatek w poprzedniej Kronice. Był czas, że Syndykat Polskich Dziennikarzy we Francji groził nam wykluczeniem. I tutejszy londyński Związek Dziennikarzy wytoczył mi swego czasu komiczną sprawę, którą rozsądny i koleżeński śp. Wacław Szperber umorzył.

W tej całej sprawie panuje jakieś zasadnicze pomieszanie pojęć i kompetencji.

Patrzę na 60 tomów Biblioteki „Kultury” i trzynastcie roczników naszego miesięcznika. W chwilach kiedy dusi mnie (jak każdego z nas) emigracyjna „frustration” — widok tych tomów i tych roczników łągodzi kompleks tych co wybrali obczyznę.

Kto ma prawo wystawiać „Kulturze” „cenzurki” i pouczać nas o polityce niepodległościowej. Praca niepodległościowa to jest tych 13 roczników i 60 tomów wydanych w trudzie, a nie wasze niemrawe związki i bombastyczne uchwały.

A równocześnie od czasu do czasu pisze się o „Kulturze”, że jest odkrywczą, świetnie redagowaną, dynamiczną.

Powiem teraz rzecz gorzką, ale prawdziwą. Z wszystkich pism polskich „Kultura” jest najbardziej emigracyjna, bo poza emigracją jest w ogóle nie do pomyślenia. Nie może ukazywać się w Polsce Ludowej. Ale nie mogłaby się również ukazywać w Polsce niepodległej, gdyby emi-

gracyjni „niezłomni” byli przy sterze. Jest smutno pomyśleć, że takie pismo jak „Kultura” może się ukazywać tylko na emigracji — to znaczy w warunkach gwarantujących nietykalność zarówno ze strony komunistów, jak i prawicowych „niezłomnych”.

II

Kazimierz Wierzyński napisał kiedyś, że „poetów wybiera się sobie za młodu”. To jest prawda. W żadnej innej dziedzinie nie jesteśmy takimi konserwatystami.

Mój Ojciec był kolegą gimnazjalnym Kazimierza Tetmajera. Przyjaźnił się z krakowską „Młodą Polską” i nigdy nie wyszedł poza jej krąg. Nie zdolałem nawrócić go na Skamandra. „Siódma Jesień”, która dla mnie była objawieniem, mój Ojciec pokwitował zyczliwie ale chłodno. Myślałem wówczas zrozumiałe, że kiedyś, gdy i ja się postarzę, wykaże więcej giętkości i zrozumienia dla nowych prądów.

„The Times Literary Supplement” omawiając „Five Centuries of Polish Poetry” Jerzego Pietrkiewicza — napisał, że gdyby poprosić jakiegokolwiek Polaka by wymienił trzech największych polskich poetów odpowiedź prawdopodobnie brzmiałaby następująco: Mickiewicz — Słowacki — Tuwim.

Tak oto Julian Tuwim — na łuku czasu objętym moją pamięcią — został jednym z trzech wieszczów polskiego narodu. A pamiętam prowincjonalny wieczór przy lampie naftowej kiedy czytałem mojemu ojcu głośno niektóre wiersze z „Siódmej Jesieni”. Ojciec wówczas powiedział: „Jeszcze mu daleko do Kazimierza” (Tetmajera).

Myślę, że poetów można podzielić na dwie kategorie. Na tych którzy się mieszczą w ramach pokolenia i na tych, którzy wyrastają ponad te ramy. Tetmajer mieścił się bez reszty w świecie swego pokolenia — Tuwim ponad swój świat wyrastał.

Każde pokolenie ma swoją konwencję. Konwencją był i Skamander, Konwencją jednego pokolenia nie zawsze jest w pełni czytelna dla następnego pokolenia. Ale jeżeli konwencja nie ma być tylko manieryzmem, musi być czytelna przynajmniej dla jednego pokolenia, tj. pokolenia, które ją wydało. Osobiście nie wyobrażam sobie, by Tuwim gdyby żył — czy Wierzyński lub Słonimski — mogli napisać wiersz, którego bym nie odczuł, którego nie byłbym w stanie odcyfrować.

Jeżeli nie rozumiem wiersza — powiedzmy J. Sity — to o niczym nie świadczy. To są wiersze nie do mnie adresowane. Innymi słowy to są wiersze komponowane w konwencji, która zrodziła się poza moją epoką.

W tym miejscu mały nawias. Wymieniłem Sity, bo go znam osobiście i cenię. Ale mam na myśli nie jego, lecz setki tomików i dziesiątki tysięcy wierszy, które zalewają polski rynek czytelniczy.

Nie jestem krytykiem literackim, lecz publicystą, i rozważania niniejsze prowadzą do pewnych politycznych wniosków. Ale pewien krytyk, analizując te sprawy, zauważył, że twórczość młodych charakteryzuje nieszczęśliwa, „niedopełniona” egomania. Podkreślił również zanik zmysłu analitycznego. Młody egomaniak nie stara się rozgryźć problemu swojej *malaise*. W tym miejscu pada zawsze nazwisko Sagan. I krytyk, którego cytuję,

wymienia ją również. W moim przekonaniu nie może być nic bardziej fałszywego jak powyższa analogia. Sagan należy do zupełnie innego świata niż młodzi poeci i prozaicy polscy. Jej socjologiczne i polityczne uwarunkowanie jest zupełnie inne.

Spójrzmy na interesującą nas sytuację oczyma Werblana czy Putramenta. Gdybym był członkiem KC uważałbym, że jest bezpieczniej, by młodzi pisali o „Spółkowaniu z Abstrakcją” (Tytuł wiersza Sity) niż o konkrezie. Kto „spółkuje z abstrakcją” z całą pewnością nie napisze „Cmentarzy”. W interesie partii leży popieranie wszystkich „izmów”. Niech się młodzi wyżywają w abstrakcjonizmie, dadaizmie, absurdałizmie itp. byle nie tykali jednego „izmu”, tj. komunizmu.

Specyfika polskiej sytuacji polega na tym, że każda konwencja jest *de facto* konwencją w konwencji. Innymi słowy jest kołem wpisanym w koło. Ogólna konwencja — obowiązująca wszystkich — zakłada, że nikt nie wolno krzyknąć: „król jest nagi!”. Wszystkie inne konwencje wpisane są w ramy tej podstawowej konwencji.

Kiedyś przy angielskim piwie dyskutowałem te sprawy z młodym pisarzem krajowym. Młody człowiek w pewnym momencie oświadczył: „po co mówić, że „król jest nagi” — skoro wszyscy o tym wiedzą. Przecież może pan pisać o tysiącu innych rzeczy”.

Młodzieniec z Kraju nie przekonał mnie. Dla mnie osobiście byłaby nie do zniesienia sytuacja, w której nie można powiedzieć jedynej rzeczy, którą warto jest powiedzieć. Prześladowałaby mnie obsesja, że jeżeli nie można powiedzieć rzeczy najważniejszej, to w gruncie rzeczy nie można powiedzieć niczego ważnego.

Ale to jest osobisty punkt widzenia starego liberała. Istnieją jednak i obiektywne argumenty w tej sprawie. Gdyby ludzie byli istotami dwuwymiarowymi nie mielibyśmy prawdopodobnie geometrii przestrzennej tylko geometrii dwuwymiarową. W Polsce każdej konwencji literackiej brak jest podstawowego wymiaru, bo ów wymiar objęty jest „tabu”. Dlatego tak wiele utworów, z którymi się stykamy, robi wrażenie rozpaczliwie nieprawdziwe.

Młody pisarz — którego cytowałem powyżej — w pewnym momencie naszej rozmowy usiłował przekonać mnie, że gdyby Kafka żył w dzisiejszej Warszawie — mógłby być Kafką. Może miałby pewne trudności, ale po Październiku mógłby pisać i wydawać.

To jest nieporozumienie. Osobiście jestem niemal pewien, że gdyby Franz Kafka żył dziś w Warszawie nie napisałby ani „Der Prozess” ani „Das Schloss”. Tak samo Schulz nie napisałby „Sklepów Cynamonowych”. Kafka — myślę — nie ogłosiłby niczego, bo to co by napisał nie przeszłoby przez cenzurę. „Zamek” pisany przed wojną w Pradze nie był eskapizmem. Ten sam „Zamek” pisany w Warszawie w 1960 byłby eskapizmem i ucieczką od zasadniczej problematyki. Nie ma żadnych podstaw do wnioskowania, że Kafka przed czymkolwiek by uciekał. Na pewno nie uciekałby przed problematyką swojej epoki i swego czasu.

Do czego zmierzają te rozważania?

Pragnąłem wykazać, że młodzi poeci piszący „urywanymi frazami”, „rezygnujący ze zdania, z rytmu”, komponujący wiersze, które „robią wrażenie rwanych na kawalki felietoników” (określenia Przybosia) — nie stworzyli kierunku poetyckiego, jakim niewątpliwie był niegdyś Skamander.

Wydaje mi się również, że ucieczka w niejasność i nieczytelność jest reakcją na „tabu”. Jeżeli cała grupa podstawowych i istotnych zagadnień stanowi „tabu” — na całym obszarze nie objętym „tabu” dokonuje się sztuczne przewartościowanie zagadnień. Wszystko co nie jest „be” — a więc to o czym wolno pisać — nabiera specjalnej wagi tylko dla tego, że nie jest „be”. Tworzy się w ten sposób specyficzna hierarchia wartości, nie do odcyfrowania poza ramami układu.

Nikogo nie namawiam do naśladowania Hłaski. Ale trzeba stwierdzić, że Hłasko dokonał wielkiej rzeczy. Udowodnił bowiem, że w literaturze fakt staje się dopiero wówczas faktem gdy się go przeleje na papier. Wszyscy wiedzieli, że król jest nagi, ale owa nagość stała się dopiero faktem i przekazem w „Cmentarzach”.

POLEMIKA Z ODSYŁACZEM

Pandora w „Wiadomościach” (Nr 764) poświęciła felieton krytyce mojego artykułu pt. „Podstawy Polityki Neutralizmu” oraz krytyce mojej książki, która się jeszcze nie ukazała. Swoją elaborat Pandora kończy typową insynuacją: „Namawianie Niemców, czy tym bardziej Polaków, do neutralizmu, jest na skromną skalę, ale jednak obiektywnym sukcesem dla obecnej propagandy sowieckiej”.

Sukcesem dla Sowieców jest przede wszystkim przejście żywcem z tamtej strony metod insynuacji i operowanie zarzutem „współpracy z wrogiem” w stosunku do każdego, który odbiega od linii.

Jeżeli nie ma się poczucia humoru, dobrze jest mieć przynajmniej poczucie własnego komizmu. Z publicystów emigracyjnych nikt nie był częściej przedmiotem ataków prasy komunistycznej niż piszący te słowa. W prasie komunistycznej (i w żadnej innej) Pandory do tej pory nikt nie zauważył. Ale oczywiście Pandora jest dwu-osobowym „przedmurzem” a „Kultura” to sukcesanci propagandy sowieckiej. „Nie bądźcie dzieckiem Rappaport”! — tak by w tym miejscu powiedział Lopek-Krukowski.

Insynuacje Pandory, podobnie jak donosy, nadają się do kosza, a nie do dyskusji. Zamierzam natomiast podjąć dyskusję z przypiskiem redakcji „Wiadomości”, który niniejszym przekazuje potomności:

„Czy nie dałoby się skłonić publicystów polskich do zaprzestania używania tego potwornego germanizmu jakim jest „w pierwszym rządzie” w znaczeniu „przede wszystkim”? Skoro jest to cytata z artykułu Mieroszewskiego, musimy ją zachować, ale czynimy to z prawdziwym obrzydzeniem językowym” (przyp. Red.).

Po pierwsze — niezależnie od faktu czy „w pierwszym rządzie” jest czy nie jest germanizmem — znaczy coś zupełnie innego niż „przede wszystkim”. Po drugie — czy cytowane powiedzenie jest istotnie „potwornym germanizmem” śmiem wątpić.

I. „Kłęski przyszły ze swawoli i zbytków, ale w pierwszym rządzie z przyczyny heretyków”.

II. „Kogóż on ma na myśli, w pierwszym rządzie waszmość pana”.

Gdyby Redaktor „Wiadomości” czytywał sobie do poduszki „Try-

logię”, to na powyższe cytaty z całą pewnością by natrafił. Sienkiewicz miał rozmaite wady, ale niewątpliwie pisał piękną polszczyzną. Wyznam skromnie, że co dobre dla Sienkiewicza, to dobre i dla Mieroszewskiego.

Autor „Trylogii” mógłby się zapewne wiele nauczyć od redaktora Grydzewskiego, ale na szczęście los mu tego zaoszczędził. Osobiście wolę czytywać „Trylogię” nie oczyszczoną z „potwornych germanizmów” przez dra Grydzewskiego i sądzę, że w tej sprawie nie jestem osamotniony.

„POSPOLITE RUSZENIE ONZ W AFRYCE”

Przykład Konga wskazuje, że wojsko nie może mieć dwóch lojalności. Oddziały „wypożyczone” ONZ przez państwa afrykańskie niejednokrotnie działały na własną rękę. Szefowie państw, którzy „wypożyczają” oddziały wojskowe, grożą wycofaniem swoich kontyngentów ilekroć linia polityczna Sekretarza Generalnego ONZ w takim czy innym szczególe im nie odpowiada.

Pospolite ruszenie do niczego się nie nadaje i byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Realnym rozwiązaniem byłoby zorganizowanie prawdziwej międzynarodowej siły policyjnej — świetnie wyposażonej i wyszkolonej, której jedyną lojalnością byłaby ONZ, a jedynym rozkazodawcą Sekretarz Generalny, działający na mocy uchwał i w ramach przepisów. By siła policyjna ONZ zapewnić apolityczny i aideologiczny charakter — z zaciągu do tej jednostki winni być statutowo wyłączeni Amerykanie i Rosjanie.

Łatwo przewidzieć, że Sowiety nie poparłyby tej inicjatywy i nie dałyby na nią grosza. Ciężar utrzymania tej jednostki w praktyce spadłby na Amerykę. Ale jeżeli jakiś „Blueprint” dla Afryki miałby być w przyszłości opracowany — bez siły policyjnej ONZ trudno się będzie obejść.

W każdym państwie afrykańskim istnieje przepaść pomiędzy rządem, a rządzonymi. Pomiedzy dr. Nkrumą, a większością jego rodaków (współplemieńców) istnieje znacznie większa przepaść niż ta, która dzieliła cara od muzyka w mordobijskim powiecie. Dodajmy jeszcze, że w Afryce mamy do czynienia przeważnie z nacjonalizmem plemiennym, a nie narodowym. Afryka jest kontynentem „bez granic”. Granice w Afryce to są przeważnie zdumiewające proste linie wykreślone arbitralnie przez urzędników mocarstw kolonialnych.

To wszystko nie stanowi zaproszenia dla demokracji. Przeciwnie — to jest wymarzony klimat dla dyktatorów i generałów i niekończących się wojen i zatargów. Sowiety liczą na „kubanizację” Afryki. Będą dostarczały broni jednemu czarnemu dyktatorowi przeciwko drugiemu, a broni towarzyszą zawsze instruktorzy, technicy i inni „specjaliści”.

Jeżeli w Afryce podnieść się ma szybko oświata i stopa życiowa — uniknąć należy za wszelką ceną bałkanizacji kontynentu. Byłoby to tylko możliwe poprzez demilitaryzację większości państw afrykańskich, których status neutralny byłby gwarantowany przez ONZ i chroniony przez międzynarodową policję.

Wielu liberalnie i tradycyjnie antykolonialnie myślących Amerykanów sądzi, że młode państwa afrykańskie winny być „pozostawione same sobie”. Ameryka w ubiegłym stuleciu mogła być „pozostawiona sama sobie”. Kon-

tywent afrykański jest jednak w zupełnie innej sytuacji. Pozostawić Afrykę „samą sobie”, to znaczy uchylić drzwi Sowietaom.

Nie ulega wątpliwości, że wielu nacjonalistycznych przywódców afrykańskich w tego typu polityce dopatrywałoby się nowego kolonializmu — bo przecież już „pospolite ruszenie” ONZ w Kongo oskarżano o kolonializm.

Jeżeli ktoś przez status neutralny rozumie sytuację pana Twardowskiego na księżycu — to trzeba powiedzieć, że tego rodzaju pozycja w XX wieku, na naszym przeludnionym globie, jest nieosiągalna. Gdy wszystkie subtelnosci odsuniemy na bok to w gruncie rzeczy wybieramy między alternatywami: Sowiety — Ameryka. Dotyczy to zarówno dr. Nkrumy jak i prem. Macmillana.

Zabrzmiało to paradoksalnie — ale brak tradycji kolonializmu może być wielką przeszkodą dla Ameryki w wypracowaniu planowej polityki dla Afryki — zwłaszcza, że głównym przeciwnikiem Waszyngtonu jest Moskwa, mistrzyni w tej dziedzinie.

AFRICA 1960/61

Ukazuje się w Londynie (33, Rutland Gate, S.W.7.) — doskonale redagowany przez Charles Janson'a biuletyn pod nazwą „Africa 1960/61”.

Biuletyn jest „confidential” (poufny) i ma za cel dostarczyć swoim czytelnikom informacji o Afryce, których nie znajdują w prasie codziennej i w periodykach.

Ponieważ kontynent afrykański odgrywa z każdym dniem coraz istotniejszą rolę w konflikcie Wschód-Zachód — ci z naszych Czytelników, którzy pragną pogłębić i rozszerzyć swą wiedzę o Afryce współczesnej winni zapoznać się z cytowanym biuletynem. Doradzam to w szczególności kolegom dziennikarzom. Członkiem redakcji „Africa 1960/61” jest m.in. Czesław Jeśman, specjalizujący się od dawna w problemach Afryki i bliskiego Wschodu.

LONDYŃCZYK

WOLNE OD CŁA — PACZKI PEKAO

**PRZEKAZY PIENIĘŻNE
PACZKI HASKOBY**

Katalog 500 najpopularniejszych
na żądanie

**CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Sprawy i Troski

Pod fale

Dokładnie o godz. 14.00 kuter dobił do trapu, z którego po pionowej burcie drapało się 16 oficerów. Zdążyli do meczy na górnym pokładzie. Znałem ich wszystkich. Z niektórymi pływałem całą wojnę, innych znałem z widzenia. Przez otwór windy krzyknęto mi: — Szesnaście czarnych kaw a równocześnie odprawiono stołowego. Zbiegł z góry. Szczerzył do mnie, żółte, spróchniałe zęby. — Ale im przyszło na koniec. — sami się będą obsługiwać!

— Nie wiele jest tam do obsługiwania — powiedziałem — wysypać cukier i zamieszać. Wyp... laj stąd! — krzyknąłem i kciukiem wskazałem na drzwi. Popatrzył na mnie bykiem, ale wyszedł. Zaryglowałem wejście. Z imbryka, w którym zwykle zaparzałem kawę dla siebie na cały dzień, odlałem, szesnaście porcyj i wstawiłem je w windę. Pociągnąłem za sznur i krzyknąłem w górę: — „Kawa ready!” Następnie wstawiłem ucho w otwór i... słucałem. Trwała cisza — ale to była cisza przed burzą. Rozpoznałem głos kapitana Łukasza, który zagaił. Sucho, bezceremonialne oznajmił bez ogródek: — To jest lista. Nagłówek wyjaśni o co chodzi.

Cisza. Po chwilce znów jego głos, raczej żartobliwy: — Mam ustne polecenie nie dopuścić do wiecowego stylu mówek, za lub przeciw — *in short* — bez presji.

Ktoś bez wahania podniósł się, przeszedł kilka kroków — i znów skrzyp przygniecionego krzesła. Zapanowało ogólne poruszenie, poprawianie pozycji w fotelach, szepty i oddechy zdziwienia. Wreszcie czyjś głos, raczej półgłos, dla mnie nie zrozumiały.

— Co pan mamrze pod nosem?

Łatwo rozpoznałem dźwięk głosu kpt. Hajby.

— Albo się pan przymknie, jak panu radził kapitan Łukasz, albo pan się odważy na pełny ton. Rekrutów uczyliśmy

meldować się z kilometrowej odległości by wykluczyć mamrotanie.

— Panowie... panowie... tylko bez nerwów — wmiszał się głos kapitana Łukasza. Poprzedni półgłos podniósł się nieco, choć nie osiągnął normalnego nasilenia: — Nie Hajba, a hańba dla korpusu oficerskiego. Rozumiałem to na swój sposób, a rozumieć można było co najmniej dwojako...

Czyjeś energiczne stąpanie i podniesiony głos Hajby: — Po pierwsze nikt pana nie pytał o zdanie...

— Panowie, powtarzam, bez nerwów! — wplótł się głos kpt. Łukasza.

— ...po drugie całą wojnę przeżyliśmy pod hasłem jak najszybszego powrotu do ojczyzny. Kto więc zmienia zdanie? Kto cofa się rakiem? Pozostanie pan tu by walczyć? chyba z myślami?

— Panowie!... — przypomniał znów głos kpt. Łukasza. — Podawać listę z rąk do rąk i kto chce wpisuje swoje nazwisko. To wszystko, czego się od was oczekuje. I bez komentarzy.

Usłyszałem inny typ kroków i — skrzyp krzesła. Chwyliłem podgrzany czajnik i szybko pofatygowałem się na górę. Zmierzone mnie wzrokiem, jakim darzy się nieproszonego gościa. Dymiącą kawę niosłem prosto do stołu, co — miałem nadzieję — miało usprawiedliwić moje nagłe wejście.

— Czy nie można tego było podciągnąć windą? — zagadnął kpt. Łukasz.

— Tak, ale... ja mam również pytanie — zwróciłem się do starego przyjaciela kpt. Hajby. — Odkąd już mowa na wiadomy temat...

— Czy bosmat przyłapał się kiedykolwiek na niepodstuchiwaniu? — zapytał właściciel półgłosu.

— Czasem lepiej słuchać niż mówić — odrzekłem, nie będąc pewien czy zrozumiał moją wycieczkę. — Odkąd już mowa na wiadomy temat — zacząłem znów — czy zdaniem pana powinienem się wpisać na listę wracających? Kpt. Hajba zwlekał z odpowiedzią. Kłopotliwe wyczekiwanie wypełniłem dolewaniem kawy. — Nie — odrzekł wreszcie. — W tym wypadku bosmat sam musi powziąć decyzję.

Obecnie przy stole siedział znany mi tylko z widzenia oficer z łodzi podwodnej. Po podpisie i złożeniu pióra, palnął pięścią w stół i zapewniał: — Ja za żadne srebrniki Anglikom się nie sprzedam.

— Lepiej za ruble... — wymramrotał półgłos.

Kapitan Hajba popatrzył z wyrzutem na kpt. Łukasza, że ten nie jest zdolny powstrzymać innych od dogadywań, które w rzeczywistości mogłyby zebranie zmienić w wiec.

— Panowie, czy jeszcze ktoś? — zapytał kpt. Łukasz. Ponieważ cisza była jedyną odpowiedzią, podszedł do stołu, podjął listę z dwoma nazwiskami i wyszedł. Podnieśli się i inni, potworzyli grupki i prorokowali. Kapitan Hajba pozostał samotny ze mną na uboczu.

— Ja miałem pytanie... — przypomniałem.

— Odkąd to bosmat potrzebuje mojej rady?

— Nie — no — na serio!

— Taki walecniak! mógłby zaryzykować!...

— Walecniak, nie waleczniak. To zależy. Jak miałem zdrowy grzbiet, to rzucałem się i przeciw przewadze. Na Bałtyku zimą — pamięta pan? — na wachtach pod drelichami spodni kąpielowe... Podczas wojny robiłem, co do mnie należało. Jeśli nie lepiej, to na pewno nie gorzej od innych. Waleczny, nie waleczny... Jak patrzyłem w dalmierz i podawałem odległość, nie czułem się bezbronny. Odległość zużytkowana była przez działa, które z kolei paliły w nieprzyjaciela. Ale dobrowolnie jechać i wyczekiwać stuknięcia w drzwi, bo byłem pod Sikorskim, czy Sosnkowskim, zamiast pod Berlingiem, to inna sprawa. Oddać się sadystom, by mieli się czym bawić? Nie widzę w tym sensu.

Znaleźliśmy się pod kuchnią. — Mam dobry rum, przyprawiany pieprzem i cukrem i goździkami... — Z szacunkiem otwarłem przed nim drzwi. — Dzisiaj, panie kapitanie, reumatyzm łamie, kręgosłup skrzypi i w ogóle próchno.

— Bosmacie! was by siekierą jeszcze nie dobił — wtrącił żartem kapitan.

Odkorkowałem gąsiorek i dałem mu powąchać. Nie ukrywał zachwytu. Wzniesłymi kubki, wychyliłi — szybko napelnili ponownie. Z miejsca czułem jak oczy stają mi zezem. Drugi kubek musiał wyrzucić silny efekt na Hajbie, bo kiedyśmy wzniesli kubki po raz trzeci, uważał że lepiej się pije jeśli coś się oblewa, pije à conto czegoś, robi się z tego uroczystość. — Abyśmy kiedyś wszyscy mogli wrócić bez obawy — wydeklamował powoli. — Wracając do wiadomego pytania (stawał się rozmowny), to bosmat mówi do rzeczy. I z tym pukaniem, i z tymi sadystami. Tu jest właśnie różnica między nami, bo mimo wszystko ja wracam.

— Ja też mimo wszystko pozostaję.

— Ach, z bosmata bywał zawsze kpiarz!...

— Panie! — zagadnąłem go — jak to jest, pan zawsze był lewy? — to, znaczy się prawy z mojego punktu widzenia i dlatego lewy (mieszal mi się język) z punktu reszty oficerów. Podpisem na powrót do kraju najjaskrawiej i ostatecznie udowodnił pan swoją odmienną od reszty.

— O ile pamiętam, bosmat też nie zawsze szedł z tak zwaną resztą — przypomniał mi.

— To jest zupełnie co innego.

— Bosmat idzie do cywila, mógłbym wiele powiedzieć, ale — lepiej nie. Mruczał coś jakby do siebie o ewentualnej ilości towarzyszy podróży do kraju. Stąd jeden, a ile będzie z baz południa?...

Zakorkowałem gąsiorek, bo czas był najwyższy.

— Panie, nie ma tak źle, by nie mogło być gorzej — pocieszałem go na odchodne. Kapitan stracił wyczucie kierunku,

więc ująłem go pod łokieć i nawigowałem z nim ku drzwiom. — Zobaczmy się! — rzuciłem na chybił traf. —

Tuż przed wygaśnięciem Korpusu Przystosobienia zaangażowałem się (sam sobie tę pracę znalazłem) do malowania dziecięcych naczyń. Ptaszki, motylki, kwiatki i inne duperelki. Spakowałem doczesną majątność w wór, który mi służył od 1937 roku, hamak i parę dodatków nieprzewidzianych zestawem worka marynarskiego, jak butelkę rumu, czy choćby nierdzewną chochlę z kotwiczką. Powlokłem smętnie wzrokiem po pokładzie i — załadowałem się w kuter.



Oszołomiony, pod młotem zmienionego życia zgarbiłem się i straciłem głowę. Tylko dzięki wrodzonemu rezonowi stosunkowo szybko odzyskałem pogodę ducha. Często musiałem słuchać: dlaczegoś nie wróciłeś? Jeśli pytał towarzyszy-robociarz, zbywałem go: oddymaj się! albo: co ci do tego?! Jeśli pytał majster, robiłem wariata i zagadywałem: skąd wiesz? a jeśli dyrektor, wyjaśniałem: czyż nie walczyłem za brytyjskie imperium? więc mieszkam w nim.

— Opowiadasz głupstwa, walczyłeś o swoją ojczyznę — zwykle słyszałem na to.

— Tak się to zaczęło, ale Churchill to zmienił. — Na tym zwykle kończyła się rozmowa. Drugim ulubionym i prowokacyjnym pytaniem było: — Dla czego ty nie lubisz Rosjan? Zwykle odwracałem pytanie: najprzód — skąd wiesz? — a potem: dlaczego wy nie lubicie Japończyków?

— A ty wiesz co oni wyrabiali z naszymi?

Znów wystarczyło odwrócić pytanie. Zdarzyło się raz, że z pytaniem wyskoczył, i to z głupawo-sarkastycznym uśmiechem, weteran wojny na Malajach. — Dlaczego ty Rusków nie lubisz?

— A kto ci to powiedział? — odparłem i dodałem — ale osobiście wolę Japończyków.

W tej chwili mojemu ciekawskiemu coś się stało. Zbladł, dostał nerwicy, zaczął wibrować i runął w konwulsjach. Przy padli inni. — coś ty mu zrobił?! — naskoczono na mnie.

— Odpowiedziałem na jego pytanie — odrzekłem spokojnie. Ktoś się skapował jakiego rodzaju to było pytanie i jaka była odpowiedź

— Czy ty zdajesz sobie sprawę, że ten człowiek był 2 lata w niewoli japońskiej? — wściekał się dyrektor, który przybył z biura.

— Nie, nie wiedziałem, ale ja przecież nie pytałem go dlaczego nie lubi Japs. — Siadłem spokojnie do przyprawiania wąsów motyloom. Czułem, iż gdyby nie to, że byłem szybszy w poruszaniu pędzlem od dwóch towarzyszy Szkotów, wylaliby mnie zaraz.

Wyjątkowo nieprzyjemną rozprawę miałem ongiś w tramwaju. Siedziałem na piętze kiedy dosiadł do mnie, zięjący wódą (poczułem wstręt do pijaków), o olbrzymich kształtach mężczyzna. Ze odziany byłem w granatową gabardinę, jaka mi została ze służby, podchmielony pasażer przypuszczał, że jestem z marynarki handlowej. Zapytał: — Na jakiej linii pływasz?

— Na żadnej — odparłem krótko. Moje dwa słowa wystarczyły, by przygodny mój współpodróżny odgadł, że nie jestem tubylcem.

— Acha!... — szybko doszedł do konkluzji. — A jak długo tu przebywasz? — podchwycił.

— Przeszło rok.

— Acha! — rozdarł się na całą twarz. To ja całą wojnę walczyłem za granicami, a obcy panoszą się w moim kraju!

Była dziesiąta wieczór, czas kiedy zwykle wszystkie miejsca są zajęte. Spostrzegłem jak twarze mieszanej publiki zwróciły się ku nam. Nikt nie zdradzał zamiaru interwencji. Szkoci nie wierzą w flegmę. Musiałem więc ją wykazać. Powiedziałem mu:

— Tyś wrócił, a ja jeszcze przebywam zagranicą...

Tramwaj był w pełnym biegu. Minał HALF WAY i zbliżał się do kina WEST WAY. Z prawej kino, z lewej posterunek policji. Tam też widocznie zdążył „mile zaprzyjaźniony” mój pasażer. Powstał i chwiejnie zaczął schodzić w dół.

— To wyp...!aj tam skąd się przywlokłeś! — ryknął do mnie aż się opluł.

— „Co tu robisz?” — zastanawiałem się, a czasu miałem około pięciu sekund. Zięjący whisky łeb opadał niżej i niżej, jeszcze krok stopniem, a zniknie. Czy wyjść za nim i podskoczyć na policję? Nie! — na niepewny rezultat za długo byłoby czekać. Kiedy łeb zniżył się do poziomu pokładu, na którym siedziałem, podskoczyłem i z rozmachem kopnąłem weń. Pasażer opuścił tramwaj między przystankami w pełnym biegu. Ze schodków przez way out i na ulicę... na przelaj! Jak już wspominałem, nikt nie zdradzał chęci interwencji.



Odkąd zadecydowałem osiąść na tych wyspach, trzeba się było jakoś urządzać, jakoś żyć. Z ulic znikły polskie mundury. Znikać zaczęły gęsimi ogonkami ciągnące postacie, wąsate, objuczone tobolkami. Czasami natknąłem się na cywilną figurę, charakterystycznie przebierającą półdupkami, sztywną w karku i z ojczyźnianą twarzą. Nade wszystkim w całej samotności i obcości otoczenia odczuwałem brak Piłasa. Gdzież on się podziewa? Co porabia? Były noce kiedy spocony, skopywałem okrycie i budziłem się z podświadomym uczuciem, gniołącym mi pierś i mózg, że coś tu jest nie w porządku. Zrywałem się i gniołem twarz do szych. Czarna mgła bezlitośnie wyjaśniała rzeczywi-

stość: jestem w Szkocji. Inną nocą praca mózgu bez mojej kontroli postawiła mnie przed wyschniętym obliczem w śnieżnej peruce. Nie znający emocji głos pytał: — Czy masz coś do powiedzenia zanim nałożę ci karę śmierci? — Tak — odpowiedziałem. — Rząd wasz, którego pacholkiem posłusznym i ty lordzie jesteście, sprzedał moją ojczyznę w niewolę, na skutek czego skazał mnie na pozostanie tu. Wszystko, czego oczekiwałem za mój wkład do wojny o wasze interesy, to to bym pozostawiony został w spokoju. Wasze prawo nie zapewniło mi tego. — Maską w peruce wykazała zniecierpliwienie, przerwała mi: zamilkłem. Następnie jej ręce sięgnęły po czarną czapę, nałożyły ją. Słyszę skrzek: — Za spowodowanie śmierci jednego istnienia ludzkiego przez kopnięcie w czaszkę... Nie słuchałem dalej. Dopadłem mu do gardła i wpiłem się zębami w grdykę. Otwarłem szczękę kiedy zacząłem dławić się pierzem z wygryzionej poduszki. Rozdygotanymi palcami wygładziłem zaślinioną materię. Byłem zły na siebie, że dałem się unieść nawet we śnie. Czyż nie postanowiłem być flegmatyczny zamiast się wściekać?



Upłynęło ponad półtora roku kiedy zupełnie przypadkowo w sklepie u Litwina spotkałem Henryka. Ten jakos nie stracił łączności z krajanami. Uczęszczał do Stow. Polskich Kombatan-tów, gdzie można było zasięgnąć informacji na wszelkie tematy, i to z pierwszej ręki. — „Najlepiej — poradziłem — wziąć bochen chleba, z kilo kiełbasy i wyjść zaraz na prawo do baru pod Arką. W sklepie przecież nie można się rozsiadać. Henryk wiedział o tym i o tamym. Tak na przykład porucznik Chwałko popełnił samobójstwo strzałem w usta. Żona Łubka zostawiła go i uciekła. Że kucharz, mój poprzednik z barki, jest szefem w jednej z najlepszych restauracji w Glasgow. Że Bujda nie mogąc sobie znaleźć mieszkania, kupił karawan, czyli domek na kółkach. A rozplodowiec wyjechał do Australii. Siedzieliśmy sami w separacie, darliśmy palcami chleb i po whisky zagryzali kiełbasą. — A ty co porabiasz? — zapytałem.

— Pływam na barkach — oznajmił zdegutowany. — Po prostu boję się osiąść na ładzie. Po powrocie do portu nie ma gdzie iść. Pozostała tylko Polish chałupa (tak nazywał klub SPK).

— O Piłasiu nic nie wiesz? — zagadnąłem, by nie stracić żadnej okazji w poszukiwaniu go.

— Tak; pływał ze mną, ale zachorował i zeszedł. Zostawił mi adres.

— Może jest w szpitalu? a może umarł już? — rozmyślałem w głos.

— Nic podobnego. Lekarz radził mi wziąć dłuższy odpoczynek. Wynajął sobie gdzieś pokoik i siedzi.

Wykaligrafowałem adres, by nie strzelić byka i z miejsca ustaliłem datę odwiedzin.

Kiedy go zobaczyłem, doznałem wstrząsu. Co gorsza, nie umiałem tego ukryć. Zupełnie osiwiiał. Wyglądał całkiem opuszczony i zapuszczony. Kiedy otworzył usta, ukazał pustą jamę, a kiedy je zawarł broda sięgnęła nosa. Roztargniony nagle podszedł do okna, gdzie użębienie ze szklanki szybko przełożył do ja-daczki. Wisiał mu ramiona, lekko się przygarbił. Czy rzeczywiście człowiek tak potrafi się rozłożyć w ciągu półtora roku? — zadawałem sobie pytanie. — Przecież — jaki był, taki był — był to człowiek z kategorią „A”, bez zastrzeżeń.

— Jakże się pan miewa? — zapytałem, ściskając mu dłoń.

— Nie najgorzej — odparł bezdźwięcznie. Cały pokoik, ciemnowy, z oknem patrzącym w mur, robił przygnębiające wrażenie. W kącie na skrzyni prymus, i ogólny beład.

— Głodno, chłodno i do domu daleko — wymknęło mi się fałsetem. Nie wiem czy dosłyszał, choć odpowiedział.

— Panie, w Anglii nikt z głodu nie umrze.

Zacząłem wykladać butlę wina i wiktuły: czarny chleb, kiełbasę, a w kiblu bigos najlepszy, jaki kiedykolwiek udało mi się przyrządzić. Jak oniemiały siedział przede mną i patrał.

— Zapal pan prymusik, bo trzeba to podgrzać. — Podąłem mu ciężki rondel. — Bo wie pan, tutaj to grunt się nie przejmować i dobrze się odżywiać — wkładałem mu w głowę.

— Panie kolego, za późno kolega przyszedł — przemówił wreszcie. Słowom tym nadał wielki nacisk i powagę, jakbym się co najmniej na powrót do kraju spóźnił.

— Nie rozumiem?... Zresztą schował się pan. A ja szukałem i znalazłem. A pan co? Na zdrowie! — uniosłem szklankę taniego wina.

— Czy pan rzeczywiście ma zamiar osiąść na tej przeklętej wyspie? zapytał, kiedwśmy połknęli.

Pokój zalał zapach wędzonki, kiełbasy, cebuli i kapusty.

— Panie, ja już osiadłem w jednym dniu, półtora roku temu.

— Czyś pan rozum stracił?! — krzyknął naprawdę zdumiony. — Ja walizy ni wora jeszcze nie rozpakowałem od zejścia z barki — dodał.

— Gdzież to się pan wybiera? o której pociąg odchodzi? — pytałem żartem.

— Pan się podśmiewa — powiedział z wyrzutem. — Czy pan sobie zadał trudu by zobaczyć jak tu cmentarze wyglądają? Ja bym tu psa nie pochował.

— Co mnie to obchodzi. Ja nie mam zamiaru zdychać co najmniej przez następnych osiemdziesiąt lat.

Ponuro potrząsnął głową na brak powagi u mnie.

— Mimo całego przyjaźnielstwa myśmy się nigdy nie rozumieli — zaczął głądzić. — I pan osiada w kraju, gdzie podczas — na przykład — ostatniego lata naliczono aż 18 słonecznych godzin. Akurat tyle, co u nas było w jednym dniu. Albo ich

żarcie. Wie pan, że ja wynająłem ten pokój z wiktem. Jak mi na śniadanie podali jakieś wióry, co rzeczywiście jak wióry smakowały, to sobie już obiad sam przyrządziłem.

— Fajny bigos — przerwałem mu. Zamieszalem od spodu raz i drugi.

— ...Albo ich mowa. Jak im przyjdzie powiedzieć „wesz”, to połamią język i nie wymówią, ale „fish” o tym samym brzmieniu — bez zająknięcia. O wolności stale grzmia, a pół Europy, z nami włącznie, sprzedali w niewolę. I pan się chce u nich osiadać? — zapytał znów.

— Mówilem że już osiadłem półtora roku temu. Zresztą co za różnica? Ja osiadłem, pan nie, i w jednym miejscu jesteśmy. Jak już mówiłem, grunt dobrze się odżywiać i niczym się nie przejmować. Podaj pan talerze — nałożyłem z czubem, a jeszcze na rondlu zostało. On dłużej w talerzu, przekładał z miejsca na miejsce kawałki kielbasy, to znów ściągał je z widelca. — Dałem mojej gospodyni — zaczął znów — spróbować kielbasy od Litwina, to parskała i spluwała, jakbym ją otrucił „Garlic, garlic!” darła się, jakby pluskwę rozgryzła. I ja miałbym tu żyć?

— Czemu pan nie je? wbijaj pan! — namawiałem.

— Zatkąło mnie — przyznał się szczerze. — Ostatni raz coś takiego jadłem jeszcze na barce za naszych czasów.

Skończyłem i odłożyłem talerz. Piłasa nie wyglądał mi jakoś na tego, którego znałem całą wojnę. Nalałem znów szklanke wina, może to go podnieci. Nic podobnego. Tępo patrzył przed siebie, jak człowiek któremu wszystko jedno. Chwilami odnosiłem wrażenie, że zachowuje się jakby mnie tam nie było.

— ...Panie... jak tu w sąsiedztwie zmarło Polakowi dziecko, to zupełnie nie szepem Szkot wyrzekł z zadowoleniem: „jednego Polaka mniej”.

Rozmowa się nie kleiła, bo on swoje a ja swoje. — Grunt się nie przejmować i dobrze odżywiać — powiedziałem raz jeszcze by coś powiedzieć i powstałem do odejścia. Nawet mnie nie zaprosił do powtórnego odwiedzenia. Kiedy mu to sam zaproponowałem, skinął tylko siwą głową. Wyszędłem na ulicę. Wiekowe czteropiętrowe kamienice, ponure jak nagrobki, pochylały się nad przechodniami. Oślizgłe i czarne kamienie fasad robiły wrażenie ścian tunelu, który nigdy nie widział słońca. Wewnątrz jedno i dwuizbowe mieszkania mieściły biedotę i szumowiny różnych ras i ich odcieni. Litwin z wczesnej emigracji, Żydzi w przepiślowych chałatach i zaroście, Hindusi w turbalach i z walizami, znani ze swego uporu w zachwalaniu towarów, Polacy którzy osiedlili się tu tymczasowo i nie mogą się wyprowadzić. Na parterze okna wystawowe ze starzyzną: hinduskie sosy i przyprawy, litewski chleb, kielbasa, pralnia jakiegoś Polaka, sklep kolonialny Żyda i włoska FISH & CHIPS restauracja. Bary ze stałymi bywalcami, o zdeformowanych ciałach i wyżartych twarzach. W podwórzach porozwalane schrony przeciwlotnicze, zamienione teraz na śmietniki. Wśród

skorup i brudu dzieciarnia podgrywa Indian i krowiarzy. Budynki te już 20 lat temu zadeklarowane były przez ministerstwo zdrowia jako nie nadające się do zamieszkiwania przez ludzi. Przyszła wojna i nie tylko że przestano budować, ale jeszcze bomby zgruchotały milion mieszkań. No i ludzie tam dalej mieszkają. Oto dzielnica miasta w kraju, w którym Piłasa nie zamierzał osiadać. Alternatywę widocznie trzymał w tajemnicy. Miał rację.

— Sajgan! Sajgan! — wołano mnie (nawet nazwisko mi przekrecono). A więc jednak przyłapano mnie, ale na czym? Cekał na mnie wysoki policjant w żółtym hełmie. — Czy ty byłeś przyjacielem niejakiego Piłasa? — zapytał.

— Nie tylko byłem, ale i jestem — odparłem.

— Bądź przygotowany na wstrząs — ostrzegł poważnie. Następnie zapewnił, że nic nie stracę jeśli zostawię pracę i udam się z nim. Po drodze oświadczył mi ni mniej ni więcej, tylko że Piłasa nie żyje. Mimo przygotowania na wstrząs, doznałem go. — Ależ dajcie spokój — zachodziłem w głowę. — Cóż mogło mu się stać? czy się otrucił? czy mord? Morderstwa w tej dzielnicy były powszednie. Któżby się spodziewał, dopiero tydzień temu jedliśmy bigos!... — O co tu chodzi? Po co mnie wleciesz? — pytałem glinę. — Przecież go nie wskrzeszę.

Objął, że po pierwsze dla stwierdzenia tożsamości, po drugie czy nie mógłbym rzucić nieco światła na powód jego śmierci. — *You see* — dodał kłopotliwie — doktor dotąd nie ustalił przyczyny śmierci, a to jest potrzebne do wydania świadectwa zgonu. Nie popełnił samobójstwa, ani nie było mordu, to by było widoczne. — Kierowca wjechał w dzielnicę, którą można było rozpoznać zmysłem powonienia. Wnet spinaliśmy się po wydrążonych od stąpań schodach. W znanym mi pokoiku — rzeczywiście — przykryty białym marynarskim kocem, leżał trup. Obok dwóch mężczyzn, którzy kolejno przedstawili się jako detektyw i doktor.

— Streścimy się do właściwego zagadnienia — zwięźle rzekł doktor.

Wtracił się detektyw: — Wynika ze zdjęcia z dedykacją, że byłeś długoletnim przyjacielem Piłasa, czy nie tak?

— No tak. Pływaliśmy na jednym okręcie jeszcze przed wojną.

Rozmowę przejął znów doktor: — Czy wiedziałeś o jakichś słabostkach fizycznych Piłasa?

— Wiedziałem, że ich właściwie nie miał.

— Naturalnie, moglibyśmy wpisać atak sercowy, gdyż przestało bić. Chodzi jednak o to, by zaspokoić moją własną ciekawość, ciekawość specjalisty: czy Piłasa zmarł i dlatego stanęło serce, czy względnie serce stanęło i dlatego zmarł?...

— Rzeczywiście — pomyślałem — śmierć długoletniego przyjaciela, krajana i na obczyźnie była niczym w porównaniu z kłopotami, przed jakimi stanął doktor. — Ja wiem dlaczego zmarł... — powiedziałem po chwili ogólnego milczenia.

— Taaak? — nieco sarkastycznie pytał doktor.

— Ale wątpię czy potraficie zrozumieć — zaznaczyłem. — Piłtas umarł, bo nie chciał żyć — wyjaśniłem krótko.

Popatrzone na mnie pobłaźliwie. Odpowiedź moja wpłynęła na zmianę tematu. Przejął rozmowę policjant: — Chodziłoby też o zlikwidowanie jego dobytku, no i pogrzeb.

Do pokoju wpadła gospodyni, u której nieboszczyk był lokatorem. Wycierała mydlinami okapujące łokcie i gdała: — A odradzały mi sąsiadki. Obcy zawsze tylko nieszczęście przynoszą!

— Jakież to nieszczęście przyniósł on pani? — wmixszałem się ja. — Jeśli ktoś komu może przynieść nieszczęście, to z względu rzeczy było odwrotnie. A może pokoju nie opłacił?

— No nie — zawsze płacił z góry. Ale śmierć w moim mieszkaniu, to nie jest przyjemna sprawa — gosposia wstrząsnęła rozczochraną głową. — Ja tu nie chcę mieć żadnych obcych w moim mieszkaniu — zaskrzeczała znów, łypiąc oczyma w moim kierunku.

— Wobec tego — skierowałem słowa do policjanta — proszę sprawić, by ta pani opuściła pokój. — Policjant wahał się. Patrzył to na nią, to na mnie.

— Co ty przez to rozumiesz? — zapytał mnie wreszcie.

— Ja rozumiem — powtórzyłem dobitnie za nim — że kolega opłacił pokój do końca tygodnia, więc chce mieć spokój, i niech go ma, przynajmniej po śmierci.

Policjant i detektyw szepotali coś. Być może, że rozpatrywali tę kwestię od strony prawnej, po czym wytłumaczono gosposi, że będzie lepiej jeśli opuści pokój aż do uprzątnięcia ciała. Słowo „uprzątnięcia”, jak się sprząta śmieci, miało dla mnie wyjątkowo przykry posmak. Nadąsana *housewife* wyszła, przewalając biodrami.

— Chodziłoby o zlikwidowanie dobytku zmarłego — przypomniał glina w żółdzm helmie.

— No to zróbmy od razu i skończmy z tym — warknąłem. Coś mi grało wewnątrz, coś mnie drażniło. Z tego wszystkiego byłem zły. Chciało mi się coś szarpać, rozrywać i tłuc. Tylko przyrzeczenie, dane sobie, trzymania się flegmy raczej niż wściekliny, powstrzymywało mnie od okazywania wewnętrznych uczuć na zewnątrz. Podeszedłem w jeden z kątów, schwyciłem za wór od spodu, przechyliłem i wytrząsałem zawartość na podłogę. Ktoś trzasnął drzwiami. Zauważyłem nieobecność doktora. Zacząłem wybierać przedmioty, jakie zwykle ładuje się na spód wozu, wymieniać je z nazwy i pakować z powrotem. Większość rzeczy była z angielskiego fasunku, chociaż znalazły się jeszcze i polskie. Tak na przykład był sweter, dwa niedzwane talerze i nawet niezbędnik. Następnie pieczęć ewiden-

cyjna osobista, saperki, oznaka specjalności dwóch gęsich piór. Reszta, jak mundury, koszule, krawaty, szczotki itp. były brytyjskiego pochodzenia. Zaciąłem się w nazwaniu menażki, które w naszej marynarce dawno wyszły z użycia i, o ile sobie przypominam, Piłtas używał jednej części na wodę do golenia. Nie umiałem tego nazwać po angielsku. Policjantowi, spisującemu zestaw, wysylabizowałem „menażka” po polsku. Przecież rzeczy i spis miały trafić do jego rodziny i bodaj to jedno słowo będzie przez nich zrozumiane. — Jak ci się ta nazwa nie podoba, to nazwij to po swojemu — rzekłem policjantowi. Ale nie nazwał. Dalej opróżniłem i wymieniłem nazwy zawartości podoficerskiej zielonej walizy angielskiej. Były tu dwie czapki bosmańskie. Chociaż w ciągu wojny zaniedbano przyszywania patek z pieczęcią osobistą — obie je miały. Trochę listów przedwojennych, parę zdjęć, też przedwojennych. Jedno mnie szczególnie zainteresowało. Były tam dwie jego córeczki. Z jednej ich strony ojciec, Piłtas — z drugiej nierówne obcięcie. Zgadywałem, że sam chyba odstrzygł czi pozbawioną małżonkę. Odnalazłem też swe własne zdjęcie: (Wychyłam się na nim z kluzy kotwicznej), z dedykacją na odwrocie. Data z 41 roku. A potem portfel z 6 funtami, jedno ubranie cywilne — i to wszystko. Detektyw zapytał mnie czy mógłbym wskazać im adres jego domu w kraju. Podgrzebałem znów w listach. Jedne były bez adresów, inne nosiły adres bloków podoficerskich na Oksywiu. List, jaki dostał przez Szwecję, był tam przepakowany do innej koperty i nosił adres dawnych znajomych, obecnie w Szwecji. — Niestety — wyraziłem wątpliwość, a raczej nieomal pewność, że adres jego domu albo nie istnieje, albo nie jest mi znany.

— Więc gdzie to wysłać? — nieszczere zakłopotanie wykazał policjant.

Już podczas grzebania w worku przyszły mi pewne myśli, które teraz posłużyły mi do rozwiązania problemu. — Jest w Londynie stowarzyszenie pod nazwą: Samopomoc Marynarki Wojennej — jeśli wyślemy tam, jestem pewny, iż w razie nieznajomości jego adresu, prześlą to przez Czerwony Krzyż z prośbą o przekazanie córkom zmarłego. A może mają łączność z kimś w Gdyni, kto wrócił tam już po wojnie i może taki przekaze to wszystko właściwym spadkobiercom. — Myśl ta odpowiadała im. Wór, waliza zostały zaplombowane, zaadresowane i pozostała tylko kwestia nadania, co miano uczynić nazajutrz.

Czerwony Krzyż nie był jedynym powodem, dla którego przesyłkę kierowałem do tego stowarzyszenia w Londynie. Wyobrażałem sobie, i nie błędnie, że rzeczy zostaną tam przepakowane, lista zawartości przepisana po polsku, i co najważniejsze, załączony zostanie list na maszynie z okazałą pieczęcią, zawierającą poza słowem „samopomoc” także „marynarki wojennej”. Podpisany będzie prezes komandor, taki czy inny. Są to słowa niewiele tu znaczące, ale mogące mieć pewną wartość dla otrzymującego je tam, w kraju. Niech wiedzą, że nie wszystko się skończyło, że choćby w nazwie pozostało. Że nie wszy-

scy zginęli i nie wszyscy jeszcze zmarli. I że nie wszyscy wyjechali na południe od wysp Hula-Lula.

— Robota skończona — detektyw wskazał na krzesło. Usiedliśmy. Mimo woli zawadziłem wzrokiem o pryczę. — Cóż on miał na myśli, kiedy podczas jedynych moich odwiedzin wyrzucił mi: „panie kolego, za późno pan przyszedł”. Czyżby wtedy postanowił już skończyć? Co ja z tym miałem wspólnego? Czy oczekiwał ode mnie bodźca do dalszego życia? Śmierć Piłasa wydała mi się nadzwyczaj nienaturalna, chociaż według przyjętych zasad i orzeczeń lekarskich niewątpliwie uważana była za coś zwykłego. Podczas wojny na przykład, jeśli człowiek znalazł się w wodzie i następnie rozsadzony został bombą głębinową, czy po prostu w lodowatych falach skostniał po paru minutach, czy mogło to być uważane za nienaturalną śmierć? Jeśli jelita pływały, jak węgorze, a rozpruty opodal człowiek żyłby — nazwałbym wydarzenie to nienaturalnym. Piłas przestał żyć z braku nadziei na przyszłość. Naturalnych przyczyn, jak obrażenia cielesne, czy choćby choroby fizycznej nie było.

— Pozostała jeszcze kwestia pogrzebu — przypomniał znów detektyw.

— A cóż mnie to obchodzi? Ja nie jestem zakładem pogrzebowym — odparłem. Oba oficjały podniosły brwi w zdziwieniu, a jeden przygadał:

— Dobrego kolegę miał Piłas!...

— Dobrych aliantów miał Piłas — przekręciłem. — Służył wam wiernie całą wojnę. Czy za wiele byłoby oczekiwać byście go teraz za to „uprzętnęli?” Obaj milczeli. Nie chciałem słuchać żadnych ich komentarzy. Podniosłem się i nałożyłem czapkę.

— Jeszcze jedno — zawrócił mnie od drzwi detektyw. Podszedł do trupa uchylił koca w wezłowie: — Czy to są zwłoki Piłasa?

Spojrzałem na woskową twarz z otwartymi oczyma.

— Tak. — Wyszedłem. Osobiście nie wierzyłem w żadnego rodzaju pośmiertne przysługi. Najprawdopodobniej do ojczyzny nigdy nie wrócę. Nie jestem też dość ważny bym mógł oczekiwać przewiezienia mych prochów na jej łono. Jeśli z tą myślą muszę się pogodzić, na pewno zgodzi się i Piłas, tym bardziej że pozbawiony jest możności sprzeciwu. Nasze kości spoczywać będą w szkockim błocie.

Wincenty CYGAN

Kraj

Skrawek Ojczyzny

Po tygodniowym pobycie w Warszawie postanowiłem odwiedzić rodzinę na prowincji. Wczesnym rankiem pojechałem zdobytą z trudem taksówką na ulicę Żytnią, na dworzec autobusowy. Kierowca natychmiast rozpoznał, że jestem z zagranicy i rozpoczął litanię tradycyjnych narzekań na stosunki.

Gdzieś za Powązkami zatrzymaliśmy się przed niskim, drewnianym budynkiem, przed którym stały dwa rzędy autobusów. W długiej poczekalni siedziało kilkadziesiąt osób śpiąc lub czytając gazety. Miałem jeszcze pół godziny czasu. Przy mnie drzemała wiejska kobieta, opatulona w grubą chustę, otoczona koszami. Zaraz za nią jegomość w wytartej jesionce czytał gazetę. Panowała atmosfera senna, atmosfera nudy, przerywana głosami konduktorów, kręcących się po sali. Wreszcie z głośnika odezwał się głos: „Autobus do... przez...”. Zerwałem się z miejsca i wyszedłem na podjazd. Przy starym niebieskim Fiacie ustawiła się grupka podróżnych. Konduktor sprawdzał bilety i pojedynczo wpuszczał do wnętrza wozu.

Miejsce miałem przy oknie. Wnętrze samochodu brudne, szyby nie myte od dłuższego czasu. Prawie wszyscy pasażerowie palili i po kilku minutach siedzieliśmy w sinej mgłę gryzącego dymu z popularnych „Sportów”. Wąskie siedzenia były niewygodne, a czekała mnie podróż prawie 4-rogodzinna: 130 kilometrów.

Ruszyliśmy. Przy mnie usiadł starszy, szczupły ksiądz. Miał twarz zmęczoną i przymknięte powieki. Brązową teczkę trzymał na kolanach, jej róg przy każdym wstrząsie autobusu wbijał mi się w udo. Z tyłu za mną dwóch robotników rozpakowało paczki z jedzeniem i niemilosiernie mlaskało. To było gorsze od rogu teczki. Przede mną drzemała babina i kolejarz. Kolejarz? Ach, prawda, te miasteczka, przez które mieliśmy jechać, nie miały połączenia kolejowego.

Minęliśmy Zolibórz i Bielany. Szosą biegnącą z Warszawy

posuwały się powoli furmanka za furmanką. Powrót z targu? Dwadzieścia, trzydzieści a może więcej. Jedna za drugą. Przy każdej jeden koń, czasami dwa. Karawana smutnych koni ze zwieszonymi łbami i przeważnie śpiącymi woźnicami.

Za oknem przesuwają się kryte słomą dachy, gdzieś gdzie dom murowany, kryty blachą lub dachówką. I szare, jesienne pola.

Ksiądz ocknął się z drzemki, otworzył teczkę i wyjął brewiarz. Skorzystałem z okazji i zaproponowałem położenie teczki na siatce. Popatrzył na mnie, kiwnął głową, wstał i wpakował teczkę za drewnianą przegródkę. „Wiozę wino mszalne — mruknął — chyba się nie zbije...”. Postanowiłem nawiązać kontakt spojrzawszy w górę i powtórzyłem: „Chyba się nie zbije”.

— I wino musi przywozić ksiądz aż z Warszawy?

— No tak. Jak się siedzi daleko od miasteczka to każdy pobyt w Warszawie jest okazją do tego rodzaju zakupów... Dziwi to pana? Zaraz po opuszczeniu Warszawy człowiek dostaje się w inny świat. Świat zaniedbanych wsi, z których wiele jest jeszcze niezelektryfikowanych, nie mówiąc już o komunikacji, ciągle źle zorganizowanej i prymitywnej. Na przykład ja: dwie godziny jadę tym PKS'em, przesiadam się w B., na drugi o wiele gorszy od tego i jeszcze 8 kilometrów furmanką, która powinna na mnie czekać... A co do tych chałup. Chłopi mało inwestują w gospodarke, bo i z czego? Przeważnie siedzą na kilku morgach, a ziemia w woj. warszawskim jest kiepska. Było kiedyś rozdrobnienie dzielnicowe, dziś mamy rozdrobnienie chłopskie — zaśmiał się.

— Dlaczego nie przystępują do spółdzielni produkcyjnych?

— No wie pan! Niech pan to zaproponuje chłopu! Przekona się pan jaka będzie jego reakcja! Proszę pana, dziś w Polsce tylko i jedynie chłop posiada dalej silnie w nim tkwiące poczucie własności, poczucie posiadania. Straciwszy je, straci dosłownie wszystko, nawet sens swego życia.

— Trochę tego nie rozumiem — powiedziałem.

— Tak? Być może... Widzi pan, w miastach ludzie nie mają nic do stracenia. Mówię oczywiście o tej masie obywateli, która mieszka w mieszkaniach podległych kwaterunkowi i pracuje na państwowych lub spółdzielczych posiadach. Są oni właścicielami mebli, bielizny, ubrania i osobistych drobiazgów. prócz posady, wszystko inne nie robi z nich posiadaczy. I to poczucie w nich zanika. Natomiast chłop siedzi na swoim z dziada pradiada. Odebranie mu tego będzie ciosem w niego samego, w jego psychikę i treść życia. Bo chłop, proszę pana, jest do pewnego stopnia w Polsce człowiekiem wolnym. Rozumie pan to? Utrata gospodarstwa równa się utracie wolności, podporządkowaniu się państwowej lub spółdzielczej wspólnoty. Przy indywidualnych cechach naszych chłopów jest to tymczasem nie do pomyślenia. Przekona się zresztą o tym przed 1956 r., gdy masowo zakładano spółdzielnie. Były to sztuczne twory, które natychmiast rozsypały się.

Dojeżdżaliśmy do Modlina. Za oknem przesuwają się czerwone, porośnięte mchem mury twierdzy.

— Chłop nie inwestuje, bo boi się podatków. Tutaj zresztą nie jest to jedynym powodem. Tu i w centralnych województwach można jeszcze coś kupić: cement, cegłę czy drzewo. Ale weźmy kielecczynę, białostocczynę czy województwo olsztyńskie. Tam od 15 lat nic się nie inwestuje, albo minimalnie.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Bo chłopom to się nie opłacało.

— Ale dlaczego — nie ustępowałem.

— Chłopi, spodziewając się przymusowej kolektywizacji, eksploatowali swoje gospodarstwa do maksimum. Traktowali je tak, jak „oni” nasze kopalnie: jak najwięcej dochodu, jak najmniej wydatków inwestycyjnych. Poza tym chłopie nie budują także dlatego, że boją się, iż władze zwrócą na to uwagę i zaczyną odpowiednio cisnąć. Dotychczas dobrobyt na wsi nie popłacał. Jego następstwem były jedynie wyższe podatki, kłopoty administracyjne...

— A jak się księdzu powodzi?

— Ho-ho!... Na to pytanie byłoby trzeba odpowiadać co najmniej pół dnia. Powiem panu tylko, że życie przeciętnego proboszcza na wsi jest dziś skomplikowane. Niewątpliwie ma on jakiś autorytet. Jest w dalszym ciągu duszpasterzem wsi i jej duchowym przewodnikiem. Niemniej musi być bardzo ostrożny. Jeżeli chce dobra wsi i zaczyna dla niej pracować, może spotkać się z zarzutem, że wciąga się w „rzeczywistość”. Jeżeli nic nie robi — staje się „wstecznikiem”. I tak źle i tak niedobrze!...

— Więc ograniczacie się tylko i wyłącznie do pracy duszpasterskiej?

— Raczej tak.

— Czy to źle czy dobrze?

— Trudno na to odpowiedzieć. Gdyby księdzu pozwolono na pełną działalność gospodarczą i społeczną czy kulturalną na wsi, bez podciągania, w następstwie, tej działalności pod robotę polityczną, bez potrzeby wiązania się z tą czy inną organizacją katolicką, mającą apetyty na księży — to na pewno potrafiłby zrobić wiele dobrego. Niestety każda inicjatywa księdza jest zaraz wykorzystywana albo przeciwko niemu, albo przez różne czynniki, które chcą ją zapisać na swoje konto.

W autobusie duszno nie do wytrzymania. Pocę się niemilosiernie i czuję zbliżającą się migrenę. Ksiądz mówi dalej:

— Wieś! Co tam wieś, proszę pana! Pan jedzie do Z. Tam się dopiero przekona pan, jak wygląda życie prowincjonalnej Polski! Obok szeregu dużych miast i wsi istnieją setki małych miasteczek, których ludność waha się od 1.000 do kilku tysięcy ludzi. Wieś i duże miasto pracują ciężko, więc życie ich mieszkańców jest w jakiś sposób uregulowane. Ale w ma-

łych miasteczkach tylko się wegetuje. Bo i co ludzie mają robić? Jest kilku lekarzy, kilkudziesięciu nauczycieli, urzędników, trochę rzemieślników, gdyż rzemiosło jeszcze jako-tako działa właśnie w małych miasteczkach, a poza tym ludzie żyją z czego się da.

— To znaczy?

— To znaczy, że mają kawałek pola za miastem, ogród, krowinę, dojeżdżają albo dochodzą do jakiejś fabryczki, o ile taka istnieje, do spółdzielni usługowej: krawieckiej, szewskiej, czy innej, ale tej pracy nie starcza dla wszystkich. Niech pan nie wierzy, że w Polsce nie istnieje bezrobocie. Istnieje, i to właśnie najbardziej w małych miasteczkach. Drobny przemysł to przeważnie zakłady przetworów owocowych, leśnych czy rolnych, które zatrudniają robotników tylko w sezonie owocowo-warzywniczym. Na przykład w tym miasteczku, do którego pan jedzie, jak zresztą prawie w każdym takim miasteczku, w zimie nie pracuje od 200 do 600 rodzin.

— A z czego zatem żyją?

— Pracują w okresie lata i jesieni, odkładają coś nie coś z zarobków i czekają następnego sezonu. A jak mają własny domek, krowę czy kozę, trochę kur — to i przetrzymają... Trzeba przyznać, że po październiku władze terenowe starają się, jak mogą, budować małe obiekty przemysłowe, ale to nie wystarcza, bo przyrost naturalny prześciga wszystko to, co się dla ludzi buduje i produkuje, mimo — roześmiał się — nawoływania różnych czynników i prasy i organizacji do regulacji narodzin.

— Rzeczywiście tak jest? — zainteresowałem się. — A co ksiądz o tym sądzi?

— Bardzo dużo, jeśli wolno się tak wyrazić. Przede wszystkim uważam, że regulacja narodzin nigdy w pełni nie zostanie zrealizowana, bo na ogół ludzie kierują się instynktem. Poza tym władze zalecając przerywanie ciąży robią jednocześnie szereg utrudnień, które ludzie zrażają. Kobieta czy dziewczyna, zgłaszająca się do przychodni w celu dokonania zabiegu, musi przejść przez szereg przykrych indagacji, wypełnianie formularzy, nie ma zapewnionej dyskrecji i naraża się na przykrości ze strony sąsiadów, a nawet rodziny. Poza tym lekarze, chociaż powinni to robić w ramach usług ubezpieczeniowych, najczęściej każą sobie płacić za zabieg i to sporo, bo do 1.000 złotych. Procedura darmowego wykonania zabiegu jest tak przykra dla osoby zainteresowanej, że najczęściej albo z niego rezygnuje, albo płaci jak za zabieg wykonany prywatnie. Stosowanie zaś środków antykoncepcyjnych ze względu na ich jakość — ciągle są bardzo kiepskie — zdecydowanie nie przyjmuje się. Mamy więc rok rocznie o pół miliona obywateli więcej.

— Widzę, że to księdza cieszy.

— Pewno. Będzie nas więcej, będzie nam lepiej!

— Myślałem, że na odwrót.

— Tak myślał władze, ale my nie.

Wjechaliśmy na prostokątny rynek miasteczka i autobus zatrzymał się przy dwóch kioskach, z których jeden miał daszek, a pod nim stała ławka.

— Jesteśmy w X — powiedział ksiądz, zerwał się z miejsc, sięgnął po teczkę i podał mi rękę. — Niech pan spojrzy — wskazał palcem plac — 70 km od Warszawy widok jak żywcem wzięty z czasów piastowskich, ale o wiele smutniejszy i brudniejszy! — i wyszedł z wozu.

Wysiadłem i ja, żeby rozprostować kości. Konduktor podawał już z dachu tłumoki i kosze odbierane na dole przez kobiety.

— Dziesięć minut postoju! — zawołał do mnie. Miąłem autobus i zatrzymawszy się na skraju chodnika oglądałem setki furmanek stłoczonych pośrodku rynku. Jarmark, wtorkowy jarmark. Masa wozów, worki z ziemniakami, białe góry kapusty, zbite z drzewa skrzynki skąd dochodził jazgot gęsi i chrząkania świń. I pośród tego wszystkiego kręcący się szary tłum chłopów. Wzdłuż lewej strony rynku stał rząd budek obwieszonych kolorową pstrokacizną towarów. Z narożnej kamieniczki, w której mieściła się „Gospoda Ludowa”, wychodzili i wchodzili ludzie. Poszedłem i ja. W zadymionej salce, w piaseczkach, gdzieś niedziedzie w czapkach na głowach siedziały i piły gromady mężczyzn. Na każdym stole stała butelka wódki, szklanki, talerzyki z ogórkami, chlebem, kawałkiem mięsa i kilka butelek oranżady. Przy kontuarze w ścisku i gwarze tłumek popijał piwo. Wycofałem się pośpiesznie, zawróciłem do autobusu. Wąskim tunelem pomiędzy zbitą masą wozów i koni przesuwał się tłum kupujących i sprzedających. Po chłodnej, białej, nowej Warszawie ten świat, ten rynek z parterowymi lub jednopiętrowymi kamieniczkami, z powtarzającą się mozaiką wozów i koni był czymś nieprawdopodobnym.

Odezwał się klakson autobusu. Wróciłem na miejsce. Z siedzenia zajmowanego dotąd przez księdza podniósł się młody człowiek i przepuścił mnie do okna. Spojrzał na mnie, na moją torbę angielskiej linii lotniczej, z której wyjmowałem nieprze czytana gazetę i spytał:

— Pan z zagranicy?

Przytaknąłem i odpowiedziałem pytaniem:

— A pan z zakupów?

— O nie, nie! — zaprzeczył. — Skończyłem dyżur w Ośrodku Zdrowia i wracam do Z.

— Jest pan lekarzem?

— Tak. Dwa razy tygodniowo przyjeżdżam do X., a w pozostaje dni pracuję w szpitalu powiatowym w Z.

— Dawno pan skończył studia?

— Cztery lata temu.

— I jak się panu żyje? Może pan zapali? Proszę? To jeszcze kupione w samolocie, angielskie.

— Dziękuję, z przyjemnością! — wziął papierosa i dodał:

— Jak mi się powodzi? Ciężko. Bardzo dużo roboty.

— A zarobki?

— Zarabiam trzy tysiące złotych miesięcznie.
 — To mało! — zdziwiłem się.
 — A kto więcej zarabia?
 — No, w Warszawie...
 — W Warszawie! W Warszawie to co innego. Tylko żeby się do niej dostać, albo do innego miasta, trzeba mieć protekcję, albo dużo odłożonych pieniędzy.
 — Ale za to ma pan dużą praktykę...
 — Cóż to za praktyka! Czy to w ogóle można nazywać praktyką, jeśli ja muszę w ciągu 5-6 godzin przyjąć 40 i więcej pacjentów. Myśli pan, że ja mam czas na dokładne zbadanie chorego? Mowy o tym nie ma! Odwała się jednego za drugim!
 — Przecież są i inni lekarze.
 — Tak samo ciężko pracują jak ja. A do tego warunki pracy! Przecież to prymityw. Nie ma czasu nawet na przeprowadzenie podstawowych analiz, które często sam robię, tak samo jak zastrzyki i inne drobne zabiegi, które powinny wykonywać siostry, zaharowane tak samo jak my. Wstaję o 6-ej rano, przyjmuję w szpitalu, potem biegam po pacjentach na mieście, wieczorem znów dyżur w szpitalu, innego dnia ośrodek zdrowia tu, jeszcze innego dyżur w szkole i tak w kółko dzień za dniem. Wieczorem przychodzę do swego pokoju tak zmordowany, że rzucam się na łóżko i śpię.
 — A rozrywki, teatr, kino, kawiarnie?
 — Co — zaśmiał się. — W Z. mamy tylko jedno kino i ostatnio otwarto kawiarnię. Tam nie ma co robić...
 — Książki, radio, telewizja?
 — Kiedy proszę pana, kiedy? Mnie się nie chce wieczorem jeść kolacji, a pan chciałby żebyśmy czytał książki lub słuchał radia! — Umilkł na chwilę i zamyślił się. — Gdy budzę się rano i pomyślę, że tam, na dole czeka już kolejka ludzi, to po prostu żyć mi się nie chce! I tak dobrze, że nauczyłem moich pacjentów, żeby przychodzili do mnie jako tako umyć. Jedni mówią drugim, „jakoś mogą ich badać! Ale przedtem. Nie daj Boże!”
 — To aż tak źle z higieną?
 — Potwornie. Czasem w ogóle nie badam i mówię: — Niech się pani dobrze umyje, bo do lekarza w takim stanie nie wolno przychodzić”. Zresztą trudno od nich zbyt wiele wymagać. We wsiach i w miasteczkach nie ma ani kanalizacji, ani bieżącej wody. Zobaczysz pan w Z. W dalszym ciągu trzeba nosić wodę wiadrami ze studzien podwórkowych, albo nawet z rynku.
 — Tak jak za moich czasów — uśmiechnąłem się.
 — Widzi pan! Tak jak za pańskich czasów! Ciągłe mówimy, stale złościmy się i tłumaczymy, że powinni przynajmniej raz w tygodniu, w sobotę nagrzać wody, nalać do balii i wyszorować się... Ale to nie pomaga. Dopiero jak mają iść do lekarza, to ze strachu przed nim myją się.
 Z tyłu za nami wybuchła w tej chwili pijacka kłótnia. Chodziło o resztę za bilet. Wymyślali chłopcy, wymyślał konduktor. Wreszcie zagroził, że zatrzyma wóz i wysadzi i pijanych: „Nie

wiecie, że pijaków wozić nie wolno! Bierzymy ludzi, żeby im pomóc, a oni tu jeszcze czepiają się! Panie kierowco zatrzymaj pan wóz!” — Ale chłopcy umilkli i jechaliśmy dalej. Spojrzałem pytająco na lekarza. Machnął ręką.

— To zwykła rzecz. Dzień rynkowy, konduktor też musi coś zarobić. Będzie zbierał ludzi po drodze i wysadzał nie na przystankach. Za to zawsze dostanie parę groszy i podzieli się z kierowcą. Każdy musi jakoś żyć.

— Jaka jest pensja takiego konduktora?

— Najwyżej 1300 zł. Nędza!

Teraz dopiero przyjrzałem się konduktorowi. W granatowym mundurze, w brudnej koszuli, z nieogoloną twarzą wyglądał niechlujnie, ale harmonizował z wnętrzem autobusu, z otoczeniem, z tą całą atmosferą, która powoli zaczęła oddziaływać i na mnie. Przecież ci ludzie musieli przeżywać jakieś swoje radości, tworzyć i realizować nadzieje. Wyraziłem tę myśl głośno. Lekarz roześmiał się.

— Odpowiem panu na to kawałem, dobrze? Może zresztą pan go już zna.

— Spotyka się dwóch znajomych i jeden pyta drugiego: „Słuchajno, powiedz czy już jest u nas socjalizm, czy będzie jeszcze gorzej?”

Nie roześmiałem się.

Jerzy PŁOT

Zmiany w "Polityce"

Czytelników „Kultury” zaciekawi zapewne nowa czystka w naszym krajowym świecie prasowym. Gazety o tym milczą, bo muszą, ale w kawiarniach aż huczy od plotek. Nie popelniję tedy przestępstwa w sensie ochrony tajemnicy państwowej, jeśli poinformuję krótko o co chodzi. Otóż Partia poświęciła na ołtarzu przyjaźni polsko-radzieckiej naczelnego redaktora tygodnika „Polityka”, towarzysza Rakowskiego. Ale najpierw kilka słów o samym piśmie. „Polityka” to megafon Wiesława-Gomułki. Ponieważ „Trybuna Ludu” z jej redaktorem Kasmanem jest wykładnią rozmaitych prądów i tendencji wewnątrz PZPR i wykonuje raczej funkcje informacyjne, powstała swego czasu potrzeba pisma ideologicznego, jak najbardziej zbliżonego do wodza Partii. Takim to właśnie organem Gomułki jest „Polityka”. Rękojmią nienagannej linii generalnej w polityce „Polityki” była

osoba naczelnego redaktora. Mieczysław Rakowski, zdolny i ambitny komunista młodego pokolenia, wziął się z zapałem do pracy. Wypośredkował linię łagodnego oportunistycznego i żeglował dość zręcznie pomiędzy skałami intrygi i denuncjacji. Listem żelaznym było poparcie Gomułki. Ale niektórzy doradcy w otoczeniu pierwszego sekretarza zazdrośnym okiem śledzili dziennikarską karierę Rakowskiego. Kiedy mu się jakoś w zeszłym roku powinęła noga, „przyjaciele” wykorzystali natychmiast szansę. Rakowskiego „zdjęto” z redaktorstwa. Ale decyzja o zwolnieniu zbiegła się wówczas z jego wyjazdem do Moskwy na zjazd dziennikarzy radzieckich. Na Kremlu Rakowski spotkał się z Chruszczowem, który pochwalił go publicznie za dobrą robotę prasową. Przeciwnicy redaktora „Polityki” przestraszyli się i dymisja została cofnięta.

Wydawało się więc, że pozycja Rakowskiego jest tak ustabilizowana, że mu już nic nie grozi. Okazało się inaczej. Niedobitki stalinowskie w Biurze Prasowym KC czekały cierpliwie okazji. A okazja przyszła wcześniej niż ktokolwiek myślał. Rakowski wydrukował w „Polityce” serię artykułów Arskiego o roku 1920, o rewolucji białostockiej, o pochodzie czerwonej armii i o „cudzie nad Wisłą”. Posypały się raporty do ambasadora Abrasimowa, że Rakowski prowadzi dywersję, bo porusza w „Polityce” sprawy, które są tabu w przyjaźni polsko-radzieckiej itd. Razem z tym zbiegła się sprawa Andrzejewskiego, który napisał niedawno w „Polityce” felieton przeciwko wyrokowi śmierci i Prokuratura poczuła się dotknięta. Andrzejewskiemu zabroniono pisać. Sprawa oparła się o Moskwę i stamtąd Gomułka przysłał w ostatnich dniach listopada polecenie natychmiastowego usunięcia dotychczasowego redaktora naczelnego „Polityki”. Wolał zrezygnować z pomocy wiernego zwolennika, aniżeli oprzeć się naciskowi Moskwy. Trzeba oczekiwać kolejnej dymisji Arskiego z redaktorstwa „Swiata”. Choć przy jego giętkości...

Warszawa w grudniu 1960.

GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII

84, Sloane Avenue, London S. W. 3

Najnowsza historia Polski

Nasze przygotowania do wojny

Chcę przedstawić mój pogląd na przygotowania nasze do wojny i to zarówno ogólne jak i w dziedzinie lotnictwa. Będą rozpatrywał tylko te sprawy, w których osobiście brałem udział.

Przede wszystkim przygotowania natury organizacyjnej. Mogę to tym lepiej uczynić, że w latach 1922-1926, będąc najpierw szefem Oddziału I-go (organizacyjno-mobilizacyjnego) Sztabu Generalnego, a przy końcu 1925 i początku 1926 r. pełniąc obowiązki pierwszego zastępcy szefa Sztabu Generalnego, kierowałem pracą nad nową organizacją i mobilizacją armii. Otóż już w roku 1923 powstał w naszym oddziale plan rozbudowy mobilizacyjnej armii do 60 dywizji. Plan ten wypracowany był w wydziale mobilizacyjnym pod kierunkiem płk. dypl. Chilarskiego, ale zestawiony jako całość przez mjr. dypl. Sadowskiego, późniejszego generała i mojego zastępcę i następcę na stanowisku dowódcy 23 dywizji piechoty w Katowicach, a przy udziale mjr. dypl. Maruszewskiego, mjr. Gebła, kpt. Wyszyńskiego, kpt. dypl. Janiszewskiego, rtm. Kossowskiego i in. Plan ten opierał się na armii pokojowej o 30 dywizjach piechoty, 11 brygadach kawalerii i odpowiedniej ilości jednostek innych broni i służb, między innymi 10 batalionach czołgów i 10 pułkach lotniczych. Plan ten przewidywał stopniowy rozwój do roku 1935, w którym to roku liczba wielkich jednostek piechoty zmobilizowanych w razie wojny miała wynosić 60. Brałszy przy tym za podstawę taką samą mniej więcej liczbę wojska pokojowego, jaka wówczas była pod bronią, tj. około 17.000 oficerów służby stałej, trzydzieści kilku tysięcy (o ile się nie mylę) podoficerów służby stałej, oraz około 230.000 szeregowych niezawodowych, oraz roczny budżet wojskowy oko-

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

to 750 milionów złotych polskich, przewidziany łącznie na normalne utrzymanie, uzbrojenie, wyposażenie wojska, oraz na wyposażenie wojenne i rezerwę zaopatrzenia wojennego. Był to elaborat bardzo szczegółowo i sumiennie opracowany, oparty na realnych kalkulacjach z obliczeniem rezerwy sprzętu na trzy miesiące trwania wojny, rezerw personalnych na sześć miesięcy. Obecnie oczywiście nie pamiętam wielkiej ilości szczegółów tego planu; niemniej, myślę, że nie wiele odbiegnę od prawdy, gdy powiem, że siła liczebna tej armii po zakończeniu jej rozwoju wynosiła półtora miliona wojska. Sprzęt na wystawienie mobilizacyjne jednej dywizji piechoty miał kosztować 75-78 milionów złotych. Ponieważ w tym czasie mieliśmy materiału na trzydzieści kilka dywizji, przeto należało corocznie wystawiać po 2-3 dywizje piechoty, aby do 1935 r. mieć 60 gotowych dywizji. Nie pamiętam dzisiaj liczb dotyczących kosztów wystawienia innych jednostek. Dywizje miały być trzy pułkowe z jednym pułkiem artylerii. Na wystawienie więc nowych jednostek trzeba było mieć około 200-300 milionów złotych polskich (pełnowartościowych) rocznie, co przy pełnym rocznym budżecie 750 milionów na wojsko nie przekraczało naszych ówczesnych możliwości. Plan ten przedstawiał zgrany personalnie i materiałowo wysiłek organizacyjny, który by nas doprowadził do posiadania w r. 1935 poważnej siły zbrojnej. Na pewno armia tak zaplanowana ulegałaby zmianom w związku z rozwojem studiów taktycznych i operacyjnych i poglądów na użycie sprzętu wojennego, oraz ze względu na rozwój sił zbrojnych naszych ewentualnych przeciwników, z czego dobrze zdawaliśmy sobie sprawę.

Jakiż był los tego planu? Po zatwierdzeniu go przeze mnie i przez gen. Rybaka, ówczesnego pierwszego zastępcę szefa Sztabu Generalnego, został on przedłożony szefowi Sztabu Generalnego, którym wówczas, w r. 1923, był marszałek Piłsudski. Czekaliśmy pewien czas na rozstrzygnięcie. Pewnego dnia (daty nie pamiętam) zostajemy wezwani do niego na konferencję w tej sprawie. Musieliśmy na niej szczegółowo tłumaczyć poszczególne punkty planu, między innymi zapytał się mnie Marszałek, dlaczego proponujemy wystawić 60 a nie 100 dywizji. (Tę samą uwagę znaleźliśmy na marginesie odnośnego punktu). Tłumaczyliśmy, że taka ilość dywizji odpowiada nam ze względu na nasze zasoby personalne i możliwości szkolenia rezerw, a większej ilości nie nioglibyśmy wystawić także ze względu na koszt wyposażenia i uzbrojenia. Konferencja trwała kilka godzin, ale Marszałek nie dał nam bezpośrednio swojej decyzji. Dopiero po szeregu dni dostałem cały akt z powrotem od gen. Rybaka z adnotacją z rozkazu pana Marszałka zatwierdzam, Rybak, gen. bryg. Nie dowiedzieliśmy się nigdy, dlaczego Marszałek nie podpisał osobiście tego ważnego planu, natomiast przeglądając potem ten dokument, który o ile pamiętam zawierał około setki stron pisma maszynowego, znaleźliśmy w różnych miejscach ślady popiołu z papierosów, oraz różne uwagi, pytania i wykrzykniki, co świadczyło o tym, że Marszałek cały doku-

ment studiował gruntownie. Zabraliśmy się oczywiście zaraz do pracy nad realizacją tego planu uważając, że został on zatwierdzony przez najwyższy czynnik wojskowy.

Potem, jak wiadomo, nastąpiły zmiany na najwyższych szczeblach wojskowych. Ministrem spraw wojskowych został gen. Sikorski, szefem sztabu gen. Stanisław Haller, zastępcą szefa sztabu w roku 1924 generał Kessler. Ja stale byłem szefem oddziału I-go sztabu, jedynie w r. 1924 wyjechałem do Francji na kurs taktyczny artylerii i na kurs wyższych dowódców. Przedtem jednak pokierowałem pracą, tym razem wydziału organizacyjnego nad reorganizację pokojową armii taką, która by wiązała się z tamtym planem rozwoju mobilizacyjnego. Bezpośrednio kierował tą pracą ówczesny szef wydziału organizacyjnego, ppłk, dypl. Korytowski, późniejszy generał i dowódca brygady kawalerii, a głównymi współpracownikami byli: dypl. mjr Freud-Krasicki dla organizacji dowództw, mjr dypl. Kwiatek dla organizacji jednostek broni, a kpt. dypl. Roman Starzyński dla jednostek służb. Z pracy tej przypominam sobie różne ciekawe epizody. Przede wszystkim, zanim przystąpiliśmy do sporządzenia szczegółowych organizacji i etatów oddziałów, opracowaliśmy ogólny referat, podający plan pracy reorganizacyjnej obejmujący podstawowe zasady i kalkulacje, oparte o potrzeby rozwijającej się mobilizacyjnie armii i wynikający stąd rozdział kontyngentu na dowództwa, broni i służby, oraz zasady tworzenia oddziałów na stopie pokojowej, oparte o potrzeby produkcji rezerw personalnych dla zapewnienia jednostek mobilizowanych i uzupełnienia ich w czasie pierwszych sześciu miesięcy wojny. Był to cały plan reorganizacji armii. Gdy przedłożyliśmy go szefowi sztabu, gen. Stan. Hallerowi, ten, po przestudiowaniu go, oddał nam z notatką: Dobry referat dla prac Oddziału I-go, natomiast nie napisał po prostu: Zatwierdzam plan reorganizacji armii. My oczywiście wzięliśmy to za zatwierdzenie planu i w latach 1924 i 1925 wydaliśmy etaty i organizacje wojenne i pokojowe prawie wszystkich dowództw, oraz jednostek broni i służb. Ale nie obeszło się bez trudności. Oczywiście organizacje broni i służb uzgadnialiśmy z odnośnymi departamentami M.S. Wojsk. W tym czasie organizacja nasza była tego rodzaju, że szefowie departamentów w zakresie organizacji, mobilizacji, wyszkolenia i spraw personalnych podlegali szefowi sztabu generalnego, a w zakresie administracji szefowi administracji armii, więc ostatecznie w sprawach organizacji rozstrzygał szef sztabu, względnie minister, któremu wówczas szef sztabu podlegał. Ta podległość była logiczna i prosta, po roku jednak 1926 organizacja ta uległa zmianie w tym kierunku że szefowie departamentów w sprawach organizacji pokojowej i wyszkolenia przestali podlegać szefowi sztabu a podlegali 1-mu wiceministrowi, które to stanowisko zostało wówczas stworzone na skutek decyzji marszałka Piłsudskiego. W związku z tą decyzją przypominam sobie następujący epizod z czasów, gdy Marszałek był szefem sztabu w r. 1923. Pewnego dnia telefonuje

do mnie adiutant Marszałka, że Marszałek idzie do mnie do biura. I rzeczywiście za chwilę zjawia się Marszałek, siada za moim biurkiem i pyta się nad czym obecnie pracujemy w oddziale I-szym. Ja referuję mu kolejno sprawy organizacji, mobilizacji i wydziału tzw. *Ordre de Bataille*, które są aktualnie w opracowaniu w oddziale. Marszałek słuchał uważnie i przerywał mój referat zapytaniami i uwagami, a potem zaczął mówić o swoich zapatrywaniach na organizację wojska, a szczególnie dotyczących najwyższych organów w czasie pokoju. Jako zasadę wysunął, że praca przygotowania wojny powinna być oddzielona od pracy pokojowej, i tym dwu rodzajom pracy powinny służyć oddzielne organy. Ja ze swej strony zrobiłem uwagę, że w wojsku, w czasie pokoju, wszystko prawie powinno się dziać dla przygotowania wojny, a oddzielna organizacja pracy w czasie pokoju i dla przygotowania wojny skomplikuje bardzo życie wojska i będzie w rezultacie organizacją nieekonomiczną. Marszałek jako główny argument wysunął konieczność zachowania pełnej tajemnicy w pracy nad przygotowaniem wojny. Wydawało mi się, że to nie był dostateczny argument dla takiego rozdziału pracy i organów i do dzisiaj co do tego nie jestem przekonany. Po roku 1926 ten rozdział został przeprowadzony i jak się później przekonałem bardzo skomplikował pracę i podległość różnych organów na najwyższych szczeblach władz wojskowych.

Naturalnym dążeniem departamentów w czasie pracy nad reorganizacją armii pokojowej było, otrzymać jak największą ilość etatów i możliwie wysokie stopnie, a naszym zadaniem było, aby etaty pokojowe były ściśle dostosowane do potrzeb mobilizacyjnych i wojennych i aby rozbudowa personalna nie odbywała się kosztem potrzebnego sprzętu, wyposażenia i uzbrojenia. Chcąc wykazać, jak nieodpowiednie były żądania przedstawicieli niektórych, a właściwie prawie wszystkich broni i służb, wydałem im zlecenie przygotowania, niezbędnych według ich zdania, organizacji i etatów. Te ich zapotrzebowania poleciłem zestawić w oddziale I-szym. Zestawienie to wykazało, że według ich zapotrzebowania armia pokojowa powinna liczyć około 400.000 ludzi, w tym naturalnie wysoki procent wyższych stopni oficerskich i podoficerskich. Zaprosiłem do siebie szefów departamentów i pokazałem im to zestawienie i porównałem z tym, co jest nam rzeczywiście potrzebne ze względu na produkcję rezerw i wymagania pokojowe. To dopiero podziało i odtąd przeważnie szli na rękę i współpracowali z oddziałem I-szym w sprawie stosowania ekonomii w organizacji. Ale nie wszyscy. Szefem Departamentu Zdrowia był wówczas pułkownik czy generał Zwierchowski. Nie chciał on uznać naszych tendencji oszczędnościowych w organizacji i stawiał wysokie bardzo wymagania co do ilości i wysokości etatów dla Służby Zdrowia. Zorganizował konferencję na temat przesłanego przez nas projektu organizacji Służby Zdrowia, która nie odpowiadała jego poglądom i była jego

zdaniem zbyt oszczędna w stopnie i ilości personelu. Gdy przyszedłem na tę konferencję, zastałem tam około dziesięciu starszych oficerów Służby Zdrowia, Zwierchowski był bardzo zdziwiony, że ja sam jeden przyszedłem „walczyć” z nimi i zmyślał od Austriaków sztab i oddział I-szy (sam był lekarzem dentystą ze służby rosyjskiej), który jednak składał się w wielkim procencie z legionistów. W kilku słowach odpowiedziałem rzeczowo na jego zarzuty, zebrałem papiery i odszedłem, projekt organizacji Służby Zdrowia włożyłem do biurka na spód. W jakiś czas po zmianie szefa departamentu Służby Zdrowia, nowy szef gen. Składkowski przyszedł do mnie, przeprosił za wystąpienie swego poprzednika i prosił o przedyskutowanie z nim sprawy reorganizacji Służby Zdrowia w sposób rzeczowy. Oczywiście doszliśmy do porozumienia i nowa organizacja, dostosowana do potrzeb wojennych i życia pokojowego ujrzała światło dzienne.

Tak więc w latach 1924 i 1925 weszła w życie organizacja pokojowa, opracowana pod kątem potrzeb wojennych i rozwoju mobilizacyjnego armii do 60 dywizji piechoty i odpowiedniej ilości innych rodzajów broni, rozwoju, jak jeszcze raz podkreślam, zharmonizowanego pod względem personalnym i materiałowym. Ale niedługo trzeba było czekać, aby nastąpił pierwszy cios, który zachwiał tę harmonię między rozwojem personalnym a materiałowym, cios ze strony nieoczekiwanej i przedstawiający się na pierwszy rzut oka jako powiększenie naszego pogotowia wojennego. W latach 1924 i 1925 na naszej granicy wschodniej grasowały bandy, które przekraczały granicę polsko-sowiecką, napadały na pociągi, folwarki, miejscowości, wyciągały z pociągów pasażerów, biły ich, ograbiały itp., po czym kryły się za granicę. Wobec słabego zaludnienia oraz małej ilości organów bezpieczeństwa na tym terenie, a także wobec ukrywania się bandytów poza granicą, nie łatwo było dać sobie z nimi rady; przeto powstał projekt powołania do życia specjalnych oddziałów, szkolonych jako oddziały wojskowe, ale podległych w sprawach ochrony pogranicza i służby bezpieczeństwa Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i jego organom w terenie. Oddziały te miały być płacone z budżetu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale o ile pamiętam, broń i ekwipunek wojskowy, miały być dostarczone przez władze wojskowe. W tym projekcie od razu dostrzegłem zagrożenie naszego planu rozwoju mobilizacyjnego armii, dlatego że miały to być oddziały wojska pokojowego ponad liczbę potrzebną dla produkcji rezerw, które w rezultacie dawały hiperprodukcję wyszkolonych rezerw, z niemożnością dostarczenia im odpowiedniego sprzętu i broni. Niepotrzebny, z punktu widzenia rozwoju mobilizacyjnego wojska, wysiłek personalny kosztować miał pieniądze wyłożone na utrzymanie pokojowe tych oddziałów ponad przewidziane zapotrzebowanie organizacji pokojowej wojska, a pieniądze te powinny być wydane raczej na wyposażenie materiałowe i uzbrojenie w myśl planu rozwoju mobili-

zacyjnego armii. Jako współtwórca tego planu widziałem od razu to niebezpieczeństwo. I dlatego wysunąłem propozycję, aby nie tworzyć nowych formacji, ale do czasu zapanowania normalnych warunków na granicy wschodniej do tej służby bezpieczeństwa używać poszczególnych batalionów i szwadronów pułków, stojących w głębi kraju, po przejściu przez rekrutów podstawowego wyszkolenia wojskowego. Niestety gen. Sikorski, ówczesny minister spraw wojskowych nie przyjął tej koncepcji i zgodził się na utworzenie Korpusu Ochrony Pogranicza, który później, o ile się nie mylę, kosztował przeciętnie 50 milionów rocznie, to jest w ciągu lat dziesięciu (do r. 1935) około pół miliarda złotych, za które można było wystawić sprzętu 6-7 dywizji piechoty, względnie odpowiednią ilość innych jednostek (produkcja personalnych rezerw była niepotrzebna). Naocznie tę dysproporcję oglądaliśmy w czasie wojny 1939 r., kiedy to masy rezerwistów (na pewno grubo ponad sto tysięcy) nie mogły być wcielone do jednostek bojowych, które nie zostały wystawione z powodu braku sprzętu. Można by powiedzieć, że przecież za to płaciło ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a nie budżet wojska. Tak, ale pieniądze te szły ze wspólnego budżetu państwa, który winien być planowany według ustalonych potrzeb i ich hierarchii dla całego państwa.

I tutaj przychodzi inny, ogólniejszy aspekt tego zagadnienia. W naszej organizacji państwa, tak samo zresztą jak i gdzie indziej, brak było organu, który można by nazwać sztabem rządu. Istniał rząd, którego prezes przewodniczył na posiedzeniach Rady Ministrów, ta zaś pobierała decyzje i uchwały w sprawach ogólnopaństwowych w tej czy innej formie, biorąc za podstawę istniejące ustawy, względnie, w razie potrzeby, wysuwając projekty takich ustaw. Projekty uchwał Rady Ministrów i dyskusje przygotowywali poszczególni ministrowie, uzgadniając na niekończących się konferencjach międzyministerialnych sprawy należące do kilku resortów, Przesmak tych konferencji międzyministerialnych miałem np. przy ustalaniu tekstu rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie organizacji władz obrony przeciwlotniczej. Formalną stronę tych zarządzeń przygotowywało biuro prawne w prezydium Rady Ministrów. Było jednak ciekawe, że także pod względem prawnym istniały wielkie rozbieżności zdań między prawnikami różnych ministerstw.

Według mego zdania, dla merytorycznego rozpatrywania zagadnień dotyczących kilku resortów, lub dotyczących zagadnień ogólnopaństwowych i przygotowania decyzji elementów do decyzji rządu, oraz przygotowania zarządzeń wynikających z tych decyzji, powinien istnieć organ na wzór sztabu generalnego dla zagadnień wojskowych.

Brak takiego organu jak w ogóle brak pracy rządu nad planami na dalszą metę, brak pracy rządu nad hierarchią potrzeb, dawał mi się we znaki w związku z moją działalnością jako inspektora obrony powietrznej państwa. Gdy wysuwałem roz-

maite postulaty pod adresem ministrów w sprawie przygotowań obrony przeciwlotniczej, dotyczących zresztą ich odpowiedzialności, to przeważnie wymawiali się brakiem kredytów i chcieli bym ja bronił tego zarówno wobec Ministra Skarbu, jak i wobec premiera. Ci zaś, gdy im te sprawy przedstawiałem, skierowywali mnie z powrotem do poszczególnych ministrów, by ich przekonać o danej potrzebie: i tak w koło Macieju. Na przykład plan rozwoju mobilizacyjnego armii, po rozpatrzeniu go przez Radę Wojenną, a potem przez Radę Obrony Państwa — które to instytucje także właściwie nie istniały u nas, mimo że były bardzo potrzebne — powinien być przepracowany pod kątem widzenia ogólnopaństwowym przez taki właśnie sztab rządu, po czym zatwierdzony przez rząd. W ten sposób stałby się on organiczną częścią w życiu państwa, a nie bezpańskim tworem (po odejściu ze sztabu jego twórców), zależnym od wdzimie się poszczególnych oficerów, którzy potem byli przydzieleni do danej pracy. Organ taki powinienby rozpatrzyć celowość tworzenia Korpusu Ochrony Pogranicza uwzględniając jego wpływ na rozwój mobilizacyjny armii. Wobec trudności, na jakie natknąłem się przy przygotowaniu obrony powietrznej, zwróciłem uwagę na celowość utworzenia takiego sztabu rządu marszałkowi Śmigłemu, premierowi Składkowskiemu, ministrowi Kasprzyckiemu i szefowi Sztabu Głównego gen. Stachiewiczowi, — ale bez skutku.

Brakło także w naszym ustroju właściwych organów porady fachowej. Istniało początkowo tzw. Biuro Ścisłej Rady Wojennej, ale Rady Wojennej ani ścisłej, ani nieścisłej właściwie nie było, a ta, moim zdaniem bardzo by się przydała.

Wspomnę jeszcze o jednej inicjatywie własnej, której zrealizowanie mogłoby poprawić możliwości przeprowadzenia postulatów obrony państwa na gruncie międzyministerialnym. Na podstawie wizytacji, jaką odbyłem w r. 1924 w „Secrétariat Général de la Défense Nationale” przy prezydium Rady Ministrów francuskich w Paryżu, którego szefem był gen. Sérigny, przyszedłem do przekonania, że taki organ byłby i w naszych warunkach bardzo użyteczny czy to w ramach omawianego wyżej sztabu rządu, czy też jako samodzielny organ rządu i zaproponowałem utworzenie go u nas, zaś gen. Kessler, ówczesny szef Sztabu Generalnego, zaproponował mnie na szefa tego organu. Gen. Żeligowski, minister Spraw Wojskowych, zasadniczo odniósł się przychylnie zarówno do projektu, jak i do mojej kandydatury, ale marszałek Piłsudski, którego gen. Żeligowski radził się we wszystkich ważniejszych sprawach, odrzucił tę propozycję zasadniczo, zaś co do mojej osoby, podtrzymał swoją decyzję jeszcze z roku 1923, że mam objąć dowództwo 23. dywizji piechoty w Katowicach, którą to decyzję zakomunikował mi na towarzyskim zebraniu w kasynie Sztabu Generalnego.

Chciałbym także wspomnieć o kilku jeszcze zagadnieniach, których takie czy inne rozwiązanie mogło mieć duży wpływ na rozwój naszych sił zbrojnych.

Pierwszym takim zagadnieniem to sprawa preliminowania i wydatkowania pieniędzy państwowych. W czynnościach związanych z preliminowaniem budżetu brałem udział z ramienia Sztabu Generalnego, który opracowywał wskazówki dla departamentów broni i służb, dotyczące wyposażenia i uzbrojenia armii w czasie wojny. Na ogół sztab nie mieszał się do normalnych, pokojowych, wydatków wojska na żywienie, umundurowanie, uposażenie pieniężne itp. Nie będę tutaj opisywał skomplikowanej drogi, jaką przechodziła sprawa budżetu od układania preliminarza do wykonania go; w każdym razie muszę zauważyć, że budżet zaproponowany przez szefów departamentów różnił się od tego, jaki wysyłano do Ministerstwa Skarbu, a budżet wykonany różnił się przeważnie od tego, jaki został uchwalony przez sejm. W jednym wypadku moja osobista interwencja dotyczyła całości budżetu wojskowego. Było to w stosunku do budżetu na okres 1926-1927. Budżet przedstawiony w r. 1925 przez M.S. Wojsk. nie został przyjęty przez Ministra Skarbu, którym wówczas był, o ile się nie mylę, p. Kucharski i Ministerstwo Skarbu podało dla Ministerstwa Spraw Wojskowych sumę, o ile mnie pamięć nie myli, czterystu milionów złotych, zamiast żądanych około sześciuset milionów na wydatki tzw. vegetacyjne (wydatki na tzw. rezerwy zaopatrzenia i wyposażenie mobilizacyjne nie były ujęte tą sumą). Oczywiście wojsko w tych ramach nie mogło się zmieścić. Wówczas powstała myśl, aby specjalna komisja rozpatrzyła jeszcze raz budżet i orzekła, co można skreślić z preliminarza budżetowego, a co należy koniecznie w nim utrzymać. Ja zostałem przewodniczącym tej komisji jako zastępca Szefa Sztabu Generalnego, a gen. Wołkowicki, zastępca szefa administracji i płk. Banczer z Korpusu Kontrolerów, jej członkami. Po dwutygodniowej pracy wyszliśmy w tak zwanym zwyczajnym budżecie wojskowym szereg pozycji, które dawały razem około sto milionów złotych, które można naszym zdaniem skreślić z preliminowanych wydatków armii na rok 1926-1927 bez szkody dla gotowości bojowej armii i dla dalszego rozwoju mobilizacyjnego. Nie obyło się oczywiście bez protestów różnych szefów departamentów, ale nasza komisja uznała, że z czystym sumieniem możemy doradzać skreślenie tych pozycji bez szkody dla wojska. Sprawa była na tyle rewelacyjna, że zainteresował się nią Prezydent Rzeczypospolitej, Stanisław Wojciechowski, który jako najwyższy zwierzchnik sił zbrojnych chciał mieć pewność, czy armia nie ucierpi wskutek takich redukcji budżetu. Wezwał on mnie do siebie, przejrzał wszystkie pozycje proponowane do skreślenia, przedyskutował je ze mną i doszedł do przekonania, że mogą być skreślone bez szkody dla wojska. Gdy później byłem dowódcą 23 dywizji piechoty, nie miałem możliwości szczegółowego orientowania się w całości budżetu wojskowego, jednak z zarządzeń przychodzących mogłem wnioskować, że znaczna część wydatków bieżących wojska została zwiększona, w przeciwieństwie do proponowanej przez nas redukcji. Jeżeli po ponow-

nym przyjsciu do władzy marszałka Piłsudskiego w r. 1926 budżet wojskowy został podwyższony, to raczej należałoby się spodziewać, że większe sumy pójdą na rozwój mobilizacyjny i wyposażenie wojenne, a tymczasem zostało znacznie podwyższone uposażenie pieniężne oficerów (łącznie z tzw. dodatkami funkcyjnymi), uposażenie emerytalne, wydatki na podróże służbowe i cały szereg wydatków nie związanych bezpośrednio z przygotowaniem do wojny. Nie mogę dostarczyć tutaj ścisłych danych, sądzę jednak, że łatwo było w razie bardziej oszczędnego wydatkowania na potrzeby bieżące oszczędzić około 50 milionów rocznie, co z sumą 50 milionów złotych na Korpus Ochrony Pogranicza dawałoby roczną oszczędność około stu milionów, co w ciągu dziesięciu lat stanowiłoby poważną sumę jednego miliarda złotych, która niewątpliwie podwyższyłaby znacznie liczbę mobilizowanych w r. 1939 wielkich jednostek i technicznych broni. Ale w tym celu musiał być zrobiony wysiłek na daleką metę, zaś sprawa budżetowania i tworzenia takich jednostek, jak Korpus Ochrony Pogranicza, były rozpatrywane pod kątem widzenia doraźnych potrzeb i tworzenia wygodnego życia dla wojska, ze szczególnym uwzględnieniem korpusu oficerskiego. Trudno mi dzisiaj sądzić, ile by to mogło dać mobilizacyjnie nowych wielkich jednostek i jednostek broni technicznych, ale chyba nie odbiegne bardzo od realnych możliwości, jeżeli postawię hipotezę, że do r. 1939 moglibyśmy wystawić 60 dywizji piechoty, przewidzianych w omówionym wyżej planie rozwoju mobilizacyjnym armii.

Omówię jeszcze inne zagadnienie, mające związek z przygotowaniem obrony, a mianowicie sprawę budowy fortyfikacji, jako środka ułatwiającego prowadzenie wojny obronnej. Z zagadnieniem tym spotkałem się, będąc dowódcą 23. dywizji na Śląsku. Na budowę ciągłych fortyfikacji stałych nie było nas oczywiście stać. Nie byliśmy w możności budować czegoś w rodzaju linii Maginota we Francji, zresztą budowa ciągłych linii fortyfikacji nie była celowa. Gdy objąłem dowództwo dywizji i odpowiedzialność za odcinek osłonowy — zapoznałem się z sytuacją, jak również z wypracowanym poprzednio projektem fortyfikacji na Śląsku. Projekt ten obejmował ciągłe linie fortyfikacji ugrupowane w głąb, których budowa ze względu na przemysłowy charakter terenu byłaby bardzo utrudniona, jeżeli nie niemożliwa do wykonania; poza tym koszt samej budowy (nie licząc kosztów wykupu gruntów i odszkodowań) obliczano w przybliżeniu na 200 milionów złotych. Projekt był więc nierealny. Gdy bliżej rozejrzałem się w terenie i w warunkach prowadzenia osłony przez pierwsze dni mobilizacji, wybrałem kilka punktów, które miały być utrzymane od pierwszej chwili zagrożenia, gdyż dawały łatwy dostęp dla ataku niemieckiego i zagrożenia reszty pozycji. Początkowo wybrałem trzy takie punkty; wzgórze 305 naprzeciw Bytomia, szczyb Artura w rejonie Kochłowic i rejon nad Brynicą koło Bobrownik. Zapropnowałem wybudowanie fortyfikacji stałych w tych trzech

punktach, jako węzłowych pozycji osłonowej dywizji, która miała przeszkodzić wdarciu się sił niemieckich w rejon przemysłowy bezpośrednio po rozpoczęciu działań wojennych. Gen. Berbecki, inspektor armii, którego inspekcji podlegała 23 dywizja i jej oddziały osłonowe, poparł ten projekt i zatwierdził go. Na rozpoczęcie robót otrzymaliśmy od szefa sztabu, gen. Gąsiorowskiego, sumę, o ile pamiętam, 200 tysięcy złotych, przeznaczoną w budżecie na studia fortyfikacyjne. Było to, o ile mnie pamięć nie myli, w r. 1933. Nie wiem do dzisiaj, czy stało się to za wiedzą marszałka Piłsudskiego, czy bez jego wiedzy, Projekty techniczne przygotował najpierw płk. K. Możdżeń, a potem mjr. Jan Wańkowicz, bardzo inteligentny i zapobiegliwy oficer saperów. W rozwiązaniu taktycznym rozmieszczenia elementów różnych broni dopomógł mi przede wszystkim płk. dypl. Jan Sadowski, mój zastępca i następca na stanowisku dowódcy dywizji. Pierwszy obiekt naprzeciw Bytomia miał kosztować (bez pomieszczeń koszarowych dla kompanii ciężkich karabinów maszynowych, która miała stanowić stałą załogę tego punktu) 800 tysięcy zł. a razem z koszarami i dodatkowymi wydatkami około jednego miliona. Dwa inne punkty, o ile sobie przypominam, miały według pierwszego projektu kosztować po półtora miliona. Po moim odejściu z dywizji rozszerzono znacznie ramy fortyfikacji na Śląsku. Dlaczego piszę o tym tak obszernie? Otóż moim zdaniem w r. 1939 sytuacja naszych wojsk i ich walka obronna byłyby znacznie ułatwione, gdybyśmy na naszym froncie obronnym, odpowiednio wybranych, mieli szereg takich rejonów ufortyfikowanych. O ile wiem, kilka takich rejonów zaczęto fortyfikować, ale robót na czas nie ukończono. Natomiast dużo pieniędzy wyłożono na fortyfikacje na Polesiu, które w wytworzonej sytuacji nie były wcale potrzebne. Gdyby na zachodnim froncie osłonowym odpowiednio wybranych, rozpoczęto roboty fortyfikacyjne w latach około 1933 roku, a więc w tym samym czasie co na Śląsku, to sądzę, że za około sto milionów złotych (a więc tych sto milionów oszczędności na wydatkach vegetacyjnych wojska w jednym roku), można by było wzmocnić siłę odporną naszej armii, a zarazem — przy zwiększeniu ilości wielkich jednostek i zastąpieniu niepotrzebnych już wówczas niektórych jednostek kawalerii przez użyteczniejsze oddziały broni technicznych zmienić naszą sytuację strategiczną, zachwianą z powodu zbrojeń niemieckich. Ale na to trzeba było pracować ciągle i wytrwale bez osłabiania tego wysiłku w latach od 1926-1935 roku. Rozpoczęcie na nowo tego wysiłku po roku 1935, przy braku planów wojny obronnej z Niemcami — było w zasadzie terminem spóźnionym. Po roku 1935 Polskę uratować mogła już nie samodzielnie i w odosobnieniu walcząca armia polska, a dobra polityka zagraniczna, z czego kierownictwo państwa powinno było sobie zdawać sprawę. Nie mam danych na to, aby z całą stanowczością stwierdzić, że sytuacja dawała po temu możliwości, wydaje mi się jednak, że stanięcie obok Czechosłowacji w roku 1938, mo-

głoby uratować sytuację. Dopiero później dowiedzieliśmy się (przynaję się ze wstydem), że Czechosłowacja o ludności znacznie mniejszej, niż Polska, zmobilizowała armię większą od naszej (podobno 45 dywizji piechoty przy większej ilości lotnictwa, broni pancernej i artylerii ciężkiej), co razem z naszą armią nie pozwoliłoby Hitlerowi i Niemcom na łatwe sukcesy i bicie przeciwników częściami. W sytuacji z roku 1938 prawdopodobnie nie byłoby także możliwe dojsię do skutku traktatu Hitler-Stalin, zawartego w zupełnie odmiennej sytuacji, w sierpniu 1939 r.

Przygotowanie lotnictwa do wojny

Jak wyglądała sprawa naszego lotnictwa? Trzeba z góry zaznaczyć, że, jeżeli co do użycia jednostek naziemnych ustalono sobie pewne pojęcia i zasady walki i stworzono odpowiednie regulaminy i instrukcje (nie rozpatruję tutaj zagadnienia, czy były one oparte na słusznych podstawach), to nie bardzo zdawało sobie sprawę z tego, czego możemy wymagać od lotnictwa. W każdym razie ograniczano jego zakres działania do roli taktycznego wsparcia wojsk naziemnych, a nie myślano o działaniu lotnictwa poza obrębem pola bitwy (lotnictwo bombowe), lub o obronnym działaniu lotnictwa przed atakami bombardującego lotnictwa nieprzyjacielskiego na obiekty wewnątrz kraju (lotnictwo myśliwskie względnie bombowe w akcji na bazy lotnictwa nieprzyjacielskie). W grach wojennych, w których niejednokrotnie występowałem jako dowódca grupy operacyjnej lub armii, nieraz używaliśmy lotnictwa bombowego dla atakowania lotnisk i linii komunikacyjnych przeciwnika, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, czy w rzeczywistych warunkach będziemy mieli odpowiednią ilość jednostek lotnictwa do rozporządzenia. Nie była także ustalona w tym czasie żadna doktryna lotnictwa ani nie było, o ile sobie przypominam, regulaminu użycia lotnictwa, poza ogólnymi wskazówkami zawartymi w ogólnej instrukcji walki. Moje wiadomości o lotnictwie czerpałem z tego, czego nauczyłem się w Wyższej Szkole Wojennej w Paryżu, na kursie taktycznym artylerii w Metz i na kursie wyższych dowódców w Wersalu, w r. 1924 a potem na kursie wyższych dowódców w Warszawie w r. 1929-1930, którego to kursu byłem kometantem.

Gdy objąłem stanowisko Inspektora Obrony Powietrznej państwa po gen. Dreszerze, zacząłem się orientować w sprawach lotnictwa, ale przede wszystkim z punktu widzenia skuteczności działania przy bombardowaniu, oraz możliwości udziału lotnictwa w obronie przeciwlotniczej. Nad taktycznym czy strategicznym działaniem lotnictwa na razie nie zastanawiałem się. Niewielkie jednak mogłem poczynić postępy w tym względzie do czasu, gdy w październiku, o ile się nie mylę, zostało zwołane posiedzenie K.S.U.S.'u (Komitetu dla spraw uzbrojenia i sprzę-

tu) w sprawach lotnictwa. Komitet ten, który obradował pod przewodnictwem gen. Sosnkowskiego, był instytucją stałą, a wobec braku u nas takich organów jak Rada Wojenna, czy Rada Obrony Państwa, jedyną instytucją nie tylko doradcą w zakresie sprzętu, lecz także w zakresie organizacji armii. Jej uchwały musiały być zatwierdzone przez Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych; wprowadzenie uchwał w życie zależało oczywiście od możliwości sprzętowych i budżetowych, a więc jeszcze od decyzji Sztabu Głównego i Ministra Spraw Wojskowych.

Otrzymałem od gen. Sosnkowskiego referat Sztabu Głównego w sprawie rozbudowy lotnictwa z prośbą o ewentualny koreferat w tej sprawie. Uderzył mnie od razu fakt, że referat był opracowany przez płk. dypl. Sadowskiego, mego następcę na stanowisku dowódcy 23 dywizji, a więc oficera piechoty, a tylko koreferat sprzętowy przez dowództwo lotnictwa. Referat opierał się na stwierdzeniu, że wszędzie na świecie rozwija się lotnictwo bombowe, a zatem i my musimy rozwinąć lotnictwo bombowe, którego nam brakowało. Wydawało mi się, że rozumowanie to nie było słuszne, gdyż jeżeli rozwijali lotnictwo bombowe ewentualni nasi przeciwnicy, to my w pierwszej linii powinniśmy rozwijać obronę przeciw niemu, a jeżeli nasi sprzymierzeńcy, to my tego robić nie musimy, mogąc oprzeć się pod tym względem na sprzymierzeńcach, którzy rozporządzają większymi środkami. Druga rzecz, która mnie uderzyła, to fakt, że proponowaną ilość lotnictwa oparto, między innymi, na kalkulacji środków potrzebnych do przeprowadzenia rozpracowanej wyprawy bombowej na lotnictwa i urzędzenia wojskowe w Prusach Wschodnich. Na tym przykładzie też uzasadniano potrzebę posiadania 21 eskadr bombowych i 8 eskadr pościgowych, będących osłoną tej wyprawy bombowej. O ile sobie przypominam, gen. Rayski na posiedzeniach dotyczących rozbudowy lotnictwa, referował sprawę rozbudowy personalnej i sprzętowej, nie dyskutując sprawy użycia taktycznego i ilości potrzebnych jednostek. Ja ze swej strony przyszedłem na to posiedzenie z nastawieniem wciągnięcia lotnictwa do obrony przeciwlotniczej kraju także poza jednostkami wojska i spowodowałem odpowiednie zmiany w projekcie uchwał komitetu, jak również pewne powiększenie ilości eskadr lotnictwa pościgowego (osiągnąłem powiększenie z 8 na 10 eskadr. w uchwale Komitetu). W ciągu dwu miesięcy mego funkcjonowania jako Inspektor Obrony Powietrznej Państwa, nie miałem oczywiście czasu na zaznajomienie się ze sprawami lotnictwa, które zresztą nie były w mojej kompetencji i dlatego na to posiedzenie komitetu nie przyszedłem z jakąś konkretną, ustaloną opinią na temat rozwoju całości lotnictwa, którą to opinię wyrobiłem sobie dopiero w ciągu następnego roku.

W naszej sytuacji zagadnienie, jak wielkie ma być nasze lotnictwo i jakiego rodzaju było trudne do sformułowania, a naturalnie jeszcze bardziej trudna do zrealizowania była jakaś większa, na szerszą skalę planowana jego rozbudowa. W Inspek-

toracie zastanawialiśmy się nad tym zagadnieniem i mogę powiedzieć że prowadziliśmy studia na ten temat. W tym czasie duży rozgłos zyskała sobie tzw. teoria Douheta, generała włoskiego, która głosiła, że wystarczy mieć silne lotnictwo ciężkiego bombardowania, które potrafi zaraz po rozpoczęciu wojny lub jeszcze przedtem zniszczyć źródła siły przeciwnika, a więc jego ośrodki mobilizacyjne, przemysł, lotnictwo, komunikacje itp. Zastanawiano się wtedy, ile lotnictwa byłoby potrzeba do tego celu. Liczby, które podawał sam Douhet, były o wiele niższe niż te, jakich w rezultacie użyli alianci do bombardowania Niemiec. Pamiętam rozmowy, jakie na ten temat prowadziłem z różnymi lotnikami. Miałem ciekawą rozmowę z płk. Abzółtowskim, znanym pisarzem lotniczym, który gorąco propagował rozwój lotnictwa bombowego w myśl teorii Douheta. Ale, gdy zapytałem go, w jaki sposób ta teoria może być zastosowana u nas, w Polsce, w naszych skromnych warunkach, nie mógł mi dać jasnej odpowiedzi; powiedział tylko w końcu, że powinniśmy wystawić tyle eskadr bombowych, na ile nas tylko będzie stać. Ale to przecież nie rozwiązywało sprawy, bo stać nas było tylko na taką ilość, przy której teoria Douheta, jako dążenie do masowego zniszczenia źródeł siły przeciwnika w momencie wybuchu wojny, w ogóle traciła wszelki sens. Ja, nie mając zaufania do możliwości zrealizowania warunków i założeń teorii Douheta, przynajmniej dla nas, podchodziłem do tego zagadnienia z innej strony. Przede wszystkim zanalizowaliśmy sobie zagrożenie lotnicze nasze i sąsiadów. Niemcy mieli przemysł i lotnictwo silnie rozbudowane. Rosja przemysł rozłożony szeroko na terytorium, którego znaczne obszary były dla nas kompletnie nieosiągalne; nasz kraj zaś z punktu widzenia zagrożenia lotniczego był fatalnie położony, przemysł bardzo słaby i wrażliwy na bombardowanie lotnicze. Wniosek mój z tej sytuacji był taki, że aby w danych warunkach, zadać Niemcom czy Rosji takie same szkody, jakie oni mogli nam wyrządzić, musielibyśmy mieć lotnictwo bombowe przynajmniej dwa razy tak silne, jak oni. To znaczy, jeżeli oni mieli tysiąc bombowców, to my powinniśmy mieć ich dwa tysiące. To proste rozumowanie i ówczesny rozwój lotnictwa niemieckiego, a także rosyjskiego sprawiała, że szukanie równowagi czy tylko możliwości przeciwstawienia się Niemcom na drodze rozwoju lotnictwa bombowego należało uważać za rzecz nierealną i beznadziejną. Doszedłem więc do przekonania, że wszelkie tworzenie bombowego lotnictwa strategicznego jest niepotrzebnym marnowaniem wysiłków i pieniędzy. Wyobrażałem sobie, że naturalną rzeczą będzie to, że Francja przyjdzie nam z pomocą swoim lotnictwem bombowym; uważałem Francję za potęgę lotniczą. Złudzenia te rozwiała moja podróż w 1938 roku, kiedy to poufnie dowiedziałem się, że Francja miała wówczas 32, dosłownie trzydzieści dwa bombowce nowoczesne na wyposażeniu jednostek; oczywiście trudno mi było sprawdzić tę wiadomość. Ta wiadomość obalała przynajmniej na razie nasze

rachuby na pomoc lotnictwa bombowego sprzymierzonych. W Anglii, w czasie mego pobytu, dowiedziałem się, że Wielka Brytania kładzie na razie główny nacisk na rozbudowę lotnictwa myśliwskiego i obrony przeciwlotniczej, a że lotnictwo bombowe ma słabe i na drugim planie rozwoju.

Moje rozumowanie na temat lotnictwa bombowego zgadzało się i pokrywało z myślami dotyczącymi obrony przeciwlotniczej. Jeżeli nie było mowy o obronie przeciwlotniczej na drodze zwalczania lotnictwa nieprzyjacielskiego przez bombardowanie baz lotniczych, to jednak lotnictwo mogło prowadzić walkę z lotnictwem nieprzyjacielskim nad własnym terytorium. Skierowanie wysiłku na lotnictwo myśliwskie i pościgowe rokowało pewne nadzieje choćby z tego powodu, że było ono znacznie tańsze (o ile sobie przypominam koszt budowy samolotu myśliwskiego był trzykrotnie a co najmniej dwukrotnie tańszy niż samolotu bombowego), wymagało mniej personelu, ale za to pilotów młodych i dzielnych, jakich zresztą nam nie brakowało. Koncepcja rozwoju lotnictwa myśliwskiego napotykała na sprzeciw, a raczej krytykę ze strony różnych oficerów, między innymi płk. dypl. Romeyki z mojego sztabu. Krytyka ta polegała na pewnych cechach technicznych naszych aparatów. Mianowicie Romeyko twierdził między innymi, że aparaty myśliwskie, które mogą mieć szanse przewagi nad samolotami nieprzyjacielskimi, muszą mieć znaczną nad nimi przewagę techniczną, a więc przewagę szybkości, przewagę zwrotności, przewagę w uzyskiwaniu wysokości itp. Romeyko dowodził, że nie ma widoków na to, aby nasze aparaty myśliwskie osiągnęły taką przewagę nad aparatami niemieckimi, gdyż zarówno ich bombowce, jak i myśliwce będące już na wyposażeniu wykazywały znaczną przewagę nad naszymi samolotami. Były to oczywiście względy poważne. Tym niemniej miałem nadzieję, że będziemy wnet mieli taki samolot myśliwski, który przy dobrze funkcjonującej sieci dozoru i alarmowania będzie miał szanse powodzenia w walce ze względnie szybkimi aparatami niemieckimi, a tym bardziej z powolniejszymi samolotami sowieckimi. Co do sposobów działania lotnictwa myśliwskiego prowadzono studia w 1-szym pułku lotniczym pod kierownictwem płk. Pawlikowskiego i kpt. dypl. Wyrwickiego, obu entuzjastów lotnictwa myśliwskiego. Brałem udział w tych ćwiczeniach i dałem się im przekonać, że przy odpowiednim naszym wysiłku w tym kierunku, przy zorganizowaniu dobrej sieci dozoru i alarmowania, nawet nasze lotnictwo myśliwskie ma pewne szanse powodzenia; oczywiście jego techniczne wartości muszą być o ile możliwości poprawione, lub też trzeba myśleć o innych typach. W tym kierunku nastawiałem szkolenie i studia nad działaniem lotnictwa myśliwskiego. Uwzględniałem to w grach wojennych i ćwiczeniach z oddziałami. Zaprojektowaliśmy z tą myślą organizację oddziałów dozoru i alarmowania opartą o użycie radia, których to oddziałów dotychczas w organizacji armii nie było. Do wybuchu wojny tylko jedna taka kompania mogła być w pełni

zorganizowana, a to ze względu na brak sprzętu. Kompania ta wzięła udział w obronie Warszawy.

Druga kompania była w trakcie organizacji. Doświadczenia z ćwiczeń, zarówno kadry, jak szkieletowych jak też z oddziałami, wskazywały na dość dobre widoki działania naszego lotnictwa myśliwskiego przy dobrym funkcjonowaniu aparatu dozoru i alarmowania. Trzeba już tutaj stwierdzić, że warunki te pogarszały się znacznie i nie dawały możliwości dobrych skutków z chwilą, gdy nasze oddziały ziemne zostały odparte na odległość mniejszą niż sto kilometrów od miejsc postoju lotnictwa myśliwskiego i obiektów do obrony. Tak np. warunki obrony myśliwskiej Warszawy od strony północy stawały się bardzo trudne, zaś obrona prawie niemożliwa, gdyby nasze oddziały, walczące na północ od Warszawy, odepchnięte były od granicy Prus Wschodnich choćby na kilkanaście kilometrów. Planowe działanie lotnictwa myśliwskiego bez oparcia o sieć dozoru i alarmowania nie rokowało żadnych nadziei na skuteczność, z czego zdawaliśmy sobie dobrze sprawę. O tym mieliśmy się namacalnie przekonać, gdy w czasie afery czeskiej lotnictwo sowieckie urządzało przeloty nad naszą granicą południową, a czemu nie mogły zapobiec patrole myśliwskie rozlokowane na granicy w południowo-wschodniej części kraju, a potem, gdy nad naszą granicą zachodnią odbywały się loty rozpoznawcze niemieckie i gdy wbrew moim wnioskom rozlokowano tam na zasadkach patrole myśliwskie, które wskutek nie odpowiednich warunków alarmowania nie mogły wykazać sprawności i wskutek tego częściowo poderwały zaufanie w skuteczność naszych działań myśliwskich.

Sprawami działań lotniczych we współdziałaniu z wojskami ziemnymi zajmowałem się będąc dowódcą dywizji i rozporządzając zwykle jedną eskadrą w czasie tzw. koncentracji dywizji. Ponieważ jednak eskadry przydzielone składały się z aparatów przestarzałych R 13, więc ta współpraca ograniczała się do zadań rozpoznania na bliskim przedpolu, zadań kierowania ogniem artylerii i zadań łącznikowych. Na ćwiczeniach międzydywizyjnych mieliśmy czasem do rozporządzenia eskadry lekkiego bombardowania i myśliwskie, ale nimi dysponowali dowódcy wyższych związków jak grupy operacyjne (dowództwa armii funkcjonowały tylko na grach wojennych). Jako Inspektor Obrony Powietrznej Państwa i generał inspekcjonujący pewne jednostki lotnictwa nie zajmowałem się już tym współdziałaniem lotnictwa z oddziałami na ziemi z wyjątkiem udziału ich w ćwiczeniach międzydywizyjnych np. na manewrach pomorskich, w których też brałem udział.

Innym zagadnieniem był sposób bombardowania. Łączyło się to z jednej strony z pytaniem, co grozi ewentualnie naszym liniom kolejowym od bombardowania nieprzyjacielskiego, i jak w związku z tym zagrożeniem bronić się przeciw jego skutkom, a z drugiej strony, jakich ewentualnie sposobów bombardowania używać, aby przy najmniejszym zużyciu środków osiągnąć moż-

liwie największe skutki. Studia niemieckiej instrukcji walki lotnictwa wskazywały, że Niemcy przykładają wielką wagę do bombardowania z lotu nurkowego (Stukas'y), oraz do bombardowania z lotu koszącego, tj. z lotu na najniższym możliwie pułapie, a to ze względu na trudności w zwalczaniu tak lecącego samolotu. Studia nad tymi zagadnieniami trzeba było zainaugurować. Inicjatywa wyszła z Inspektoratu Obrony Powietrznej. Rozpoczęto próby zakrojone na większą skalę na poligonie w Brześciu nad Bugiem, gdzie bombardowano pozorowaną stację początkowo bombami ćwiczebnymi, a później także ostrymi, a jesienią 1937 r. bombardowano rzeczywistą stację Małaczewo na linii Brześć — Chełm. Od tego czasu szedł planowy wysiłek nad doświadczeniami bombardowania i szkolenia w tym zakresie coraz to nowych jednostek lotniczych, zaczynając od 1-go warszawskiego pułku, który zarówno w dziedzinie lotnictwa myśliwskiego, jak i bombardującego był niejako pionierem. W studiach nad bombardowaniem pomagali wydatnie oficerowie lotnictwa, płk. Heller i ppłk. Bokalski.

Pierwsze wyniki bombardowań były raczej negatywne. Stacja zbombardowana dosyć silnie (około stu bomb stukilogramowych) nie została poważnie uszkodzona i przy dobrej organizacji naprawy mogła funkcjonować po krótkim czasie. Ćwiczenia bombardowania były połączone z ćwiczeniami odbudowy, zorganizowanymi przez saperów, Ministerstwo Komunikacji i przez Szefostwo Komunikacji Sztabu Głównego. To współdziałanie wszystkich tych władz i instytucji z lotnictwem i obroną przeciwlotniczą dało dobre rezultaty i dużo doświadczenia. Po szeregu ćwiczeń stwierdziliśmy między innymi, że celność bombardowania z lotu nurkowego jest o wiele większa, niż bombardowania z lotu poziomego nawet z dogodnej wysokości (800-1000 m.). Do bombardowania nurkowego bomby były tylko małokalibrowe (12 kg.), a nasze myśliwskie samoloty nie były w stanie zrzucić bomb większego kalibru. Uszkodzenia na samej stacji dały się szybko usunąć tak, że ruch mógł być szybko przywrócony przez objazdy, natomiast dziura zrobiona w torze poza stacją dawała duże opóźnienie, gdyż musiała być naprawiona solidnie, a przy niewyszkolonym jeszcze personelu trzeba było kilkunastu godzin na przywrócenie ruchu. Było to potwierdzenie tezy, że nie jest zbyt niebezpieczne dla ruchu kolejowego bombardowanie stacji i węzłów dobrze rozbudowanych, natomiast bardziej niebezpieczne i bardziej ekonomiczne jest bombardowanie szlaków. Osiąga się bowiem dobry skutek przy małym zużyciu lotnictwa i amunicji. Później rozszerzono badania na skutki bombardowania mostów kolejowych. Tu potrzebne były najdłuższe okresy czasu do odbudowy, a więc było to bardziej niebezpieczne dla komunikacji; z drugiej strony poważne uszkodzenie mostów było trudne do osiągnięcia przez małe jednostki lotnictwa.

W listopadzie czy grudniu 1937 r. odbyła się w Warszawie pierwsza tego rodzaju gra wojenna lotnicza i przeciwlotnicza

przygotowana przez sztab Inspektoratu i kierowana przeze mnie. Dotyczyła ona zasadniczego problemu bombardowania operacyjnych transportów kolejowych z jednej strony, a z drugiej strony obrony tych transportów. Przyjąłem, o ile sobie przypominam, istnienie trzech brygad bombowych w Prusach Wschodnich, Prusach Zachodnich i na Śląsku, które miały za zadanie zahamowanie ruchu transportów kolejowych wojska z rejonu Śląska, Siedlec i Białegostoku do rejonu Włocławka, gdzie wytworzyła się luka w związku z uderzeniem niemieckim od północnego wschodu i zachodu. Dla obrony tych transportów zorganizowana została z jednej strony obrona przeciwlotnicza elementów stałych linii kolejowych, a więc odpowiednich węzłów kolejowych, wśród których Warszawa grała oczywiście główną rolę, oraz najważniejszych odcinków linii kolejowych, a w szczególności mostów kolejowych oraz rejonów wyładowniczych. Ilości użytych środków czynnych z ziemi nie mogę sobie przypomnieć, w każdym razie była ona stosunkowo niewielka, odpowiadająca naszym możliwościom w ciągu najbliższych kilku lat. Jednostki transportowane były wyposażone w oddziały artylerii przeciwlotniczej według przewidzianych etatów. Dla obrony węzła warszawskiego, poza pewną ilością artylerii przeciwlotniczej przewidziano brygadę myśliwską w składzie dwu dywizjonów. Poza tym w grze wojennej brała udział sieć dozoru, reprezentowana przez główną zbiornicę dozoru, oraz aparaty telefoniczne, przedstawiające posterunki dozoru, które nadawały meldunki dozoru, przygotowane na podstawie przebiegu akcji. Kierownictwo grą było bardzo utrudnione z jednej strony z powodu nowości i braku doświadczenia w tego rodzaju ćwiczeniach, a z drugiej strony, ponieważ dla wprowadzenia większej ilości rozwiązań do dyskusji strona atakująca miała dwie obsady: jedną z pułk. dypl. Ujejskim, jako dowódcą, oraz dowódcami pułków lotniczych, jako dowódcami brygad bombowych, a drugą obsadę ze słuchaczy Wyższej Szkoły Lotniczej z płk. dypl. Kuźmińskim, komendantem Szkoły, jako dowódcą całości lotnictwa bombowego. Ze strony obrony, brygadą myśliwską dowodził płk. Pawlikowski, a dublował go mjr. Pamuła, dowódca dywizjonu myśliwskiego, w danej chwili na kursie w Wyższej Szkole Lotniczej. Poza tym brała udział w grze cała ekipa komunikacyjna z płk. dypl. Szychowskim na czele, mająca za zadanie określanie zniszczeń, dokonanych przez bombardowanie oraz czasu i środków potrzebnych na ich likwidację.

Gra wojenna dała pod wielu względami niezmiernie ważne stwierdzenia i ciekawe dyskusje problemów zarówno odnośnie bombardowania lotniczego, jak działania myśliwców, służby dozoru, użycia środków czynnych z ziemi, jak wreszcie dała pierwsze elementy dla ujęcia zagadnienia odbudowy zniszczonych, względnie uszkodzonych, elementów sieci kolejowej. Doświadczenia te i problemy zostały ujęte zaraz w przygotowanym źródłowo omówieniu ćwiczenia, jak też w szczegółowym

sprawozdaniu, które nie tylko ustaliło wyniki gry wojennej, lecz także zewidencjonowało problemy, które trzeba było jeszcze gruntowniej przepracować, a dla których gra wojenna była tylko punktem wyjścia.

We wrześniu 1938 r. kierowałem ćwiczeniem lotniczym i przeciwlotniczym z oddziałami, którego cel był ten sam, co omówionej wyżej gry wojennej, a którego tematem był także atak lotniczy na komunikacje w czasie transportów operacyjnych oraz ich obrona zarówno z ziemi jak i z powietrza. Brało w nim udział 180-200 aparatów lotniczych. Ćwiczenie to po raz pierwszy zorganizowane w Polsce na taką skalę, dało możliwość ponownego przestudiowania zagadnień zarówno z dziedziny dowodzenia, jak i taktycznego użycia lotnictwa i obrony przeciwlotniczej. Współdziałanie ze służbą dozoru i obrony czynną i bierną obroną przeciwlotniczą Kowla i Brześcia nad Bugiem dało znowu wiele doświadczeń we wszystkich dziedzinach: lotniczej, obrony przeciwlotniczej czynnej i biernej, oraz odbudowy komunikacji, i dozoru przeciwlotniczego i łączności. Na podstawie tego ćwiczenia można powiedzieć, że ustaliliśmy sobie doktrynę działania we wszystkich tych zakresach, tym bardziej, że były one poprzedzone grą wojenną, szczegółowymi studiami i wieloma ćwiczeniami mniejszych jednostek łącznie z ostrym strzelaniem lotnictwa myśliwskiego i artylerii przeciwlotniczej, oraz ostrymi bombardowaniami.

Po otrzymaniu, w czerwcu 1937 r., oficjalnego tytułu do zajmowania się sprawami lotniczymi jako inspektor instytucji centralnych i połowy jednostek liniowych lotnictwa, nie ograniczyłem się do inspekcji tych jednostek, udziału w ćwiczeniach i kierowania większymi ćwiczeniami, lecz po nawiązaniu kontaktu z gen. Rayskim i gen. de Beaurain, zacząłem także zapoznawać się z wytwórniami przemysłu lotniczego i zagadnieniami produkcji i prototypów. Pamiętam, jednego dnia, w lipcu, zwiedzałem wytwórnę płatowców P.Z.L. (Polskie Zakłady Lotnicze), na Okęciu. Spotkałem się tam z gen. Rayskim. Zobaczyłem wówczas obok fabryki pięknie uszeregowane i pomalowane na czerwono aparaty myśliwskie w liczbie kilkunastu. Były to tzw. P.24, ulepszony typ naszych P.11. Gen. Rayski objaśnił mi, że są to aparaty przeznaczone dla Turcji, że mają one silniki francuskie Gnôme-Rhône i rozwijają maksymalną szybkość 416 klm/godz., a więc przewyższają pod względem szybkości nasze P.11 o około 50 km. Już wtedy rzuciło mi się w oczy, że lepsze aparaty wywozimy z kraju, a sami pozostawiamy sobie gorsze. Wówczas to gen. Rayski powiedział mi, że wytwórnia nie mając zamówień krajowych, musi przyjmować zamówienia obce. Poza tym, że silniki były zakupione przez Turcję we Francji. Wtedy była omawiana także sprawa „Karasi”, które na ogół wszyscy dowódcy krytykowali; nie były one jeszcze wtedy wprowadzone we wszystkich jednostkach, w każdym razie w wytwórni P.Z.L. była to jedyna seryjna produkcja sprzętu dla własnych oddziałów. O produk-

cji samolotów myśliwskich wówczas jeszcze nie było mowy, a jedynie był w pracy pierwszy prototyp dwusilnikowej maszyny pościgowej, przewidziany uchwałą K.S.S.U.'u; był to późniejszy „Wilki”, który zresztą zupełnie się nie udał.

Jakkolwiek w dalszym ciągu interesowałem się tym, co się dzieje w dziedzinie konstrukcji i fabrykacji samolotów, to jednak nie byłem w możności zgłębić arkanów tej skomplikowanej dziedziny, za którą nie byłem odpowiedzialny, a to choćby z tego powodu, że miałem tyle innych spraw na głowie.

Zagadnienie oszczędności w szkoleniu

Zdając sobie sprawę z konieczności, w naszych polskich warunkach, bardzo oszczędnego gospodarowania zarówno w dziedzinie finansowej, jak materiałowej i personalnej, przy każdej okazji badałem, czy nie uda się czegoś zaoszczędzić. W czasie mojej służby jako dowódca 23 dyw. piech. prowadziłem między innymi studia na temat organizacji szkolenia i możliwości zastosowania w tej dziedzinie ekonomii. Studia były prowadzone we wszystkich jednostkach; specjalną eksperymentalną jednostką była dla mnie 8 kompania 73 pułku piechoty pod dowództwem por. Szczerbińskiego. Badania wykazały, że nie ma oddziału, w którym by nie było marnotrawstwa czasu i wysiłków. W dobrych pod względem organizacji wyszkolenia pododdziałach to marnotrawstwo dochodziło do 25 %, w kiepskich — nierzadko do 80 % i więcej. Jednym ze źródeł braku ekonomii było przede wszystkim uczenie rzeczy niepotrzebnych lub w sposób niewłaściwy. Tendencją naszą nie tylko zresztą w wojsku, lecz także w szkołach cywilnych było przeciążanie programów przedmiotami natury teoretycznej, niepotrzebnymi w danej dziedzinie wyszkolenia, lub też prowadzenie nauki na wyższym poziomie, niż to jest potrzebne dla danej kategorii uczących się. Innym źródłem marnotrawstwa było używanie niewłaściwych metod nauczania. Bardzo wielkim źródłem straty czasu była wadliwa organizacja grup względnie podgrup wyszkoleniowych. Nie mam zamiaru tutaj rozwijać moich poglądów na te sprawy, jak również podawać wyników. Wyniki te i poglądy opublikowałem w „Przeglądzie Piechoty”, a także w specjalnym opracowaniu wydanym przez Sztab Główny.

Gdy zetknąłem się ze sprawami lotnictwa, ten względem oszczędności wydatków i na racjonalny ich rozdział był tym bardziej wskazany, że jak się zorientowałem, budżet lotnictwa był bardzo mały, a widoki wydatnego jego podwyższenia nie bardzo obiecujące. Nie orientowałem się oczywiście w cenach i wydatkach potrzebnych na produkcję, czy zakup sprzętu i w proporcji, jaką te wydatki zajmują w budżecie lotnictwa. To nie należało do moich normalnych obowiązków jako Inspektora jednostek lotniczych; poza tym sądziłem, że sprawa produkcji i zakupów jest w bardzo dobrych rękach gen. Rayskiego, który

tym zagadnieniom głównie się poświęcał. Natomiast interesowała mnie organizacja pracy przy wyszkoleniu; myślałem bowiem, że przy zastosowaniu oszczędności w tej dziedzinie można będzie więcej wydawać właśnie na produkcję i zakup sprzętu, którego przy danym budżecie tak było mało. Dlatego od pierwszych inspekcji w oddziałach, a przede wszystkim w Centrum Wyszkolenia Lotnictwa w Dęblinie, zwracałem uwagę na to zagadnienie. Oczywiście nie wyciągałem zbyt pochopnych wniosków i dzieliłem się moimi spostrzeżeniami z oficerami lotnictwa przydzielonymi do mego sztabu, wzgl. z innymi lotnikami, także z dowództwa lotnictwa, jak z gen. de Beaurain i innymi i pytałem ich o zdanie.

W dziedzinie podstawowego szkolenia oficerów w trakcie inspekcji w ciągu lat 1937 i 1938 r. doszedłem do następujących wniosków. Czas trwania Szkoły Podchorążych zawodowych może być skrócony z trzech lat do dwu lat. Oparłem to na następujących obserwacjach. Pewną ilość przedmiotów należało, moim zdaniem, wyeliminować z programu szkolenia jako przedmioty teoretyczne, nieprzydatne oficerom liniowym. Do takich przedmiotów zaliczałem rachunek różniczkowy, który wykładano na kursie podchorążych zawodowych. Ponieważ sam studiowałem wyższą matematykę, przeto wiedziałem, że aby umieć praktycznie operować rachunkiem różniczkowym, trzeba przejść dość obszerny kurs, a czysto teoretyczna i powierzchnowa znajomość tego rachunku była bezwartościowa. Wobec tego przedmiot ten należało raczej skreślić z programu jako niepotrzebny oficerowi liniowemu lotnictwa. Nie pamiętam ile czasu przedmiotowi poświęcano, ale na pewno dawało to oszczędność kilkudziesięciu godzin.

Inny przedmiot, który z punktu widzenia organizacji zwrócił moją uwagę, to nauka pilotażu. Zarówno w pułkach jak i szkołach, organizacja tego głównego przedmiotu szkolenia lotniczego była mało oszczędna. Zwykle jeden instruktor z pomocnikiem miał grupę złożoną z 6-9 uczniów i na to jeden samolot szkolny. Co to znaczyło? Przy lotach szkolnych trwających np. po 6-8 minut każdy z uczniów w ciągu godziny mógł odbyć jeden lot, a tracił na to godzinę. Jeżeli nawet przyjąć, że uczeń uczy się pilotażu nie tylko wtedy, gdy jest w powietrzu, przy drażku kierowniczym, lecz także, gdy obserwuje jak inni odbywają loty, to jednak nie może tracić czasu dla oglądania lotów wszystkich swoich kolegów w grupie wyszkoleniowej. Odpowiednią grupą w tym wypadku będzie grupa złożona z dwu do trzech uczniów, przez co zyska się dwie trzecie czasu w stosunku do grup z 6-9. Jeżeli przeciętnie trzeba było być w powietrzu 50 godzin, aby ukończyć zasadniczą szkołę pilotażu, to na przedmiot ten, przy grupach złożonych z trzech uczniów, trzeba poświęcić 150 godzin, a przy grupach z 9 uczniów 450 godzin, czyli z grubsza przy grupach 3-osobowych około miesiąca szkolenia, a przy grupach 9-osobowych około trzech miesięcy (liczby podane są tylko przykładowe).

Przykładem złych, moim zdaniem, metod zastosowanych w wyszkoleniu w Szkole Podchorążych była nauka o sposobach działania, tj. o tak zwanej taktyce różnych broni. Tutaj przeważały teoretyczne wykłady. Znajomość sposobów działania innych broni była naturalnie potrzebna lotnictwu rozpoznawczemu, względnie współpracy, ale oczywiście nie taktyka innych broni; chodziło raczej tylko o to, aby obserwator lotniczy mógł zidentyfikować wielkość i rodzaj jednostki nieprzyjacielskiej, działającej naprzeciw własnych oddziałów, poza tym, aby umiał nawiązać łączność z własnymi jednostkami, z którymi współpracował itp. Dlatego lotnikowi potrzebna była znajomość schematów i widoków rozczłonkowania różnych jednostek broni, w różnych sytuacjach na polu walki. Ta schematyczna i wzrokowa znajomość, a nie zasady taktyki, powinny być być pogłębione przez praktyczne pokazywanie lotnikom ugrupowań jednostek na wspólnych ćwiczeniach itp.

Po szeregu inspekcji i po przedyskutowaniu tych i innych zagadnień związanych z metodami i programami szkolenia doszedłem do wniosku, że szkolenie podstawowe oficerów zawodowych lotnictwa w naszych warunkach można by skrócić z trzech do dwu lat, co niewątpliwie dawałoby oszczędności na wydatkach vegetacyjnych.

Innym zagadnieniem było szkolenie oficerów technicznych lotnictwa. Lotnictwo, jak każda broń techniczna, potrzebuje różnego personelu technicznego o różnym stopniu wyszkolenia. Już eskadra potrzebuje oficera technicznego dla kierowania konserwacją, drobnymi naprawami i administracją sprzętową eskadry. Dla kierowania większymi naprawami w warsztatach naprawczych wyższych szczebli potrzebni są oficerowie o wyższym wykształceniu technicznym. Dla kierowania produkcją w fabrykach planowania i produkcji prototypów, oraz nadzoru nad techniczną administracją, potrzebni są inżynierowie i specjaliści o jeszcze wyższych kwalifikacjach. Na oficera technicznego eskadry lub w małym warsztacie nadawał się, moim zdaniem i zdaniem szeregu lotników, których pytałem o to, oficer-lotnik, który np. nie nadając się już do służby w powietrzu przeszedł odpowiedni kurs techniczny. Dla wyższych funkcji technicznych potrzebni są oficerowie z wyższym wykształceniem technicznym i odpowiednią specjalizacją fachową. Wreszcie na najwyższym szczeblu trzeba mieć inżynierów z ukończoną politechniką i wykazujących uzdolnienie w pewnych kierunkach. Nasze dowództwo lotnictwa powołało do życia szkołę oficerów technicznych lotnictwa z zamiarem szkolenia w niej oficerów technicznych wszystkich kategorii. Była jeszcze, o ile sobie przypominam, niezła sprawa, czy ukończenie tej szkoły dawało prawo do tytułu inżyniera, czy nie co było dosyć poważną kwestią natury moralnej i prestiżowej dla szkoły i jej absolwentów. W każdym razie doszedłem do przekonania, że poziom tej szkoły był za wysoki dla oficerów technicznych eskadr i kierowników małych warsztatów, a był naturalnie za niski

np. dla przyszłych konstruktorów prototypów samolotów. Odpowiadała właściwie tylko średniej kategorii oficerów technicznych. Uważałem więc, że ze względu na oszczędność i zadania poszczególnych kategorii oficerów technicznych lotnictwa, trzeba zreformować całe szkolenie oficerów technicznych lotnictwa. Najniższą kategorię szkolić na 3-6 miesięcznych kursach technicznych dokształcających, inżynierów, przewidzianych do najwyższej kategorii, szkolić na politechnikach poza wojskiem, a tylko średnią kategorię szkolić ewentualnie na dłuższych specjalnych kursach technicznych.

Wnioski w sprawach podstawowego szkolenia oficerów liniowych i technicznych ująłem w osobne pismo do Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i do Ministerstwa Spraw Wojskowych. Odpis posłałem do Szefa Sztabu Głównego i do Dowódcy Lotnictwa. Pismo to wyszło z końcem 1938, czy początkiem 1939 r.

Na dzień 25 lutego 1939 została wyznaczona konferencja u marszałka Smigłego, w której wzięli udział minister spraw wojskowych, gen. Kasprzycki, szef Sztabu Głównego, gen. Stachiewicz, szef Administracji, gen. Litwinowicz, dowódca Lotnictwa, gen. Rayski, i ja. Marsz. Smigły otworzył dyskusję nad moim referatem w sprawie szkół lotniczych. Po wymianie zdań, przy czym gen. Rayski bronił stanu obecnego, marsz. Smigły decyzję w sprawie organizacji i programów szkół pozostawił dowódcy Lotnictwa. Potem ja zapytałem Marszałka, czy mogę przedstawić sprawę ogólnego kierunku rozwoju naszego lotnictwa. Marszałek zgodził się i wówczas przedstawiłem dawno już wyłożoną na piśmie, a powziętą jeszcze w r. 1937, koncepcję położenia nacisku na rozbudowę lotnictwa myśliwskiego a zaniechanie rozbudowy lotnictwa bombowego. Powtórzyłem moją motywację wyłożoną poprzednio. Chodziło tu nie tylko o powiększenie ilości eskadr myśliwskich i pościgowych, ale o wyraźne skierowanie wysiłku naszego na lotnictwo obronne, co moim zdaniem, było jedynie racjonalne w naszej sytuacji. Po dyskusji marszałek Smigły zaaprobował moją koncepcję jako obowiązującą przy dalszej organizacji i rozbudowie lotnictwa. Tak więc moja teza zasadnicza, wysunięta jeszcze w połowie roku 1937 doczekała się rozpatrzenia i zatwierdzenia — ale oczywiście za późno. Można zastanawiać się, czy, gdyby to zatwierdzenie przyszło do skutku w połowie 1937 r.; byłoby przyniosło poprawę w sytuacji naszego lotnictwa. Wydaje się jednak, że nie, bo nie było gotowego prototypu, a produkcja według starego typu P.11 nie była już wskazana. Natomiast inaczej by się sprawa przedstawiała, gdybyśmy mogli zakupić odpowiednią ilość samolotów myśliwskich zagranicą, co do czego moje wnioski też były przedstawione już dawno. Poprawiłoby sytuację, gdybyśmy mogli w r. 1938 dostać od Francji co najmniej 150 Moranów. Ale to nie dało się przeprowadzić nie wiem z jakich powodów. Tak więc można powiedzieć, że z

punktu widzenia lotniczego już w r. 1936 wojna roku 1939 była dla nas przegrana.

Na konferencji tej była jeszcze dyskutowana sprawa „Łosia”, naszego nowego średniego bombowca. Była to maszyna niewątpliwie bardzo dobra, ale miała ograniczenia. Przede wszystkim było z nią bardzo dużo wypadków. Nie pamiętam dzisiaj liczby, ale było to około 8-10 wypadków rozbicia maszyny, w których załogi poniosły śmierć. Później wyjaśniło się, że przy głębokich wirażach zachodziły wypadki blokowania sterów. Maszyna ta miała dobrą szybkość, ale mały zasięg, przy zwiększeniu zaś zasięgu przez wbudowanie dodatkowego zbiornika, traciła na nośności bomb. Poza tym nie miała pełnych dwu sterów, co lotnicy uważali za jej ujemną stronę.

Wreszcie na wspomnianej konferencji gen. Rayski podniósł sprawę podległości dowódcy lotnictwa, która była bardzo skomplikowana i utrudniała pracę jemu i podległemu personelowi. Nie przedstawił jednak konkretnej propozycji. Ja poparłem gen. Rayskiego i powtórzyłem moją propozycję utworzenia stanowiska III-go wiceministra dla spraw lotnictwa i obrony przeciwlotniczej, wysuniętą już przeze mnie w r. 1937. Decyzja w tej sprawie została jednak odroczone.

Dowodzenie lotnictwem w czasie pokoju i utworzenie sztabu lotniczego

Dowodzenie lotnictwem w czasie pokoju było bardzo skomplikowane. Stanowisko dowódcy lotnictwa nie było właściwie stanowiskiem dowódczym, była to raczej funkcja podobna do funkcji każdego szefa departamentu broni w M.S. Wojsk. Dowódcami przełożonymi oddziałów lotniczych byli w czasie pokoju dowódcy Okręgów Korpusów, podlegający Ministrowi Spraw Wojskowych, który, w myśl naszej organizacji, był w czasie pokoju dowódcą wojska. Sztab Główny organ Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, kierował przygotowaniem sił zbrojnych do wojny, ale nie był organem dowodzenia w czasie pokoju. Przykładem jak ta organizacja funkcjonowała, była sprawa wileńska z końca 1937 roku, kiedy to postanowiono wyrzucić nacisk na Litwę, aby nawiązała normalne stosunki dyplomatyczne z Polską. W tym celu zebrano oddziały wojska, a także nastąpiła koncentracja jednostek lotnictwa w rejonie Wilna, które to jednostki przeszły pod dowództwo gen. Dąb-Biernackiego. Cała ta operacja ujawniła szereg niedomagań, zarówno w dziedzinie dowodzenia lotnictwem, jak też w przygotowaniu do działań jednostek lotnictwa. Rozkazy do jednostek lotnictwa wydał zastępca I-go wiceministra, gen. Regulski. Były one tego rodzaju, że spowodowały kanotaż siedmiu samolotów, gdyż dowodzący całym zgrupowaniem zadecydował, że wszystkie jednostki lotnicze mają koniecznie zebrać się na lotnisku w Wilnie i to w określonym terminie, co wcale nie było potrzebne, w związku z tym samoloty musiały lądować

po ciemku, co doprowadziło do kapotażów, na szczęście bez ofiar w ludziach. O rozkazach wydanych do lotnictwa nie wiedział ani dowódca lotnictwa, gen. Rayski, ani ja, jako inspekcjonujący pułk warszawski, z którego oddziały brały udział w tej operacji. Poza tym operacja ta wykazała cały szereg zasadniczych niedomagań w różnych kierunkach, których ocenę przeprowadził wysłany do Wilna płk. Kalkus, dowódca grupy lotniczej we Lwowie. Gdy zażądałem, aby przedłożono mi to sprawozdanie, gen. Rayski polecił płk. Kalkusowi złożyć mi tylko ustne sprawozdanie, nie oddając mi do ręki raportu pisemnego. Wiem, że wszystkie władze były poruszone tym nieprzygotowaniem do akcji jednostek lotnictwa i między innymi z tego powodu zrodziła się koncepcja utworzenia przy Sztabie Głównym sztabu lotniczego. Moich wniosków co do utworzenia stanowiska III-go wiceministra i podporządkowania mu dowódcy lotnictwa i dowódcy obrony przeciwlotniczej, nie wzięto pod uwagę. Szef Sztabu Głównego wydał polecenie płk. dypl. Ujejskiemu, wyznaczonemu na stanowisko szefa sztabu lotniczego, uzgadniania ze mną wszystkich ważniejszych spraw dotyczących lotnictwa i obrony przeciwlotniczej, które także wchodziły w zakres działania sztabu lotniczego. Sztab lotniczy zaczął na dobre funkcjonować w połowie 1938 roku. Do tego czasu, o ile wiem, nie było żadnych konkretnych przygotowań natury operacyjnej, nie było też żadnej koncepcji co do użycia lotnictwa w razie wojny z Niemcami; jak się zdaje, nie było jeszcze i ogólnego planu koncentracji i operacji.

Wyznaczenie mnie na stanowisko Naczelnego Dowódcy Lotnictwa i Obrony Przeciwlotniczej na wypadek wojny

W dniu 23-go marca 1939 roku zostałem wezwany do marszałka Śmigłego i otrzymałem od niego rozkaz objęcia, w razie wojny, stanowiska Naczelnego Dowódcy Lotnictwa i Obrony Przeciwlotniczej. Decyzję tę przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Do dowodzenia lotnictwem nie czułem się jeszcze dostatecznie przygotowany. Wołałbym oczywiście dowodzić jednostkami wojska niemieckiego, ale w tych warunkach nie mogłem wybierać sobie stanowiska, które by mi bardziej odpowiadało. Bez dłuższego namysłu przyjąłem ten rozkaz i postanowiłem sobie zrobić wszystko co możliwe, aby i siebie przygotować do objęcia tego trudnego stanowiska i jak najbardziej posunąć naprzód przygotowania do wojny. Otrzymując rozkaz marszałka Śmigłego znałem siłę rozbudowanego lotnictwa niemieckiego, jak również byłem zorientowany w ewentualnych metodach jego działania, co do czego mieliśmy dość dokładne wiadomości naszego wywiadu. Zdawałem sobie sprawę z możliwości naszego własnego lotnictwa znacznie słabszego nie tylko liczebnie, lecz także technicznie od lotnictwa niemieckiego. Po pobycie moim we Francji i W. Brytanii w r. 1938 rozumiałem

także, że nie możemy liczyć na wielką pomoc sprzymierzeńców w razie wojny w 1939 r. Jeszcze w połowie 1938 roku, w specjalnym raporcie dla Gen. Inspektora Sił Zbrojnych przedstawiłem tę sytuację stwierdzając, że nasze lotnictwo w obecnym stanie, w razie wojny nie będzie dłużej istniało, niż dwa tygodnie, a przy sprzyjających warunkach, w razie mniej intensywnych działań, najwyżej cztery tygodnie. Co do tych terminów różnił się z ppłk. Jungrawem, oficerem lotnictwa przydzielonym do mego sztabu po odejściu ppłk. Jaryny. Ppłk. Jungraw, bardzo inteligentny i rzetelny oficer, ubolewał nad stanem naszego lotnictwa i utrzymywał, że przy sprzyjających okolicznościach może ono istnieć najwyżej dwa tygodnie, ja szanse obliczałem bardziej optymistycznie. W rezultacie okazało się, że on miał rację. Raport ten podałem do wiadomości ministra, Szefa Sztabu Głównego i dowódcy lotnictwa.

Szefem mego sztabu został wyznaczony gen. Ujejski, szef sztabu lotniczego przy Sztabie Gł. (miał on objąć to stanowisko dopiero w chwili mobilizacji). W jakiś czas potem został, na mój wniosek, przydzielony jako mój zastępca dowódcy lotnictwa gen. de Beaurain, dotychczasowy zastępca dowódcy lotnictwa. Równocześnie nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy lotnictwa: Gen. Rayski został na własną prośbę zwolniony i przydzielony do dyspozycji II-go wiceministra (Decyzja co do zwolnienia gen. Rayskiego nastąpiła bez mojej wiedzy czy interwencji). Dowódcą lotnictwa został gen. Kalkus.

W tym samym dniu, tj. 23 marca, omówiłem z gen. Ujejskim sprawę ugrupowania lotnictwa na wypadek mobilizacji oraz związanych z tym zarządzeń pokojowych. W tym też dniu zameldował się u mnie gen. Kalkus. Z nim omówiłem następujące sprawy: 1) Przyspieszenia i uregulowania gotowości bojowej lotnictwa w obecnym jego stanie. 2) Przyspieszenia produkcji personalnej, a co za tym idzie skrócenie szkolenia (w myśl moich poprzednich wniosków), aby jak najprędzej mieć drugie załogi przynajmniej dla samolotów myśliwskich (zastanawialiśmy się wówczas nad tym, jak powiększyć wydajność pracy bojowej przy małej ilości samolotów, jaką rozporządzaliśmy; jedna z koncepcji polegała na zapewnieniu podwójnej obsługi dla samolotów, zwłaszcza myśliwskich, które wtedy będą mogły wykonywać większą ilość lotów, przynajmniej przez pewien czas). 3) Zbadania sprawy produkcji sprzętu lotniczego w tym sensie, by ewentualnie zaniechać dalszej produkcji średnich bombowców, a zwrócić główną uwagę na produkcję myśliwców, względnie ich zakup. Przewidzieć rozwinięcie warsztatów R.W.D. (prywatne warsztaty lotnicze, subwencjonowane przez L.O.P.P.) na fabrykę.

W następnym dniu, tj. 24.3., omówiłem z ministrem sprawę wytycznych dla gen. Kalkusa. Zwróciłem znowu uwagę na to, że należy czym prędzej wyjaśnić także pokojową organizację w zakresie lotnictwa i O.P.L. przez stworzenie stanowiska III-go wiceministra i podporządkowanie mu dowódcy lotnictwa i dowód-

cy O.P.L. Minister wstrzymał się z załatwieniem tej sprawy.

W tymże dniu byłem obecny na ćwiczeniu lotnictwa myśliwskiego w ramach obrony przeciwlotniczej Warszawy. Ćwiczenie wykazało sprawność działania lotnictwa myśliwskiego w warunkach ćwiczebnych.

W jednym z kilku następnych dni omawiałem z Szefem Sztabu Głównego, gen. Stachiewiczem, sprawę produkcji samolotów i zakupu ich zagranicą, przy czym po porozumieniu się z gen. Kalkusem, proponowałem wstrzymać produkcję „Łosi” ze względów zasadniczych i ekonomicznych, a natychmiast rozpocząć produkcję i zakup samolotów myśliwskich, oraz produkcję i zakup samolotów rozpoznawczych na miejsce „Karasi”. Jako typ samolotu myśliwskiego przyjmowaliśmy „Jastrzębia”, lub ulepszony typ P24, zależnie od tego, czy próby z „Jastrzębiem” wypadną dobrze; zaś jako typ samolotu rozpoznawczego przyjmowaliśmy „Suma”. W ciągu dwu lat chcieliśmy wyprodukować 500 samolotów myśliwskich oraz 300 „Sumów”. Prócz tego zakupić możliwie najwcześniej 150 myśliwskich aparatów typu „Moran” we Francji, oraz 100 aparatów typu „Fairey-Battle” w W. Brytanii. Dalej omówiłem z gen. Stachiewiczem sprawę pokojowej organizacji i podporządkowania lotnictwa i obrony przeciwlotniczej, jak również wysunąłem sprawę rozpisania wewnętrznej pożyczki lotniczej i przeciwlotniczej.

Gdy nie udało się uregulować definitywnie sprawy podległości dowódcy lotnictwa w myśl moich wniosków, gen. Kasprzycki wydał rozkaz, określający moje kompetencje w stosunku do lotnictwa (poza kompetencjami jakie miałem jako inspekcjonujący jednostki lotnictwa). Rozkaz ten był wydany bez uprzedniego uzgodnienia go ze mną i był jak się dowiedziałem później osobiście zredagowany przez ministra. Rozkaz ten był bardzo niejasny: dowódca lotnictwa, który dotychczas, jak to wyliczył gen. Rayski w swoim meldunku, miał siedmiu przełożonych, obecnie dostał jeszcze jednego przełożonego i to bardzo niewygodnego. Rozkaz ten był zresztą o tyle ciekawy, że był adresowany do mnie personalnie, bez określenia funkcji: „do gen. bryg. Dr. Zająca Józefa”. Dowódca lotnictwa bowiem nie mógł podlegać mnie jako dowódcy O.P.L., jakim byłem w ramach M.S. Wojsk. Byłoby niewskazane, aby dowódca lotnictwa podlegał Dowódcy Obrony Przeciwlotniczej; nie mógł także mi podlegać jako inspektorowi Obrony Powietrznej Państwa, gdyż inspektor podlegał nie ministrowi, a Generalnemu Inspektorowi, nie mógł więc dowódca lotnictwa pracujący w obrębie ministerstwa podlegać organowi będącemu poza kompetencją ministra. Wymyślił więc Kasprzycki bardzo skomplikowaną formułę, czyniąc dowódcę lotnictwa w pewnych sprawach podległym mnie osobiście, jako gen. Zającowi. Gdy w dalszym ciągu gen. Głuchowski I-szy wiceminister oraz gen. Litwinowicz, II-gi wiceminister, co więcej, zastępcy wiceministrów mieszały się do spraw lotnictwa mnie pomijając, czego im zresztą wyżej wymieniony rozkaz wcale nie zabraniał, zaproponowałem pewien *modus vi-*

vendi, a mianowicie, żeby wszystkie sprawy lotnictwa przechodziły przeze mnie, i przeze mnie były uzgadniane z wiceministrami, stwierdzając przy tym raz jeszcze, że właściwym rozwiązaniem będzie stworzenie stanowiska III-go wiceministra dla spraw lotnictwa i obrony przeciwlotniczej. Ten ponownie przedstawiony projekt definitywnego uregulowania sprawy był przyczyną skarcenia mnie przez marszałka Smięgłego w obecności Kasprzyckiego i Stachiewicza, choć zupełnie nie wiedziałem, co było w tym złego, że proponowałem jedynie logiczne i całkowite uregulowanie trudnej sprawy podległości dowódcy lotnictwa w skomplikowanych warunkach obowiązującej organizacji władz wojskowych. Rozkaz zaś Kasprzyckiego był przejawem jego tendencji do skomplikowanych rozwiązań, które powodowały konieczność ciągłych, niekończących się uzgadniań zwłaszcza w sprawach, w których nie chciał czy nie umiał decydować jako minister.

Na konferencji u Marszałka w dniu 10.4., na moją propozycję aby wzmocnić pogotowie obrony przeciwlotniczej, otrzymałem decyzję, aby to wzmocnienie przeprowadzić bez uciekania się do częściowej mobilizacji, a w formie powoływania rezerwistów na ćwiczenia, poza tym decyzję co do uruchomienia i luzowania sieci dozoru i alarmowania przeciwlotniczego naokoło Warszawy, oraz wzięcia pod uwagę wycofania części lotnictwa w głąb kraju.

W ciągu kwietnia i maja odbywałem liczne konferencje z ministrem, I-szym i II-gim wiceministrami, Szefem Sztabu Głównego, oraz z dowódcą lotnictwa i szefem sztabu lotniczego w sprawach dotyczących zarówno lotnictwa, jak i obrony przeciwlotniczej. W tym czasie ustalono wstępne ugrupowanie lotnictwa oraz rozdział czynnych środków obrony przeciwlotniczej na wypadek wojny, omawiano produkcję sprzętu lotniczego, artylerii przeciwlotniczej, sprawy zakupów zagranicznych, oraz pożyczki lotniczej i przeciwlotniczej. W tej ostatniej sprawie od dawna stawiałem wnioski co do rozpisania wewnętrznej pożyczki. Wreszcie jednego dnia usłyszałem wiadomość przez radio, że zostaje rozpisana pożyczka przeciwlotnicza. Odnośnie wstępne zebranie odbyło się na Zamku pod przewodnictwem kardynała Hlonda, z udziałem różnych ministrów i wybitnych przedstawicieli społeczeństwa; na zebraniu tym utworzono komitet pożyczki, którą nazwano pożyczką przeciwlotniczą. Na komisarzy (o ile pamiętam, taki był jego tytuł) tej pożyczki wyznaczono gen. Berbeckiego, przewodniczącego zarządu głównego L.O.P.P. (Liga Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwozawowej), który później wzywał społeczeństwo przez radio i w kinach do ofiarności na obronę powietrzną kończąc swe przemówienia hasłem: „Silni, zwarci, gotowi!”. Nie rozumiem, dlaczego nie zostałem pociągnięty do wstępnych konferencji w sprawie tej pożyczki, ani też nie zostałem wybrany do komitetu, mimo że byłem jednym z jej inicjatorów i mimo, że przecież przygotowanie obrony przeciwlotniczej było moim głównym obowiąz-

kiem. Okazało się później, że nie była to pożyczka przeznaczona specjalnie na obronę przeciwlotniczą, a na ogólne wydatki związane z obroną i dozbrojeniem. Nazwa jej „przeciwlotnicza” miała być hasłem popularnym, pobudzającym ofiarność społeczeństwa. Sam z własnych, prywatnych funduszy wpłaciłem 5.000 złotych na tę pożyczkę.

Na konferencji u premiera gen. Składkowskiego w dniu 22.6. omawiałem z nim różne sprawy dotyczące obrony przeciwlotniczej, o czym piszę na innym miejscu. Wspominam o tej konferencji dlatego, że, gdy w sprawie przystosowania piwnic na schrony przeciwlotnicze, co należało do niego jako ministra Spraw Wewnętrznych, zacząłem mocno nalegać o wydanie stosownych zarządzeń, wówczas gen. Składkowski uchylił się od tego, mówiąc do mnie wobec jednego z wiceministrów (zdaje się wiceministra Korsaka): „Przecież wojny nie będzie”.

W notatkach z konferencji u Kasprzyckiego w dniu 1.7. mam zapisaną wiadomość, że od lipca będzie przychodziło z W. Brytanii po dwadzieścia sztuk samolotów typu „Fairrey-Battle”.

W notatkach z konferencji u Szefa Sztabu Głównego w dniu 23.7. mam zanotowane następujące punkty: 1) Sprawa rozwoju lotnictwa, 2) Sprawa gen. Rayskiego w Londynie, 3) Sprawa potrzeby zmobilizowania na czas lotnictwa i obrony przeciwlotniczej (stawiałem tę sprawę w ten sposób, że lotnictwo i obrona przeciwlotnicza powinny być zmobilizowane przynajmniej na tydzień przed ogłoszeniem mobilizacji ogólnej, aby były w obecnym stanie gotowe do spełnienia zadań im wyznaczonych), 4) Sprawa opl. przemysłowych zakładów, 5) Sprawa upoważnienia gen. de Beaurain do wglądu w laboraty mobilizacyjne lotnictwa (gen. de Beaurain z mojego ramienia przeprowadzał kontrolę mobilizacji jednostek lotnictwa jak również i próbne mobilizacje. Do wglądu w elaboraty mob. jednostek musiało być wydane upoważnienie Szefa Sztabu Głównego dla osób nie będących dowódcami czy inspektorami danych jednostek), 6) Ewentualny nasz udział w manewrach lotnictwa i przeciwlotniczych Francji i Anglii, 7) Sprawa zasadzek lotnictwa myśliwskiego (O sprawie tej pisałem wyżej).

W podobnych sprawach byłem dnia 28.7. u ministra.

Lipiec i początek sierpnia zeszedł nam na sprawdzaniu gotowości bojowej lotnictwa i obrony przeciwlotniczej, oraz przygotowaniu i przeglądaniu instrukcji operacyjnych. Odbywały się też liczne ćwiczenia obrony przeciwlotniczej.

W początkach sierpnia wyjechałem na krótki urlop wypoczynkowy do Zakopanego, z którego to urlopu w połowie sierpnia zostałem odwołany.

W dniu 24 sierpnia o godz. 12 min. 30 otrzymałem zarządzenie tzw. kartkowej (brązowej) mobilizacji jednostek lotnictwa i artylerii przeciwlotniczej, jak również pogotowia obrony przeciwlotniczej.

Józef ZAJĄC

Kronika kulturalna

Wystawy paryskie

Spośród młodych malarzy polskich którzy zyskali uznanie na Zachodzie w ciągu ostatnich kilku lat, trzej wydają mi się najsilniej związani z własnym kulturalnym zapleczem. Co najciekawsze, więzy te mają u każdego z nich całkowicie odrębny charakter.

Figury osiowe Lebensteina wywołały u krytyków zachodnich różne skojarzenia, które warto może wyliczyć nie zastanawiając się tutaj nad trafnością interpretacji: krzyże przydrożne; słowiańskie świątki; antropomorficzny charakter pól, łąk i miedz archaicznej, rolniczej Europy; tejsze Europy wiosenna symbolika płodności — mąje i chmiele. Poprzez obrazy Lebensteina przemawia widać — mówiąc językiem Junga — pewna forma podświadomości zbiorowej. Co nie oznacza oczywiście, że można jego niezwykle bogatą i oryginalną wizję zamknąć w tej formule.

Związki Dominika z polskością są głównie kolorystyczne: jego słońca, wiry, chmury i pióra wprowadzają do współczesnego tasyzmu wypraną z zewnętrzznego folkloru kurpiowską czy łowicką tęczę. „Polskość” Dominika odczuwa się intuicyjnie, podobnie jak „polskość” Cybisa.

Najbardziej świadome, najbardziej złożone, najbardziej może współczesne (w sensie problematyki kulturalnej) są elementy specyficznie polskie w malarstwie Tadeusza Brzozowskiego, który pokazał swe obrazy (po raz pierwszy w Paryżu) w Galerii Lambert w grudniu 1960. Elementy te widoczne są już w tytułach jego obrazów: „Stróż”; „Cyrulik”; „Guwernantki”; „Korepetytor” — to niemal obsada do jakiejś polskiej „Commedii dell' Arte”, komedii polskiej prowincji i drobnego mieszczaństwa, tkwiącej jedną nogą w XIX wieku, a wprowadzonej świadomie do poezji przez Tuwima i Gałczyńskiego. Komedia ta nie przestała być aktualna — odnawiają ją dziś w literaturze Miron Białoszewski i Sławomir Mrożek, w malarstwie — właśnie Ta-

deusz Brzozowski. Podobnie jak Bruno Schulz — inny, najgroźniejszy ze wszystkich, mitolog polskiej prowincji — Brzozowski spędził dzieciństwo w sklepie. Wyobrażam sobie staroświecki sklep „galanteryjny”, w którym o kilkanaście lat spóźnione „modne” towary, może „z Widnia” przynoszą nowinki Secesji i Jugendstilu, zaskakują absurdalnym zestawieniem. Łatwo zrozumieć na tym tle późniejsze sympatie paryskich nadrealistów do Brzozowskiego i jego związki z grupą „Phases”. Prowincja, peryferia, niepotrzebne przedmioty, śmietnik XIX wieku — to najżyźniejsza bodaj gleba nadrealistycznej poetyki.

Obrazy Brzozowskiego, jego rysunki, obserwuję z zaciekawieniem od lat, niestety tylko na podstawie reprodukcji. Byłem entuzjastą jego hieratycznych postaci — proroków i kapłanów, majaczących w zwartych bryłach, wyodrębnionych płaszczyznach. Brzozowski komplikuje obecnie swoje plastyczne efekty. Obraz pokrywa cała sieć ciemnych kresek, linii, niemal pollock'owskich „drippings”. Za tym zwojem drutu kolczastego odnajdujemy fragmenty antropomorfizmu. „Postacie” migają nieraz głową, nogą, czy nawet nosem w okularach. Może rację ma Jean-Clarence Lambert kiedy w przedmowie do katalogu Brzozowskiego twierdzi, że ambicją malarza jest „pogodzić nieforemność z formą” — ambicją innego kolegi z prowincji: Ferdurke...

Rówieśnik Brzozowskiego, Jerzy Kujawski, żyjący od piętnastu lat w Paryżu, należy także do tych młodych malarzy polskich, którzy odkryli po wojnie że są nadrealistami w sposób równie naturalny, jak pan Jourdain odkrył że mówi prozą. Miejsce Kujawskiego w pierwszym rządzie młodej *Ecole de Paris*, wielka wystawa restrospektywna jego obrazów w Warszawie w r. 1957 świadczą o tym, że nie można malarstwa polskiego ograniczać kryteriami geograficznymi czy przynależności państwowej. Wystawa Kujawskiego w nowej, pięknej galerii Flinker w październiku 1960 była pierwszą jego paryską wystawą od pięciu lat.

Wydaje mi się, że można podejść do współczesnego malarstwa abstrakcyjnego od strony klasyfikacji materialnych marzeń, które się w nim snują. W obrazach Kujawskiego przejawiają się na przemian — czy nawet jednocześnie — dwie formy marzenia: organiczne i kosmologiczne. Malarz schodzi pod ziemię (przychodzi mi na myśl zimowa podróż Demeter do piekieł), odnajduje byt korzenia, kłacza, uspionej larwy; jak kornik przebiega korytarzami spróchniałego pnia; buduje ule i mrowiska. Albo też wykracza poza sfery „naszego” wszechświata i za współczesną mitologią naukową w międzygwiazdnej przestrzeni stwarza wiry i prądy.

Wstęp do katalogu wystawy Kujawskiego napisał Yves Bonnefoy, najwybitniejszy poeta francuski młodego pokolenia. Daje on polskiemu artyście świadectwo entuzjastyczne: „Trzeba będzie przecież kiedyś, poza rozbiciem naszego wieku, wymyśleć na nowo w życiu obecność, a w sztuce realizm, który by nam przywrócił posiadanie zarazem intymne i ceremonialne przedmiotu. Wówczas Jerzy Kujawski, który pracuje z powagą tak zawziętą i tak skromną, ze ścisłością tak odważną i tak ciemną, z pokorą i z dumą, będzie uznany za prymitywa odnalezioną prawdy”.

Na to żeby snuć marzenie o nieskończeniu małym czy nieskończeniu wielkim trzeba danych wyjątkowych, takich jakie Bonnefoy widzi w Kujawskim. Wielu malarzy robi dziś natomiast wrażenie dzieci, które udają dorosłych: zamiast o misiu i krasnoludkach ze śmiertelną powagą rozprawiają o atomie i kosmosie. Przykrzejsi jeszcze dorośli udający dzieci: stare draby i matrony seplenią: lalecka, ciastecko. Urok obrazów Ariki Madejskiej polega chyba na tym, że nie archaizuje ona, nie prymitywizuje rozmyślnie. To nie jest „zabawa w Nikifora”. Baśniowy świat folkloru, cerkiewek i prowincji na grudniowej wystawie w Galerii Bénézit na pewno ją fascynuje. Ale ten świat pokrewny światowi Chagalla widziany jest przez pryzmat Klee. Madejską najbardziej od tematyki cieszą formy: stożek i kula; piramida i balon; obelisk i serso; strzała i jabłko. Odnajduje ona ten dialog między tym co spiczaste i tym co krągłe w szybach, fabrykach, na ulicach. Cerkiew powraca w jej obrazach chyba dlatego, że jej kopuła, jak serce i jak cebula, jest syntezą stożka i kuli. Powraca również namiot cyrku (a myślę, że pod namiotem kryją się wyłącznie wyprostowane foki z piłkami na nosach). W kolorach przeważają biele i czernie, subtelne brązy. Uważna geometria jesieni i zimy. W epoce w której tak łatwo jest zatrzeć ślady, zagubić pretekst wyjściowy, nadrabiać miną czy miny stroić, malarstwo Ariki Madejskiej ujmuje nietylko wdziękiem i prostotą, ale właśnie powagą (jeśli zarówno archaizowanie na siłę jak silenie się na abstrakcyjny „poziom”, jeśli wszelka dysproporcja między wrażliwością i stylem wydaje się nam „nie poważna”).

Arikę Madejską poprzedził w Galerii Bénézit Ekiert, pokazując tym razem małe formaty, świadczące o tym z jaką uwagą i pożytkiem przeszedł przez kubizm. Nie ma dziś u Ekierta żadnej biernej deformacji, żadnej stylizującej uległości. Obserwuje on naturę przez kryształowy pryzmat, obraca jej odzwierciana-

dlenie we własnym kalejdoskopie. W najlepszych obrazach nasuwa się pokrewieństwo z Villonem.



Odnajdujemy Ekierta na wystawie „stu małych formatów” polskich malarzy zamieszkałych we Francji, zorganizowanej w grudniu 1960 przez polską sekcję YMCA. Przyznaję od razu, że szedłem na nią „z poczucia obowiązku” (czyli ulegając presji znajomych i w złym humorze). Do takiej reakcji przyzwyczaiły mnie od wielu lat emigracyjne inicjatywy artystyczne. Zostałem bardzo mile zaskoczony. Nie znaczy to, żeby wystawa w YMCE uniknęła zawsze fatalnych konsekwencji nakazu, aby figurowały dzieła każdego członka organizacji. Ale przynajmniej połowa wystawionych obrazów ma rzetelny poziom, a dzieła kilku malarzy wyróżniają się oryginalną poetyką. Ekiert pokazał tu zestaw bardziej figuratywny niż na wystawie u Bénézita. Mieczysław Janikowski, którego Czapski nazwał „skrajnym ascetą” i który powiedział Czapskiemu: „Linia prosta przeciwstawiona linii krzywej — to już jest dramat, więc po co malować coś więcej?”, jest jednym z najsubtelniejszych przedstawicieli abstrakcji geometrycznej. Jego małe płótno — ciemna elipsa na ciemnym matowym tle — ma urzekający charakter, który — jako przeciwnika tego kierunku — zarazem mnie dziwi i rozbraja. Lutka Pink przejawia w małych formatach zwykle sobie bogactwo materii i subtelność koloru. Przejście Ernesta Kosmowskiego do abstrakcji daje bardzo szczęśliwe wyniki. Do najlepszych należą także obrazki Wierzbickiej, Lewandowskiego i mile w tej skali pastisze Vuillarda Lisieckiej. Wystawę ograniczoną do tych nazwisk należałoby pokazać w dobrej paryskiej galerii.



Udział p. Mueldnera-Nieckowskiego w wystawie „Groupe du Luco” (Galerie du Foyer des Artistes), oraz w Salonie Jesiennym nieco może pocieszy te koła krajowe, które niepokoją się powodzeniem polskiego malarstwa abstrakcyjnego na Zachodzie. W tym celu sygnalizuję ten udział, gdyż nie znalazł on echa w prasie francuskiej. Trudno o spokojniejszy, o bardziej „klasyczny” akademizm. P. Mueldner-Nieckowski otrzymał przed paroma laty drugą nagrodę na międzynarodowym konkursie na pomnik Buddy, zorganizowanym przez rząd indyjski. Płaskorzeźby jego zdobią szereg publicznych gmachów w Polsce, zarówno rządowych jak kościelnych. Możemy być pewni, że dopóki żyć będzie choćby nazwa realizmu socjalistycznego, do póki św. Sulpicjusz pozostanie głównym patronem sztuki sa-

krajnej różnych, jak widać, religii, dużo p. Mueldnera-Nieckowskiego nie pozostanie bezczynne.

K. A. J.

W obronie (neo)puryzmu

P. Henryk Schoenfeld w bardzo zajmującym artykule „Granice mego świata” w grudniowej „Kulturze” kilka razy ło skórę purystom językowym. Wsadza przy tym do jednego worka zarówno maniaków jak i ludzi rozumnie zatroskanych o piękno i czystość języka. Tu konieczne jest rozróżnienie. Jest puryzm i puryzm. Na określenie rozumnego puryzmu, którego jestem wyznawcą, Karol Irzykowski ukuł kiedyś słowo „neo-puryzm”.

Może najdrastyczniejszym przykładem zacofanego puryzmu są na emigracji poglądy językowe ks. Kamila Kantaka, składają wielkiego erudyty i tęgiego stylisty, który w szowinistycznym zapale rad by wyrzucić z polszczyzny słowo „dziękować” jako wywodzące się od niemieckiego „danken”. Dziękuję za taki puryzm!

Neo-purysta nawołuje tylko do umiaru, do ostrożności w przyswajaniu językowi polskiemu wyrazów obcych. Sprzeciwia się jedynie przyswojeniom niepotrzebnym, nieuzasadnionym, którymi ludzkie lenistwo, beźmyślność, a często też chęć popisania się rzekomym odczytaniem w językach obcych, zaśmiecają mowę ojczystą. Nie robi tego z nacjonalistycznej zajądłości, lecz popiera swoje stanowisko racjonalnymi argumentami.

Jeśli więc np., podobnie zresztą jak sam p. Schoenfeld (por. str. 24, w. 1, w grudniowym numerze „Kultury”), chętnie zastąpi czasem wyraz „komplikacja” wyrazem „złożoność”, to nie dlatego, że tamten jest wyrazem obcym, a ten rodzimym. Lecz dlatego, że „złożoność” jest plastyczniejsza, mniej abstrakcyjna, że nasuwa skojarzenie z wyobraźną czynnością *składania*, montowania całości z wielu części. Z języków obcych, głównie z łaciny i greki, język polski przyswoił sobie najwięcej określeń pojęć oderwanych, pojęć, którym nie odpowiadają przedmioty dające się dotknąć, zobaczyć, usłyszeć, powąchać. Określenia te — od „absolutu” po „zoologię” — są nie do uniknięcia, styl jednak przeladowany nimi staje się blade, suchy, martwy, pretensjonalnie uczony. Są one wyprane ze zmysłowej barwy i pozbawione dynamizmu, który ma większość wyrazów rodzimych. Bo nawet rodzime abstrakcje wywodzą się w prostej linii z konkretnego i zachowują coś z jego barwy i życia. „Niedoleństwo” np. przywodzi na myśl żywego „niedolegę”, podczas gdy „indolencja” nie wywołuje żadnego obrazu. Złem są nie wyrazy obce, lecz abstrakcyjne (w nadmiarze), tak się jednak złożyło, że większość wyrazów obcych jest „abstraktami”.

Język angielski jest bardzo chłonny, przyswajają obce wyrazy łatwiej może niż jakikolwiek inny. Niemniej jednak znanym praktycznym sprawdzianem dobrej (literacko) angielszczyzny jest przewaga wyrazów pochodzenia anglosaskiego nad wyrazami pochodzenia romańskiego, choć te — jak wiadomo — są od wieków równouprawnionym budulcem tego języka. Dlaczego? Broń Boże, nie dlatego, że tamte są starsze i rasowo czystsze (!), lecz dlatego, że większość pojęć konkretnych, zmysłowych nosi właśnie te stare nazwy. A konkretność, zmysłowość, obrazowość jest cechą dobrego

stylu. Ponadto wyrazy anglosaskie są zwykle krótsze (por. np. „to free” i „to liberate”) i łatwiej zrozumiałe dla mniej wykształconego czytelnika, co sprzyja zwięzłości i przystępności. Podobnie jest w wielu wypadkach i u nas. Por. „simplifikować” i „upraszczać”, „kontrowersja” i „spór”, „omnipotencja” i „wszechmoc”.

Neo-purysta zdaje sobie sprawę, że przyswojenia bogacą język. I to nie tylko o słowa nie mające rodzimego odpowiednika a potrzebne dla nowych, importowanych pojęć. Często bogacenie polega na tym, że dwa na pozór jednoznaczne wyrazy: rodzimy i obcy, nabierają nieco odmiennych odcieni znaczeniowych. Przez co oba są potrzebne, posiadanie ich obu pozwala na subtelniejsze wyrażanie myśli. Tak np. słusznie mówi p. Schoenfeld o „czasach historycznych”, ale ktoś inny, w innym sensie, równie słusznie powie: „chwila dziejowa”, gdy będzie chciał temu wyrażeniu nadać trochę patosu. Ktoś inny znów zamiast „chwila” powie „moment”, gdy będzie chciał podkreślić przelotność tej „chwili”. Bo „moment” stał się w naszym odczuciu krótszy od „chwili”.

Zaprotestuje natomiast neo-purysta przeciw użyciu wyrazu „epatować” (jak to robi p. Schoenfeld, str. 24, w. 11), gdy piszący chciał powiedzieć: „zadziwiać”. Bo „epatować” nabrało znaczenia lekko ujemnego („pejoratywnego”!): zadziwiać z zamiarem („z intencją”) gorszenia. Takie używanie wyrazu obcego nie wzbogaca języka, lecz go zubaża.

Tak samo niezadowolony będzie neo-purysta z użycia obcego wyrazu „trywialny” (artykuł p. Schoenfelda, str. 31, w. 2) nie w tym znaczeniu, jakie ten łaciński wyraz ma w języku polskim („pospolity aż do ordynarności”), lecz w tym, jakie ma w angielskim („trivial” = błahy, przyziemnie pospolity). Nie będzie miał natomiast nic przeciw udzieleniu gościny wyrazowi „highbrow” (tamże, w. 4), bo nie ma on polskiego odpowiednika. Będzie jednak ostrzegał przed najazdem zbyt wielu takich gości, chociażby dlatego, że nie każdy wykształcony Polak zna język angielski. Nadmiar makaronizmów utrudnia porozumienie.

Być może, że p. Schoenfeld ma rację (str. 26 i 27) co do takich wyrazów jak „radioaktywność”, „nuklearny”, „grawitacja”, jeśli chodzi o porozumiewanie się z czytelnikiem emigracyjnym. Skoro jednak — słusznie czy niesłusznie — w kraju przyjęły się „promieniotwórczość”, „jądrowy” i „ciążenie”, powinniśmy się dostosować, bo przecież nie piszemy tylko dla emigrantów, nie możemy zrezygnować z porozumienia z tą większą wspólnotą narodową, do której i z daleka należymy.

Poprawność językowa, w której sprawa wyrazów obcych jest tylko fragmentem, nie ma nic wspólnego z „egzorcyzmami” i narzucaniem dogmatycznych norm. W naukowym rozumieniu *poprawne* w języku literackim jest to, czego używa wyraźna większość ludzi posługujących się tym językiem. Większość ta bywa demokratycznie zmienna, dopuszczalne są oboczności, a nawet czasem uzasadnione indywidualne wysoki, niemniej jednak pewne normy są i są pożądanym, jeśli nie — koniecznym.

Gdy ktoś — jak p. Schoenfeld lub jego korektor w „Kulturze” — wbrew tej większości (językoznawcy mają dość ścisłe metody jej weryfikowania) pisze o „teoriach, które przewidują, że ewolucja jest zahamowana” (str. 25, w. 8 i 9 — *przewidywać* można tylko to, co *będzie!*), lub „nadużywamy ja” zamiast „jej” (tamże, w. 23), lub „używamy się je” zamiast „go” (str. 29 w. 20 i 21 od dołu), lub „rozumia” zamiast „rozumieją” (tamże w. 23 od dołu) — nie ma obawy, abyśmy go nie zrozumieli. Szkodliwość tych błędów polega jednak na tym, że niezwykłe dla większości czytelników, a więc niepoprawne, formy odwracają ich uwagę od treści, od cennej myśli autora, powodują rozproszenie, są drażniącą dywersją. Tak jak ciągle siąkanie nosa przez zakatarzonego prelegenta może zrujnować najlepszy odczyt.

Słusznie powiada p. Schoenfeld, że „ludzie nie mówią, aby mówić poprawnie, lecz aby się porozumiewać. „Tak, ale należy mówić poprawnie, czysto, ładnie, aby ułatwić i uprzyjemnić porozumiewanie się”.

Michał SAMBOR

Kronika

IV ŚWIATOWA WYSTAWA FOTOGRAFIKI POLSKIEJ NA OBCZYŻNIE — LONDYN

Stowarzyszenie Fotografików Polskich — Polska YMCA Londyn urządza IV ŚWIATOWĄ WYSTAWĘ FOTOGRAFIKI NA OBCZYŻNIE. Zapraszając P.P. Fotografów Polaków do wzięcia w niej udziału, podajemy do wiadomości szczegóły o Wystawie i warunki:

CELEM WYSTAWY: jest pokazanie najlepszych prac fotograficznych Polaków, rozrzuconych w różnych krajach świata.

TERMIN I MIEJSCE WYSTAWY: publiczne otwarcie Wystawy odbędzie się w dniu 12 lutego 1961 r. w sali Polskiej YMCA w Londynie — 46/47 Kensington Gdns. Sq. Ekspozyty należy przysyłać zaadresowane na powyższy adres najpóźniej do dnia 30 stycznia. Organizatorzy Wystawy zastrzegają sobie prawo wysłania wszystkich ekspozytów w formie wystawy do innych ośrodków na powtórne pokazanie.

TECHNIKA I TEMATYKA PRAC: te pozostawia się do decyzji P.P. Fotografów. Natomiast wszelkie prace winny być w całości dziełem własnym zgłaszającego swoje ekspozyty. Przerzocza kolorowe mogą być wywoływane przez zakłady fotograficzne.

ROZMIARY I OZNACZENIE PRAC: Fotografie mogą być dowolnej wielkości, umieszczone na passe-partout (mountingu) 12x15 cali (30x40 cm.) albo 16x20 cali (40x50 cm.). Kolor tła (mountingów) winien być biały, lub jasno-kremowy. Każda nadesłana praca ma być oznaczona na odwrocie imieniem i nazwiskiem autora, adresem oraz nazwą pracy.

IŁOŚĆ PRAC: Każdy biorący udział w Wystawie uprawniony jest do przesłania 6 prac na mountingach, oraz 6 sztuk przezroczy kolorowych, czy czarno-białych w ramach wymiarów rynkowych. W wypadku wielkich odległości n.p. z Australii lub Am. Pol. przyjmowane będą prace nie naklejone na passe-partout (mountingu).

JURY: Złożone z wybitnych fotografów, krytyków dokona wyboru prac celem umieszczenia ich na wystawie.

NAGRODY: Jury zdecyduje o przyznaniu Autorom trzech najlepszych prac medali pamiątkowych. Wszystkie zaś prace umieszczone na Wystawie zapatrzone będą w nalepki pamiątkowe. Uczestnicy Wystawy otrzymają ponadto katalogi wystawowe.

OPLATY: Opłata za udział w Wystawie wynosi 5 sh. dla P. Uczestników z terenu Wielkiej Brytanii. P.P. Fotografom z innych krajów pozostawia się do Ich uznania wysokość opłaty na cele organizacyjne, z tym że są zwolnieni z opłat pięcioszylingowych.

POLSKA YMCA ZE STOWARZYSZENIEM ROZTOCZY PEŁNĄ OPIEKĘ nad powierzonymi eksponatami, a po zakończeniu Wystawy zwróci je Autorom w należyтым porządku. Organizatorzy jednak nie mogą ponosić odpowiedzialności za zniszczenie prac lub zaginięcie ich w drodze.

KOMUNIKAT INSTYTUTU IM. SIKORSKIEGO

W związku z zamierzoną likwidacją Oddziału Muzeum w Banknocku (Szkocja) Zarząd Instytutu Historycznego im. Generała Sikorskiego w Londynie zwraca się do wszystkich osób, które w ubiegłych latach złożyły do depozytu przedmioty i pamiątki osobiste, *aby w terminie do dnia 1 marca 1961 r.* wycofały zdeponowane przedmioty względnie porozumiały się z Zarządem Instytutu co do ich dalszego przeznaczenia. Koszta przewyższające interesowani deponenci.

Po upływie tego terminu Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego będzie zmuszony sam zadysponować tymi przedmiotami, za których przechowanie i konserwację nie może nadal ponosić odpowiedzialności w braku pomieszczenia.

Korespondencję prosimy kierować na adres: General Sikorski Historical Institute, 20, Princes Gate, London, S.W.7 — Great Britain.

Książki

“Pierścień z Herkulanum”

Wszystkie wielkie epoki, po których zachował się jakiś spadek w naszym życiu umysłowym, miały swoje biblioteki, zapewniające słowu pisanemu ciągłość i trwałość. Niektóre z nich wspominane są dotąd, jak biblioteka Aleksandryjska lub biblioteka królów aragońskich w Neapolu, rozgrabiona przez wojska francuskie w 1495. Inne czekają na badaczy, którzy opiszą ich rolę w zmiennym świecie książek i myśli. Rola ta jest zapewne większa niż by się mogło zdawać. Nawet burzyciele, proponujący spalenie książek i pisanie wszystkiego na nowo, byli najczęściej wcale odcytani i znali wszystkie dawne wzory przydatne dla ich teorii.

Emigrantów biblioteka łączy nie tylko z przeszłością; z biegiem lat staje się dla nich coraz ważniejszym źródłem wiadomości o kraju. Bez nowości wydawniczych i czasopism przegładanych w bibliotekach, emigranci utraciliby kontakt z aktualnością krajową i nie wiedzieliby o czym rozmawiać z przyjezdnymi. Mówiliby i myśleli językiem poprzednich pokoleń, którym trudno porozumieć się z żywymi. Słowo ich utraciłoby aktualność i zaczepność. Dżengis Chan uważał swe panowanie za niepewne, dopóki poza granicami jego imperium znajdowali się ludzie mówiący tym samym językiem co jego poddani. Warto zastanowić się nad tą opinią starego „władcy ludzi”. Pozbawieni swych bibliotek, emigranci mogliby łatwo utracić zapas pojęć i wiadomości potrzebnych do rozmów z krajem, a wówczas warunek, który Dżengis Chan uważał za niezbędny dla trwałości jego władzy, zostałby spełniony, i emigracją przestaliby się interesować nawet urzędnicy powołani do jej nadzorowania.

Nie podobna opędzić się tym refleksjom, gdy myśli się o bibliotekach i bibliotekarzach emigracyjnych. Bibliotekarz nie jest tylko klucznikiem papierowego skarbu, lecz także przewodnikiem i niezastąpionym doradcą ludzi mających do czynienia

POLSKIE TOW. NAUKOWE NA OBCZYŻNIE

ADAM MICKIEWICZ

Księga w stulecie zgonu

(Redaktorzy:

ś.p. prof. Stanisław Stroński
i prof. Władysław Folkierski)

32 rozprawy uczonych polskich
i obcych, 540 stron, ilustracje

Cena: 42/— albo 6 dol.

Skład główny:

„VERITAS”, 12 Praed Mews, London, W.2

z książkami. Łatwo stosunkowo spełnić te zadania kierownikowi biblioteki posiadającej własny budynek i stałą pozycję w budżecie państwa. Bibliotekarz emigracyjny musi nadto walczyć o samo istnienie swej biblioteki i odczyniać niepomyślne dla niej uroki. O trudnościach tych zadań informuje artykuł p. Marii Danilewiczowej w nr. 6/152 „Kultury” z czerwca 1960.

Pani Maria Danilewiczowa jest kierowniczką Biblioteki Polskiej w Londynie. Tak wiele osób, nawet mieszkających daleko od Londynu, korzystało z jej wskazówek i z jej uprzejmości, że jakieś gremium czytelnicze powinno by uczcić ją tytułem bibliotekarki polskiej emigracji. Niżej zobaczymy, w jaki sposób sprawowany urząd wiąże się z ostatnią jej książką.

Pracując widocznie równo i systematycznie, p. Maria Danilewiczowa ogłasza co kilka lat nową książkę. W 1953 był to tom opowiadań „Blisko i daleko”, w 1956 powieść „Dom”. W opublikowanym w tym roku „Pierścieniu z Herkulanum” (1) autorka wraca do swego biblioteczno-archiwalnego żywiołu.

Archiwalno-biblioteczne tworzywo jest w jej rękach plastyczne jak wosk; mieni się nieznanymi szczegółami i znaleziskami, ustawionymi wszakże w wzorowym porządku, niby książki na półkach starannie utrzymanej biblioteki. Nie skatalogowany i nie rozsortowany stos druków jest bezkształtną i nieużyta masą, zmysł porządkowy jest więc najważniejszym rysem geniusza bibliotekarskiego. Autorka „Pierścienia” posiada go w najwyższym stopniu. Zmysł ten znajduje ciekawy wyraz także w jej stylu. W mojej np. nieporządnej prozie zdania, wlokąc się za meandrami myśli, kleją się jednej do drugiej; „który”, „którego”, „któremu” roją się w niej nieznośnie, jak muchy na padlinie. W tworzywie p. Danilewiczowej panuje tak przejrzysty ład, że krótkie jej, jasno oddzielone zdania padają jedno za drugim z metalicznym dźwiękiem, otoczone gładko jak perły. Wyrazu „który” używa najoszczędniej; na stronicach 14, 16, 20, 21, 22, 24, 25... np. nie znajdujemy go wcale. W rozprawie literackiej instynkt porządku, pozwalający widzieć wciąż jasno całość i rangę tematu, zajmuje mniej więcej takie miejsce jak poczucie dystansu wobec opisywanych osób i zdarzeń w prozie artystycznej. Mówi się teraz dużo o języku emigrantów; „Pierścień z Herkulanum” zasługuje pod tym względem na uwagę.

Szkice i rozprawy zawarte w „Pierścieniu” tworzą trzy grupy. Sześć pierwszych dotyczy Mickiewicza, jego otoczenia i przyjaciół oraz publikacji, jakie ukazały się na ten temat w okresie roku mickiewiczowskiego. Rozprawa tytułowa daje sylwetkę ks. Zinaidy Wołkońskiej i omawia jej stosunki z Mickiewiczem. Następna — „Mickiewicz nie jest moim przyjacielem” — poświęcona jest echem wizyty Mickiewicza w Wej-

marze w świetle znalezionej niedawno listu poety do Otylii, synowej Goethego. Trzecia — „Polityka rozdzieliła nas...” — dotyczy stosunków między Mickiewiczem i Puszkinem w świetle ostatnich badań Wacława Lednickiego; na końcu jej znajdujemy ciekawą wiadomość o „Jeźdźcu miedzianym”, przed kilkoma laty ogłoszonym w kraju poemacie Standégo. Czwarta — „Miles, vates, exul” — mówi o stosunkach i powinowactwach literackich Mickiewicza z Stefanem Garczyńskim. Piąta daje sylwetkę Celiny, żony poety, w związku z nowymi interpretacjami literackimi tej smutnej i niejasnej postaci. Ostatnia wreszcie — „Adam nie lubił pisać listów...” — omawia historię korespondencji Mickiewicza, najnowsze odkrycia w tej dziedzinie i wyłaniające się z listów oblicze poety. Wszystkie rozprawy zawierają wskazówki dotyczące niewyzyskanych dotąd źródeł i możliwości pogłębienia tematu.

Drugą grupę stanowią drukowane częściowo przed wojną rozprawy o dziejach dawnego Liceum Krzemienieckiego. Znajdujemy w nich opis życia wewnętrznego, naukowego i literackiego Liceum, sylwetki jego profesorów i uczniów oraz pseudoklasyczne i preromantyczne próby pióra tych ostatnich. Oparte na rękopiśmiennych materiałach archiwalnych, być może zniszczonych podczas wojny, rozprawy te rzucają światło na jeden z ciekawszych rozdziałów mało znanej i zaniedbanej historii naszych dawnych kresów. Praca ta zachęci być może kogoś do opisanego za świeżej pamięci dalszych dziejów Liceum Krzemienieckiego, wznowionego w okresie niepodległości. Dział ten kończy się omówieniem wydanego w 1953 dziennika podróży po Anglii z 1820-1821 dawnego Krzemieńczanina Karola Sienkiewicza.

Trzecia wreszcie grupa obejmuje szkice nie związane z sobą tematycznie. „Zmienne koleje przyjaźni” Zygmunta Krasinśkiego i Henry Reeve'a przynoszą nowe spojrzenia na przyczyny rozluźnienia się stosunków między obu przyjaciółmi. „Polska młodość Conrada” omawia ogłoszone w 1956 fragmenty odnalezionych w Warszawie 80 listów do Conrada. Większość ich stanowią listy Tadeusza Bobrowskiego, wuja pisarza. Listy te rzucają nowe światło na związki Conrada z krajem i rodziną, znacznie bliższe niż to było wiadome. Szkic ten zainteresuje żywo conradystów. Następny szkic poświęcony jest ogłoszonym po raz pierwszy w 1951 listom Henryka Sienkiewicza i wyłaniającą się z nich sylwetce człowieka i pisarza. Czwarty z kolei omawia III-ci tom dzienników Stefana Żeromskiego. Piąty zawiera wspomnienia autorki o Wacławie Berencie. Tom kończy się tekstem przemówienia, wygłoszonego przez nią z okazji trzydziestolecia „Wiadomości”.

„Pierścień z Herkulanum” jest książką świetnie napisaną, bogatą w równoważone sądy i mało znane informacje oraz odpowiadającą bardzo różnorodnym zainteresowaniom.

(1) Maria Danilewiczowa. *Pierścień z Herkulanum i płaszcz pokutnicy*, szkice literackie. B. Swiderski, Londyn 1960. Str. 384.

Nuda

Zanim nowa powieść Moravii (1) pojawiła się na półkach księgarskich, jej autor uznał za właściwe ogłosić w tygodniku *L'Espresso* coś w rodzaju krótkiego przewodnika dla czytelników w formie pytań i odpowiedzi. Procedura trochę niepokojąca, bo powstaje wątpliwość czy warto pisać powieść gdy można to samo powiedzieć krócej i jaśniej, ale zdaje się że chodzi tu o nowy obyczaj literacki, z którym wypadnie stykać się coraz częściej. Wolno nawet podejrzewać, że w niedalekiej już przyszłości każdy szanujący się powieściopisarz będzie uważał za swój obowiązek zaopatrywać publiczność w takie załączniki wyjaśniające *expressis verbis* co chciał powiedzieć i ukrył chytrze na iluś tam stronicach powieści, podobnie jak każdy szanujący się magazyn ogłasza rozwiązanie krzyżówek, rebusów i szarad z poprzedniego numeru. Proceder użyty przez Moravię zaskakuje o tyle tylko, że klucz został tu wytrząśnięty z rękawa przedtem, a nie potem, co mogłoby wskazywać albo na absolutną nieufność autora do czytelnika, albo na jego podświadomą obawę że za słabo zasugerował bądź zanadto zamotał w samej powieści prawidłowe „rozwiązanie”. Tak czy inaczej, trzeba zacząć recenzję od przytoczenia ważniejszych fragmentów tego przewodnika.

P. Dlaczego powieść nazywa się „Nuda”?

O. Ponieważ jej tematem jest nuda. A raczej, prawdziwy temat jest może inny, ale bez idei nudy nie napisałbym nigdy całej reszty.

P. Nudą zajmowało się wielu pisarzy. Na przykład, Pascal i Leopardi.

O. Tak, ale chodziło o inny rodzaj nudy. Dla Pascala nuda jest poczuciem daremności, pustki, śmierci, które pecha ludzi do szukania rozrywki, do rozerwania się i zapomnienia. Dla Leopardiego, który poświęcił jej wiele różnych definicji, nuda zdaje się być równoznaczna z *taedium vitae* starożytnych, czyli według jego własnych słów z „brakiem przyjemności, która jest elementem naszego istnienia i z brakiem rzeczy, która by nas odciągnęła od jej pragnienia”. Nie chcę naturalnie stawiać się na równi z tymi wielkimi pisarzami, ale moja nuda jest inna. Dlatego także że wierzę, iż moja odmiana nudy jest zjawiskiem nowym w historii ludzkości, jak nowy jest kryzys

(1) *La Noia*. Romanzo di Alberto Moravia. Mediolan, Bompiani, 1960; str. 347.

sztuki, który stanowi dziś jeden z jej najpoważniejszych przejawów.

P. Chodzi zatem o nudę o znamionach raczej społecznych niż indywidualnych?

O. Wszystkie uczucia indywidualne mają korzenie społeczne. Nuda, którą starałem się opisać w mojej książce jest z pewnością produktem określonego społeczeństwa.

P. Jakiego społeczeństwa?

O. Tego które dominuje dzisiaj w krajach Zachodu.

P. Czas już powiedzieć na czym polega ta nuda, nie sądzi pan?

O. Jest ona produktem alienacji. Czyli przerwaniem stosunku między człowiekiem i rzeczywistością, a więc między artystą i materią, lub jeśli kto woli — między podmiotem i przedmiotem.

P. Kim jest bohater? Pisarzem?

O. Nie, malarzem.

P. Dlaczego malarzem?

O. Kryzys stosunku między człowiekiem i rzeczywistością, a co za tym idzie — między artystą i materią, ujawnia się dziś we wszystkich dziedzinach sztuki. Ale *casus* malarstwa jest najbardziej znany, najbardziej plastyczny, najbardziej typowy. Dlatego wybrałem malarstwo.

P. Jakie malarstwo uprawia pański bohater?

O. Żadnego. Przestaje malować w pierwszej linijce pierwszej strony.

P. Co to ma znaczyć?

O. Ma to znaczyć, że nie sposób dać czytelnikowi do zrozumienia, iż bohater powieści jest wielkim artystą. Próbował D'Annunzio, ale rezultaty były więcej niż skromne. Z drugiej strony, artysta który ma trudności ze swoją sztuką jest bardziej dramatyczny od artysty, który ich nie ma.

P. Mówi się wiele o malarstwie w „Nudzie”?

O. Nie mówi się w ogóle.

P. Co więc jest treścią „Nudy”?

O. Historia miłości między trzydziestopięcioletnim malarzem i siedemnastoletnią dziewczyną.

P. A jaką rolę spełnia malarstwo?

O. Jest nieodzowne dla zrozumienia punktu widzenia, z którego oglądam i opowiadam historię miłosną. W stosunkach malarza z dziewczyną odbija się stosunek, jaki istnieje między malarzem i jego sztuką. Jedno wyjaśnienia drugie i *vice versa*. Ale jeśli się chce, można także czytać całą powieść jako zwykłą historię miłosną. W istocie rzeczy jest to historia pewnego doświadczenia.

P. Jakiego doświadczenia?

O. Tego które daje tytuł powieści.

P. Nuda jest doświadczeniem?

O. W mojej powieści tak. To znaczy czymś, co ma

początek i koniec. Co zaczyna się od A, a kończy na Z. Powieść posiada w samej rzeczy prolog i epilog; czyli otwiera ją rozdział, w którym wskazane są założenia problemu (bo chodzi o problem) nudy, a zamyka ją rozdział, w którym zarysowane jest — choćby nawet w sensie czysto psychologicznym — rozwiązanie.

Dalej można sobie pozwolić na skróty. Powieść jest „eseistyczna”, gdyż Moravia sądzi, że tylko taka powieść ma szanse wyjścia obronną ręką z kryzysu jaki przeżywa ten gatunek literacki. Czy wobec tego nie lepiej pisać wprost eseje? Nie, bo esej jest czystym produktem intelektu, a esyzm powieściowy musi być poezją i pogłębieniem psychologii. Powieść napisana jest w pierwszej osobie z tej samej przyczyny, która malarza pcha dziś do uprawiania malarstwa abstrakcyjnego: pierwsza osoba wskazuje na brak wiary w rzeczywistość obiektywną wspólną pisarzowi i czytelnikowi, trzecia osoba natomiast dowodzi istnienia takiej wiary. Nikt dziś nie wierzy w rzeczywistość obiektywną? Wierzą komuniści i katolicy, ale osiągnięte przez nich rezultaty artystyczne każą podejrzewać że Bogiem a prawdą nikt nie wierzy. Trzecia osoba używana była przez dziewiętnastowiecznych powieściopisarzy „wszechwiedzących”. Dziś, zważywszy że nikt nie wierzy w rzeczywistość obiektywną, nie możemy pisać „myślał”, gdyż nie wiemy na pewno co myśli trzecia osoba; możemy tylko pisać „myślałem”. W tym sensie stoimy w obliczu świata znacznie bardziej tajemniczego niż dawni. Bohater „Nudy” przemawia w pierwszej osobie, toteż tajemniczy jest nie on sam dla siebie, lecz tajemnicza jest dlań postać dziewczyny. Dlaczego? Ponieważ bohater „Nudy” oscyluje między wiedzą całkowitą, która jest nudą i nierealnością, a wiedzą niedoskonałą, która jest tajemnicą i nierealnością. Wiedza o rzeczywistości jest zatem niemożliwa? Wprost przeciwnie, jest możliwa, ale ma w sobie coś niszczącego i unicestwiającego: w chwili gdy poznajemy jakąś rzecz, przestaje ona dla nas istnieć. Nie możemy jednak zaprzestać prób poznania jej, nie możemy znieść myśli, że stawia nam opór, że jest tajemnicza, gdyż odczuwamy tę tajemnicę jako ograniczenie i spętanie. „Oto w niewielu słowach opowiedziałem historię mojej powieści”.

Do dodania pozostaje tylko — również w niewielu słowach — historia opowiedziana w samej powieści. Bohater, trzydziesto-pięcioletni Dino, jest jedynym synem bardzo bogatej wdowy, właścicielki willi na Via Appia. To on właśnie jest narratorem w pierwszej osobie. Nudzi się piekielnie. Nuda jest dlań „brakiem komunikatywności”, „rzeczywistością zbyt skąpą, rozrzedzoną, niedostateczną”. Przygląda się na przykład szklance: dopóki potrafi sobie powiedzieć, że chodzi o przedmiot ze szkła służący do picia, dopóki widzi tylko jego funkcjonalność, powstaje między nim a szklanką stosunek wystarczający do uwierzenia, że szklanka istnieje naprawdę; ale ledwie szklanka

zaczyna „wiednać”, staje się czymś „obcym”, ogarnia go nuda, rzeczywistość nabiera cech absurdu i traci zdolność do przekonania go o własnym istnieniu; nie byłoby to jeszcze takie straszne, gdyby nie świadomość, że jest gdzieś „nieznany raj”, w którym „przedmioty nie przestają ani na chwilę być przedmiotami”. Dino nie znosi matki i bogactwa, każe sobie wypłacać tylko niewielką sumę pieniędzy na najpilniejsze potrzeby. Wynajmuje pracownię na Via Margutta i próbuje zabić nudę malowaniem; ale wszystko wskazuje na to, że nie ma jako malarz nic do powiedzenia; jak wiemy już z przewodnika, „przestaje malować w pierwszej linijce pierwszej stronicy” powieści, umieszczywszy tylko w rogu pustego płótna swój podpis. Jego sąsiadem jest stary malarz Balestrieri, chorobliwy erotoman, który z jednakowym zapałem maluje i uwodzi wszystkie swoje modelki. Któregoś dnia Balestrieri umiera w objęciach siedemnastoletniej Cecilii. Dino przejmuje w spadku po nim modelkę i staje się jej nienasyconym kochankiem; ta część powieści — bardzo długa i bogata w szczegóły — zdaje się wskazywać, że Moravia często i pilnie studiował *Memoirs of Fanny Hill, a Woman of Pleasure*. Po pewnym czasie Cecilie spotyka los szklanki: „wiednie”, staje się czymś „obcym”, śmiertelnie znudzony Dino wpatruje się w nią jak w przedmiot pozbawiony atrybutów realnego istnienia. Chciałby z nią zerwać, lecz następuje rzecz nieprzewidziana: dziewczyna, która przy swoim fizycznym i niemal zwierzęcym apetycie erotycznym jest istotą poza wszelkimi pojęciami Dobra i Zła, nawiązuje równoczesny romans z innym mężczyzną, młodym i bezrobotnym aktorem. Dopiero wtedy Dino uprzytamnia sobie, że nie może się bez niej obyć. Miejsce nudy zajmuje ponura zazdrość. W końcu, by nie stracić Cecilii, Dino godzi się na spółkę w użytkowaniu, na miłość w trójkę. Nie przestaje go jednak toczyć robak posiadania wyłącznego, i co ciekawsze — chciałby dziewczynę posiadać bez innych „udziałowców” po to jedynie, by odzyskać swobodę w uwolnieniu się od niej, by wrócić do zagrożonej nagle nudy. „Człowiek zazdrosny dąży, choćby nawet wbrew samemu sobie, do umocnienia własnego poddaństwa; ja natomiast chciałem pozbyć się tego poddaństwa i nie widziałem innego sposobu osiągnięcia tego celu jak zniszczyć autonomię i tajemnicę Cecilii, sprowadzając ją do wymiarów czegoś znanego, pospolitego, pozbawionego znaczenia”. Powstaje zatem coś w rodzaju „pułapki natury”: Dino „wdepnął w nią obiema nogami i nie mógł się z niej wydobyć”. Przez chwilę myśli o uduszeniu kochanki, ale brak mu determinacji. Potem obsypuje ją pieniędzmi, jakby w ten sposób spodziewał się uczynić z niej swoją bezsporną własność, spostrzega jednak że dziewczyna wkłada do torebki zmięte banknoty z obojętnością osoby nie mającej pojęcia o ich wartości. Wreszcie, u kresu desperacji, ostatni atut: Dino proponuje Cecilii małżeństwo. Dziewczyna odmawia, bo nie czuje się na siłach opuścić swego drugiego kochanka. Dino wsiada do samochodu wyścigowego, wyjeżdża za miasto, i po

kilkunastu minutach szaleńczej jazdy rozbija się o drzewo. Jest to jak gdyby symboliczne zderzenie się z twardą i kanciastą rzeczywistością, która mimo wszystko posiada — jak się okazuje — pewną konsystencję, istnieje naprawdę, skoro można sobie w zetknięciu z nią połamać kości. Po tym nieudanym zamachu samobójczym Dino leży w szpitalu z uczuciem „żałobnej i zrezygnowanej pogody ducha”. „Odbyłem podróż aż do mrocznych rejonów śmierci, i wróciłem stamtąd; teraz nie pozostało mi już nic innego jak tylko żyć, choćby nawet bez nadziei”. Przyłapuje się na tym, że rozmyśla z czułością o Cecilii i jej drugim kochanku. Jest szczęśliwy, że dziewczyna istnieje. Może nawiąże z nią dawne stosunki, godząc się na *ménage à trois*, a może nie. Nie jest to już ważne; ważne jest tylko to, że nie przestanie jej nigdy kochać. Nuda wydaje się pokonana: świat nabrał „realności istnienia” i „komunikatywności”; dzięki przydrożnemu platanowi, który rozerwał zamkniętą obręcz, jakiś przecież kontakt z życiem innych ludzi stał się nareszcie możliwy.

Być może, odrobinę żartobliwy i ironiczny ton jakiego użyłem dotąd, w zwykłym „zreferowaniu” powieści Moravii, nasunie czytelnikowi podejrzenie, że nie biorę jej na serio. Tak nie jest. Uważam Moravię za bardzo dobrego pisarza, jego pierwszą powieść *Gli Indifferenti* za jedną z przełomowych pozycji w prozie okresu międzywojennego, jego dwie późniejsze powieści *La Romana* i *La Ciociara* za książki nieprzeciętne, a miejscami nawet wybitne, jego niektóre krótkie nowele z cyklu *Racconti romani* za arcydzieła miniatury literackiej. Zanim *La Noia* wzbudziła we mnie (zamierzoną przez autora?) nudę, wydawała mi się przez chwilę czymś oryginalnym i ambitnym. Pamiętając zwłaszcza o ostatnich zdaniach przewodnika Moravii, gdzie mowa o tym, że wiedza o rzeczywistości ma w sobie coś niszczącego i unicestwiającego, sądziłem iż *Nuda* podejmie temat zawarty w słowach Maeterlincka, które Robert Musil położył na tytułowej karcie swej pierwszej powieści *Die Verwirrungen des Zöglings Törless*: „W jakiś dziwny sposób pozbawiamy rzeczy wartości ledwie je wymawiamy. Zdaje nam się, że pograżyliśmy się w najgłębszej otchłani, a tymczasem gdy wracamy na powierzchnię kropla wody na czubkach naszych białych palców nie przypomina już w niczym morza, z którego się wynurzamy. Zdaje nam się, że odkryliśmy pieczarę pełną cudownych skarbów, kiedy zaś wracamy na światło dzienne ściskamy w rękach fałszywe klejnoty i odłamki szkła; a przecież w ciemnościach skarb polyskuje nadal niezmienny”.

Główną przyczyną porażki Moravii w *Nudzie* jest całkowity niemal brak tonu uniwersalistycznego, obchodzącego wszystkich. Napisał on powieść na zadany temat, „problem nudy” odczuwając tylko na tyle by poświęcić mu kilkanaście stron wnikliwej choć podręcznikowo lodowatej prozy eseistycznej. Cała reszta, to co powinno być właściwą powieścią, albo nie istnieje w ogóle, albo istnieje w zupełnie innych kategoriach:

nie jako przemożne dziś ponoć poczucie „alienacji”, nie jako typowy dla naszych czasów (o czym zresztą należy nas dopiero przekonać) kryzys „wiary w rzeczywistość obiektywną”, lecz jako *casus* kliniczny któremu na imię Dino. Sprawa staje się trywialna i jest winą wyłącznie Moravii, że można ją równie trywialnie opowiedzieć: trzydziestopięcioletni i łysiejący już byczek, dobrze odpasiony i wypoczęty dzięki nieróbstwu, nudzi się śmiertelnie; próbuje ubogiego cygańskiego życia na Via Margutta, ale wie doskonale, że w każdej chwili może pojechać do swojej obwieszanej biżuterią mamaszy na Via Appia i wyłudzić od niej „kieszonkowe” w wysokości pół miliona lirów; próbuje malarstwa, ale jest dość inteligentny by zrozumieć, że go w kołysce nie całowały *Muzy*; próbuje narkotyku erotycznego, ale odkrywa szybko że ilość wariantów w tej dziedzinie jest ograniczona, a trudno o pewniejsze źródło nudy niż „smutek post-coitalny”; zazdrość popycha go ku nieznanemu dotychczas uczuciu miłości, ale ponieważ *chce się nudzić* za wszelką cenę (bo nuda jest dlań czymś w rodzaju alibi, samousprawiedliwienia i ostatecznie dość wygodnego futerału), rozmyśla o sposobach zniszczenia tej miłości. Co robić? Leczyć go? Można i leczyć. Elektroszokiem? Można i elektroszokiem, ale wystarczy drzewoszek. Rzeczywistość istnieje i jest wcale twarda. Po co wierzać, szarpać się jak ryba na ościeniu, skoro zniemawidzona mamasza stoi już nad grobem. Tak, będzie raczej nudnawe roztrwonienie jej fortuny; tak, *ménage à trois* nie należy do rzeczy najprzyjemniejszych; ale takie jest życie.

Jest, powtarzam, wyłącznie winą samego Moravii, jeśli takie streszczenie jego powieści nie odbiega w gruncie rzeczy od prawdy. Dramat nudy istnienia mógłby być uniwersalny i przejmujący, gdyby jego bohater był czymś więcej niż antypatycznym zerem, nieodrodnym synem tej najohydniejszej na świecie, zatłuszczonej, egoistycznej i zidiociałej burżuazji, jaką jest bogata burżuazja włoska; gdyby był autentycznym artystą i wrażliwym człowiekiem. U Moravii całe zagadnienie przeistacza się w płaski dramacik prywatny, rozgrywający się na bardzo specyficznej i wąskiej scenie społecznej: dlatego zapewne Dino przypomina często znudzonych kretynów, jakich ogląda się w kawiarniach na Vittorio Veneto i w *La dolce vita* Felliniego. Nie bez kozery jedną żywą postacią w powieści jest matka bohatera, a jedynym plastycznym epizodem — „szykowne” przyjęcie w willi na Via Appia: widać tu przy robocie pisarza (o dziwo! naturalistycznego mimo dąsów na naturalizm), który zna „środowisko” od podszewki. Nie jest też rzeczą przypadku że Moravia, tak dotąd wytrawny i pełen swoistej poezji w opisach miłości fizycznej, doprowadza w *Nudzie* erotyzm na skraj pornografii.

Okładkę *Nudy* zdobi rysunek abstrakcyjny (przypuszczalnie dla podkreślenia faktu, że powieść w pierwszej osobie jest odpowiednikiem malarstwa abstrakcyjnego): czarny, postrzępiony kleks, podobny do testów psychologicznych Rorschacha. I jak

w testach Rorschacha, 350-stronicowa spowiedź ukryta pod tym kleksem nie może obchodzić nikogo poza pacjentem opowiadającym w pierwszej osobie i jego lekarzem.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Lekcja Czechowa

W sierpniu 1957 roku Ilja Erenburg ogłosił w *Inostrannoj Literature* szkic o autorze *Pustelni Parmeńskiej*. Nazywał się on, o ile mnie pamięć nie myli, *Lekcja Stendhala*. Był namiętną tyradą przeciw tyranii, tyradą w której Stendhal odgrywał tylko rolę parawanu: „Co się liczy to nie osobowość tyрана, lecz istota tyranii. Tyran może być inteligentny lub głupi, dobry lub zły — ale w każdym wypadku jest równocześnie wszechwładny i bezsilny. Drży na myśl o spiskach; jest otoczony pochlebami; jest oszukiwany. Pęcznieją więzienia; tchórzliwi hipokryci szepczą po kątach; i milczenie staje się tak całkowite, że zamiera niemal bicie serca... Wina tkwi w społeczeństwie, które żąda obłudy, karą ściga prawdę i dławi uczucia w imię paru konwencji”.

Być może, wtedy po raz pierwszy przyszła autorowi *Odwilży* do głowy myśl, że najbezpieczniej i najwygodniej jest komentować teraźniejszość pozorując spojrzenie w przeszłość. Tak zapewne powstała jego skromna rozmiarami książeczka o Czechowie (1). Jej formuła jest prosta: wszyscy w Rosji kochamy cudownego i czystego Antona Pawłowicza; zastanówmy się więc chwilę za co.

Jako wkład do literatury o Czechowie książeczka Erenburga posiada znikomą wartość; powtarza stare komunały lub z trochę bakalarską prostodusznością tłumaczy rzeczy oczywiste i nie zawsze najważniejsze; „wyważa — jak sam autor przyznaje — otwarte drzwi”. Ale kto wie czy ta forma broszurki popularnej, dalekiej krewnej zasłużonych „Mrówek” i „Pszczółek”, nie jest rezultatem świadomego i podwójnie celnego wyboru: podwójnie, bo szkolarska niewinność zasłania i uwypukla w niej równocześnie ukryte w podtekście kazanie moralne. Można co prawda wątpić czy w wypadku Erenburga kaznodzieja ma dostateczny tytuł, by wdrapywać się na ambonę, w ustrojach

(1) Ilja Grigoriewicz Erenburg. *Perczitywaja Czechowa*. Moskwa, Goslitizdat, 1960; str. 110.

totalitarnych jednak pamięć ludzka nie sięga na ogół zbyt daleko wstecz: w okresach gdy „tchórzliwi hipokryci szepczą po kątach” i „zamiera niemal bicie serc” nacisk jest tak duży, że każdorazowe jego zelżenie pozwala swobodnie stosować amnezję prywatną i pokładać pełną ufność w amnezji innych.

Najciekawsza jest pierwsza połowa książeczki, która w oparciu o poźółkły już dagerotyp autora *Wiśniowego sadu* kreśli coś w rodzaju Wizerunku Pisarza Doskonałego. Wykpiwszy delikatnie to co o Czechowie pisze *Encyklopedycznej słownik*, Erenburg oddaje od razu głos głównemu zainteresowanemu (cała zresztą książeczka napisana jest w stylu „Czechow *par lui-même*”): „Kiedy mówią mi o artystycznym i antyartystycznym, o tym co sceniczne a co niesceniczne, o tendencji, realizmie itd., odczuwam zmieszanie, niezdecydowanie potakuję i odpowiadam banalnymi półsłówkami, które niewarte są nawet miedziaka. Wszystkie utwory dzieję na dwa gatunki: na te które mi się podobają, i na te które mi się nie podobają. Nie mam innego kryterium, a jeśli zapytacie dlaczego podoba mi się Szekspir, a nie podoba mi się Złatorwatskij, nie potrafię odpowiedzieć. Być może z czasem, kiedy zmądrzeję, dorobię się kryteriów, ale chwilowo wszelkie rozmowy o „artystyczności” męczą mnie tylko i wydają mi się dalszym ciągiem tych scholastycznych dysput, którymi ludzie zamęczali się w Średniowieczu”. Komentarz Erenburga: „Czechow wiedział jak ma pisać, ale nie budował teorii, nie pisywał artykułów o sztuce i rzadko, niechętnie mówił o swej pracy”. Jak na początek, nie najgorzej w kraju gdzie istnieją szkoły literackie z „klasami poezji, prozy i dramatu”, gdzie zaczernia się tony papieru wywodami na temat różnych odcieni „prawdziwego” i „faszywego” realizmu, gdzie całe zastępy alchemików literackich pracują nad przepisami na „bohatera pozytywnego”, gdzie nierozstrzygnięty ciągły problem „konfliktów antagonistycznych i nieantagonistycznych” nawiązuje w prostej linii do sporów scholastycznych i zaprzęta uwagę tysięcy pisarzy. Dalej: „W utworach Czechowa nie znajdziemy nigdy białej i czarnej farby w czystej postaci... Słowo „realizm” samo w sobie nic nie znaczy. Sałtykow-Szczedrin w szkicach satyrycznych i Gorkij w pierwszych nowelach romantycznych byli także realistami. Słuszniej byłoby powiedzieć że Czechow, starając się odkryć świat wewnętrzny człowieka, używał metod nie grafika, lecz malarza”. Czechow, który uwielbiał *Wojnę i pokój*, nie mógł Tolstojowi darować postaci Napoleona („Ledwie zjawia się Napoleon, zaraz naciąganie i rozmaite sztuczki, które mają wykazać że był on głupszy niż w rzeczywistości”). Łatwo tu usłyszeć wymówkę pod adresem tak chętnie przez pisarzy sowieckich stosowanej procedury „przeczerznięcia wroga” (zwłaszcza „zewnątrznego”).

Ale znacznie bardziej od techniki artystycznej Czechowa obchodzi Erenburga (w roli kaznodziei) jego postawa moralna. Czechow bywał za życia często atakowany za „brak zasad”, „indyferentyzm”, „beznamiętny obiektywizm”, „niezaangażo-

wanie", „neutralność". Erenburg przytacza dwie jego odpowiedzi na te zarzuty. Pierwsza, utrzymana w tonie poirytowanym, a nawet gniewnym (rzecz u Czechowa niezwykła!), skierowana była do liberalnej *Russkoj Mysli*, gdzie nazwano go „kapłanem pisaniny wyzutej z zasad": „Na krytyki zazwyczaj się nie odpowiada, lecz w tym wypadku może chodzić nie o krytykę a po prostu o oszczerstwo... Pisarzem bez zasad albo, co wychodzi na jedno, szubrawcem nie byłem nigdy. To prawda że cała moja działalność literacka składała się z nieprzerwanego szeregu pomyłek, niekiedy ciężkich, ale tłumaczy się to rozmiarami mojego talentu, a nie tym czy jestem dobrym czy złym człowiekiem. Nie szantażowałem, nie splamilem się ani paszkwilami ani donosami, nie schlebiałem, nie kłamałem, nie obrażałem, krótko mówiąc — jest w moim dorobku wiele opowiadań i artykułów wstępnych, które wyrzuciłbym chętnie za to że są kiepskie, ale nie ma ani jednej takiej linijki której bym się dziś wstydził... Wasz zarzut jest potwarzą". Adresatem drugiej odpowiedzi był „pietraszewiec" Pleszczajew: „Pisz mi pan że w moich opowiadaniach brak elementu protestu, że nie ma w nich sympatii i antypatii. A czyż nie protestuję w nich od początku do końca przeciw kłamstwu? Czyż to nie jest nastawienie?... Nie jestem ani liberałem, ani konserwatystą, ani postępowcem, ani mnichem, ani indyferentystą... Nienawidzę kłamstwa i przemocy we wszystkich postaciach". Uderzającą jest w związku z tym uwaga Erenburga w polemice z krytykiem sowieckim Sobolewem, który określił Czechowa jako „wyraziciela ideologii radykalnej burżuazji". „Czechow — powiada Erenburg — nie występował ani jako przedstawiciel radykalnej burżuazji, ani jako przedstawiciel chłopstwa czy inteligencji. Czechow w ogóle nie występował — nie były przecież chyba wystąpieniami politycznymi jego rozmowy z przyjaciółmi czy list do Akademii Nauk (chodzi tu o złożenie, wraz z Korolenką, godności Akademika na znak protestu przeciw unieważnieniu wyboru Gorkiego — przyp. mój). Jeśli natomiast mowa o utworach Czechowa, to poruszone są w nich problemy o jakich nie śniło się nawet przedstawicielom najradykalniejszej burżuazji".

Byłoby oczywiście przesadą doszukiwać się w tym pochwały pisarza apolitycznego. Erenburg zmierza do innej konkluzji (niemniej, w dzisiejszej Rosji, niekonformistycznej): że „zaangażowanie" pisarza nie jest tym samym co zaangażowanie działacza społecznego czy politycznego, że „przynależność" pisarza posiada o wiele bardziej skomplikowany mechanizm. Czechow pisał do Suworina: „Nie jest rzeczą artysty rozstrzygać wąskie i specjalne problemy. Złe kiedy pisarz bierze się do tego czego nie rozumie... Artysta obserwuje, wybiera, domyśla się, komponuje — już same te czynności zakładają z góry istnienie problemu; jeśli od początku nie zadał sobie jakiegoś pytania, to nie ma się czego domyślać i nie ma czego wybierać... Słusznie domaga się pan od artysty sumiennego stosunku do własnej pracy, ale miesza pan dwie rzeczy: rozstrzygnięcie problemu

i należyte postawienie problemu. Tylko to drugie obowiązuje pisarza... Artysta winien być nie sędzią swoich postaci i tego co mówią, lecz beznamiętnym świadkiem... Beszta mnie pan za obiektywizm, nazywając go obojętnością wobec dobra i zła, brakiem ideałów itd. Chce pan bym przedstawiając koniokradów mówić: kradzież koni jest złem. Ale przecież o tym wiadomo i beze mnie. Niech koniokradów sędzi ława przysięgłych, a do mnie należy tylko pokazać jacy oni są... Kiedy piszę, liczę w pełni na czytelnika, oczekując że niedostateczne w opowiadaniu elementy subiektywne dośpiewa sobie sam". Pojęcie „pisarza-beznamiętnego świadka" jest widocznie bardzo bliskie Erenburgowi, skoro dodaje on z nieukrywanym zapalem: „Czechow nigdy nie składał fałszywych zeznań, nie rozniżał się z rzeczywistością, z prawdą życia; ale, przedstawiając żywych ludzi, nie tań też nigdy swego stosunku do dobra i zła, do ideałów; występował to jako świadek oskarżenia to jako świadek obrony, lecz mówił prawdę, tylko prawdę, całą prawdę etc. etc.". Tej części książeczki przyświecają zatem słynne słowa autora *Mewy*: „Szczególne piękno sztuki polega na tym, że nie można w niej kłamać... Można kłamać w miłości, w polityce, w medycynie, można oszukać ludzi i samego Pana Boga — bo i takie wypadki bywały, — ale w sztuce oszukać nie można".

Ciekawe jest podkreślenie przez Erenburga niechęci Czechowa do „świętych tekstów". Po ukazaniu się *Zmartwychwstania* Tołstoja Czechow nazwał je „wybitnym utworem artystycznym", ale koniec powieści wydał mu się mało przekonujący: „Pisać, pisać, a potem wziąć i zwalić wszystko na tekst z Ewangelii — to już zanadto trąci teologią. Rozstrzygać wszystko tekstem z Ewangelii — to taka sama dowolność jak dzielić aresztantów na pięć kategorii. Dlaczego na pięć, a nie na dziesięć? Dlaczego tekst z Ewangelii, a nie z Koranu? Trzeba najpierw zmusić do uwierzenia w Ewangelię, do uwierzenia w to że właśnie ona jest istotą rzeczy, a dopiero potem rozstrzygać wszystko tekstem". Dla „teleologicznych" (jak ich nazywa Anonim w swoim szkicu o realizmie socjalistycznym) pisarzy sowieckich, postępujących się tak chętnie i przy byle sposobności tekstami z świętych ksiąg marksizmu-leninizmu, ten fragment lekcji Czechowa nie jest pozbawiony pewnej aktualności.

W Wizerunku Pisarza Doskonałego nie brak również uwag ogólniejszej nieco natury o etyce pisarskiej. „Zartując Anton Pawłowicz powiedział kiedyś, że próbował różnych gatunków literackich, nie pisał tylko nigdy wierszy, powieści i donosów". Erenburg cytuje list Czechowa do redaktora *Nowoje wremja* Suworina, zrywający dawną przyjaźń na tle różnic w poglądach na proces Dreyfusa: „Rzeczą pisarza jest nie obwiniać, nie prześladować, lecz brać w obronę nawet winnych kiedy są już osądzeni i odbywają karę... Oskarżycieli, prokuratorów, żandarmów dość jest i bez pisarzy, i w każdym razie z rolą Pawła bardziej im do twarzy niż z rolą Szawła". W rok potem, gdy

Nowoje wremja napiętnowało rozruchy studenckie, Czechow raz jeszcze odezwał się do Suworina: „Państwo zabroniło panu pisać, państwo nie pozwala mówić prawdy, to samowola, a pan z okazji tej samowoli rozprawia z lekkim sercem o prawach i prerogatywach państwa — nie układa się to jakoś w sumieniu”.

Najbardziej jednak znamieny — nie wahałbym się powiedzieć: zaskakujący u pisarza sowieckiego — jest dla mnie osobiście podziw, jaki w Erenburgu budzą dwa szczególnie opowiadania Czechowa: *Skuczna historia* i *Rasskaz niezwiastnego czelowieka* (Erenburg przypomina że *Nudną historię* uważał za arcydzieło Tomasz Mann, ale nie dostrzega — jak zresztą nikt, zdaje się, dotąd nie dostrzegł — pewnego subtelного pokrewieństwa tonu między tym opowiadaniem Czechowa a *Smiercią w Wenecji*). *Nudną historię* i *Opowieść nieznanego* łączy jedna rzecz: i tu i tam na pytanie „jak żyć?” pada odpowiedź „nie wiem”; tak odpowiada stary i sławny profesor Nikołaj Stiepanowicz swojej wychowawcy Katji, taką odpowiedź słyszy z ust młodego rewolucjonisty Władimira Iwanycza zabląkana w życiu Zinajda Fiodorowna. Jest to typowa odpowiedź Czechowa, odpowiedź człowieka który nie wierzy by ktokolwiek — niezależnie od wieku, doświadczenia, książkowej wiedzy i szczytnych ideałów — potrafił sprostać tak ogromnemu pytaniu. Każdy musi szukać sam — zdaje się mówić Czechow na długo przed conradowskim „żyjemy tak jak śnimy — samotni”. W pewnym sensie to przeświadczenie wykarmiło całą nowoczesną literaturę zachodnią; z triumfalnym okrzykiem optymizmu skazano je na wieczystą banicję w „pierwszym na świecie państwie socjalistycznym”...

Za co więc naprawdę, szanowni koledzy po piórze, kochamy w Rosji wszyscy cudownego i czystego Antona Pawłowicza?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Armia i społeczeństwo

Wiatr jest członkiem partii. Przed swoją nominacją na katedrę socjologii w Krakowie wykładał socjologię wojska i wojny w Wojskowej Akademii Politycznej. Był przez krótki czas posądzany o rewizjonizm, lecz jeden z pierwszych wziął udział w nagonkach na rewizjonistów, a w omawia-

Jerzy J. Wiatr. *Armia i społeczeństwo* (Wprowadzenie do socjologii wojska), str. 397, Wyd. MON, Warszawa, 1960).

nej pracy bardzo swój marksizm podkreśla. Niemniej napisał książkę, która jest b. dobra jako popularne wprowadzenie do socjologii wojska. Należy co prawda dodać, że pod pewnym względem jest to sukces dość łatwy, albowiem nie istnieją inne wprowadzenia do tej dziedziny socjologii; ale nawet biorąc pod uwagę niepomysłny stan socjologii, jest godne podziwu, że pierwsza praca tego rodzaju ukazała się w Polsce Gomułki. Aby uniknąć nieporozumień muszę dodać, że istnieją oczywiście dzieła na ten temat, lecz są to mniej lub więcej wyspecjalizowane monografie, a jedyne ogólne dzieło na ten temat (mianowicie moja *Military Organization and Society*) wymaga od czytelnika pewnego stopnia wiedzy, i nie zagłębia się w zagadnienia dostatecznie rozpracowane przez innych. Poza tym, niektóre zwroty (na szczęście nieliczne) oraz końcowa część książki dyskwalikowałyby autora piszącego w kraju o ustroju bardziej liberalnym: rozdział szósty pt. „Armia w Kraju Socjalistycznym” jest, oczywiście, czystą apologetyką; aczkolwiek znowu trzeba przyznać Wiatrowi, że uprawia marksistowską apologetykę inteligentnie, starając się uniknąć wypowiedzi zupełnie absurdalnych. Widać, że jego wielkie zdolności umysłowe nie pozwalają mu wpaść w bezmyślne doktrynerstwo. Pisząc na jeden z najdrażliwszych tematów jakie można znaleźć w dziedzinie nauk społecznych (którego prawdopodobnie opracowanie wymaga pewnej dozy odwagi nawet od autora piszącego w lepszych warunkach), a z drugiej strony nie chcąc wypisywać jawnych bzdur, nasz autor misternie lawiruje. Jego sztuka żeglowania pod wiatr marksizmu przejawia się najlepiej w rozdziale trzecim pt. „Rozwój marksistowskich poglądów o społecznej funkcji armii”: nie ma tam prawie nic o proletariackim raju na ziemi, ale za to jest obszerne omówienie myśli Lenina, Stalina i Mao tse Tung'a o taktyce wojny rewolucyjnej — tzn. o przedmiocie, na którym się dobrze znali, i o którym pisali w sposób na ogół realistyczny.

Rozdziały pierwszy i drugi zawierają całkiem rzeczowe omówienie poglądów pisarzy „burżuazyjnych” — głównie francuskich — z okresu rewolucyjnego oraz amerykańskich z początku zeszłego stulecia — na temat roli wojska w społeczeństwie. Najciekawsze (zarówno z punktu widzenia merytorycznego jak diagnostycznego) są rozdziały czwarty i piąty pt. „Armia a klasowa struktura społeczeństwa” oraz „Współczesna armia a struktura władzy państwowej”. Dają one dobry wgląd w problematykę. Nawiasem mówiąc, po zaatakowaniu mnie jako pisarza emigracyjnego, autor w dużej mierze opiera się na moich poglądach na te sprawy. Jak na marksistę nasz autor wykazuje niezwykłą dozę obiektywizmu. Nawet omawiając obecną sytuację w Stanach Zjednoczonych Wiatr nie używa wyzwisk, i opiera się na całkiem poważnych źródłach. Omawiając sprawy państw Zachodu podkreśla bardzo jednostronnie, oczywiście, cechy niezbyt zgodne z wywanymi przez nie idealami, lecz robi to mniej więcej w granicach prawdy.

Biorąc pod uwagę drażliwość przedmiotu, książka Wiatra zasługuje na pochwałę: z wyjątkiem ostatniego rozdziału, nawet na Zachodzie zaliczałaby się do lepszych.

Stanisław Leonard ANDRZEJEWSKI

Dziecięca choroba uprzemysłowienia

Po odejściu Zbigniewa Brzezińskiego do Columbii, Adam Ulam jest jedynym profesorem polskiego pochodzenia na wydziale *Government* Uniwersytetu Harward. Urodzony we Lwowie, studia wyższe odbył on już w Ameryce, specjalizując się w zagadnieniach teorii i praktyki marksizmu oraz w zagadnieniach sowieckich. Uprzednio ogłoszone przez niego prace dotyczyły: Podstaw filozoficznych angielskiego socjalizmu, Titoizmu i Kominformu oraz Rosyjskiego systemu politycznego. Praca ostatnia (1) rezultat kilkuletnich studiów subsydiowanych przez fundację Rockefellera i Guggenheima — nie jest książką łatwą w czytaniu. Wymaga dość wysokiego poziomu przygotowania czytelnika, zarówno ogólnego jak i w dziedzinach specjalnych teorii marksizmu i praktyki sowieckiej. W wielu wypadkach autor operuje skrótami myślowymi i, z reguły, zakłada znajomość przez czytelnika historycznych faktów. Skoro się jednak przezwycięży pewne początkowe trudności, książka zaczyna wciągać i czyta się ją ze wciąż wzrastającym zainteresowaniem. Nie znaczy to, aby wszyscy mieli podzielać podstawowe tezy oraz sposób rozumowania autora. Ale nawet nie zgadzając się z nim, czy nawet chwilami wręcz się irytując, nie można nie przyznać, że książka pobudza i daje wiele do myślenia. I to jest jej dużą zaletą.

Przez marksizm prof. Ulam rozumie w znacznie większym stopniu ruch polityczno-społeczny niż doktrynę, praktykę raczej niż teorię czy ideologię. Co więcej, zaprzecza nawet by marksizm stanowił jakąś oryginalną i samodzielną doktrynę. Jego zdaniem, Marks był nie tyle oryginalnym myślicielem, co — jak pisze — „wielkim syntetykiem i chłonnym asymilatorem idei i faktów społecznych”. Na jego koncepcje wywarły wpływ bardzo „liczne umysły i liczne ruchy”. Twierdząc tak, prof. Ulam idzie znacznie dalej, niż potoczna opinia, uważająca marksizm za „trójjedyną” syntezę: niemieckiej filozofii, angielskiej klasycznej ekonomii politycznej i francuskich teorii utopijnych socjalistów. Zdaniem Ulama, wpływ na marksizm wywierali nie jacyś poszczególni myśliciele i nawet nie jakies wyraźnie określone szkoły czy kierunki myśli filozoficznej, ekonomicznej czy polityczno-społecznej, lecz całokształt intelektualnej atmosfery pierwszej połowy XIX w. okresu formowania się marksizmu. Autor twierdzi i w znacznym stopniu udowodnia to w swej pracy, że wiele z koncepcji marksizmu, które dziś wydają się zaskakujące czy alarmujące, w pierwszej połowie XIX w. w środowiskach angielskich czy kontynentalnych radykałów lub socjalistów byłyby uważane za banalne. Te właśnie szeroko rozpowszech-

(1) Adam ULAM, *The Unfinished Revolution — An Essay on the Sources of Influence of Marxism and Communism*, New York, Random House, 1960.

to znaczy nie idei jako wytworów poszczególnych jednostkowych umysłów, lecz takich idei, które były, lub wydawały się być, postulatami czy też praktycznymi żądaniami całej klasy społecznej. Zdaniem prof. Ulama, Marks świadomie czy podświadomie znajdował się pod szczególnym wpływem ówczesnych wielkich ruchów społeczno-politycznych, tzw. Czartyzmu z jednej strony i liberalizmu z drugiej, i w istocie rzeczy marksizm jest dalszym ciągiem tych ruchów.

W wielkich masowych ruchach trudno uniknąć rozbieżności czy nawet sprzeczności poglądów i postulatów oraz zachować całkowitą zwartość i jednolitość myśli, koncepcji czy idei. Prof. Ulam zwraca uwagę na szczególnie jaskrawo występującą w marksizmie sprzeczność w stosunku do najbardziej istotnego dla naszych czasów zagadnienia — zagadnienia uprzemysłowienia. W uprzemysłowieniu marksizm jednocześnie widzi i dobro niemal najwyższe i ogromne zło. Emocjonalnie marksizm jest gorącym przeciwnikiem uprzemysłowienia i wszystkich związanych z nim dla szerokiej mas bezpośrednich przychylnych konsekwencji. Wyrazem tego emocjonalnego stosunku były zarówno historyczne fakty buntu robotników przeciwko zmieniającym warunki ich bytowania maszynom, jak i charakterystyczna dla marksizmu nienawiść i wrogość „klasowa” do przeprowadzających w praktyce owe uprzemysłowienie przemysłowców-kapitałistów. Natomiast racjonalnie i logicznie marksizm jest największym zwolennikiem uprzemysłowienia i w nieograniczonym postępie nauki i techniki widzi środek stworzenia niemal raj na ziemi. Zdaniem Ulama, geniusz Marksa polegał nie tylko na tym, że potrafił on wyodrębnić z urazów proletariatu ich podświadomą teoretyczną istotę, lecz nadto zdołał ją przetworzyć w system, który żywiłowy protest społeczny przekształcił w filozofię o celach akurat odwrotnych niż bezpośrednie dążenia robotników. Prof. Ulam pisze: „Anty-uprzemysłowość i najbardziej bezwzględna wiara w uprzemysłowienie są to dwie krzyżujące się nawzajem zasady marksizmu. Są one tak ściśle ze sobą zespolone, że trudno którąkolwiek z nich wydzielić w jej pełnej istocie i sensie. Anty-uprzemysłowość doktryny dorównywuje czy nawet przewyższa w napięciu najbardziej skrajne hasła anarchistyczne. Jednocześnie leżąca u jej podstawy wiara w postępek poprzez rozwój nauki i przemysłu często przewyższa w napięciu i treści najbardziej skrajny optymizm liberałów na temat dobroczynnych skutków rozwoju przemysłu i wolnego rynku”.

Niezwykła chłonność umysłu Marksa i jego wręcz genialna zdolność syntetyzowania i systematyzowania różnorodnych koncepcji i postulatów, zdaniem prof. Ulama, uległa zahamowaniu gdzieś około 1850 roku. W rezultacie marksizm pozostał wyrazem nastrojów i poglądów, aspiracji i postulatów, wczesnego okresu uprzemysłowienia, jaki wówczas przechodziły kraje Europy Zachodniej. To ma tłumaczyć, dlaczego w krajach anglosaskich, gdzie wczesny okres uprzemysłowienia należy już do dawno zapomnianej przeszłości, marksizm cieszy się znikomym powodzeniem. Inaczej jest w krajach, które dopiero wchodzą w okres uprzemysłowienia. Tam poszczególne jednostki i masy znajdują w marksizmie usystematyzowany wyraz swoich własnych odczuć i poglądów, aspiracji i postulatów. Tym się tłumaczy ogromne powodzenie marksizmu w Rosji i innych krajach spóźnionych w rozwoju. Prof. Ulam pisze: „Każde społeczeństwo, wkraczające w okres uprzemysłowienia i modernizacji, przechodzi swój okres 'marksistowski', kiedy poszczególne idee Marksa wydają się mieć znaczenie przy rozwią-

nione w pewnym okresie historycznym w Anglii i we Francji opinie czy poglądy, niekiedy zasadniczo sobie przeciwstawne, Marks, zdaniem Ulama, potrafił zespolić w jedną całość i stworzyć z nich jedną wielką syntezę. Była to zresztą synteza nie tyle teoretycznych myśli, co „idei w działaniu”, zywaniu jego własnych problemów i znajdują swe odbicie w nastrojach mas, nawet wówczas gdy masy te nigdy nie słyszały imienia Marksa i nie nie wiedzą o zapoczątkowanym przez niego ruchu. Stąd powodzenie marksizmu i pozornie marksistowski charakter ruchów społecznych w wielu krajach świata, powodzenie, które zawsze by miało miejsce, choć może wyrażałoby się w odmiennych formach, gdyby marksizm nie był reprezentowany przez jedno z dwóch największych mocarstw świata. Stąd niezwykła atrakcyjność marksizmu dla kół intelektualnych i naukowych oraz dla mas w społeczeństwach podlegających uprzemysłowianiu. Tam bowiem marksizm nie przychodzi jako całkiem nowa doktryna, przekonywująca przy pomocy faktów i liczb, lecz jako coś, co porządkuje i systematyzuje ich własne koncepcje i uczucia”.

Dopiero po Drugiej Wojnie Światowej stało się, zdaniem prof. Ulama, oczywiste, że nasz glob, jako całość, znajduje się w okresie wciąż jeszcze niezakończonych rewolucji przemysłowej. Wprowadzie marksizm, jako ruch społeczno-polityczny, w sowieckim i chińskim komunizmie przybrał zupełnie odmienne formy i rozwijał się w sposób zupełnie sprzeczny z teoretycznymi przewidywaniami Marksa, dopóki rewolucja przemysłowa w skali światowej nie zostanie zakończona, marksizm mieć będzie ogromne znaczenie i wpływy, gdyż, jak się z naciskiem wyraża prof. Ula, jest on „naturalną ideologią niedorozwiniętych społeczeństw dzisiejszego świata”. Dlatego też, jego zdaniem, jedynym skutecznym sposobem walki zachodnich demokracji z sowiecko-chińskim totalizmem jest przechodzenie z pomocą społeczeństwom „niedorozwiniętym” w przechodzeniu przez nie „marksistowskiego etapu” rozwoju zanim nie zostaną one zakute w kajdany komunistycznego totalizmu. Kajdany te bowiem, słusznie zauważa prof. Ula, raz założone, „nie spadną same przez się po przejściu tego etapu”.

Wiktor SUKIENNICKI

Blok sowiecki

W Stanach Zjednoczonych największą uwagę poświęca się najszerzej pojętej problematyce ZSSR. Nastąpiło to dopiero po ostatniej wojnie. Nauka amerykańska stara się nadrobić dawne braki na tym odcinku. Zagadnieniami tymi zajmuje się kilka ośrodków badawczych przy najpoważniejszych wyższych uczelniach. Dysponują one sztabem wysoce wykwalifikowanych pracowników i bogatymi źródłami. Najżywszą działalność wykazuje *Russian Research Centre* przy *Harvard University*. W tym ośrodku opracowano już 37 solidnych dzieł monograficznych.

W gronie amerykańskich naukowców, specjalizujących się w problematyce sowieckiej, znajduje się dr Zbigniew Brzeziński, wychowanek uczelni amerykańskiej, syn byłego konsula generalnego R.P. w Montrealu. Ogłosił on m.in. w 1956 r. wnikliwą pracę pt. *The Permanent Purge: Politics in Soviet Totalitarianism*, zaś wspólnie z Carl J. Friedrichem wydał *Totalitarian Dictatorship and Autocracy*. W tej pracy autorzy badają również systemy totalitarne Niemiec hitlerowskich i Włoch faszystowskich. W najwcześniejszej swej pracy przedstawił Zb. Brzeziński rolę czynnika politycznego w siłach zbrojnych państw komunistycznych.

Aż do ostatniego roku akademickiego Zbigniew Brzeziński był wykładowcą w *Harvard University*, a obecnie jest w *Columbia University* w Nowym Jorku. Czytelnicy „Kultury” niewątpliwie pamiętają jego wrażenia z podróży do ZSSR i Polski, w których zaprezentował się jako bystry obserwator.

Ostatnia książka prof. Brzezińskiego, pt.: *The Soviet Bloc, Unity and Conflict*, jest dziełem bardzo interesującym, zarówno ze względu na problematykę jak i metody opracowania przy wykorzystaniu ogromnego zasobu materiałów. Opierając się przede wszystkim na źródłach oficjalnych, które konfrontuje i analizuje krytycznie, autor stara się przedstawić wewnętrzną istotę bloku sowieckiego, naświetlić mechanizm jego działania, zbieżności i rozbieżności. Autor wyraźnie zastrzega się, że nie poruszył wielu aspektów rządów komunistycznych, nastawienia społeczeństwa itp., gdyż, jak pisze: „głównym moim celem jest zbadanie jak w ciągu lat zmienił się blok sowiecki, przed jakimi problemami stoją i stać będą przywódcy sowieccy oraz inni komunistyczni, i jak zmierzają do rozwiązania tych problemów na płaszczyźnie ich generalnej orientacji ideologicznej”.

To rozmyślnie zwięzienie, i ustalenie wyraźnych granic pozwoliło autorowi na dokładne omówienie zagadnień ideologicznych. Blok sowiecki był, i oczywiście jest, tworem ZSSR, który powstał w następstwie ostatniej wojny światowej. Już ten sam fakt byłby dostateczny dla szczególnego zainteresowania przywódców sowieckich układem w państwach, które znalazły się pod rządami komunistycznymi. A przecież dochodzą jeszcze czynniki inne i to po obu stronach. Odgrywają rolę jednostki i ideologie. Polityka i ekonomika.

Prof. Brzeziński odróżnia cztery chronologiczne okresy w bloku sowieckim. I od 1945 do 1947 r.; II 1947-1953; III 1953-1956; IV 1957-1959. Pierwszy określa jako „demokrację ludową, instytucjonalną i ideologiczną różnorodność”. Drugi „stalinizm-instytucjonalny i ideologiczny uniformizm”, trzeci „od odwilży do powodzi — instytucjonalna i ideologiczna różnorodność” oraz czwarty „komunistyczny 'commowearth', instytucjonalna różnorodność i ideologiczny uniformizm”.

Ten podział jest dość ścisły, jakkolwiek pewne wahania między okresami istniały. Poszczególne zjawisko zarysowywały się wcześniej, inne znów ujawniały się raczej gwałtownie i późno.

W pierwszym okresie poważną rolę odegrały zarówno warunki wewnętrzne w poszczególnych państwach, jak i sytuacja międzynarodowa. Prof. Brzeziński jasno ilustruje te zagadnienia i wyraźnie wskazuje, że w parze z ideologią w polityce sowieckiej kroczyły cele ściśle państwowe. Stalin a tak samo i jego następcy, zmierzają do zachowania i umocnienia pozycji

zdobycy w wyniku drugiej wojny światowej. Operują wszystkimi elementami, które do tego wiodą.

Różnorodność instytucjonalna i ideologiczna pierwszego okresu była koniecznością. Był to w pełnym tego słowa znaczeniu okres przejściowy. Wyglądał odmiennie w poszczególnych państwach, w zależności od siły partii komunistycznej, tradycji narodowych, sytuacji gospodarczej itp. Był on tylko przygotowaniem do następnego okresu, który winien był doprowadzić do pełnego zrównania stosunków z panującymi w ZSSR.

Stalin ani nie chciał ani nie mógł uwzględnić jakiegokolwiek odchylenia. System, który stworzył w ZSSR chciał wprowadzić we wszystkich państwach bloku. Ten blok miał mieć tylko jednego przywódcę w jego osobie, miał służyć jego polityce, być jego absolutnie wiernym i lojalnym instrumentem. On był ostatecznym sędzią, jedynym mocodawcą.

Dr Brzeziński naświetla konflikt z Tito wskazując, iż Stalin nie docenił następstw nacisków na przywódcę jugosłowiańskich komunistów, ale przecież nie przeszkodziło mu to w zrealizowaniu planu. Więcej. Bez schizmy titowskiej mogłoby to być i trudniejsze. Wreszcie Stalin raczej nie omylił się zakładając, że potrafi narzucić swoją wolę państwu bloku sowieckiego. Okazało się dalej, że Tito i jego herezja, wywarły tylko bardzo nieznaczny wpływ na przywódców pozostałych państw bloku natomiast pozwoliły Stalinowi na zlikwidowanie różnych osób, nie mających nic wspólnego z titowską opozycją. Wreszcie był to czynnik, który znakomicie scementował absolutną kontrolę Stalina nad partiami i państwami bloku sowieckiego. Można jednak było przyjąć, że ten kierunek, tak ściśle związany ze Stalinem, będzie nie do utrzymania bez niego.

Wpływ titoizmu, jak się następnie okazało, był ograniczony nawet w okresie „odwilży i powodzi” co jest bardzo wymowne. A należy jeszcze mieć na uwadze, iż nie odegrał żadnej roli w partiach komunistycznych poza blokiem komunistycznym, co wskazuje iż ta odmiana komunizmu nie miała w sobie nic atrakcyjnego.

Dr Brzeziński dał doskonałą analizę polityki Tity. Przedstawił wielką rozgrywkę między Moskwą a Belgradem po śmierci Stalina, owe próby zbliżenia, wypracowania wspólnej linii celem stworzenia nowych podstaw bloku sowieckiego. Autor słusznie konkluduje, że w tej rozgrywce z Chruszczowem Tito poniósł klęskę.

Analizując wypadki na Węgrzech i zachowanie się Tity Brzeziński zauważa: „Jego uznanie drugiej sowieckiej interwencji, jego potępienie Nagy'a i wydanie go tajnej policji sowieckiej w niejasnych okolicznościach, oznacza iż narodowy komunizm przestał być dla Tito absolutną zasadą, natomiast był raczej wyrazem politycznej pomyślanej okazji. Usprawiedliwienie drugiej sowieckiej interwencji stworzyło Moskwie możliwość obstawania przy jej koncepcji „jedności”, pozbawiając Tite wszelkich argumentów ideologicznych skierowanych przeciwko tej koncepcji, a nawet przeciwko późniejszej egzekucji Nagy'a... Nie zdołał rozpoznać, że bezpośrednio po październiku-listopadzie 1956 r. komunizm w Europie dojrzał dla przyjęcia doktryny różnorodności, narodowej niepodległości, suwerennego socjalizmu. Nagy został zniszczony usiłując wnieść ten sztandar, Gomułka nie był w stanie tego uczynić, a przecież rozgrywczy i rewolucyjnie nastroszeni komuniści szukali przywódcy i takiego właśnie sztandaru. Była to historyczna szansa dla Tito, ale jego perspektywy były zbyt wąskie, zbyt

ograniczone do własnej doktryny i dlatego nie potrafił tej szansy wykorzystać. Zajęcie natomiast w ówczesnej chwili odważnego, bezkompromisowego stanowiska przez Tito mogło uczynić go symbolem przemian i to bardzo poważnych gdyż grunt do tego był przygotowany przez Dwudziesty Zjazd, czerwcową deklarację i przez polski i węgierski październik. Tito uznawszy jednak, iż ochrona socjalizmu posiada większą wagę aniżeli wolność lub niepodległość narodowa — uznał za słuszną tyranie, której — jak zapewniał — nienawidził. Teraz każdy rząd komunistyczny mógł wyrazić konieczność podporządkowania się ZSSR w imię „obrony socjalizmu” i Tito nie mógł już więcej określać tego jako błędu w zasadach”.

Dlatego też autor stwierdza, iż „Węgry oznaczają klęskę prawdziwego narodowego komunizmu”. Następnie analizuje on bardzo obszernie stosunki polsko-sowieckie we wszystkich czterech okresach poświęcając szczególnie wiele miejsca dwóm ostatnim. Główna teza, głosząca iż Gomułka, jako prawowitny komunist, ani przez chwilę nie zmierzał nawet do osłabienia partii i pomniejszenia jej roli w państwie jest — jak sądzę — całkowicie słuszną. Nie on jest odpowiedzialny za to wszystko co mu sugerowano w Polsce i zagranicą. Brzeziński operując cytatami z jego wypowiedzi z lat dawnych, nim został usunięty, i ostatnich, udowadnia, iż w zasadniczych zagadnieniach Gomułka nie zmienił swojego stanowiska. Jego dążeniem jest swoboda w zagadnieniach wewnętrznych natomiast daleki jest od jakiegokolwiek chęci odsuwania się od łączności ideologicznej i więzi z niej wypływającej zarówno wobec ZSSR, jak i innych państw komunistycznych.

Wydaje mi się, że Brzeziński przecenia rolę poszczególnych osób wokół Gomułki, a podział jaki przeprowadza między nimi jest mało uzasadniony. Ich grupowe czy klikowe powiązania są czysto taktyczne i oportunistyczne i dlatego też nikną w zmienianych warunkach. Zaden z nich, nawet pozornie bardzo silny i wpływowy, nie posiada szerszego zaplecza, nie żyje własnym życiem. I tylko dlatego zmiany w składzie naczelnych władz odbywają się gładko i idą zawsze po linii woli aktualnego przywódcy partii. Kliszko czy Ochab być może są bardziej bliscy Gomułce aniżeli był Jerzy Morawski, ale jeśli z jakichś powodów zechce ich zmienić nie natrafi na żadne przeszkody. Przez powrót niektórych stalinowców nie ucierpiała w niczym pozycja Gomułki w partii, gdyż tylko on może nimi dowolnie dysponować i są oni wykonawcami takiej, a nie innej jego woli, a nie swojej. Słusznie natomiast podkreśla Brzeziński, iż powrotu do dawnych stosunków nie ma. Umiejętnie wypukła pewne podobieństwa między Gomułką a Chruszczowem, jak np. całkowitą wiarę w komunizm i brak przywiązania do dogmatyzmu. Zdaniem jego w miarę upływu lat od października 1956 r. „nastąpiło nawet pewnego rodzaju zlanie się interesów narodowych z partią co oznacza, iż każdy odwrót na szeroką skalę, każda poważniejsza próba podporządkowania wewnętrznego życia polskiego czysto zewnętrznym wymaganiom spotka się z szerokim oporem społeczeństwa a nawet partii...”. I dla tego wyraża pogląd, że i bez Gomułki Polska zachowa swoją swoistą wewnętrzną autonomię. Dalej nie wyklucza, że mogą zarysować się pewne tarcia czy trudności po zmianie przywódców w obu państwach, ale jest mało prawdopodobne, aby nastąpił powrót do dawnych stosunków. Analizując posunięcia Gomułki po październiku 1956 r. formułuje pogląd iż nie koniecznie są one wynikiem nacisków Moskwy, raczej logicznym następstwem jego własnych założeń. Jego „polska droga do socjalizmu” bynajmniej nie była

podobną do titowskiej. Brzeziński jest zdania, że jakkolwiek Gomułka nie włączył się do ostrej nagonki przeciwko partii jugosłowiańskiej to krytyka programu titowskiego wypłynęła z jego obiektywnej oceny. Podstawowym dążeniem jego polityki jest zachowanie samodzielności w zagadnieniach wewnętrznych. Moskwa odnosiła się doń z początku nieufnie, gdyż nie wiedziała dokąd zmierza i w jakim stopniu panuje nad sytuacją i społeczeństwem. Po nawiązaniu jednak bezpośrednich, serdecznych stosunków między Chruszczowem a Gomułką nastąpiła wyraźna zmiana. Zaufanie i poparcie Chruszczowa wzmocniło znakomicie pozycję Gomułki, w bloku sowieckim.

W ostatnim rozdziale zatytułowanym „Ideologia i siła” dr Brzeziński rozważa wzajemny stosunek tych dwóch czynników, wpływ jednego na drugi, gdyż od tego zależy przyszłość bloku sowieckiego. Nie usiłuje być prorokiem, ustawia więc tylko problem, a tym samym wskazuje na różnorakie możliwości.

B. HEYDENKORN

(1) Zbigniew K. Brzeziński *The Soviet Bloc, Unity and Conflict*; Harvard University Press, Cambridge, Mass. 1960, XXII-pp. 467.

“Polityka” o “Historii KPP”

Wracając z podróży naukowej do Rosji zastałem w Londynie numer *Polityki* z 17-go września z recenzją z mojej, wydanej w Stanach Zjednoczonych książki pt. „Komunistyczna Partia Polski: zarys historii” (*The Communist Party of Poland: An outline of history*). Recenzja zatytułowana jest: „Paszkwil w pseudo-naukowej oprawie”. Autorzy recenzji, H. Malinowski i N. Kołomejczyk, choć nader krytycznie usposobieni do mej pracy, zmuszeni są przyznać, że przynajmniej pewne problemy zostały potraktowane przeze mnie raczej obiektywnie. Do nich zaliczają: sprawę Pierwszego Proletariatu, analizę przywódców socjal-demokracji Królestwa Polskiego i Litwy, problem Rewolucji 1905-go roku, i rozłamu w Polskiej Partii Socjalistycznej, zagadnienie ruchu rewolucyjnego na Ziemiach Polskich w czasie Pierwszej Wojny Światowej, problem reformy rolnej i upaństwowienia przemysłu, ocenę Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, polskiego Stronnictwa Ludowego, oraz znaczenie granicy na Odrze i Nysie.

W sumie autorzy recenzji przyznają, że w stosunku do około dziesiątka zasadniczych problemów najnowszej historii Polski zająłem stanowisko dość bezstronne. Dorzucają oni zresztą, że: „podobnych stwierdzeń można zacytować jeszcze kilka”. W ten sposób liczba spraw spornych jeszcze bardziej się zwęża, bo chyba nie zamierzają się autorzy recenzji spierać o takie zagadnienie jak np. moją ocenę stalinizmu i „kultu jednostki”. Z zadowoleniem więc stwierdzam, że są jednak sprawy co do których zbyt

nio się nie różnimos. Czyż wobec tego słowo „Paszkwil” w tytule recenzji jest na miejscu?

A teraz o sprawach spornych. Pierwszym zarzutem wysuwany przez recenzentów partii w stosunku do mej historii KPP jest, że źródła na które się powołuję są jednostronne, i że nie korzystałem z materiałów archiwalnych. A jednak choćby pobieżny przegląd bibliografii, odnośników, oraz samego tekstu książki wykazuje, że poza użytkowaniem wszystkich właściwie głównych wydawnictw Polski Ludowej na temat dziejów KPP korzystałem z dwóch zespołów źródeł nie wyzyskanych przez historyków partyjnych w kraju. Chodzi tu o archiwa Polski Podziemnej, znajdujące się w Londynie, oraz o archiwum Trockiego, znajdujące się w Harvardzie.

Drugim zarzutem jest, że pisząc o KPP opierałem się na zeznaniach albo przeciwników komunizmu, albo też byłych komunistów. I rzeczywiście zrobiłem takich wywiadów przeszło 80, choć nie wszystkie nazwiska wymieniłem we wstępie: nie wszyscy sobie tego życzyli. Pomiędzy osobami, z którymi rozmawiałem, a które wyraźnie zastrzegły się aby nazwisk ich nie wymieniać, byli także liczni obecni członkowie partii, tak przebywający zagranicą w rozmaitych misjach, mniej lub więcej oficjalnych, jak też i liczni komuniści, których spotkałem w Polsce, w czasie mej wizyty w roku 1958. Będąc w Warszawie, odwiedziłem między innymi Wydział Historii Partii i przeprowadziłem tam szereg rozmów. Informacja, że nie ma dostępu do archiwów Kominternu, gdzie mieszczą się dokumenty dotyczące rozwiązania i rehabilitacji partii, były dla mnie rewelacją. Okazuje się, że dostęp do archiwów Kominternu mają tylko wybrani uczeni radzieccy....

Jako przykład bezkrytycznego stosunku do materiału autorzy recenzji wymieniają, że rzekomo z uznaniem wyrażam się o książce Jana Alfreda Reguły: „Historia Komunistycznej Partii Polskiej”. Wystarczy sprawdzić w bibliografii, żeby się przekonać, że w mym krótkim omówieniu tej książki nie ma słowa uznania. Jest tylko stwierdzenie, że książka jest ciekawa ze względu na to, że zawiera pełny tekst, lub przynajmniej obszerny skrót, wielu dokumentów, które obecnie albo już nie istnieją albo też nie mają szans na to, aby ujrzeć światło dzienne. Są to np. wypowiedzi KPP w sprawie prawa mniejszości niemieckiej Pomorza i Górnego Śląska do samostanowienia aż do odłączenia włącznie.

Do tej kategorii oświadczeń KPP należą też antyniepodległościowe wystąpienia Partii z wczesnych lat 20-tych. Podobnie ma się sprawa z dokumentami dotyczącymi trockizmu w łonie KPP. Chodzi szczególnie o entuzjastyczne poparcie jakiego KPP udzieliła Trockiemu w roku 1924, po śmierci Lenina, w krytycznym okresie walki o władzę między Trockim a Stalinem. Tego rodzaju dokumenty miałem na myśli zwracając uwagę czytelnika na książkę Reguły, bezcenną jako kopalnia materiału. Czy jest szansa aby wspomniane przeze mnie dokumenty ukazały się w zbiorach źródeł do dziejów KPP...?

„Pełna sprzeczności (piszą autorzy recenzji) jest ocena autora dotycząca wojny roku 1920”. Czyż sprzeczne jest z faktami twierdzenie, że „komuniści polscy ścigali na ojczyznę najazd bolszewicki, aby w ten sposób dojść do władzy”. Przecież istnieje masa dowodów na to, że SDKPiL (potem KPP) sprzeciwiała się niepodległości polskiej, że wbrew radom i pizestrogom Lenina po prostu błagały bolszewików o wykreślenie hasła niepodległości polskiej z ich programu. Aby to sobie przypomnieć,

wystarczy zaglądnąć do rosyjskiego, pełnego wydania pism Lenina. Zwracam tu szczególnie uwagę na przemówienia komunistów polskich na kwietniowej naradzie z roku 1917.

O tym, że grupa polskich komunistów przebywających w roku 1920 w Moskwie, ludziła rząd sowiecki perspektywami rychłej a łatwej, niemal automatycznej, rewolucji w wypadku wejścia Czerwonej Armii do Polski, o tym pełno w wydawnictwach i proklamacjach tej grupy z wiosny i lata 1920 roku. Dowody te zebrał Teslar w swej, przeze mnie wielokrotnie cytowanej, pracy o propagandzie sowieckiej w roku 1920. Zresztą wystarczy przeczytać pełne wydanie pamiętników Feliksa Kona, jednego z członków Polskiego Komitetu Rewolucyjnego, który z ramienia Moskwy miał objąć rządu w Polsce. Ślady tych iluzji można znaleźć w pamiętnikach tak Dzierżyńskiego jak i Marchlewskiego. Zresztą obaj wkrótce przyznali, że nadzieje ich były złudne.

Następny główny zarzut pod adresem mojej Historii KPP to to, iż podkreśliłem nieobecność polskich komunistów w szeregach antyniemieckiego podziemnego Ruchu Oporu w pierwszych latach wojny. Czy istotnie takie stwierdzenie można poddać jakiegokolwiek poważnej krytyce? Czy rzeczywiście byli, przed schyłkiem 1941 roku, polskie grupy komunistyczne, które by czynnie walczyły z Niemcami?

Przecież wystarczy przejrzeć bibliografię wydawnictw Polski Podziemnej zredagowaną przez Hannę Lerską, lub choćby oficjalne wydawnictwa partyjne, aby zobaczyć, że okres 1939-1941 to pustka w dziejach ruchu komunistycznego w Polsce, zwłaszcza jeżeli chodzi o opór przeciwko Niemcom.

Recenzenci przyznają, że słaby udział komunistów w walce podziemnej był spowodowany „pewnymi obiektywnymi czynnikami utrudniającymi ich działalność”. Dyskretnie recenzenci przemilczają te czynniki, wspominając tylko: brak środków, kadr (na skutek aresztów) oraz zerwanie kontaktów. Czyż nie chodzi tutaj o masakrę aktywu KPP dokonaną przez Stalina w roku 1938...? Jak już dzisiaj wydaje się nie ulegać wątpliwości, że zbrodnia Stalina była właśnie jednym z przedwstępnych kroków do porozumienia się z Hitlerem. Prawdą jest, iż kilku działaczy dawnej KPP, którzy wyszli z więzień we wrześniu 1939 roku, wzięło udział, samorzutnie, w walce z najeżdżącą niemieckim ale też prawdą jest, że gros niedobitków partii czekało dopiero sygnału z Moskwy, by podjąć walkę z Niemcami. Sygnał ten przyszedł dopiero w lecie 1941 roku.

Nie zamierzam wyczerpywać wszystkich zarzutów, stawianych mi przez recenzentów „Polityki”. Uwzględniłem tylko najważniejsze. Wbrew ich twierdzeniom moja teza, że rewolucja komunistyczna w Polsce była i jest rewolucją importowaną, nie ulega wątpliwości. Rewolucja ta zaczęła nabierać pewnych rumieńców swojskości w latach 1956-1957 na skutek przemrotu Październikowego, ale proces ten został zahamowany odwrotom, którego przyczyna nie zamierzam tu omawiać, a który, niestety, trwa po dzień dzisiejszy.

M.K. DZIEWANOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- PIWOWARCZYK (Jan ks.). *Katolicka etyka społeczna*. Str. 320. (Nakt. Kat. Ośrodku Wyd. „Veritas”, Londyn, 1960).
- BRZEKOWSKI (Jan). *Poezje wybrane*. Str. 161 i 3 nlb. (Wyd. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1960).
- Kalendarz polski na rok Pański 1961*. Str. 160. (Nakt. Gryf Publications, Ltd. Londyn, 1960, cena 4/6 sh., lub dol. l.-).
- JANTA (Aleksander). *Wielka gafa książny Balaganow*. Str. 38. (Wyd. Składnica Książki Polskiej w Buenos Aires, 1960).
- NIEMOJOWSKI (Jerzy). *Koncert na głos kobiety*. Poezje. Str. 140. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1960).
- KRÓLIKOWSKI (Łucjan Zbigniew O.). *Skradzione dzieciństwo*. Str. 383 i 1 nlb. plus 3 mapy. (Nakt. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, lipiec 1960, cena 30 sh.).
- PIŁSUDSKA (Aleksandra). *Wspomnienia*. Str. 383 i 3 nlb. Z 36 ilustracjami i indeksami. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1960, cena 35 sh. Okładka płócienna i kolorowa obwoluta).
- WITWICKA (Katarzyna). *Schody i korytarze*. Opowiadania. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1960).
- TERTZ (Abram). *Het proces begint*, high-society in de sovjet unie oraz DOEDINTSJEF (Wladimir). *De uil en de man*. Str. 194 i 4 nlb. (Wyd. H. Nelissen, Bilthoven. Seria „Diamantreeks”. Cena f. 8,90).
- TERZ (Abram). *Der Process begint*. Neue russische Erzähler. Z przedmową Jürger Rühle oraz opowiadania: NAGIBIN (Jurij): *Das chasarische Ornament* oraz *Das Licht im Fenster*, GRANIN (Danil): *Die eigene Meinung*; JASCHIN (Alexander): *Die Hebel*; SHDANOW (Nikolai): *Die Fahrt in die Heimat*; WALZJEW (Anna): *Wohnung Nr. 13*; DUDINZEW (Wladimir): *Ein Neujahrsmärchen*; TENDRJKOW (Wladimir): *Drei Steben As*; Noty biograficzne. Str. 394 i 2 nlb. (Wyd. Kiepenheuer & Witsch, Köln-Berlin, 1960).
- DUPONT-SOMMER (A.). *Les écrits essentiels découverts près de la Mer Morte*. (Deuxième édition revue et augmentée). Str. 455 i 5 nlb. (Wyd. Payot, Paris 1960, cena NF 30,00).
- European Resistance Movements 1939-1945*. First international Conference on the History of the Resistance Movements, held at Liège-Bruxelles-Breendonk 14-17 September 1958. Str. 410 (Varietyper). (Wyd. Pergamon Press, Oxford-London-New York-Paris, 1960, cena 40 sh.).
- New poems of Pushkin and Schevchenko*. A revisited version of the Leipzig Edition of 1859. Edited by J.B. RUDNYCKYJ. Str. 39 i 1 nlb. (Readings in Slavic Literature. 1). (Wyd. The University of Manitoba Press. University of Manitoba, Winnipeg, Canada, 1959).

- Readings in Canadian Slavic Folklore. II* Teksts in English Translation. Compiled et edited by J.B. RUDNYC'KYJ. Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. The University of Manitoba Press, Winnipeg, Canada, 1961).
- BABEAU (André). *Les conseils ouvriers en Pologne*. Préface de Georges Lasserre. Str. 308 et 6 nlb. (Cahiers de la Fondation Nationale des Sciences Politiques — 110). Wyd. Librairie Armand Colin, Paris, 1960).
- WYSOCZENKO (A.). *Na generalnij linii*. Str. 502 i 2 nlb. (Wyd. Nacjonalistyczne Wydawnictwo w Jewropi, Paryż, 1960).
- MARGOLIN (Julij). *Jewrejskaja powiest'*. Str. 215 i 1 nlb. (Wyd. Maaian, Tel-Aviv, 1960).
- Books on the Hungaria Revolution. A Bibliography*. By Zoltan Szta-ray. Str. 14. (Wyd. Imre Nagy Institute for Political Research (Les Carnets de l'Institut 2), Bruksela, 1960).
- MORAWSKI (Kajetan). *Tamten brzeg*. Wspomnienia i szkice. Str. 253 i 3 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż, 1960).
- RANNIT (Aleksis). *Verse an Wiit-ralt und an das Geklärte*
- Gleichnis*. Aus dem Estnischen übertragen von Ants Oras. Str. 33 i 5 nlb. (Wyd. Woldemar Klein Verlag, Baden-Baden, 1960).
- MARX (Karl). *A World without Jews*. Translated from the Original German. With an introduction by Dagobert D. Runes. Str. 51. (Wyd. Philosophical Library, New York, 1959, cena dol. 2,75).
- SCHILLER (Otto). *Der agrarsystem der Sowjetunion*. Entwicklung seiner Struktur und Produktionsleistung. Str. 171 i 5 nlb. (Wyd. Arbeitsgemeinschaft für Osteuropaforschung, Tübingen, 1960).
- Trzydziestoletni Jubileusz „Ogniska Polskiego”* 18.X.1930 — 18.X.1960. Str. 60 i 8 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie „Ognisko Polskie”, Buenos Aires, 1960).
- X Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Rok 1959-60*. Str. 148. (Wyd. Polskie Tow. Naukowe na Obczyźnie, Londyn, 1960, cena 10 sh.).
- Bielaruskaja carkwa*. Nr. 18, r. 1960. (Powielacz). Str. 96. (Wyd. Bielaruskaja Wydawieczkaja Sjabrynja Chicago, 1960. Cena 60 centów).

WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE

- DANKO (O.) i ŁABUNKA (M.). *Ricznik Ukrajinskoj Bibliografii 1957*. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Ukr. Wilna Akademia Nauk, New York, 1960).
- SZACH (Stepan). *Miž Sjanom i Dunajcem*. Spomin. Cz. I. Str. 439. (Wyd. Christianskyj Hołos, Monachium, 1960).
- KALINENKO (Ihor). *Trojandni dali*. Str. 45 i 3 nlb. Druk na prawach rękopisu. Belgia, 1960).
- OCHRIM (O.). *Nazwoznawczy materialy z zachidnoj Ukrainy* (S. Budinin, Sokalszczina). Str. 24. (Wyd. UWAN, Winnipeg, Kanada, 1960 — Onomastica nr 20).
- RUDNICKYJ (Ja). *Toma Bilous*. Ostannyj Narodnyj sopilkar w Kanadii. Str. 16. (Wyd. Biblioteka Pioniera, Winnipeg, Kanada, 1960).
- PONEDIŁOK (Mykoła). „*A my tuju czerwonuju kalynu...*” (Pjesa

- na 3 diji i pjat' kartyn). Str. 47. (Wyd. Ju. Serediaka, Buenos Aires 1957).
- BOJKO (Jurij). *Teorija III Rymu w moskows'kij prawoslawnij cerkwi pislja ostann'oji wjny*. Str. 30. Nezalezna Asocijacija Doslidnykiw Sowjets'koi Teoriji i Praktyky w Nacjonal'nych Problemach Wyd. Perszoji Ukrajins'koi Drukarni u Franciji Paryż 1957).
- SZUMELDA (Ja.). *Zminy w SSSR pislja smerty Stalina*. Str. 338. (Wyd. Perszoji Ukr. Drukarni u Franciji, Paryż 1957).
- FYLYPOWYCZ (P.). *Poeziji*. Red. M. Orest bihraficznyj narys O. F., wstupna stattja W. Derżawyn. Str. 147 + 4 nlb. (Instytut Literaturoznawstwa pry Ukrajins'komu Wil'nomu Uniwersyteti, Muenchen 1957).
- UKRAINS'KYJ WIL'NYJ UNIWERSYTET. *Naukowi Zapysky 1957*, cz. I. Redaguje Kolegija, holownyj redaktor prof. dr. Jurij Bojko. Str. 73. (Wydaje Senat UWU, Muenchen).
- KOSARENKO-KOSAREWYCZ (Wasyl'). *Moskows'kyj Sfinks*. Mit i syła w obrazi Schodu Ewropy Str. 489 (Nakladom Awtora, Nju-Jork, 1957).
- FRANKO (Iwan). *Wybir poezij*. Z peredmowoju Ewhena Małanuka. Str. 128. (Wyd. I Ukr. Drukarni u Franciji, Paryż 1956).
- ZURBA (Hałyna). *Dalekij Swit*. Str. 372. (Wyd. „Peremoha”.
- KHVVYLOVY (Mykoła). *Stories from the Ukraine*. Translated with an Introduction by George S.N. Luckyj. Str. 234. (Wyd. Philosophical Library, New York, 1960). Cena dol. 3,50).
- SHANKOWSKYJ (Ihor). *Dysnansy*. Poezje. Str. 93 i 3 nlb. (Wyd. „Kyiw”, Philadelphia, 1960).
- SHANKOWSKYJ (Ihor). *Kwitniewa Dań*. Zbirka poeziji. Str. 114 i 2 nlb. (Wyd. Dniprowa Chwyla, Monachium, 1958).

GRYF

171, Battersea Church Rd., London SW. 11

p o l e c a :

- Rocznik Spraw Krajowych 1958-1959**
£ 0.18.6 (\$3) NF 13
- „Wykonać 4 4 4 4” Walki I Dywizji Grenadierów we Francji w 1940 r. ilustrowane
£ 1.15.5 (\$6) NF 25
- Wspomnienia Al. Piłsudskiej**
£ 1.15.5 (\$6) NF 25
- Czternasty Rok M. Sokolnickiego** ..
£ 1.15.5 (\$6) NF 25

Listy do Redakcji

Now York, 28. III. 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie lubię wspominać tragicznych wypadków z okresu ostatniej wojny i nie chcę grzebać się w tej smutnej przeszłości, ale list pana M.E. Royka w nr. 6/152, 1960 nie daje mi spokoju i po prostu zmusza do pisania na temat kto inspirował i technicznie przeprowadzał masakry polskich intelektualistów we Lwowie po wkroczeniu Niemców do tego miasta w 1941 roku. Nie mam zamiaru z nikim polemizować, chcę tylko stwierdzić fakty tak, jak je pamiętam odnośnie aresztowań polskich studentów i studentek w tym okresie.

Byłam aresztowana w owym czasie razem z innymi polskimi studentkami medycyny i zdaje relację z faktów przeżytych osobiście. — Zaaresztował mnie w domu Ukrainiec w mundurze milicji, zabrał na milicję ukraińską mieszczącą się w Domu Studentów na Łozińskiego (nie jestem rodowitą Lwowianką i poza tym czas zaciera pamięć — chwała Bogu — więc mogę pewnych nazw czy adresów nie pamiętać dokładnie). Czekaając na przesłuchanie (wiele godzin na stojąco twarzą do ściany) słyszałam tylko język ukraiński, ani słowa niemieckiego. Przesłuchiwanie w nocy było przeprowadzane przez Ukraińców, mój egzaminator powiedział mi wprost, że przyjechał z Zachodniej Polski (Krakowa) z Niemcami, że nastąpiła marna godzina Polaków i że mogę się uratować jeśli „zrobię się Volksdeutschką” przez przyznanie się do babki Niemki: na moje pytanie dlaczego jesteśmy więzione odpowiedzi nie miał, natomiast całkiem wyraźnie nam to wytłumaczył na drugi dzień w więzieniu (nie pamiętam nazwy). Ukrainiec, nazwiskiem Tarnawskij, który robił „honory domu” (i znowu ani śladu Niemca). Tarnawskij obrzucił nas obelżywymi słowami, od których nawet my, studentki medycyny, czerwieniłyśmy się, powiedział nam, że jesteśmy „świńskie polskie inteligentki”, że będziemy tak torturowane, jak były Ukrainki przed wojną w Polsce (sic!). Jednym słowem naszym grzechem i zgubą była nasza narodowość polska i należenie do klasy inteligentkiej. To była „zemsta” Ukraińców nad Polakami i tak się przeprowadzało depolonizację Lwowa. W celi więziennej byliśmy strzeżone przez Ukraińców; jeden z nich, widać ludzki, przyniósł nam karteczkę od więzionych obok kolegów-studentów. Byli maltretowani i oczekiwali najgorszego.

Tymczasem rodzice i krewni nasi „na zewnątrz”, prowadzili gorączkową akcję w celu uwolnienia nas. Było tam paru profesorów uniwersytetu, wiele osób zawodowej inteligencji. Jak się później dowiedziałam podzielili się na dwie grupy, jedna udała się do komendanta miasta, a druga do Gestapo. Jako Galicjanie, wszyscy prawie kiedyś służyli w wojsku austriackim, władali dobrze językiem niemieckim, więc mogli łatwo porozumieć się z Niemcami, bez tłumaczy. Wiele też zdziałała rodowita Niemka, przyjaciółka mego dalekiego kuzyna, „wiecznego studenta”, który ją przywiózł z Bonn, gdzie ostatnio studiował. Widocznie argumenty naszych rodzi-

ców i krewnych trafiły do rozumu (nie można tutaj i użyć słowa serca, bo go nie mieli) Niemców i... cud się stał — zostałyśmy zwolnione! Niestety koledzy nasi zostali rozstrzelani, a karteczka posłana nam w więzieniu była ostatnim ich znakiem życia. Może rozstrzelali ich Niemcy, „Einsatzkommando Galizien”, a może rozstrzelali ich Ukraińcy wyszkoleni przez Niemców w tym celu, w każdym razie w więzieniu Niemców nie widziałam, a na milicji krzyki bitych aresztowanych mieszały się z językiem ukraińskim, a nie niemieckim. Jest logiczne stwierdzenie, że jeśli Ukraińcy nacjonalisci nie zorganizowali i nie przeprowadzali masakry polskiej inteligencji we Lwowie, to na pewno brali wybitny udział w depolonizacji tego miasta i, z mojej obserwacji, robili to z fanatyzmem.

Janina AXEL

Waszyngton, 1 grudnia 1960 r.

Drogi Panie Redaktorze,

W artykule „Chruszczow nad East River”, ogłoszonym w „Kulturze” z listopada 1960, autor Bohdan Osadczuk określa dotychczasowy system funkcjonowania O.N.Z. jako oparty o „zasadę rozmów Wielkiej Czwórki” którą Chruszczow pragnie zastąpić zasadą uniwersalności tej organizacji. Trudno się zgodzić z tym poglądem, gdyż zasada rozmów jest synonimem porozumienia czy wspólnych rządów, tymczasem setka veto sowieckich zgłoszonych w Radzie Bezpieczeństwa z reguły w sprawach dużej wagi, jest zaprzeczeniem jednego i drugiego. Jak istotnie rozumie Chruszczow dotychczasowy system i ten, który powinien go zastąpić, wynika dość jasno z całości jego oświadczeń: w roku 1945, gdy powstawała Organizacja Narodów Zjednoczonych, Rosja była zniszczona oraz wyczerpana przez wojnę i znacznie słabsza od Stanów Zjednoczonych. Musiała się zatem pogodzić z faktem, że Stany Zjednoczone nadały ONZ takie formy, które w praktyce zapewniały im rządy w tej organizacji. Od tego czasu sytuacja zmieniła się diametralnie i w układzie sił z 1960 roku, przede wszystkim militarnych, Sowiety mają przewagę nad Stanami Zjednoczonymi. Musi to znaleźć swoje odbicie w ONZ i Stanom Zjednoczonym zostaną prędzej czy później narzucone takie zmiany w organizacji i funkcjonowaniu ONZ, które zapewnią Sowietom dawną pozycję Stanów Zjednoczonych. Taka interpretacja celów Chruszczowa nie jest odsobniona.

Łączę serdeczny uścisk dłoni.

Stefan KORBOŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Może być, że czytelnicy „Kultury”, to „pożeracze wzniosłości”, jak nam pochlebia ironicznie p. H. Schoenfeld; może być także, że ci, którzy „bzdurzą” o poprawności języka, to — jego zdaniem — „zakute purystyczne

pały". Niech mi jednak wolno będzie, z narażeniem się na podobne epitetety, zaryzykować parę uwag właśnie w związku z językiem p. H. Schoenfelda.

Zapewne, że puryści w rodzaju owych czeskich, którzy tępiąc germanizmy, w miejsce wyrazu *martrac*, proponowali wprowadzenie do czysto czeskiego języka wyrazu „rosharem nafiłowany strozak”, to „zakute pały”. Ale w piśmie noszącym, że użyję określenia p. H. Schoenfelda, tak *highbrow* tytuł jak *Kultura*, obowiązuje co najmniej poprawność języka, skoro, jak sam ten autor stwierdza, „język tworzy społeczeństwa i kultury”.

Tymczasem właśnie w artykule o języku, pięknie i błyskotliwie napisanym przez p. H. Schoenfelda, a zamieszczonym w grudniowym numerze *Kultury*: „Granice mego świata”, autor zdradza zarazem i śródowisko swe, nie tylko jego granice. (Mówię to poważnie, bo jestem zdania, że *sarcasm is poison*). Najlepiej o tym świadczą zauważone w jego artykule grzechy przeciwko poprawnej, literackiej polszczyźnie. Jak sam mówi: „znamy takie (słowa, zwroty) jakie (!) nas dzieciństwo i społeczeństwo, w którym żyjemy nauczyło”. (Chciał powiedzieć — jakich nas nauczyło).

Jak gdyby zapominając o tym śródowisku, potrafi powiedzieć poprawnie: „używamy takich słów”, albo też: „użyłem tego kiepskiego słowa celowo” (zapytałbym, czy aby pamięta, że ten przymiotnik pochodzi od zgoła nieprzyzwoitego rzeczownika staropolskiego); użył więc poprawnie dopełniacza. Atoli w innym miejscu pisze, zamiast używać czegoś — używamy coś: „Nadużywamy ją (!) (str. 25); używa się je (str. 29); które używałem; aby ją samemu używać (str. 29). Wreszcie: „nie rozumią co mówią”, zamiast: nie rozumieją! (str. 29).

Może Pan Redaktor „Kultury” zlekceważył to wytykanie błędów gramatycznych szpecących jej tak zawsze interesujące karty, ale i w tym wypadku niech wybaczy tę *déformation professionnelle* starego autora dwóch gramatyk (dla cudzoziemców) języka polskiego i niech przynajmniej pociągnie za ucho korektora „Kultury”, aby na przyszłość podobnie rażących błędów, szpecących jej karty nie puszczał, ale je tępił surowo, właśnie w imię — kultury.

Z poważaniem

Józef Andrzej TESLAR

Toronto, 6.12.1960. r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Cenny i na czasie artykuł Jana Kowalika („Kultura”, nr 11/157) powinien zwrócić uwagę na zaniedbania w zakresie bibliograficznej kontroli nad prasą polską poza granicami kraju. Uzupełniając dane autora dotyczące wysiłków podejmowanych współcześnie nad gromadzeniem i opracowywaniem bibliograficznym periodyków polonijnych, chciałbym zwrócić uwagę na poczynania Instytutu Polskiego w Kanadzie w tym dziale. Działając od r. 1956 przy Zarządzie gł. Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Instytut ten (*Polish Research Institute in Canada*, Toronto) gromadzi czasopisma polsko-kanadyjskie, jakie były wydawane w języku polskim, francuskim, względnie angielskim, w okresie ostatnich 56 lat. Ilość tych pism, publikowanych w różnych okresach czasu, sięga setki, ale tylko niewiele tytułów udało się skompletować w całości w zbiorach Instytutu. W niektórych wypadkach

nie można już było odnaleźć ani jednego egzemplarza pism, które służyły tutaj. Polonii przez całe lata. Są organizacje polskie, które nie posiadają ani jednego numeru gazet wydawanych przez nie jeszcze w niedawnej przeszłości. Są redakcje, które nie posiadają własnego pełnego kompletu redagowanego przez siebie tygodnika. Żadna z bibliotek kanadyjskich nie kompletowała roczników wszystkich pism polonijnych; nie były też one gromadzone w bibliotekach polskich w Kanadzie.

Mimo tych braków, na podstawie własnej kartoteki i w oparciu o własne zbiory, które jakkolwiek nie kompletne stanowią już dzisiaj największą w tym zakresie istniejącą kolekcję, Instytut Polski przygotowuje do druku bibliografię periodyków kanadyjskich w języku polskim za okres 1904-1960, która będzie połączona z historią prasy polsko-kanadyjskiej. Książka ma wyjść z druku w 1961 r., jako czwarty tom w serii *Prac* Instytutu. Jeżeli uda się dochować planowanej daty, wydawnictwo będzie stanowić przyczynek Polonii kanadyjskiej do obchodu 300-nej rocznicy ukazania się pierwszej polskiej gazety, przypadającej na rok bieżący.

Łączę wyrazy szacunku i uścisk dłoni.

Wiktor TUREK

Londyn, listopad 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

Muszę przyznać, że byłem niemało zdziwiony przeczytawszy w numerze 9/155 Pańskiej „Kultury” omówienie *Pamiętnika kijowskiego*, zatytułowane „Etapy pewnego odwrotu”. Nie spodziewałem się mianowicie, że publicysta takich wymiarów jak Paweł Hostowiec, mógł się dopuścić niecisłego i jednostronnego cytowania.

Cytując urywki ze „Słowa Wstępnego” prof. Stanisława Kościalkowskiego on je tak uporządkował, że wyrządził, wydaje mi się, jego autorowi krzywdę, a czytelników „Kultury” wprowadził w błąd. Chodzi mi tutaj o jednostronność obrazu, który się wylania z cytata Pawła Hostowca. I kiedy prof. Kościalkowski podkreśla z całą stanowczością sumiennego uczonego światła i cienie wiekowego przebywania Polski na ziemiach, które zwiemy Ukrainą, to Paweł Hostowiec te wszystkie cytaty, które coś mówią o cieniach, pomija milczeniem. Cytując, na przykład w jednym miejscu prof. Kościalkowskiego podaje tylko pierwszą część jego zdania „Chrobrzy i Szczębiec, zdobycze pługa polskiego i miecza, wielkie dzieła pokoju i wojny, przedmurze chrześcijaństwa!...” pomijając całkowicie drugą część w której czytamy: „a jednocześnie — upadki niskie, pycha i egoizm, samowola, anarchia, klótlliwość i okrucieństwo, kruchość danego słowa... były wciąż na porządku dziennym życia ukraińskiego, kresowego naszego domowego i publicznego”. A zaraz niżej, ażeby nie zostawić żadnych wątpliwości, prof. Kościalkowski dodaje: „trzeba pamiętać o wszelkich dobrych i złych jego stronach, nie zapominać zarówno o zasługach, jak i winach wszystkich...”

Moim zdaniem samo stwierdzenie i głębokie podkreślenie przez prof. Kościalkowskiego faktu, że rekord Polski w Ukrainie to nie same tylko pozytywne osiągnięcia, ma swoją wymowę i wartość. Takie stawianie sprawy może tylko dopomóc, uchylić jeszcze jedne drzwi dla polsko-ukraińskiego

dialogu. Nie myślę też, że sam *Pamiętnik* jest, jak pisze Paweł Hostowiec, wyłącznie formą pożegnania się Polaków z Ukrainą i że jego głównym zadaniem jest tylko wyrazić głęboką nostalgię za niedawną przeszłością, czy też żal za utraconymi majątkami i cukrowniami. Jest on raczej śmiałą i wydaje mi się szczerą próbą rzucenia trochę światła na zaniedbany i zarosły chwastami wzajemnych uprzedzeń i głębokiej nieufności odcinek polsko-ukraińskich stosunków.

Nie zapominajmy też, że rozchodzi się tutaj o pierwszy tylko tom *Pamiętnika*, nie można więc było wyczerpać za jednym zamachem wszystkich tematów i omówić wszystkich zagadnień. Za pierwszym tomem przyjdą następne, a z nimi nowe zagadnienia i nowi autorzy jak też poszerzenie i pogłębienie, w sposób myślę szczerzy i bezstronny, omówienia polsko-ukraińskiej problematyki.

W końcu chciałbym wreszcie podkreślić że *Pamiętnik* nie koniecznie musi pozostać platformą wypowiedzania samych tylko polskich poglądów. Chcę stwierdzić, że jako Ukrainiec, miałem niedawno zaszczyt i przyjemność być zaproszonym do współpracy w *Pamiętniku* w którego drugim tomie ma pojawić się moja praca pt. „Mazepa, Mazepińcy i Polska”. A więc, jak widzimy, *Pamiętnik* nie myśli ograniczać się do wyłącznie tylko polskich monologów.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Konstantyn ZELENKO

W SOJUSZNICZYM LONDYNIE

Dziennik Amb. E. Raczyńskiego 1939-1945

450 str., ilustr., przypisy, wykaz nazwisk, opr. płócienna
Cena 37/6 (przes. 1/6), \$ 5.50 (przes. 25 c.), NF 25.50 (przes. 1.50)



POLSKA NIEPODLEGŁA I DRUGA WOJNA ŚWIATOWA 1918-1945

pod red. prof. dr. H. Paszkiewicza; opracow. W. Czerwiński,
T. Grodyński, K. Morawski, Z. Nagórski, T. Pełczyński, E.
Raczyński, W. Rudzka, A. Sawczyński, T. Wasilewski.

104 dwuszpalt. str. (quarto), 31 map, szkiców, tabl. i zestawień
statyst. (w tym 7 dwukolor.)

Cena 18/6 (przes. 1 sh.), \$ 2.60 (przes. 15 c.), NF 12.50 (przes. 50 c.)

KSIĘGARNIA POLSKA ORBIS

38, Knightsbridge, London S.W.1, England

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1960

Spis autorów

ANDIJEWSKA Emma, ARVAY S., — BECKOWA Jadwiga, BEO, BERLINCZYK, BIELATOWICZ Jan, BOBKOWSKI Andrzej, BOCHENSKI I. M., O.P., BOJCZUK Bohdan, BORWICZ Michał, BOUCHER Jean, BÓBR-TYLINGO Stanisław, BRZĘKOWSKI Jan, BRZOZA Wanda. — CARBUCCIO Luigi, CHARMAŃSKI Andrzej, CHCIUK Andrzej, CHOMSOWA Wł., CIOŁKOSZ Adam, CZAJKOWSKI Zbigniew, CZAPSKA Maria, CZAPSKA-JORDAN Wanda, CZAPSKI Józef, CZARNECKI Marian, CZAYKOWSKI Bogdan, CZUCHNOWSKI Marian, CZYTELNICZKA. — DANILEWICZOWA Maria, DĄBROWSKI Adam J., DENDE Leopold, DOR Milo, DRESLEŃ Jarosław, DUDEK Louis, DZIAMSKI K.M.; DZIEWANOWSKI M.K. — ERDMAN Marta. — FELSZTYN Tadeusz, FIGIEL M., FURATYK Leon. — GOMBROWICZ Witold, G ö m ö r i Gyorgy, GRABOWSKI Zbigniew, GRALLA Erhardt, GRUSZCZYK W., GRZESIK Franciszek. — HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HEYDENKORN Benedykt, HOFFMAN Jakub, HORZELSKI Jerzy, HOSTOWIEC Paweł. — ILNICKI T., IWANIUK Wacław. — JANTA Aleksander, JELEŃSKI K.A., JENNE Józef, JORDAN Zbigniew, JÓŹWIAK Stanisław, J.R., — K. Kazimierz, KAJ, KAMIŃSKI Jerzy, KARWACKI Frank M., KATELBACH Tadeusz, KAWAŁKOWSKI Aleksander, KIERYŁŁO Jan, KLON Teodor, KOMARNICKI Tytus, KOPAŃSKI Czesław, KOWALEWSKI Janusz, KOWALIK Jan, KOZARYN Marek, KOZŁOWSKI Stefan W., KRÓLIKOWSKI Roman, KRZECZUNOWICZ Jerzy, KWIATKOWSKI M., KYŁYNA Patrycja. — LASKOWSKI Janusz, LEDNICKI Wacław, LEWICKYJ Borys, LITWIŃSKI Leon, LONDYŃCZYK. — ŁOBODOWSKI Józef.

— MACKIEWICZ Józef, MACKIEWICZ Stanisław, MAŁECKI Stanisław, MANTEUFFEL Andrzej, MARKIEWICZ Zygmunt, MICHNIEWICZ Władysław, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOŚZ Czesław, MOSTWIŃ Danuta. — NIEMOJOWSKI Jerzy, NOWAKOWSKI Tadeusz. — OKULICZ Kazimierz, OSADCZUK Bohdan. — PAWLIKOWSKI Michał K., PEŁCZYŃSKI Tadeusz, PIĄTKOWSKI Henryk, POBÓG-MALINOWSKI Władysław, PONIATOWSKI Józef, POPIEL Karol, PRZYBOROWSKI Henryk. — ROJEWSKI Jan, ROMER Tadeusz, ROMEYKO Marian, ROOŚ Hans, ROSTWOROWSKI Jan, ROYEK M. E., RUBCZAK Bohdan T., RUDNIKA Milena, RUGIS Jan. — SCHOENFELD Henryk, SĘPSZARZYŃSKI Stanisław, SILONE Ignazio, SŁABICZ Tadeusz, SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI Felicjan, SOKOLNICKI Michał, SOŁOWIJ Tadeusz, SUBOTIN Stojan, SWIANIEWICZ Stanisław, SZYMAŃSKI Leszek. — TABORSKI Bolesław, TARNAWSKI Wit, TARNAWSKYJ Jurij O., TELMANY Adam, TERC Abram, TOPORSKA Barbara, TORUŃCZYK Franciszka, TRYPUĆKO Józef, TRZEBIŃSKI Andrzej, TUREK Wiktor, TWIERDOCHLEBOW Włodzimierz. — WANDYCZ Piotr, WASYLKYWS'KA Żenia, WEINTRAUB W., WĘDZIA-GOLSKI Karol, WIENIEWSKI Ignacy, WILCZYŃSKA Zofia, WŁODKOWSKI M.K., WOHNOUT Wiesław, WÓJCIK Jan, W.W. — ZANIEWICKI Zbigniew, ZAWADOWSKI Zygmunt, ZBYSZEWSKI W.A. ZOEGER Heinz. — ZOCHOWSKI Samuel.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

DRESLER Jarosław: *Czechosłowacka emigracja* (1/147-2/148).
przeł. W.W.
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (tłumacz) ob. Silone Ignazio
(1/147-2/148).
HERTZ Aleksander: *Kasta* (1/147-2/148).
KOZŁOWSKI S.W. (tłumacz) ob. Roos Hans (5/151).
KRÓLIKOWSKI Roman: *Uhuru* (9/155).
LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/147-2/148, 3/149,
4/150, 5/151, 6/152, 7/153-8/154, 9/155, 10/156, 11/157,
12/158).
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Dwie „Algierie”* (1/147-2/148).
— *Kłeska urodzaju* (3/149).
— *List na adres w Warszawie* (11/157).
— *Podstawy polityki neutralizmu* (9/155).
— *Powrót na punkt startu* (10/156).
— *Rozważania katastroficzne* (5/151).
— *Strategia oddziaływania* (7/153-8/154).
— *Sumienie i atomy* (12/158).

— *Wpływ „otoczenia komunistycznego” na Europę* (6/152).
— *W przededniu* (4/150).
OSADCZUK Bohdan: *Chruszczow nad East River* (11/157).
— *Konferencja* (7/153-8/154).
— *Pięta achillesowa ZSSR* (12/158).
ROOS Hans: *Józef Piłsudski i Charles de Gaulle* (5/151), przeł.
S.W. Kozłowski.
SILONE Ignazio: *Choroby chroniczne* (1/147-2/148), przeł. Gus-
taw Herling-Grudziński.
SOŁOWIJ Tadeusz: *Uwagi o kapitalizmie amerykańskim*
(11/157).
SWIANIEWICZ Stanisław: *Niezrealizowane plany Piłsud-
skiego* (5/151).
TORUŃCZYK Franciszka: *Proces Eichmana* (12/158).
W.W. (tłumacz) ob. Dresler Jarosław (1/147-2/148).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

BOBKOWSKI Andrzej: *Biografia wielkiego kosmopolaka*
(9/155).
DANILEWICZOWA Maria i WILCZYŃSKA Zofia: *Miłosz
contra Kraszewski* (7/153-8/154).
GOMBROWICZ Witold: *Fragmenty z dziennika* (1/147-2/148,
3/149, 4/150, 7/153-8/154, 12/158).
HOSTOWIEC Paweł: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia*
(dok.) 1/147-2/148).
JELEŃSKI K.A.: *Awangarda i rewolucji* (5/151).
— *Czyste malarstwo czy poetyka* (9/155).
LEDNICKI Wacław: *Lew Tolstoj* (12/158).
ŁOBODOWSKI Józef: *Młody las na obczyźnie* (10/156).
MIŁOŚZ Czesław: *Co śmiem myśleć* (7/153-8/154).
— *Diariusz paryski* (3/149).
NOWAKOWSKI Tadeusz: *Granice nieobecności* (1/147-2/148).
SCHOENFELD Henryk: *Granice mego świata* (12/158).
— *Nowi cudzoziemcy* (7/153-8/154).
WILCZYŃSKA Zofia (ob. Danilewiczowa Maria i Wilczyńska
Zofia) (7/153-8/154).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

CZAPSKA Maria: *Świadkowie „sprawy Bożej”* (6/152).
DOR Milo: *Salto mortale* (4/150), przeł. Tadeusz Nowakowski.
ERDMAN Marta: *Obojnaki* (10/156).
— *Prywatna inicjatywa pan Zygmunia* (11/157).
JANTA Aleksander: *Flet i apokalipsa* (9/155).
KLON Teodor: *Historie żydowskie* (12/158).

- LASKOWSKI Janusz: *Nad Korsyką wieje wiatr od wschodu* (4/150).
 MIŁOSZ Czesław: *Tygrys* (1/147-2/148).
 MOSTWIN Danuta: *Dwanaście lat* (7/153-8/154).
 NOWAKOWSKI Tadeusz (tłumacz) ob. Dor Milo (4/150).
 ROJEWSKI Jan: *Zaginiony bez wieści* (3/149).
 ROSTWOROWSKI Jan: *Jan Nepomucen* (7/153-8/154).
 SŁABICZ Tadeusz: *Kartki z podróży do ZSSR* (10/156, 11/157).
 TRZEBIŃSKI Andrzej: *Fragmenty pamiętnika* (5/151).
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Henryk Łubiński* (11/157).

Utwory poetyckie

- ANDIJEWSKA Emma: *Aniołowie poczęcia* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Nocny deszcz* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.
 BOJCZUK Bohdan: *Fragment* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Fragment* (7/153-8/154).
 — *Kolektyw* (7/153-8/154).
 — *Komentarz* (7/153-8/154).
 — *Mitologia* (7/153-8/154).
 — *Przesmyk* (7/153-8/154).
 — *W soczewce chwili na tarasie* (7/153-8/154).
 CZUCHNOWSKI Marian: *1 maj 1959* (5/151).
 — *Joseph Conrad* (5/151).
 — *Modlitwa* (5/151).
 — *Na dwie zmiany* (5/151).
 — *Ślad rysikiem* (5/151).
 DUDEK Louis: *Bądź młody ze mną* (1/147-2/148), przeł. Jerzy Niemojowski.
 — *Czarna dziewczyna i wiersz* (1/147-2/148), przeł. Jerzy Niemojowski.
 — *Piękna Kalypto* (1/147-2/148), przeł. Jerzy Niemojowski.
 J[erzy] N[niemojowski]: *Louis Dudek — nota o poecie* (1/147-2/148).
 JENNE Józef: *Zwątpienie* (10/156).
 KIERYŁO Jan: *Lasy takie ciemne* (1/147-2/148).
 — *Na śmierć przyjaciela* (I) (1/147-2/148).
 — *Na śmierć przyjaciela* (II) (1/147-2/148).
 KYŁYNA Patrycja: *Pośmiertna maska* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.
 LOBODOWSKI Józef: (przekłady) ob. Andijewska Emma, Bojczuk Bohdan, Kyłyna Patrycja, Rubczak Bohdan Tymisz, Tarnaws'kyj Jurij O., Wasylkyws'ka Zenia (10/156).
 MIŁOSZ Czesław: *Ballada* (6/152).
 — *Co było wielkie* (6/152).
 — *Elegia na kłopoty z polszczyzną* (9/155).

- *Kroniki miasteczka Pornic* (Zamek Sinobrodego, Galipaud, Dziedzice, Wandejczy, Madonna ocalenia, Słowacki, Loukianoff, British War Cemetery, Pornic) (11/157).
 — *Młodzi polscy poeci* (6/152).
 — *Oda do ptaka* (6/152).
 NIEMOJOWSKI Jerzy (przekłady) ob. Dudek Louis (1/147-2/148).
 ROSTWOROWSKI Jan: *Pan Piotr* (1/147-2/148).
 RUBCZAK Bohdan Tymisz: *Kłapią cyklobrony...* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Milcz — usta wznieś...* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.
 TARNAWS'KYJ Jurij O.: *Dwie hiszpańskie pieśni na bezludziu* (Dom boleści, Pies wiatru) (10/156), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Pieśń miejskich dzieci* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.
 WASYLKYWS'KA Zenia: *Poezja I* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.
 — *Poezja II* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.
 WŁODKOWSKI M.K. *Kolo Włocławka* (10/156).
 — *Rak* (10/156).
 — *Ulica Piaskowa* (10/156).

Najnowsza Historia Polski

- K. Kazimierz: *Wspomnienia wrześnie* (9/155).
 LEWICKYJ Borys: *Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei* (4/150).
 — *Jeszcze o Oberlaenderze* (3/149).
 — *Sprawa dr. Oberlaendera* (1/147-2/148).
 LITWIŃSKI Leon: *Nafta małopolska i jej kulisy* (11/157).
 POBÓG-MALINOWSKI Władysław: *Skoro nie szablą to piórem* (5/151).
 ROMEYKO Marian: *Pierwsze dni Niepodległości i zamach stanu* (12/158).
 SŁAWOJ SKŁADKOWSKI Felicjan: *Internowanie w Turcji* (6/152).
 SZYMANSKI Leszek: *Październik niedyskretny* (10/156).
 TELMANY Adam: *Dodatek do adiutanta* (3/149).
 WANDYCZ Piotr: *Emigracja czechosłowacka w Polsce* (4/150).
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Generał Haller* (10/156).
 ZOCHOWSKI Samuel: *Konspiracja na Wyspach* (7/153-8/154).

Sprawy krajowe

- BRZOZA Wanda: *Odwiedziny* (12/158).
 HEYDENKORN Benedykt: *Od K. Gomółki do Władysława Gomółki* (7/153-8/154).

- *Wrażenia z Polski* (6/152).
 JORDAN Zbigniew: *Sens reorganizacji Polskiej Akademii Nauk* (4/150).
 — *Sprawa Józefa Chałasińskiego* (1/147-2/148).
Listy z Polski (1/147-2/148).
 MAŁECKI Stanisław: *Przekleństwo grzechu pierworodnego* (11/157).
O polski „model” gospodarczy (Ankieta „Kultury”) (3/149).

Sąsiedzi

- BEO: *Kronika ukraińska* (10/156).
 — *Oberlaender z perspektywy Berlina* (3/149).
 BERLINCZYK: *Epilog afery Oberlaendera* (5/151).
 G ö m ö r i György: *Literatura węgierska 1957-1959* (6/152).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Z kroniki odwilży* (3/149).
 KOZŁOWSKI S.W.: *Przegląd niemiecki* (7/153-8/154, 10/156).
 LEWICKYJ Borys: *Sowiecka polityka narodowościowa* (6/152).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Sztambuch* (9/155, 10/156).
 OSADCZUK Bohdan: *Antysemityzm w kraju bez Żydów* (3/149).
 — *Dokąd idą Niemcy* (5/151).
 — *Podróż po Niemczech* (6/152).
 WEINTRAUB Wiktor: *Michał Karpowicz* (3/149).
 ZOEGER Heinz: *Walka o „trzecie rozwiązanie”* (5/151).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BIELATOWICZ Jan: *Opus magnum Janiny Zabielskiej* (1/147-2/148).
 BOBR-TYLINGO Stanisław: „*Teki Historyczne*” (7/153-8/154).
 BRZĘKOWSKI Jan: *Nowa fala poetycka w Polsce* (12/158).
 CZAJKOWSKI Zbigniew: (ob. Taborski Bolesław i Czajkowski Zbigniew) (1/147-2/148).
 CZAPSKA Maria: *Dwieście ciotek* (7/153-8/154).
 — *Swarz-Bart — Prix Goncourt 1959* (1/147-2/148).
 GRALLA Erhardt: *Krytyka systemu jednopartyjnego* (10/156).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Ippolita* (12/158).
 HORZELSKI Jerzy: *Wieża i otchłań* (12/158).
 HOSTOWIEC Paweł: *Człowiek zagrożony* (4/150).
 — *Etapy pewnego odwrótu* (6/152).
 — *Książki, ludzie i kulisy* (10/156).
 — *Między książkami* (7/153-8/154).
 — „*Start*” (5/151).
 JELEŃSKI K.A.: *Sielskie, anielskie?* (7/153-8/154).
 — *Wieczne źródło Fontamary* (6/152).

- JORDAN Zbigniew: „*Fragmenty Filozoficzne*” (9/155).
 — *Nieporozumienie wokół semantyki* (10/156).
 KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Polska w drugiej wojnie światowej* (9/155).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Dwie antologie* (6/152).
 MACKIEWICZ Józef: *Ostatnie dni Wielkiego Księstwa* (4/150).
 MIŁOSZ Czesław: *Kwestia ciągłości* (6/152).
Nadestane nowości wydawnicze: (1/147-2/148, 4/150, 5/151, 6/152, 7/153-8/154, 9/155, 10/156, 11/157, 12/158).
 PAWLIKOWSKI Michał K.: *Cerkiew prawosławna w Polsce* (1/147-2/148).
 POBÓG-MALINOWSKI Władysław: *W niezgodzie z prawdą* (4/150).
 PRZYBOROWSKI Henryk: *Wojna z radcą św. Sebastiana* (11/157).
 ROMER Tadeusz: *W sojuszniczym Londynie* (11/157).
 TABORSKI Bolesław: *Z pozycji jaśniepana* (10/156).
 TABORSKI Bolesław i CZAJKOWSKI Zbigniew: *Polska technika powstań po raz drugi* (1/147-2/148).
 WANDYCZ Piotr: *Górny Śląsk w polityce polskiej* (9/155).
 WEINTRAUB Wiktor: *Bernard Singer i jego Nalewki* (4/150).
 WOHNOUT Wiesław: *Mackiewicz sine ira* (1/147-2/148).
 WÓJCIK Jan: *Antoni Olcha w Brazylii* (12/158).
 — *Niepotrzebna książka* (11/157).
 ZANIEWICKI Zbigniew: *O Miriamie i Mortkowiczu* (5/151).
 ZAWADOWSKI Zygmunt: *Krański po arabsku* (6/152).

Kronika kulturalna

- a.n. (tłumacz) ob. Carluccio Luigi (6/152).
Antologia poezji polskiej po szwedzku (3/149).
 ARVAY S.: *Wystawa Czapski-Turkiewicz* (1/147-2/148).
 CARLUCCIO Luigi: *Totemy Lebensteina* (6/152).
 CZAPSKA Jordan Wanda: *Wspomnienie o Andrzeju Sołtanie* (1/147-2/148).
 CZAPSKI Józef: *Nagroda plastyczna „Kultury”* (na rok 1959) (6/152).
 — *Nagroda plastyczna „Kultury”* na rok 1960 (12/158).
 — *Śmierć na równej drodze* (4/150).
 DANILEWICZOWA Maria: *Dalszy ciąg rozmowy z Józefem Czapskim* (3/149).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Nota o „chorobie powieści”* (7/153-8/154).
 HEYDENKORN Benedykt: *Jan Kowalik — jubilat* (12/158).
 HOSTOWIEC Paweł: *Dies academicus w Bazylei* (1/147-2/148).
 — *Dwa wyrazy proszą o chwilę uwagi* (10/156).
 — *Puryzm językowy a przekład* (9/155).

JELEŃSKI K.A.: *Polski sezon plastyczny w Paryżu* (7/153-8/154).

KAJ: *Polskie wystawy w Paryżu* (9/155).

— *Znak zapytania Kruczkowskiego* (6/152).

Komunikat o przedpłacie (na tom wierszy A. Chciuka) (5/151).

MIŁOSZ Czesław: *Andrzej Trzebiński* (5/151).

Nagroda literacka „Kultury” za rok 1959 (1/147-2/148).

Nagroda pisarska S.P.K. (12/158).

Nagrody literackie (4/150).

Polskie Tow. Naukowe na obczyźnie (6/152).

Pośmiertna nagroda (4/150).

Profesor St. Kościatkowski (10/156).

SUBOTIN Stojan: *Jugostowiańskie powieści T.T. Jeża* (11/157).

TARNAWSKI Wit: *Po dwudziestu pięciu latach* (7/153-8/154).

TUREK Wiktor: *Nasz przyjaciel William J. Rose* (4/150).

TRYPUCO Józef: *Stanisław Westfal* (5/151).

Zjazd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (5/151).

Sprawy i troski

CHCIUK Andrzej: *Jacy jesteście* (1/147-2/148).

DANILEWICZOWA Maria: *Najważniejszy problem* (6/152).

KOWALEWSKI Janusz: *I znowu niewola* (9/155).

KOWALIK Jan: *Zadania prasoznawcze emigracji* (11/157).

MARKIEWICZ Zygmunt: *„Wielka niedola” języka polskiego we Francji* (9/155).

SZYMAŃSKI Leszek: *Zbędne analizy* (4/150).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

DUDEK Louis: *Bądź młody ze mną* (1/147-2/148), przeł. Jerzy Niemojowski.

— *Czarna dziewczyna i wiersz* (1/147-2/148), przeł. Jerzy Niemojowski.

— *Piękna Kalypto* (1/147-2/148), przeł. Jerzy Niemojowski.

Z języka niemieckiego

DOR Milo: *Salto mortale* (4/150), przeł. Tadeusz Nowakowski.

DRESLER Jarosław: *Czechosłowacka emigracja* (1/147-2/148), przeł. W.W.

ROOS Hans: *Józef Piłsudski i Charles de Gaulle* (5/151), przeł. S.W. Kozłowski.

Z języka ukraińskiego

ANDIJEWSKA Emma: *Aniołowie poczęcia* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.

— *Nocny deszcz* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.

BOJCZUK Bohdan: *Fragment* (10/156), przeł. Józef Łobodowski

KYLYNA Patrycja: *Pośmiertna maska* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.

RUBCZAK Bohdan Tymisz: *Kłapią cyklobrony...* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.

— *Milcz — usta wznieś...* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.

TARNAWS'KYJ Jurij O.: *Dwie hiszpańskie pieśni na bezludziu* (Dom boleści, Pies wiatru) (10/156), przeł. Józef Łobodowski.

— *Pieśni miejskich dzieci* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.

WASYLKYWS'KA Zenia: *Poezja I* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.

— *Poezja II* (10/156), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka włoskiego

SILONE Ignazio: *Choroby chroniczne* (1/147-2/148), przeł. Gustaw Herling-Grudziński.

CARLUCCIO Luigi: *Totemy Lebensteina* (6/152), przeł. a.n.

Bibliografie

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1959 (1/147-2/148).

Listy do Redakcji

BECKOWA Jadwiga (9/155), BOCHENSKI I.M., O. P. (11/157), BORWICZ Michał (9/155), BOUCHER Jean (1/147-2/148), CHARMAŃSKI Andrzej (10/156), CHCIUK Andrzej (4/150), CHOMSOWA Wł. (11/157), CIOŁKOSZ Adam (4/150), CZĄPSKI Józef (4/150, 10/156), CZARNECKI Marian (11/157), CZYTELNICZKA (7/153-8/154), DĄBROWSKI Adam J. (7/153-8/154), DENDE Leopold (9/155), DZIAMSKI K.M. (9/155), DZIEWANOWSKI M.K. (3/149), FELSZTYN Tadeusz (10/156), FIGIEL M. (12/158), FURATYK Leon (3/149), GOMBROWICZ Witold (7/153-8/154), GRABOWSKI Zbigniew (5/151, 11/157), GRUSZCZYK W. (7/153-8/154), GRZEŚNIK Franciszek (12/158), HOFFMAN Jakub (11/157, 12/158),

ILNICKI T. (12/158), IWANIUK Wacław (12/158), JELEŃSKI K.A. (4/150), JENNE Józef (1/147-2/148, 10/156), JORDAN Zbigniew (11/157), JÓZWIĄK Stanisław (12/158), J. R. (4/150), KAMIŃSKI Jerzy (6/152), KARWACKI Frank M. (1/147-2/148), KATELBACH Tadeusz (5/151), KOMARNICKI Tytus (5/151), KOPAŃSKI Czesław (12/158), KOZARYN Marek (5/151), KRZECZUNOWICZ Jerzy (12/158), LASKOWSKI Janusz (7/153-8/154), MACKIEWICZ Stanisław (3/149), MANTEUFFEL Andrzej (9/155), MICHNIEWICZ Władysław (1/147-2/148), MIŁOSZ Czesław (7/153-8/154), OKULICZ Kazimierz (5/151, 6/152), PAWLIKOWSKI Michał K. (6/152, 9/155), PEŁCZYŃSKI Tadeusz (4/150), PIĄTKOWSKI Henryk (1/147-2/148), POBÓG-MALINOWSKI Władysław (6/152, 9/155), PONIATOWSKI Józef (7/153-8/154), POPIEL Karol (7/153-8/154), RUDNICKA Milena (4/150), RUGIS Jan (10/156), ROYEK M.E. (6/152), SCHOENFELD Henryk (12/158), SĘP-SZARZYŃSKI Stanisław (1/147-2/148), SOKOLNICKI Michał (7/153-8/154), SZYMAŃSKI Leszek (3/149), TABORSKI Bolesław (9/155), TOPORSKA Barbara (6/152, 7/153-8/154), TWIERDOCHLEBOW Włodzimierz (12/158), WANDYŃCZ Piotr (3/149), WĘDZIAGOLSKI Karol (7/153-8/154), WIENIEWSKI Ignacy (7/153-8/154).

Różne

Dalsze wpłaty na dom „Kultury” (1/147-8/148, 3/149, 4/149, 4/150, 5/151, 6/152, 7/153-8/154, 9/155).
Komunikat Koła Przyjaciół „Kultury” (11/157).
Komunikat Komitetu Funduszu Skarbów Wawelskich (1/147-2/148).
Komunikat o podwyższeniu prenumeraty (12/158).
Komunikat o procesie beatyfikacyjnym metropolity Szeptyckiego (7/153-8/154).
Komunikat — Ravensbrueck — Wiersze obozowe (1/147-2/148).
Na Secret Police Fund (wpłaty (3/149).
Przedpłata na książkę Aleksandra Janty (11/157).
Sprostowanie p. M. Kwiatkowskiego (5/152).
Sprostowania (3/149).
Wpłaty na Fundusz „Kultury” (11/157, 12/158).

Numer specjalny „Kultury” w języku rosyjskim maj 1960

Numer zawiera następujące artykuły:

Od Redakcji.

MIEROSZEWSKI J.: *K. woprosu o polsko-russkich otnoszeniach.*

MIŁOSZ Czesław: *Rossija.*

CZAPSKI J.: *Oblaka i gołubi.*

HERLING-GRUDZINSKI G.: *Nocnyje krika*, preface B. Rassela.

ŁOBODOWSKI J.: *Pismo k Borisu Pasternaku* (poema),

TERC Abram: *Sut idiot'* (rasskaz). Preface G. Grudzinskowo.

Noty biograficzne autorów

DOR Milo (4/150).

KLON Teodor (12/158).

ROJEWSKI Jan (3/149).

ROOS Hans (5/151).

WŁODKOWSKI M.K. (10/156).

ZOEGER Heinz (5/151).

Wydawnictwa książkowe w r. 1960

Biblioteka „Kultury”

- Tom LI: Herling-Grudziński Gustaw, *Skrzydła Ołtarza*. Str. 120.
Tom LII: GUILLEY-CHMIEŁOWSKA Halszka, *Spotkania na galerii*. Str. 192. (Nagroda literacka „Kultury” na r. 1959).
Tom LIII: Czapski Józef, *Oko*. Str. 228.
Tom LIV: Gombrowicz Witold, *Pornografia*. Str. 160.
Tom LV: Lipski Leo, *Piotruś*. Str. 80.
Tom LVI: Huxley Aldous, *Nowy wspaniały świat poprawiony*. Przekład Jerzego Horzelskiego. Str. 121.
Tom LVII: Wierzyński Kazimierz, *Tkanka ziemi* (poezje). Str. 108.
Tom LVIII: Kot Stanisław, *Jerzy Niemirycz — w 300-lecie Ugody Hadziackiej*. Str. 80.
Tom LIX: *Węgry*. (Przełożył z francuskiego Czesław Miłosz). Teksty Peter Kende i Hungaricusa oraz przekłady poezji poetów węgierskich. Seria „Dokumenty”. Zeszyt 8. Str. 126.
Tom LX: Swinarski Artur Marya, *Sasza i bogowie*: Cztery utwory dramatyczne. Str. 282.
Tom LXI: Chciuk Andrzej, *Rejs do Smithton. Stary Ocean*. Str. 208.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1961

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM LVII

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

TKANKA ZIEMI

POEZJE

Cena egzemplarza 7 NF (10 sh., \$ 1,50)



TOM LVIII

STANISŁAW KOT

JERZY NIEMIRYCZ

W 300-LECIE

UGODY HADZIACKIEJ

Cena egzemplarza 7 NF (10 sh., \$ 1,50)



TOM LIX

SERIA „DOKUMENTY” ZESZYT 8

WĘGRY

PRACA ZBIOROWA

Przedmowa i tłumaczenie

CZESŁAWA MIŁOSZA

Cena egzemplarza 9 NF (13 sh., \$ 2,00)



TOM LX

ARTUR MARYA SWINARSKI

SASZA I BOGOWIE

CZTERY UTWORY DRAMATYCZNE

Cena egzemplarza 15 NF (22 sh. \$ 3.-)

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo		5 dol. am.	9 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Île, Paris-4	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538		3 fl. hol.	18 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 3445 Marlowe Avenue, N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; Olgierd Kiersnowski, 36 Bermuda Ave., Toronto 18, Ont.; Andrzej Manteuffel, 797 Jessie Ave, Winnipeg, Man.; «Zwiazkowiec», 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	3,50 DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U. S. A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y. ; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczynski, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T.W. 2.0890	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

BIBLIOTEKI "KULTURY":

TOM LXI

ANDRZEJ CHCIUK

REJS DO SMITHTON

Cena egz. 12 NF (\$ 2,50; 17/3 sh.)

Str. 208



TOM LXII

ADAM CIOŁKOSZ

Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska

Książka zawiera ponadto „REWOLUCJĘ ROSYJSKĄ” Róży Luksemburg w tłumaczeniu A. Ciołkosza oraz głośną polemikę Hochfeld-Werfel, zamieszczoną na łamach „Po Prostu” w r. 1957.

Cena egz. 15 NF (\$ 3,-; £ 1.2.00)

Str. 260